



Czy Rembrandt namalował śmiercionośny obraz?

JÖRG KASTNER

Zabójczy błękit

Wydawnictwo Dolnośląskie

Amsterdam w XVII stuleciu. Cornelis Suythof, wielki wielbiciel malarstwa Rembrandta, pracuje jako strażnik w więzieniu, by mieć pieniądze na swoje próby artystyczne. Nieoczekiwanie wydarza się coś, co z gruntu odmięni jego spokojne życie: szanowany kupiec trafia do więzienia za wymordowanie całej swojej rodziny, a przyjaciel Cornelisa Ossel zostaje wtrącony do sąsiedniej celi. On także popełnił morderstwo, choć był do tej pory chodzącą dobrocią. Osadzeni sprawiają wrażenie zupełnie obłąkanych i Cornelis przysięga sobie, że wyświełi sprawę. Odkrywa, że w chwili morderstwa w pobliżu obu sprawców znajdował się ten sam obraz olejny, niewinny portret, jak spod ręki Rembrandta, tyle tylko, że utrzymany w intensywnym błękitcie, którego artysta nigdy nie używał.


Gdy śmiertelności obraz w tajemniczy sposób znika, Cornelis nie widzi innej drogi, jak zgłosić się jako uczeń do postarzałego, zgorzkniałego mistrza Rembrandta. Cały Amsterdam jest owładnięty szaleństwem – tak się wydaje Cornelisowi – bo seria zbrodni się nie kończy. Podczas gdy on mozolnie, krok po kroku, tropi przerażające machinacje, jakaś nieuchwytna siła opanowuje miasto i jego mieszkańców, a kolorem demona jest błękit.

ISBN 83-7384-528-3



9 788373 845282 >

ISBN 978-83-7384-528-3

Wydawnictwo
Dolnośląskie 

www.wd.wroc.pl

Cena 34,90 zł

diefarbbi
05/06
1213

JÖRG KASTNER

urodził się w 1962 roku w Minden nad Wezerą, po ukończeniu studiów prawniczych uczynił z pisania zawód. Znakiem rozpoznawczym jego powieści są staranne kwerendy i sztuka niebywale fascynującej narracji. W wydawnictwie Knaur ukazały się z dużym powodzeniem *Im Schatten von Notre Dame* (*W cieniu Notre Dame*), *Sonnenkreis* (*Słoneczny krąg*), *Engelspapst* (*Anielski papież*) i *Engelsfluch* (*Anielska klątwa*).

Jörg Kastner mieszka z żoną w Hanowerze.

Więcej na temat autora na osobistej stronie internetowej:
www.kastner-welten.de

Jörg Kastner

Zabójczy błękit

POWIEŚĆ

Na podstawie zapisków malarza i strażnika więziennego Cornelisa
Bartholomeuszona Suythofa

Spisana w Amsterdamie na pokładzie żaglowca Tulpenburgh i w
Batawii w latach 1670-1673

przełożyła
Barbara Kocowska

Wydawnictwo Dolnośląskie

*Mojej żonie Corinnie,
która podczas długotrwałej pracy nad tą książką,
nie tylko w Amsterdamie,
była przy mnie*

JK

Prolog NIEWIERNE SERCE

Wilhelm czuł się przygnębiony. Było tak, jakby na piersi legł mu młyński kamień, odbierający powietrze. I było mu zimno. Chłód śmierci ogarnął go, gdy wychodził z gośćmi z jadalni, by pokazać im kilka niedawno zakupionych arrasów. To nie próżność skłoniła go do tego, ale prawdziwa duma i głęboko odczuwana radość z nabycia dzieł sztuki. W takich czasach, wypełnionych wojną i intrygami, dusza ludzka bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała wytchnienia, które oferowało oglądanie pięknego malowidła lub wspaniałej tapiserii.

Synowie Wilhelma - Maurycy i Justyn - prowadzili gości, którzy stworzyli półokrąg wokół namiestnika Niderlandów. Członkowie gwardii przybocznej trzymali się z tyłu. Wiedzieli, że książę orański nie lubił, gdy nadmiernie się do niego zbliżali. Czuł się i zachowywał jak człowiek z ludu, który zawsze wysłuchiwał suplikantów. A do tego nie bardzo pasowałoby otaczanie się pierścieniem halabardników.

Właśnie zamierzał pokazać gościom kolejny arras, gdy wśród strażników zapanował niepokój. Kapitan, dowodzący niewielkim oddziałem gwardzistów, mówił coś gwałtownie do człowieka, który wyraźnie próbował się przemknąć między żołnierzami. Wilhelm zapytał, o co chodzi.

- Ten człowiek pragnie mówić z Waszą Wysokością - odpowiedział kapitan i wskazał na nieznanego. - Nie chce zrozumieć, że Książę jest teraz zajęty.

Wilhelm postąpił dwa kroki w stronę straży i spojrzał na intruza. Był jeszcze młody, nie miał chyba więcej niż dwadzieścia lat, i pod ciężkim płaszczem nosił strój francuskiego kroju. Wyglądał niezwykle schludnie. Ciemna cera kazała w nim widzieć cudzoziemca, może Francuza

z południa lub Włocha. Ale zewnętrzny spokój nieznajomego wprowadzał w błąd. Wilhelm zauważył niepewne błyski w wąskich oczach i częste drgania powiek. Wydawało się, że nieznajomy pozostaje w wielkim napięciu.

Książę orański przybrał przyjazny wyraz twarzy i zamierzał zapytać nieznajomego, z jakąż to sprawą przychodzi. Zanim jednak wyrzekł pierwsze słowo, zmartwił. Jego wzrok padł na rękę, którą wysunęła się spod płaszcza i trzymała jakiś ciężki przedmiot, który zaśnił metalicznie w świetle wpadającym przez okno. Gdy Wilhelm wreszcie pojął, że ów człowiek mierzy w niego z pistoletu, oślepił go już płomień i prawie jednocześnie rozbrzmiał huk wystrzału.

Poczuł uderzenie w prawy policzek i zaraz potem przeszywający ból. Otoczyły go płomienie, wyrastające tuż przed oczami. Od wystrzału zapaliła się kryza. W końcu wyrwał się z osłupienia i gorączkowo zaczął tłumić ogień.

Jednocześnie spojrzął na nieznajomego; stał lekko pochylony i spoglądał na rękę, w której jeszcze przed chwilą ścisnął pistolet. Broń zniknęła, a z dłoni pozostało zaledwie kilka krwawych strzępów. Ładunek musiał rozerwać pistolet - a wraz z nim także rękę zamachowca.

Dwaj słudzy pospieszyli Wilhelmu z pomocą przy tłumieniu płomieni. Straż książęca otoczyła także napastnika. Ciosy mieczy i halabard spadały na jego ciało także wówczas, gdy z groteskowym obrotem padał już na posadzkę i leżał bez ruchu u stóp żołnierzy.

Ogień ugaszono, ale ból szyi i ust był nie do zniesienia. Wilhelm osunął się bezsilnie na posadzkę, jakby chciał zjednoczyć się w śmierci ze swym zabójcą.

Zagubiony, Wilhelm otworzył oczy. Świt już dawno wyparł noc. Lekkie pieczenie na prawym policzku podtrzymywało wspomnienia. Już ponad dwa lata minęły od tamtego dnia, gdy prawie

cudem uszedł z życiem. Najemny morderca, Hiszpan o nazwisku Juan Jaureguy, oddał gardło pod ciosami mieczy i halabard gwardii. Lekarze, którzy gromadnie pospieszyli do łóżka Wilhelma, robili wrażenie pewnych siebie, sami jednak prawie nie wierzyli, że namiestnik Niderlandów, któremu kuła przebiła prawy policzek i podniebienie, wymknie się z lodowatego uścisku śmierci. Jeszcze teraz Wilhelma przechodził mroźny dreszcz na wspomnienie długich tygodni spędzonych w łóżku, w czasie których na polecenie lekarzy nie wolno mu było nic mówić, a najpilniejsze sprawy państwowe załatwiał za pomocą znaków i zapisywanych drżąca ręką poleceń.

Nigdy w pełni nie odzyskał zdrowia, ale to go nie zniechęcało. Nadal kierował walką wyzwolenczą Niderlandów przeciw Hiszpanii i wciąż bez obawy przed skrytobójcami szukał kontaktu ze wszystkimi, którzy mogli mieć do niego jakieś sprawy. Mimo że oferta Filipa pozostawała nadal aktualna.

Król Hiszpanii Filip II obiecał temu, kto zabije Wilhelma, 25 000 złotych koron, brzęczącą monetą lub w postaci dóbr ziemskich. Mordercę, który nie byłby szlachcicem, czekało po udanym zamachu wyniesienie do stanu szlacheckiego. Zdaniem Filipa zabójstwo Wilhelma nie było przestępstwem: król hiszpański obłożył znieawidzonego buntownika klątwą i ogłosił go banitą.

Wilhelm uśmiechnął się, wstając z łóżka i podchodząc do okna. Oferta króla Filipa uświadomiła mu własną wartość. Ważniejsze jednak było to, że Filip się go obawiał. Jako namiestnik Niderlandów był najwyższym wojskowym zwierzchnikiem siedmiu Prowincji Północnych, które w 1579 roku zjednoczyły się Unią w Utrechcie, a dwa lata później uroczystym aktem wypowiedziały posłuszeństwo królowi Hiszpanii. Zadał Hiszpanom wiele dotkliwych klęsk.

Rozsunął ciężkie zasłony, aby powitać nowy dzień. Ale zatrzymał się w pół ruchu. Przeniknął go i zmroził lodowaty podmuch,

podobny do owego chłodu, jaki odczuwał przed dwoma laty, tamtego nieszczęsnego dnia w Antwerpii.

Wilhelm otrząsnął się z przygnębienia i otworzył okno. Był teraz w Delfcie, a nie w Antwerpii, i napływające poranne powietrze zapowiadało ciepły, letni dzień. „Nie ma powodów do ponurych myśli” - rzekł do siebie - i po skromnym posiłku zajął miejsce przy pulpicie, by załatwić ważną korespondencję. Lubił pracować w odosobnieniu konwentu św. Agaty, który był kiedyś ważnym klasztorem, a teraz w północno-wschodnim skrzydle mieścił dwór książęcy.

Później, gdy poranne ciepło przekształciło się już w upał, przyjął Rombouta Uylenburgha, burmistrza Leeuwarden, by omawiać z nim polityczne i religijne kwestie Fryzji. Dopiero fanfary ogłaszające obiad przerwały ich ożywioną dysputę. W drodze do jadalni dołączyły do nich żona Wilhelma Luiza, jego córka Anna i siostra Katarzyna, hrabina Schwarzburg.

Kilku suplikantów wybrało porę obiadu, by przedłożyć Wilhelmowi swoje prośby, ale nie chciał kazać czekać gościom i odłożył ich wysłuchanie na porę poobiednią. Przywołał do siebie tylko młodego Francuza, który kilkakrotnie przynosił mu ważne wiadomości i którego wspierał już też finansowo. Ów Francuz, Guyon, przeszedł na kalwinizm i opowiadał, że jego ojciec był w Dole torturowany i zamordowany go za nową wiarę.

- Co słyhać, Guyon? - zapytał Wilhelm. - Przynosisz niecierpiące zwłoki wieści z Francji?

Guyon, szczupły, około dwudziestopięcioletni mężczyzna, zdjął ciemnoniebieski filcowy kapelusz, skłonił się i potrząsnął głową.

— Nie mam nowin, Książę. Ale mam nadzieję przywieźć jakies z kolejnej podróży. A do tego potrzebny mi paszport.

Jego głos był dziwnie głuchy i niepewny, jakby sam sobie zdawał sprawę, że to nie był właściwy moment, by absorbować Wilhelma sprawą paszportu.

- Później, po obiedzie - powiedział Wilhelm trochę szorstko i gestem wskazał Francuzowi, by poczekał z innymi suplikantami.

Guyon wycofał się z niepewną miną.

Gdy Wilhelm udawał się ze swym towarzystwem do sali jadalnej, Luiza powiedziała cicho:

- Nie podoba mi się ten mężczyzna, z którym rozmawiałeś przed chwilą. Zachowywał się dziwnie.

Wilhelm odpowiedział z uśmiechem:

- To nie jest zły człowiek. Spotykałem się już z nim wiele razy. Gdyby miał wobec mnie złe zamiary, mógł je już dawno wcielić w życie. Przed chwilą był tylko trochę niezręczny, może wystraszyło go liczne towarzystwo dostojnych państwa.

Dopiero po obiedzie, gdy przed salą jadalną ponownie obstąpili go suplikanci, dostrzegł znowu Guyona. Francuz stał w szeregu oczekujących i wydawał się ćwiczyć w cnotcie cierpliwości. Wilhelm omówił jakąś sprawę wojskową ze szwajcarskim oficerem i zwrócił się do włoskiego kupca, który utrzymywał, że dysponuje ważnymi informacjami na temat handlu w basenie Morza Śródziemnego. Wilhelm nie chciał tego omawiać publicznie i przeszedł z Włochem do swego gabinetu.

Gdy pożegnał kupca i odprowadził go do wyjścia, czekał tam już angielski oficer, siwowłosy kapitan Williams. Przyklęknął na jedno kolano, aby przedłożyć Wilhelmowi swoją sprawę. W tym momencie pojawił się Francois Guyon i Wilhelmowi przemknęła przez głowę myśl, która przyćmiła wszystko inne: „Jest dokładnie tak jak w Antwerpii!”.

Guyon trzymał w prawej ręce ciężki pistolet i mierzył do księcia. Płomyk zapłonu i dym prochowy, ogłuszający wybuch i Wilhelm czuł już ciężkie uderzenie w okolice żołądka. Galopujący, ostry ból, rozprzestrzeniający się od rany, zetknął się z owym chłodnym tchnieniem, które poczuł już rano. Śmierć schwyciła Wilhelma w lodowate kleszcze i nie chciała go po raz drugi wypuścić.

Nim jeszcze pojawił się nadworny medyk, ksiązę orański zmarł wskutek ciężkiej rany.

Zamachowca ujęto. Naprawdę nazywał się Balthasar Gerard, pochodził z Wolnego Księstwa Burgundii i był w rzeczywistości katolikiem oraz wiernym poddanym hiszpańskiego króla. W Delfcie podawał się za zbiegłego hugenota i pozyskał sobie w ten sposób zaufanie Wilhelma. Prawdopodobnie już wcześniej popełniłby swój zbrodniczy czyn, gdyby tylko był w posiadaniu odpowiedniej broni. Dopiero krótko przed zamachem zdobył dwulufowy pistolet, zresztą akurat od członka osobistej gwardii Wilhelma. Wmówił mu, że potrzebuje broni do obrony przed szumowinami, których obecność czyniła niebezpiecznymi ulice wieczornego Delfcie.

Balthasar Gerard nie dostał rozkoszy przyrzeczonej za życie Wilhelma nagrody, ale jego ojciec został przez Filipa uszlachcony i obdarowany posiadłościami w Burgundii. Zamachowca po ciężkich torturach skazano na śmierć. Wyrok wykonano zaledwie cztery dni po zabójstwie, 14 lipca 1584 roku, przed Ratuszem w Delfcie. Zebrała się wielka cizba i wielu obecnych odczuwało większy żal i smutek po śmierci Wilhelma niż radość w oczekiwaniu na widok mąk i śmierci jego zabójcy.

Ku rozczarowaniu gawiedzi Gerard okazał się mężny i opanowany. Zacisnął zęby, gdy na podeście przed Ratuszem rozżarzoną żelazem przypalano mu rękę, która oddała śmiertelny strzał, aż pozostał z niej tylko zwęglony kikut. Dopiero gdy rozpalone do czerwoności kleszcze zaczęły mu szarpać ciało, z gardła zamachowca wydobyły się stłumione okrzyki bólu.

Katowscy pachołkowie zaczęli go żywcem ćwiartować, rozcinając ciało od dołu ku górze. Wtedy wyprężył się, spojrzął płonąco z nienawiści oczami na tłum i wykrzyknął:

- Przeklinam was wszystkich, pozbawieni duszy kalwiniści! Was, wasze dzieci i wnuki! Jeszcze za sto lat moje przekleństwo spadnie na was i na wszystkich mieszkańców bezbożnych Niderlandów!

Jego głos zamarł w charkotliwym dźwięku towarzyszącym rozcięciu brzucha i wyrwaniu z piersi serca. „Niewierne serce”, jak napisano w wyroku, ciśnięto mu trzykrotnie w twarz. W końcu odcięto mu głowę, rozczłonkowano ciało na cztery części i powieszono je na czterech bastionach miasta. Zgromadzony naród przyglądał się temu z satysfakcją, ale na ludzi padł cień i długo jeszcze w Delfcie i w całych Niderlandach rozprawiano o przekleństwie Balthasara Gerarda.

1 ŚMIERĆ W WIĘZIENIU RASPHUIS

Amsterdam, 7 sierpnia 1669

- No, chodź tu, Cornelisie, i wpakuj mi nóż w bebechy!

Ossel Jeuken zaśmiał się chrapliwie i zakołysał przy tym głową, aż zatrzęsły mu się obwisłe policzki. Oczy pod krzaczastymi brwiami błysnęły do mnie zachęcająco i jednocześnie wydawały się kpiące. Ossel stał trzy, może cztery kroki ode mnie, lekko pochylił potężne ciało i wyciągnął imponująco umięśnione ramiona, jakby chciał mnie objąć.

„Albo mnie zmiażdżyć” - pomyślałem, choć przecież i ja nie jestem ułomkiem. Ale Ossel przewyższał mnie o głowę, a każde z jego ramion dorównywało obwodowi moich ud.

Mimo to uznałem jego wyzwanie do użycia hiszpańskiego noża sprężynowego za zuchwalstwo. Uważałem się za naprawdę sprawnego w obejściu z bronią, którą wygrałem w kości od pewnego angielskiego żeglarza.

- Czemu się wahasz, Cornelisie? - drażnił się ze mną Ossel.

- Sam tego chcesz - warknąłem i ruszyłem wypadem do ataku. Jednocześnie wyprostowałem prawą rękę, uzbrojoną w nóż, w kierunku szerokiej klatki piersiowej.

Ale Ossel nie stał już tam, gdzie widziałem go przed sekundą. Błyskawicznie zmienił pozycję z prędkością i zręcznością, która zadawała kłam jego pozornie ociążałej sylwetce. Zamiast umykać przed ostrzem hiszpańskiej klingi, przesunął się nieco w bok, postąpił krok do przodu i schwycił mnie w kleszcze. Prawą ręką trzymał mnie za kark i tył głowy, a lewą wpijał się tak mocno w moje prawe przedramię, że aż bolało. Zanim zdołałem się opamiętać, Ossel szybkim obrotem pozbawił mnie równowagi. Prawym ramieniem obejmował teraz moje plecy, a lewą ręką maltretował mi ramię. W rezultacie odczuwałem kłujący

ból. Ręka drżała mi w sposób niekontrolowany, a nóż wypadł z głośnym brzękiem spomiędzy palców na brudną podłogę. Gdy Ossel wzmocnił ucisk pleców, całkowicie straciłem równowagę i upadłem twardo na grzbiet.

Oddychałem gwałtownie, szukałem powietrza i nabrałem nowej nadziei, gdy zobaczyłem w pobliżu błyszczące ostrze noża. Ręka pomknęła ku broni, ale obuta w skórę stopa Ossela była szybsza i unieruchomiła nóż na podłodze.

- Przyznaj, że przegrałeś - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha, i pochylił się nade mną. - Mężczyzna nigdy nie powinien mylić odwagi z głupotą.

Spojrzałem na niego w górę jak chłopiec na potężnego ojca i stęknąłem:

- Poddaję się. Nikt ci nie sprosta, mistrzu Jeuken. Jesteś równie silny, jak zręczny.

- Silny jestem z natury, zręczności nabrałem przez ćwiczenia - odparł Ossel i wyciągnął do mnie rękę, by pomóc mi wstać. - Gdy będziesz ćwiczyć równie pilnie jak ja, także opanujesz sztukę zapasów.

- Przy takim mistrzu na pewno - powiedziałem, usuwając czerwone wióry z ostrza noża. Ramię bolało jak diabli, ale próbowałem nie pokazać niczego po sobie. W końcu to ja sam poprosiłem o ten trening.

Ossel potrząsnął głową.

- Nie jestem prawdziwym mistrzem, ale uczyłem się zapasów u takiego.

- U kogo? - zapytałem i schowałem ostrze do obłożonej mośsiądem i jelenim rogiem rękonoży.

- U Nicolaesa Pettera - odpowiedział obojętnie Ossel, ale dokładnie wiedział, jakie wrażenie wywiera to nazwisko.

- Nicolaesa Pettera, kierownika sławnej szkoły zapaśniczej? - dopytywałem się zdumiony.

- Twórcy szkoły walki - poprawił Ossel. - Od tego czasu przejął ją jeden z jego uczniów, Robbert Cors.

Odniosłem wrażenie, jakby mój przyjaciel wypowiedział to nazwisko z pewną niechęcią.

- Nie gadajmy o przeszłości - powiedział Ossel i stanął przede mną na szeroko rozstawionych nogach. - Chciałeś się ode mnie uczyć zapasów, więc do roboty. Ruszaj jeszcze raz na mnie, ale teraz powoli. Wtedy pokażę ci, jakimi ruchami odparłem twój atak. Odrobina siły i trochę więcej rozważki znaczą więcej niż twój hiszpański scyzoryk, Cornelisie.

Skinąłem głową i przygotowałem się do ataku. Odetchnąłem głęboko i wciągnąłem zapach świeżego drewna. Do naszych ćwiczeń wybraliśmy wielki magazyn, w którym brazylijskie drewno czekało na przetarcie i pocięcie przez pensjonariuszy Rasphuisu, tartaku, jak nazywał się ten sławetny przybytek. Dokładnie w chwili, gdy miałem natrzeć na przyjaciela, rozległo się głośne wołanie.

- Ossel! Ossel! Gdzie się podziewasz?

- To Arne Peeters - stwierdził Ossel ze zdziwieniem i odkrzyknął: - Jesteśmy w składzie drewna, Arne!

Zbliżyły się szybkie kroki, ciężkie drzwi z belek rozwarły się z trzaskiem i Arne Peeters wsadził w szparę łusą głowę. Bez tchu wysapał:

- Ossel, chodź natychmiast do celi Melchersa, szybko! Stało się coś okropnego!

- Co? - zapytał Ossel i spokojnie sięgnął po podszyty skórą kaftan, który odłożył obok jednego z sągów.

- Melchers... nie żyje!

W sekundę spokój Ossela zniknął.

- Jak to? - warknął i szybko naciągnął kaftan na grzbiet.

- Zabił się. Chciałem mu zanieść posiłek i zobaczyłem to... Cała cela jest pełna krwi!

Biegiem podążyliśmy za Peetersem do celi mistrza farbiarskiego Gijsberta Melchersa. Gdy przemierzaliśmy wielką salę tartaku,

ciężko pracujący więźniowie rzucali w naszą stronę pełne ciekawości lub wrogie spojrzenia, nie przerywając jednak pracy. Wióry latały wokoło, w powietrzu unosił się zapach drewna i potu, a nad wszystkim górował jakby zapach śmierci. Tak mi się w każdym razie zdawało, gdy śpieszyłem z moimi towarzyszami do celi człowieka, którego czyn sześć dni wcześniej wstrząsnął całym Amsterdamem.

Gijsbert Melchers był jednym z najbardziej cenionych mistrzów farbiarskich w mieście i szanowanym daleko poza jego granicami członkiem cechu. Uprawiał swoje rzemiosło rzetelnie i z powodzeniem, co go do doprowadziło do znacznej zamożności. Nic w jego zachowaniu, tak zeznawali później świadkowie, nie zwiastowało zbrodni.

Poprzedniej niedzieli w potworny sposób zamordował żonę i dzieci: trzynastoletniego syna oraz córki - jedenasto- i ośmioletnią. Zadźgał ich nożem, odciął głowy, po czym wrzucił je do kadzi z roztworem farbiarskim. Czyn wyszedł na jaw dopiero w poniedziałkowy poranek, gdy czeladnicy Melchersa chcieli wydobyć moczące się w kadzi przez niedzielę sukno, by rozwiesić je do suszenia. Wzburzeni czeladnicy poszukali mistrza i znaleźli go w odległym zakamarku domu, skulonego na podłodze i patrzącego tępym wzrokiem przed siebie. Nie był w stanie wypowiedzieć sensownego zdania. Obok niego leżała zakrwawiona siekiera, a ręce i odzież farbiarza były obficie powalane krwią. Wkrótce potem w mieszkaniu czeladnicy znaleźli pokrwawione i okaleczone zwłoki ofiar. Zabrano Melchersa na przesłuchanie w Ratuszu i dopiero pod wpływem tortur zaczął mówić. Przyznał się do popełnienia tego strasznego czynu, ale powtarzał tylko, że musiał to zrobić. W środę przekazano go więc do Rasphuisu, gdzie miał czekać na proces. Tu również pozostawał bardzo zamknięty w sobie.

Dwa razy na próżno próbowałem skłonić go do rozmowy, ale w końcu zrezygnowałem. Naczelnik zdecydował, że Melchers ma

pozostać w osobnej celi. Jego dziwny stan sugerował, że nie byłoby wskazane kierować go do pracy w tartaku. Naczelnik obawiał się zapewne, że Melchers z wielką piłą w ręku mógłby ponownie stać się niebezpieczny dla otoczenia.

Gdy skręciliśmy do korytarza prowadzącego do celi Melchersa, już z daleka dostrzegłem na wpół otwarte drzwi. Przed nimi Peeters postawił pozbawioną ozdób miskę z kaszą, posiłek Melchersa. Ossel jednym szarpnięciem otworzył całkiem ciężkie drzwi i jako pierwszy zajrzał do ciasnego pomieszczenia. Stałem obok niego i zobaczyłem przerażający obraz.

W czasie dwóch lat pracy strażnika w Rasphuisie widziałem niejedno, co wrażliwszy od mojego żołądek wyrzuciłoby na nice, ale widok Gijsberta Melchersa swoją grozą przyćmiewał wszystko. Odetchnąłem głęboko i zmusiłem się do powstrzymania wymiotów.

Z imponującej za życia postury mistrza Melchersa nie pozostało nic. Po śmierci wyglądał żałośnie. Na przegubach, którymi uszły z niego krew i życie, wisiały poszarpane pasma ciała. Leżał na prawym boku jak zaszczute zwierzę, skulony w śmiertelnym skurczu. Miał nienaturalnie szeroko rozwarte oczy i rozdziawione usta, a twarz wokół nich była usmarowana krwią. Krwia były też umazane jego zęby. Nie mogłem nie pomyśleć o bestii, o krwawych kłach drapieżnika.

- Jak on to zrobił? - zapytał Arne Peeters i potrząsnął bezradnie głową. - Nie miał przecież broni.

- Nie widzisz jego zębów? - odparł Ossel zaskakująco ochryplym głosem. Nawet zahartowanego, doświadczonego strażnika ten widok poruszył do głębi.

- Tak, dziwne, tyle krwi...

- Nie dziwne, tylko odrażające - rzekł Ossel i podniósł prawe przedramię do ust, jakby chciał się ugryźć w przegub. - Tak to zrobił.

Peeters gwałtownie przełknął ślinę.

- Że też człowiek jest zdolny do czegoś takiego...

- Człowiek, który masakruje swoją żonę i niewinne dzieci, może być zdolny praktycznie do wszystkiego - odparłem i precyzyjnie się obok Ossela, by wejść do celi, bo jakiś przedmiot pod ścianą przyciągnął moją uwagę. Niewyraźny cień, duży prostokąt.

- Musiał bardzo bać się kary, żeby w taki sposób jej uniknąć - mruknął Peeters.

- Może postanowił wymierzyć ją sobie sam - stwierdziłem.

- Albo po prostu był szalony - rzeki Ossel, kładąc mi ciężką rękę na ramieniu i ku mojemu zdziwieniu powstrzymując mnie od wejścia do celi. - Arne, zawiadom naczelnika!

- Tak, dobrze - odpowiedział Peeters i szybko się oddalił.

Ossel spojrzął za nim i gdy znalazł się poza korytarzem, powiedział:

- Nie musi tego widzieć. - Wskazał przy tym na duży przedmiot oparty o ścianę w głębi celi.

- Co to jest? - zapytałem.

Ossel wszedł do mrocznego pomieszczenia, uważając, by nie wdepnąć w wielką kałużę krwi otaczającą zwłoki Melchersa, sięgnął ponad nimi i wydobyl płótno oprawione w ozdobne, rzeźbione ramy.

- Obraz? - Zdziwiłem się.

- Tak, obraz.

W świetle kopających lampek, oświetlających korytarz, oglądałem olejne malowidło. Niezaprzeczalnie pokazywało zmarłego, prawdopodobnie w otoczeniu rodziny. Malarz przedstawił zadowolonego Gijsberta Melchersa przy czworokątnym stole. Obok niego stała dość tęga, ale ładna kobieta, która nalewała mu coś do dużego, poły-skującego srebrzyście pucharu. Chłopiec i dwie małe dziewczynki stali po lewej stronie, obok matki, i obserwowali rodziców.

- Melchers z rodziną - jego ofiary - powiedziałem cichym głosem.

- Trafnie rozpoznałeś, Cornelisie. Malowidło do niedawna wisiało w ich salonie.

- Jak się tu znalazło?

Ossel spojrzął na martwego Melchersa.

- Poprosił mnie o nie.

- Po-pro-sił? - powtórzyłem. - Ależ Ossel...

- Tak, tak, wiem, że to zabronione przynosić cokolwiek więźniom z domu. Ale farbiarz po prostu mnie błagał. A poza tym...

- Poza tym? - Drażyłem, gdy przyjaciel się zawahał.

- Poza tym dziesięć guldenów to dużo pieniędzy.

- Istotnie. Zdumiewające.

- Co? Że Melchers zapłacił taką sumę, żeby mieć przy sobie swój obraz? Może miał mu przynosić pociechę. A może chciał sam siebie ukarać ciągłym widokiem tych, których miał na sumieniu. Być może, nie mógł już dłużej znieść wpatrywania się w obraz i dlatego odebrał sobie życie.

- Możliwe, Ossel. Ale zdumiewa mnie coś całkiem innego. Ten człowiek był kompletnie zablokowany. Dopiero tortury rozwiązały mu język. A z tobą rozmawiał?

- Tak, gdy przyniosłem mu w środę wieczorem jedzenie. Ale nie powiedział mi, dlaczego zabił żonę i dzieci. Chodziło mu tylko o obraz. Błagał mnie, bym poszedł do niego do domu i poprosił czeładnika Aerta Tefsen o to malowidło. Tefsen miał mi dać pieniądze. Tak powiedział. I tak też było.

Gdy rozległy się szybkie kroki, Ossel otrząsnął się.

- Muszę schować płótno, Cornelisie. Zaraz wracam.

I już zniknął za najbliższym załomem korytarza. Mało kto tak dobrze orientował się w układzie więzienia jak on. Tylko dzięki temu mogło mu się udać niepostrzeżone przeszmurowanie wcale niemałego malowidła do celi Melchersa. Gdy Arne Peeters pojawił się z Rombertusem Blankaartem, któremu powierzono funkcję naczelnika Rasphuisu, Ossel stał już obok mnie.

Blankaart, niski, kościsty mężczyzna, stwarzający zawsze wrażenie trochę niepewnego, wetknął głowę do celi farbiarza i cofnął się jak uderzony niewidzialną pięścią.

- To... to nie może być prawda - powiedział i przeniósł wzrok na nadzorcę. - Jak to się mogło stać?

- To także dla nas zagadka, panie - odrzekł Ossel.

- Ale jak mam to wyjaśnić zarządcom więzienia, burmistrzowi i Radzie? - pytał Blankaart.

- Nie można tego wyjaśnić - pospieszyłem w sukurs przyjacielowi. - To równie niewytłumaczalne, jak popełniona przez Melchersa zbrodnia. Prawdopodobnie po prostu popadł w obłąd.

- Tak, tak musiało być - westchnął Blankaart i wydawało się, że odczuł pewną ulgę, mogąc zaoferować choćby cień wyjaśnienia. Tymczasem ja czułem się dziwnie przygnębiony. Opanowało mnie niesamowite przeczucie. Czułem, że śmierci farbiarza nie da się tak po prostu wytłumaczyć i zarazem nie byłem pewien, czy istotnie chcę poznać prawdę.

2 OBRAZ ZMARŁEGO

Po zakończeniu służby wyszliśmy razem z Osselem z Rasphuisu. Znaleźliśmy się na Heiligeweg, gdzie panował ruch, jak zwykle letniego wieczoru. Mijały nas wyładowane towarami wozy, wędrowni handlarze oferowali swoje produkty, a pary i całe rodziny wyruszyły na spacer w ciepłym jeszcze sierpniowym słońcu. Mewy i kilka sowych czapli krążyły nad nami, jakby chciały dopełnić spokojnego, wręcz idyllicznego obrazu. Nic nie wskazywało na to, że kilka godzin wcześniej w grubych murach amsterdamskiego więzienia człowiek w straszny sposób położył kres własnemu życiu. Mury strzegły jeszcze swej okropnej tajemnicy, ale najpóźniej jutro rano cały Amsterdam pozna tę

historię w najdrobniejszych szczegółach.

Nie, nie w najdrobniejszych szczegółach, pomyślałem, gdy mój wzrok spoczął na kanciastym pakunku, który Ossel trzymał pod pachą. Zawinął obraz w szarą derkę.

Wskazałem na pakunek i zapytałem:

- Chcesz to odnieść do domu Melchersa?

- Tak, ale dopiero za kilka dni, gdy to poruszenie trochę opadnie.

Nie chcę mieć kłopotów z powodu tego obrazu.

- Dobrze. Chciałbym go jeszcze raz obejrzeć w spokoju.

- Dlaczego?

- Powiedzmy: zainteresowanie zawodowe, Ossel. W końcu sam także maluję.

- Ale bez większego powodzenia - odpowiedział z uśmiechem i pokazał kciukiem za plecy, w kierunku Rasphuisu. - W przeciwnym razie nie musiałbyś tam zarabiać na życie.

- Syp jeszcze więcej soli na moje rany - odpowiedziałem i roześmiałem się. - W naszym kraju jest po prostu więcej malarzy niż strażników więziennych, może zbyt wielu.

Ossel przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu.

- No, to chodź ze mną, Rubensie. Nie chciałbym odślaniać tego płótna publicznie. A poza tym mam jeszcze mocną jałowcówkę. Po tym całym zamieszaniu zasłużyliśmy na solidny łyk.

Skręciliśmy w stronę dzielnicy Jordaen. Moje myśli nadal krążyły wokół obrazu i czyniłem przyjacielowi wyrzuty, że przeszmuglował go do celi farbiarza.

Twarz Ossela wykrzywił grymas.

- Przestań wreszcie, Cornelisie! Mówisz jak naczelnik więzienia. Masz chrapkę na jego stanowisko, co?

- Chciałbym dostawać jego wynagrodzenie. Ale perspektywa spędzenia reszty życia w Rasphuisie mniej mi się podoba.

- Tam nie jest wcale tak źle - mruknął Ossel. - Ja robię to już ponad dwanaście lat.

- Jesteś nadzorcą.

- Długo trwało, zanim nim zostałem. Ale nie narzekam. Zanim trafiłem do Rasphuisu, pracowałem tu i tam i z każdego miejsca mnie wyrzucali, gdy pracodawcy kończyły się pieniądze. W Rasphuisie mam pewne dochody, chociaż, oczywiście, mogłyby być większe.

Rzuciłem mu badawcze spojrzenie, ale powstrzymałem się od uwagi na temat jego dochodów. Z pewnością byłyby więcej niż wystarczające, gdyby nie poświęcał tyle uwagi flaszcze i grom hazardowym. Im więcej pił, tym mniej miał szczęścia przy stole, i w kieszeni szybko pokazywało się dno. Poza tym mieszkał ostatnio z kobietą imieniem Gesa czy Gese, która nie miała na niego dobrego wpływu. Nie mówił o niej zbyt wiele, ale z tego, co opowiadał, dawało się wywnioskować, że także bardziej lubiła mocne trunki, niż to jej wychodziło na zdrowie. Ponadto nękał ją uporczywy kaszel i Ossel musiał wydawać sporo pieniędzy na medyków i lekarstwa.

Czynszowy dom, w którym mieszkał, był równie duży jak ponury. Gdy tylko zagłębiliśmy się w płataninę klatek schodowych i wąskich korytarzy, po łagodnym nastroju letniego wieczoru nie pozostał ślad. Dom był własnością wytwórcy narzędzi, który poupychał swoich robotników w najgorszych norach. Każdy stuiver, którego odliczał im za to z zarobków, był moim zdaniem pobierany na wyrost. Mieszkania, do których wpadała choćby odrobina powietrza i światła, powynajmował ludziom takim jak Ossel, którzy mieli wystarczające dochody, ale nie mogli w żadnym wypadku uważać się za zamożnych. W domu cuchnęło zatęchłą wilgocią i brudem.

Wspięliśmy się po dwóch stromych stopniach i weszliśmy do mieszkania Ossela, w którym nie byłem już od kilku miesięcy

¹ stuiver - drobna srebrna moneta holenderska (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

— od kiedy zamieszkał z nową przyjaciółką. Miałem wrażenie, że celowo trzyma mnie od niej z daleka. Tego wieczoru także nie było jej w domu. Gdy o nią zapytałem, odpowiedział, że wyjechała na kilka dni, bo musiała się zaopiekować ciężko chorą ciotką.

Postawił na stole dwa niezbyt czyste gliniane kubki i napełnił je obiecaną jałowcówką. W tym czasie odwinałem obraz i oparłem go o pogryzioną przez korniki skrzynię w taki sposób, by móc go obejrzeć w słabym wieczornym świetle, wpadającym przez małe okienko. Ossel dostrzegł, że mrużę oczy, i zapalił lampkę oliwną.

- No i? - zapytał po chwili. - Czy to dobry obraz, może nawet cenny?

- Nie jestem pewien - odpowiedziałem cicho i zbliżyłem się do płótna, by spojrzeć na sygnaturę. - To dziwne - mruknąłem.

- Bardzo dziwne.

- Co takiego? - Ossel pociągnął długi łyk wódki, głośno beknął z zadowoleniem i przeciągnął wierzchem dłoni po wilgotnych ustach.

- Gadaj wreszcie, chłopie!

- Każdy malarz pozostawia na obrazie podpis albo przynajmniej znak rozpoznawczy. Tego wymaga duma artysty i rzemieślnicza rzetelność. W końcu malarz jest zależny od dalszych zleceń. Ludzie muszą więc wiedzieć, kto jest autorem dzieła, które oglądają. Ale tutaj nie mogę znaleźć sygnatury, mimo najszczerszych chęci.

- Może w tym wypadku malarz nie był dumny ze swego dzieła - wyraził przypuszczenie Ossel i usiadł na stołku, który niebezpiecznie zaskrzypiał pod jego ciężarem.

- Nie wydaje mi się. To dobry obraz. Popatrz, w jaki sposób światło pada na twarze dzieci, to zostało uchwycone po mistrzowsku!

Ossel przechylił się przez stół i patrzył szeroko otwartymi oczami na obraz.

- No, ja bym to zrobił inaczej.

- Co masz na myśli?

- Najważniejszą osobą na obrazie jest przecież farbiarz. W końcu to on zlecił jego namalowanie. Światło powinno więc padać na niego, a nie na dzieci. Ten malarz to dyletant. Nic dziwnego, że nie nagryzmołił nazwiska na płótnie.

Popatrzyłem na Ossela ze wzburzeniem.

- Nie masz najmniejszego pojęcia o malarstwie, Ossel. Właśnie ta gra światła mnie zafascynowała. Uważam to za bardzo wyszukane rozwiązanie, że wzrok widza najpierw zostaje skierowany na dzieci. One patrzą na ojca i w ten sposób jego pozycja zostaje szczególnie zaakcentowana. Gdyby obraz był w innej kolorystyce, przypisałbym go Rembrandtowi.

- Rembrandtowi? - Ossel wypił łyk jałowcówki i podrapał się z namysłem w ciemność. - On podobno dosyć podupadł. Czy w ogóle jeszcze żyje?

- Oczywiście, że żyje. W ostatnich latach prześladował go pech. Większość ludzi myśli, jak ty, i nie ceni jego sposobu malowania. Ale gdybyś mnie o to pytał, to sądzę, że kiedyś będzie równie sławny, jak Rubens, a może nawet sławniejszy.

- W życiu! - zaśmiał się Ossel. - Rembrandt nie jest zupełnie w cenie, słyszałem, że kilka lat temu zbankrutował. A może się mylę?

- Masz rację, nie mógł już utrzymywać domu przy Jodenbreestraat i musiał sprzedać cały dobytek. Teraz mieszka w mniejszym domu przy Rozengracht².

- Ale na dom jeszcze go stać? - prychnął Ossel i omiół wzrokiem małą, skąpo umeblowaną izbę. - Może powinienem być zostać malarzem.

- Za mieszkanie przy Rozengracht płaci czynsz. O ile wiem, żyje ze spadku po zmarłej żonie, którym zarządza w imieniu dzieci.

² Rozengracht - nazwa jednego z amsterdamskich kanałów i położonej wzdłuż niego ulicy.

- No to powinienem się ożenić z bogatą chorą kobietą, a nie żyć na kocią łapę z biedną i chorą. - Ossel ponownie napełnił swój kubek i podsunął mi mój przez stół. - Usiądź wreszcie ze mną i wypij, Cornelisie. W przeciwnym razie dobra wódka się skończy.

Posłuchałem jego wezwania i powiedziałem:

- Rembrandtowi nie powodzi się dobrze. W porównaniu z dawną sławą wiecie dziś nędzny żywot.

- Mówisz tak, jakbyś go dobrze znał.

- Z pewnością nie znam go dobrze, ale spotkaliśmy się. Niedługo przed moim przyjściem do Rasphuisu poprosiłem go, by został moim nauczycielem.

- Nauczycielem? No proszę. I co z tego wyniknęło?

- Wyrzucił mnie za drzwi i zabronił kiedykolwiek przekroczyć próg swojego domu.

Ta informacja tak rozbawiła mojego przyjaciela, że nie mógł się opanować i prychnął wódką ponad stołem.

- Tak sobie myślałem, Cornelisie, że nie jesteś utalentowanym malarzem. Ale jeśli malujesz tak źle, że nawet ktoś taki jak Rembrandt to dostrzeże, powinieneś chyba całkiem wyrzucić pędzle.

- Nie poszło o moje malowanie, tylko o jego nałóg, o picie. Jego córeczka poprosiła mnie o zwrócenie uwagi, żeby nie pił tyle wina. Gdy pewnego wieczoru chciałem mu odebrać dzban, wyrzucił mnie.

- Słusznie! Powinieneś być mu darować dzban wina.

- Ale wlał już w siebie wcześniej dwa.

- To podnosi go w moich oczach - stwierdził Ossel i sięgnął po swój kubek.

Odwróciłem się ponownie w stronę obrazu i oglądałem szaty rodziny farbiarza, które były utrzymane w różnych odcieniach intensywnego błękitu. Tło - ściana salonu - także było niebieskie, ciemniejsze niż szaty, ale przedziwnie świetliste. Ten błękitny blask zdawał się przenikać całe malowidło, jakby chciał z niego wyjść i otoczyć widza, wciągnąć go całkowicie w swoją aurę.

- Gdyby nie ten natarczywy błękit, przysięgłbym, że to dzieło Rembrandta.

- Dlaczego? Nie lubi błękitu?

- Nie wiem. W tym krótkim czasie, który spędziłem u niego, nigdy nie widziałem, by go używał. Jego ulubione kolory to biel, czerń, ochra i zgaszona czerwień.

- Może obraz jest dziełem któregoś z jego uczniów - powiedział Ossel.

Puknąłem się w czoło.

- Masz rację, tak musi być. Teraz Rembrandt nie ma już uczniów, ja byłem wyjątkiem. Ale wcześniej, gdy jego nazwisko otoczone było jeszcze szacunkiem, wielu chciało się od niego uczyć.

Na korytarzu rozbrzmiały niepewne kroki, po których rozległo się drapanie w okolicy zamka. Jednym skokiem przyjaciel poderwał się do drzwi i otworzył je na oścież. Ja także podniosłem się, by wesprzeć Ossela w walce z ewentualnym napastnikiem. Dzielnica Jordaan była tygłem, w którym łądowali podupadli i odrzuceni. Swą nazwę zawdzięczała zbiegłym z Francji hugenotom. Brudna woda pobliskiego kanału Prinsengracht ³ przypominała im rzekę Jordanne w starej ojczyźnie. W domu takim jak ten trzeba było w każdej chwili liczyć się z wizytą nieproszonych gości, w najlepszym razie zbłąkanego pijaka, ale także ludzi, dla których śmierć bliźniego nie miała żadnego znaczenia, o ile tylko mogła ich wzbogacić o kilka guldenów albo choćby parę stuiverów.

- Gesa!

Nim jeszcze Ossel wykrzyknął to imię, przeczuwałem już, kim jest kobieta, która lekko się zataczając stanęła na progu. Ręka, w której trzymała klucz, drżała tak bardzo, że nie zdołała trafić nim do dziurki.

³ Prinsengracht - jeden z głównych, obok Keizersgracht i Heerengracht, kanałów, otaczających koncentrycznie centrum starego Amsterdamu. Takie same nazwy noszą do dziś leżące wzdłuż kanałów ulice.

Ossel wciągnął swoją towarzyszkę życia do izby i zamknął drzwi.

Gesa osunęła się bezwładnie na stołek, na którym siedział wcześniej Ossel, i bez wahania wychyliła zawartość kubka. Zaledwie zdążyła przełknąć wódkę, wstrząsnął nią napad kaszlu, który wydawał się nie mieć końca. W pierwszej chwili pomyślałem, że jałowcówka była dla niej za mocna, ale świszczący oddech zdradził, że nie był to pierwszy kielich tego wieczoru, a rozpryski krwawej wydzieliny na stole jednoznacznie wskazywały na poważniejszą przyczynę kaszlu.

- Czego tu szukasz? - naskoczy! na nią Ossel. - Miałas przecież opiekować się ciotką przy Prinsengracht!

- Ach, przeklęta starucha! Myśli, że tylko dlatego, że kiedyś zostawi mi parę guldenów, może mną komenderować przez cały okrągły dzień jak kapral. Ale to nie z Gesą Timmers! Tu posprzątać, tam powycierać, a do tego zakupy i gotowanie, tak sobie to wyobraża. I cały czas zrzedzi tylko dlatego, że w czasie zakupów wpadnę na chwilę „Pod Żółtą Kotwicę” na kielicha. No to się wyniosłam.

- Ty i ta twoja „Żółta Kotwica” - powiedział Ossel z wyrzutem i potrząsnął głową. - Najlepiej będzie, jak sobie od razu postawisz łóżko w tej spelunce.

- Dobre sobie - zachnęła się kobieta. - Jeśli ktoś jest oblatany w spelunkach tego miasta, to chyba właśnie ty, Ossel.

Odsunąłem się trochę od stołu, żeby uniknąć fali odoru, która z każdym słowem wydobywała się z jej ust. Musiała wypić co najmniej cztery albo pięć kubków równie taniego jak mocnego trunku. Powoli zaczynałem rozumieć, dlaczego Ossel trzymał ją z daleka od swoich przyjaciół i kolegów z pracy.

Zwróciła ku mnie głowę, jak ptak, który dostrzegł robaka.

- Co się tak gapisz? Kim ty w ogóle jesteś?

- To mój przyjaciel Cornelis Suythof - wyjaśnił Ossel. - Zaprosiłem go na kielicha.

- Na kielicha: to dobry pomysł. - Gesa podsunęła puste naczynie w kierunku Ossela. - Masz jeszcze trochę?

- Nie dla ciebie. Na dziś ci wystarczy. Lepiej się położyć.

- Położyć się? - Zastanowiła się, a potem tak gwałtownie potrząsnęła głową, że zmierzwione jasne włosy przeleciały z jednego policzka na drugi. - Ale nie sama - zachichotała. - To przecież nudne. Nie chcesz iść ze mną, Ossel? A może twój młody przyjaciel? Wygląda na dobrze zbudowanego. Chętnie sprawdziłabym, czy w dotyku jest równie dobry, jak z wyglądu.

Z szybkością, której się nie spodziewałem, biorąc pod uwagę stan upojenia, w jakim się znajdowała, podniosła się, obeszła stół i pewnym, mocnym chwytem sięgnęła mi między nogi. Cofnąłem się, ale nie zaryzykowałem dalszych ruchów. Tego tylko brakowało, by zła-pała mnie jeszcze mocniej.

- O, robi dobre wrażenie. - Wyszczrzyła do mnie zęby. - I jak szybko twardniejesz mi pod ręką! Jesteś jeszcze taki młody. Ossel powoli się starzeje i w łóżku bardziej ogląda się za spaniem niż za mną. Wybierzemy się na przejażdżkę?

Zbliżyła swoją twarz do mojej i stuliła usta do pocałunku. Mimo woli odchyliłem się do tyłu tak mocno, jak na to pozwalało moje żałosne położenie.

W innych okolicznościach nie byłbym tak zupełnie od tego, żeby ją pocałować. Co prawda mogła być pięć czy sześć lat starsza ode mnie, a więc pod trzydziestkę. Ossel dawno przekroczył czterdziestkę, przez co stał się dla mnie nie tylko przyjacielem, ale także drugim ojcem. Gesa wyglądała jednak staro. Choroba i pociąg do trunków wyżłobiły głębokie bruzdy w jej twarzy, a wokół zielonych, niegdyś z pewnością ładnych i uwodzicielskich oczu widniały ciemne cienie.

Ossel stanął za Gesą i oderwał ją ode mnie. Poczułem ból między nogami, gdy niechętnie wypuszczała z palców swoją zdobycz. Straciła równowagę i upadła na podłogę. Jednocześnie wstrząsnął nią kolejny atak kaszlu i u stóp Ossela pojawiła się niewielka kałuża krwi.

- Będzie lepiej, jeśli już pójdę - powiedziałem ochryple, wstałem i pospieszyłem do drzwi. - Spotkamy się jutro w Rasphuisie, Ossel.

Chciałem już wyjść do sieni, gdy Gesa wstała chwiejnie, pobiegła za mną i uwiesiła się na moim ramieniu.

- Zabierz mnie ze sobą - powiedziała błagalnie. - Nie zostawiaj mnie z tym starym wołem, który się tylko przewraca zmęczony po łóżku i chrapie całą noc, jakby chciał sam przetrzeć całe drewno Rasphuisu!

- To niemożliwe - odpowiedziałem bezradnie i spróbowałem uwolnić się z uścisku, nie sprawiając jej bólu.

- Mogę ci zrobić bardzo dobrze, wierz mi - zapewniała mnie, energicznie kiwając głową. - Mogę ci wziąć do buzi, jeśli to lubisz.

Ta propozycja wydała mi się niezbyt kusząca, mimo to nie zdołałem wyrwać się z jej uchwytu.

Wreszcie Ossel złapał pijaną kobietę i odepchnął ją w kącie ciemnego korytarza. Zabrzmiał przeraźliwy pisk i rozbiegły się małe czarne zwierzęta - szczury.

Gesa obsypała Ossela wiązką wstrętnych przekleństw, jakich jeszcze nigdy nie słyszałem z ust kobiety. Otwierały się drzwi i ciekawo sąsiedzi wystawiali głowy. Ossel podniósł przeklinającą nieprzerwanie kobietę i szarpnięciem wciągnął ją z powrotem do izby.

Jeszcze raz pożegnałem się krótko i odszedłem szybko, choć z wyrzutami sumienia, bo pozostawiałem przyjaciela samego ze szczurami, przeklinającą Gesą i obrazem, który był własnością nieżyjącego zabójcy.

3 W CIEMNICY (I)

Wprawdzie ja sam także mieszkałem w dzielnicy zwanej Jordaan, którą zasiedlali z pewnością nie najbardziej szacowni obywatele miasta, ale miałem więcej szczęścia niż mój przyjaciel. Wdowa Jessen, dobroduszna kobieta o sercu otwartym na potrzeby artystów-głodomorów, odstąpiła mi na poddaszu swego domu pokój, który w porównaniu z mieszkaniem Ossela był pałacem i za który nie płaciłem chyba więcej niż nadzorca za swoją rudę. Pokój był obszerny, dzięki pracowitej wdowie Jessen zawsze czysty i miał dwa duże okna od północy. Równomierne światło, które wpadało z tej strony, było wprost idealne dla malarza.

W niedzielę, gdy sierpniowe słońce świeciło na prawie bezchmurnym amsterdamskim niebie, zapragnąłem to wykorzystać. Zaraz po powrocie z kościoła, gdzie towarzyszyłem wdowie Jessen, zmieszałem farby, aby kontynuować pracę nad obrazem, który zacząłem przed kilku dniami: sceną portową w pobliżu doków Kompanii Wschodnioindyjskiej. Miałem nadzieję, że będę mógł go sprzedać za godziwą cenę jakiemuś urzędnikowi, a może nawet jednemu z dyrektorów Kompanii. Mimo że przez ostatnie dwa lata spędzałem więcej czasu w Rasphuisie niż przed sztalugami, pragnienie utrzymywania się kiedyś w przyszłości z malarstwa nie opuszczało mnie.

Godziny mijały, ale gdy tylko zanurzyłem pędzel w intensywnym błękicie, by zabrać się do malowania wody, przerwałem pracę, bo wewnętrznym okiem ujrzałem inny obraz: portret z celi farbiarza.

Zastanawiałem się, który z uczniów Rembrandta mógł być autorem dzieła, ale na próżno łamałem sobie głowę. Nie znałem po prostu dość dobrze uczniów mistrza van Rijna. Może podobieństwo obrazu do dzieł Rembrandta było czystym przypadkiem, a może styl mistrza

skopiował ktoś, kto wcale u niego nie terminował.

Moje myśli tak intensywnie krążyły wokół dziwnego obrazu, że nie mogłem się skoncentrować na własnej pracy. Niezdecydowany, kreśliłem pędzlem kręgi na palcie i co rusz myliłem się w doborze koloru.

Po południu zrezygnowałem z dręczenia się i wyszedłem na spacer. Wmieszałem się między ludzi i nasłuchiwałem ich rozmów, z których wiele dotyczyło zbrodni Gijsberta Melchersa i jego samobójstwa. Wieść o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia w Rasphuisie, już się rozniosła.

Gdy następnego ranka przyszedłem do pracy, wydawało się, że Ossela jeszcze nie ma. Nie dziwiło mnie to, bo w poniedziałki często przychodził trochę później i wyglądał tak, jakby w niedzielę zakosztował więcej trunku niż snu. Dziwne wydało mi się jednak, że inni patrzą na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

Podszedłem do Arnego Peetersa i zapytałem:

- Co się dzieje? Dlaczego tak się na mnie gapicie? Ty i wszyscy inni?

Peeters wydał się boleśnie dotknięty i szarpnął kołnierz, jak gdyby zabrakło mu nagle tchu.

- Nie chodzi o ciebie Cornelisie, chodzi o Ossela.

- To przecież nic niezwykłego, że w poniedziałek się spóźnia. Z kolei Peeters popatrzył na mnie, jakbym bredził w malignie.

- Jak to spóźnia? Jest tu już od dawna!

- No to gdzie jest? Nie widziałem go jeszcze.

Peeters wskazał prawą ręką pod nogi.

- Jest tam, na dole. W ciemnicy.

- Co tam robi? Poszedł kogoś zamknąć?

Ciemnica, obok osławionego karceru wodnego, była najgorszym miejscem w całym więzieniu. Niektórzy nowo przybyli musieli tam spędzić nieco czasu, nim naczelnik zdecydował o ostatecznym miejscu ich pobytu. Prócz tego zamykaliśmy w ciemnej, wilgotnej piwnicznej

norze pensjonariuszy, którzy popełnili jakieś wykroczenie, aby nauczyć ich rozumu. Niejeden musiał tam spędzić wiele dni i nocy, nie widząc światła dziennego, pozbawiony rozmowy, zaledwie o czarce wody i skibce czarnego chleba na dzień.

Arne Peeters spojrział na mnie przeciągle, w milczeniu. W końcu powiedział niepewnie:

- Więc ty nic nie wiesz, wielkie nieba, ty naprawdę nie wiesz.

Westchnąłem głęboko.

- Arne, powiedz mi po prostu, co się stało.

- Ossel już przez pół nocy siedzi w ciemnicy... Od kiedy...

Od kiedy został doprowadzony.

Są rzeczy, których umysł nie pojmuje - nie chce pojąć, chociaż ucho słyszy je wyraźnie i jednoznacznie. Tak było w tym momencie ze mną. Popatrzyłem bezradnie na Peetersa i zapytałem:

- Co ty mówisz?

- Na Boga, Cornelisie, on ją zabił!

- Kto kogo zabił?

- Ossel tę kobietę. Jak ona się nazywała?

- Gesę? - zapytałem i obudziły się we mnie nie najprzyjemniejsze wspomnienia przedwczorajszego wieczoru. - Mówisz o Gesie Timmers?

Peeters energicznie pokiwał głową, rad, że wreszcie wykazałem jakiś cień zrozumienia.

- Dokładnie to mam na myśli. Mieszkali chyba razem, Ossel i ta Gesa, zgadza się?

- Tak, to się zgadza. Ale co się stało, Arne?

Wykrzywił pociągłą twarz w grymasie, który miał zapewne wyrażać z troskanie.

- Szczegóły nie są znane. Właściwie wiadomo tylko to, co Ossel zeznał do protokołu. Według niego między nim i tą Gesą już przedwczoraj wieczorem doszło do gwałtownej kłótni, która trwała przez całą niedzielę. Wczoraj po zmierzchu kilku rozgnie-

wanych sąsiadów, którzy z powodu hałasu nie mogli spać, wdarło się do mieszkania Ossela. Przyszli za późno, zobaczyli tylko, jak Ossel pochyla się nad ciałem Gesy. Walił jej głową o ścianę, jak rozzłoszczone dziecko lalką. Czaszka kobiety wyglądała podobno jak rozbite jajko.

Próbowałem wyobrazić sobie tę scenę, ale mi się nie udawało. Znałem Ossela od dwóch lat i ten człowiek, który z ojcowskim odaniem stał się moim przyjacielem, nie mógł zrobić tego, o czym opowiadał Peeters. Ossel po paru kielichach mógł wybuchnąć i rąbnąć pięścią w stół. I niewątpliwie był dość silny, by rozbić komuś, zwłaszcza słabej kobiecie, czaszkę. Ale włożyłbym obie ręce w ogień za to, że nie byłby zdolny do takiego czynu.

- Co... Ossel miał do powiedzenia? - zapytałem i od razu przestraszyłem się odpowiedzi.

- Przyznał się.

- Czy powiedział też, dlaczego to uczynił?

- Nie, nic o tym nie wiem. Gdy go znaleźli, podobno płakał i bełkotał, że zabił Gesę. Od kiedy jest tutaj, milczy. Może tortury rozwiążą mu język.

Zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Poszedłem z Peetersem do wartowni, opadłem na zydel i z wdzięcznością przyjąłem wodę, którą podał mi w czerpaku. Resztą wody spryskałem twarz. Mdłości trochę ustąpiły i mogłem znów jaśniej myśleć. Przyszedł mi na myśl farbiarz Gijsbert Melchers. Wymordowanie jego rodziny było czynem podobnie potwornym jak to, co zarzucano mojemu przyjacielowi. Co się działo w Amsterdamie? Czy letni upał pozbawiał ludzi rozumu?

Oddałem Peetersowi czerpak i powiedziałem:

- Muszę go zobaczyć, Arne. Muszę z nim porozmawiać.

- To niemożliwe, Cornelisie. Wiesz, że ciemnicę otwiera się tylko raz dziennie, aby podać pożywienie. Wyjątek wymaga wyraźnej zgody naczelnika więzienia.

- Nie mogę tak długo czekać. Poza tym nie jestem pewien, czy Blankaart udzieli mi zezwolenia.

- Też nie byłbym tego pewien. Wezwano go tu w nocy, gdy przyprowadzono Ossela, i był bardzo zagniewany, że akurat jego nadzorca popełnił morderstwo.

- Będzie więc lepiej, jeśli naczelnik nie dowie się o moich odwiedzinach u Ossela - westchnąłem. Wstałem i sięgnąłem po klucz do ciemnicy, który wisiał na osobnym haku.

Klucz był duży i ciężki, a pokrywające go plamy rdzy zdradzały, że nie był zbyt często używany. Peeters schwycił mnie za ramię.

- Odwieś klucz, Cornelisie! Wpędzisz nas wszystkich w kłopoty.

- To chyba drobiazg w porównaniu z kłopotami, w które popadł Ossel!

Odepchnąłem go niezbyt delikatnie i wyszedłem z wartowni, przygotowany na to, że pójdzie za mną, aby mnie powstrzymać. Ale szybkie spojrzenie przez ramię upewniło mnie, że Peeters zatrzymał się w drzwiach wartowni i patrzył za mną spod przymrużonych powiek. Zapewne próbował rozważać, jak duże było ryzyko, że moja obecność w ciemnicy wyjdzie na jaw.

Już schodząc po wąskich schodach, poczułem wilgotny chłód, który nawet latem panował w piwnicy Rasphuisu. Na dole w korytarzu samotna lampa dawała słabe światło. Zawahałem się. To wszystko wydawało mi się złym snem, z którego miałem nadzieję się obudzić - zanim niewiarygodne okaże się prawdziwe.

W głębi, w końcu korytarza, znajdowała się ciemnica, której drzwi przy niedostatecznym oświetleniu wydawały się tylko słabo zarysowanym prostokątem. Najchętniej wygnałbym z myśli wyobrażenie, że Ossel, który zamknął w niej tylu łotrów i włóczęgów, teraz sam tkwił w ciemnym lochu, ale to nie było możliwe.

Ociągając się, szedłem dalej i im bardziej zbliżałem się do celu, tym silniej musiałem się zmuszać do każdego kolejnego kroku. Ponownie myślałem o wieczorze u Ossela, o pijanej, kaszlącej, lubieżnej niewieście, którą z niewyjaśnionych przyczyn mój przyjaciel wybrał sobie na towarzyszkę życia. Czy ta Gesa mogła tak rozdrażnić człowieka, że odrzucił wszystkie boskie i ludzkie przykazania, zapomniał się całkowicie i popełnił morderstwo? Dla mnie była tak odpychająca, że odpowiedziałem sobie na to pytanie jednoznacznie twierdząco. Ale na drugą, decydującą kwestię nie chciałem tak odpowiedzieć: czy Ossel był zdolny do popełnienia takiego czynu?

Biorąc głęboki oddech otworzyłem drzwi do ciemnicy i odciągnąłem zardzewiały rygiel, który je dodatkowo zabezpieczał. Otworzyły się z potwornym zgrzytem. W pierwszej chwili widziałem tylko ciemność. Moje oczy potrzebowały czasu, by w bladej poświacie, docierającej tu z lampy oświetlającej korytarz, dostrzec cokolwiek. Początkowo był to tylko niewyraźny kształt w kącie, ale po chwili wyłoniły się zarysy ludzkiej sylwetki i spojrzałem rzeczywiście w twarz Ossela.

Ale jak bardzo zmieniły się rysy mojego przyjaciela od naszego ostatniego spotkania! Na twarzy pojawiły się głębokie bruzdy, Ossel wydawał się starszy o dziesięć lat. Wyglądało, jakby uszły z niego wszystkie siły. Skulony tkwił na zimnej posadzce i patrzył na mnie obojętnie, jak na obcego.

Przemówiłem do niego, początkowo z oporami, potem natarczywiej, ale uparcie milczał i tkwił w swoim kącie. W jego tępych spojrzeniu nie pojawił się najmniejszy błysk poznania. Zupełnie tak, jakby zabił nie tylko przyjaciółkę, ale też własną pamięć.

Czas mijał, a ja bezskutecznie starałem się zwrócić na siebie uwagę Ossela. W którymś momencie posłyszałem za plecami kroki, które głucho rozbrzmiały w piwnicznym korytarzu. Odwróciłem się i zobaczyłem Arnego Peetersa w towarzystwie Rombertusa Blankarta. Ten ostatni miał kwaśną minę, a w jego oczach płonęła wściekłość.

- Co wam przyszło do głowy, Suythof, żeby rozmawiać z więźnikiem bez mojej zgody? - zaatakował mnie jeszcze przed wejściem ciemnicy. - Powinniście wiedzieć, że to wykroczenie przeciw regulaminowi.

- Ossel Jeuken jest moim przyjacielem. Chciałem wiedzieć, co go przywiodło do tego czynu - o ile go rzeczywiście popełnił.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Zeznania sąsiadów były jednoznaczne. Poza tym wezwani nocni strażnicy znaleźli go przy zwłokach kobiety. Był zbryzgany jej krwią.

- Ale dlaczego? - zawołałem ze zważeniem i być może o wiele głośniejszym, niż to było potrzebne. - Jaki mógł mieć powód, żeby zabić swoją przyjaciółkę?

Naczelnik zmierzył mojego przyjaciela spojrzeniem, w którym gniew mieszał się z pogardą.

- Oboje często i obficie raczyli się gorzałką. Gdybym wiedział o tym wcześniej, nigdy nie powierzyłbym Jeukenowi obowiązków nadzorca. Sąsiedzi opowiadali o gwałtownych kłótniach. Może w upojeniu Jeuken po prostu nie wiedział już, co robi. A może tylko jest zatwardziałym łotrem. W takim wypadku tortury skłonią go do mówienia.

- Proszę mi pozwolić z nim pomówić, *mijnheer*⁴ Blankaart! - powiedziałem błagalnie. - Gdybym tylko miał dość czasu, Ossel z pewnością by mi się zwierzył.

Blankaart energicznie pokręcił głową.

- To byłoby wbrew przepisom. Muszę zażądać, abyście natychmiast opuścili ciemnicę.

Szalały we mnie sprzeczne uczucia. W pierwszej chwili chciałem pójść za wezwaniem naczelnika, którego rozkazom jako strażnik w Rasphuisie winienem się podporządkować. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Ossela, aby zwyciężyło pragnienie pomocy przyjacielowi.

⁴ *mijnheer* (niderl.) - panie.

- Nie, zostanę tutaj. - oświadczyłem. - Dopóty, dopóki Ossel nie powie mi, co się stało.

Blankaart odwrócił głowę i krzyknął w głąb korytarza. Gdy na to wołanie od strony schodów pojawiły się dwie ciemne sylwetki, zorientowałem się, że był przygotowany na taką ewentualność. Pieter Boors i Herman Brink, najsilniejsi z moich kolegów, podeszli do mnie i ujęli krzepko pod ramiona.

Naczelnik zmierzył mnie karzącym spojrzeniem.

- Jesteście nieodpowiedzialni i natrętni, Suythof. Dla kogoś takiego jak wy nie ma miejsca w Rasphuisie. A już na pewno nie teraz, gdy śmierć farbiarza i haniebny czyn Jeukena ukazują nasz zakład w niekorzystnym świetle. Z tą chwilą jesteście zwolnieni. Dostaniecie jeszcze zapłatę za ostatni tydzień i to wszystko. Nawet się nie ważcie potajemnie szukać kontaktu z Jeukenem. Bo każę was zamknąć - w karczerze wodnym!

Dał znak Boorsowi i Brinkowi, aby mnie zabrali. W tej chwili Ossel się poruszył, poszukał mojego wzroku i wyczytał w jego oczach bezbrzeżny smutek. Otworzył usta i wyszeptał cicho, drżącym głosem:

- Obraz... to był obraz... ten błękit...

- O co mu chodzi? - zapytał Blankaart.

- Nie wiem - skłamałem, żeby nie wpakować Ossela w jeszcze większe kłopoty. - Wydaje się niespełna rozumu.

- Chyba tak - westchnął Blankaart i zwrócił się ponownie do strażników - zabierzcie go!

Wyciągnęli mnie z celi, obok Arnego Peetersa, któremu rzuciłem nieprzyjazne spojrzenie. Było dla mnie jasne, że to on wydał mnie Blankartowi. Być może chciał zachować czystą kartę, a może przy okazji i wkraść się w łaski naczelnika, aby uzyskać zwolnione stanowisko nadzorcy.

Brink i Boors puścili mnie z mocnego chwytu dopiero na Heiligeweg i wypchnęli poza bramę Rasphuisu. Zachwiałem się i upadłem pod nogi kilkorga dzieci, które wybuchnęły śmiechem.

Moi dawni koledzy wtórowali im, a do mej wściekłości dołączyło uczucie wstydu człowieka bezradnego.

Jeszcze godzinę temu byłem szanowanym strażnikiem amsterdamskiego więzienia, teraz nie miałem pracy i, wszystko na to wskazywało, także przyjaciół. Jedyne człowiek, na którego mogłem liczyć bez zastrzeżeń, siedział w ciemnicy i oczekiwał marnego końca. Z drżeniem pomyślałem o komnacie tortur i o jeszcze gorszym - miejscu kaźni. Nic innego nie wydawało się wchodzić w rachubę, jeśli jedyną nadzieją Ossela był pozbawiony środków do życia malarz nazwiskiem Cornelis Suythof.

4 POSZUKIWANIA

Pospiesznie opuściłem miejsce kłęski i wyruszyłem w stronę Jordaanu. Wstyd z powodu upokorzenia szybko zniknął i moje myśli powróciły do Ossela. Gdyby Rombertus Blankaart pozwolił mi rozmawiać z nim choć kilka minut dłużej! Akurat w chwili, gdy Boors i Brink mnie zabierali, Ossel jakby przebił się przez ten niewidzialny mur, który go otaczał. Co on powiedział? „Obraz... to był obraz... ten błękit...”

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, jaki obraz miał na myśli. Ale o co mu chodziło z tym portretem rodziny Melchera? To musiało być ważne, inaczej Ossel nie wspomniałby o nim. Postanowiłem jeszcze raz spokojnie obejrzeć malowidło i zamiast wracać do siebie, poszedłem w kierunku domu, w którym rozegrał się dramat z Osselem i Gesą Timmers w rolach głównych.

Przemierzałem wąskie uliczki, mijałem lepsze lub gorsze spekulki, ale zajęty innymi rzeczami, prawie nie zważałem na ich szyldy. Nagle zatrzymałem się jednak, odwróciłem głowę i spojrzałem na mocno wytarty szyld nad wąskim wejściem, które właśnie minąłem. Tylko z dużym wysiłkiem udało mi się rozpoznać na nim nie-

gdys złotą kotwicę. Przypomniałem sobie kłótnię Ossela i Gesy o, jak jej wyrzucał, zbyt częste odwiedzanie tego szynku.

Zawróciłem więc i wszedłem do środka, gdzie o tej wczesnej godzinie było jeszcze prawie pusto. Tylko przy jednym ze stołów w głębi siedziało dwóch mężczyzn w skromnym przyodziewku i rozmawiało głośno o skandalicznie niskiej zapłacie, którą otrzymywali robotnicy portowi. Gospodarz, brzuchaty i łysy, zmustrował mnie swoim jedynym okiem. Drugie było przysłonięte skórzaną kłapką. Gdy zamówiłem dwa piwa i zaprosiłem go, by dotrzymał mi towarzysztwa przy stole, jego mina nieco się rozjaśniła. Nazywał się Frans, służył w marynarce wojennej i stracił oko przed trzema laty, gdy w czterodniowej bitwie morskiej walczył pod admirałem de Ruyterem przeciw Anglikom. Z każdym łykiem piwa robił się coraz bardziej rozmowny.

- Podchodziliśmy z korzystnym wschodnim wiatrem do wybrzeży angielskich - opowiadał, a jego jedyne oko rozbłysło na to wspomnienie. - Te angielskie psy były na tyle głupie, że podzieliły swoją flotę. Przeciwno naszym dziewięćdziesięciu okrętom stało tylko pięćdziesiąt angielskich. Byłyby łatwą zdobyczą, ale niespodziewanie wiatr skręcił na południowo-zachodni i widoczność robiła się coraz gorsza. De Ruyter rozkazał rzucić kotwicę między Dunkierką i klifem. Przekłęci Anglicy zaskoczyli nas, atakując z wiatrem. Nasz okręt należał do eskadry Cornelisa Trompa, która tworzyła straż przednią. Na rozkaz Trompa przecięliśmy liny kotwiczne i pożeglowaliśmy ku brzegom francuskim. Kula armatnia spadła obok mnie i drzazgi rozprysły się na wszystkie strony. Jedna wbiła mi się w oko. Ale walczyłem dalej i po czterech dniach ostatecznie skroiliśmy Anglikom tyłki!

Wykorzystałem przerwę, by zapewnić go o mojej sympatii, i wzniosłem toast za admirała de Ruytera. Pomiąłem całkowicie zarówno ciężkie straty, które ponieśliśmy w czasie czterodniowej bitwy, jak i fakt, że siedem tygodni później Anglicy zatopili mu dwadzieścia okrętów, nie tracąc ani jednego.

Gospodarz opowiadał o spadku, który pozwolił mu kupić „Złotą Kotwicę”. Pogratulowałem mu zakupu, pochwaliłem jego podupadły lokal w najgorętszych słowach i mimochodem wspomniałem, że przyjaciółka poleciła mi ten szynk.

- Przyjaciółka? Kto taki?

- Gesa Timmers - odpowiedziałem i obserwowałem z napięciem jego nalaną twarz.

- Gesa. - Ponury cień opadł na jego jeszcze przed chwilą pogodną twarz. - Słyszeliście, co się z nią stało?

Skinąłem głową.

- O niczym innym się nie mówi. Biedactwo.

- Tak, biedactwo. Tego Jeukena powinni żywcem rozerwać na strzępy.

- Czy byliście bardzo blisko z Gesą?

Frans przywołał na twarz krzywy uśmiech.

- To była kochana dziewczyna, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nie miała wiele pieniędzy, ale zawsze cierpiała pragnienie. Często płaciła tym, w co Bóg ją wyposażył. - Jego twarz przybrała wyraz pół lubieżny, pół smutny.

Stłumiłem nagłą chęć wymierzenia mu solidnego ciosu i zapytałem:

- Słyszeliście może, czy między Gesą i tym Jeukenem doszło do ostrej kłótni?

- Tak, podobno ją zabił podczas kłótni, tak mówią.

- Pokłócili się ponoć, bo Gesa była w sobotę „Pod Złotą Kotwicą”.

- Tak? Nie wiedziałem.

- Ale była tutaj, prawda?

- Tak, była.

Zmusiłem się do szerokiego uśmiechu.

- I co, znowu zapłaciła bożymi darami?

- Niestety nie. Wyjątkowo miała przy sobie niezły grosz, skądkolwiek by go wzięła. Może sprzedała się już komuś innemu.

- Często tak robiła?
- Od czasu do czasu, gdy brakowało jej pieniędzy.
- Czy ten mężczyzna, z którym mieszkała, wiedział o tym?
- Jeuken? Nie wiem. Ale nie pracowała na jego rachunek, tego jestem pewien. Za bardzo kochała gorzałkę.

Zmierzając do mieszkania Ossela, rozmyślałem nad opowieściami szynkarza. Czy podczas kłótni Gesa opowiedziała Osselowi o mężczyznach, którym się oddawała, a on zabił ją z zazdrości? Potrząsnąłem gwałtownie głową, by uwolnić się od tego ponurego przypuszczenia. Jeśli nawet ja oswoję się z myślą, że Ossel jest mordercą, to kto jeszcze zachowa w niego wiarę? Wiedziałem po prostu za mało o Gęsie Timmers, by wyrobić sobie jaśniejszy pogląd. Najtrudniej było mi zrozumieć, co Ossel w niej widział. Ze swoim stanowiskiem w Rasphuisie bez trudu znalazłby lepszą kobietę.

Przed domem, w którym poprzedniego wieczoru rozegrała się tragedia, kilkoro obszarpanych dzieci bawiło się strzępem, który przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za piłkę. Za pomocą monety przywabiłem jednego z chłopców i zapytałem o gospodarza. Szybkim ruchem ukrył monetę w obszarpanej kieszeni i wskazał mi drogę do jednego z jaśniejszych mieszkań, gdzie znalazłem „starą Deken”, jak ją nazwał wyrostek. Była to prawie bezzębna wdowa, która - jak sama wyjaśniła - troszczyła się o dom w imieniu właściciela. Zapuszczony stan budynku świadczył jednak o tym, że troska ta nie sięgała daleko.

Wolałem nie odbiegać od prawdy i powiedziałem jej, że jestem przyjacielem Ossela Jeukena, który w jego imieniu miał zatroszczyć się o mieszkanie. Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale gdy kolejnych kilka stuiverów zmieniło właściciela, chętnie otworzyła mi drzwi do mieszkania Ossela.

Pośluczone naczynia i rozbite krzesło świadczyły o gwałtownej kłótni, która się tu rozegrała. A potem zobaczyłem wielką,

czerniejącą plamę na ścianie: zaschnięta krew, do której przywarły włosy widoczne przy bliższych oględzinach.

- Tam ją zabił - powiedziała niepotrzebnie wdowa Deken.
- Tłukł jej głową o ścianę, raz po razie, aż wyzionęła ducha.
- Skąd to wiecie tak dokładnie?
- Ja... przypuszczam. Inaczej skąd by się wzięła ta plama? Poza tym, gdy ją znaleziono, kobieta miała roztrzaskaną głowę.

Wyobraziłem sobie tę scenę i przeszedł mnie dreszcz. Szybko skierowałem myśli na coś innego - na obraz. Stał dokładnie pod tą ścianą, na której widniała teraz obrzydliwa krwawa plama. Ale mimo że uważnie rozglądałem się po izbie, nie mogłem go nigdzie dostrzec. Więc zapytałem o niego staruchę.

- Obraz olejny? - zaśmiała się i potrząsnęła głową. - Nie, Jeuken nie miał nic takiego. Nikt w tym domu nie kupuje obrazów. Ludzie, którzy tu mieszkają, cieszą się, gdy wystarczy im na czynsz i coś do jedzenia.

- Mógł go pożyczyć - powiedziałem i wskazałem na małe drzwiczki wiodące do sypialni. - Może wstawił go tam?

Nie miała nic przeciw temu, bym rozejrzał się w ciasnej klitce. Ale tam także nie znalazłem obrazu. Gdy ponownie wszedłem do izby mieszkalnej, obok Deken stał szczupły mężczyzna około trzydziestki, starannie i czysto odziany. Na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że nie mieszka w tym domu.

Bez pośpiechu zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów i dopiero potem zapytał:

- Kim jesteście? Czego tu szukacie?
- Stara mnie uprzedziła.
- To przyjaciel Jeukena i szuka jakiegoś obrazu. Ale tu go nie ma. Jeuken nie miał przecież pieniędzy, żeby kupować obrazy.
 - Obraz? - powtórzył zaskoczony nieznajomy, nie odwracając ode mnie badawczego spojrzenia. - Jaki obraz?
 - Nie widzę powodu, dla którego miałbym wam odpowiadać
 - odparłem. - Kim jesteście?

- O, przepraszam, zachowałem się jak gbur! - Z uśmiechem zdjął kapelusz ozdobiony niebieskim pióropuszem i zamarkował ukłon. - Inspektor Jeremias Katoen z amsterdamskiego Sądu Grodzkiego, odpowiedzialny za dochodzenie w tej sprawie.

- A czego tu dochodzić? Myślałem, że wiadomo już, co się zdarzyło.

- Ossel Jeuken jako nadzorca w Rasphuisie sprawował funkcję publiczną. Dlatego sędzia grodzki uznał za niezbędne jak najdokładniejsze wyjaśnienie okoliczności morderstwa. A teraz ja byłbym zobowiązany, gdybyście się zechcieli przedstawić.

Zdjąłem zatłuszczony, niekształtny, pozbawiony ozdób kapelusz, skłoniłem się równie lekko i wymieniłem swoje nazwisko.

- Nazywacie się zatem Cornelis Suythof i jesteście przyjacielem Jeukena. Skąd się znacie?

Chcąc nie chcąc, opowiedziałem inspektorowi o pracy w Rasphuisie i dzisiejszym porannym z niej wyrzuceniu.

Katoen pogładził się po ciemnej hiszpańskiej bródce i lekko skinął głową.

- Jeśli dla Jeukena postawiliście na kartę waszą pracę, musicie być istotnie jego dobrym przyjacielem. O co chodzi z tym obrazem?

Nie widziałem możliwości zatajenia prawdy. Ale w czym to mogło jeszcze zaszkodzić Osselowi? Oskarżonego o morderstwo głupi zarzut przesz mugłowania obrazu do celi Melchersa naprawdę niewiele mógł obchodzić.

- A teraz chcecie odszukać obraz i zanieść go przyjacielowi?

- Nie chcę mu go zanosić, ale chciałbym go jeszcze raz obejrzeć.

- Dlaczego?

- Bo dręczy mnie pewna głupia myśl.

Katoen ponownie się uśmiechnął i tym razem nie był to uśmiech rozbawienia, ale zachęty.

- Być może wasza myśl wcale nie jest taka głupia. Zechcecie się nią ze mną podzielić, mijnheer?

- Ten obraz wisiał prawdopodobnie w domu farbiarza Gijsberta Melchersa w dniu, w którym wymordował swoją rodzinę. Był w jego celi, gdy popełnił samobójstwo. W sobotę wieczorem Ossel Jeuken wziął go ze sobą. I wczoraj zamordował w tym miejscu swoją towarzyszkę życia. Przy każdym z tych krwawych czynów pojawia się obraz. W moich oczach to osobliwy przypadek.

Katoen ponownie pogładził się po brodzie.

- Macie rację, Suythof. Ale jaki wyciągacie z tego wniosek?

- Czy to możliwe, by obraz był winien zbrodni?

Inspektor spojrział na mnie, jakbym nagle stracił rozum, dlatego szybko dodałem:

- Mówiłem przecież, że to głupia myśl.

- Zamordowani zginęli z ludzkiej ręki, a nie zabici przez namalowane postacie - stwierdził Katoen. - Z drugiej strony, nie można zanegować waszej obserwacji. Być może obraz odegrał ważną, ale inną rolę. Gdzie jest teraz?

- Chciałbym to wiedzieć. W każdym razie nie tutaj, zająłem wszędzie.

Katoen spojrział srogo na gospodynię:

- Musicie powiedzieć prawdę, kobieto, w przeciwnym razie czeka was surowa kara.

- Kara? Za co kara?

- Jeśli mnie okłamacie, zadbam o to, by was publicznie wychłostano.

- Ale... nie chciałam was okłamać, mijnheer, musicie mi uwierzyć. Chłosta, Boże Wszechmogący, jak ja, stara kobieta, mogłabym to przeżyć?

- Jeśli natychmiast powiecie prawdę, sędzia nie dowie się o waszym występku - powiedział Katoen łaskawym tonem. - Tylko niczego nie zatajajcie.

Wdowa Deken złożyła ręce jak do modlitwy.

- Powiem wszystko, panie, na pewno!

- No to mówcie wreszcie, co wiecie o tym tajemniczym obrazie.
- Jakiś mężczyzna go zabrał, mniej więcej przed godziną.
- Jaki mężczyzna? Jak się nazywa?
- Nie podał nazwiska, panie inspektorze. Powiedział tylko, że chce zabrać obraz z mieszkania Jeukena. Obraz stał tu oparty o ścianę. Ten człowiek owinał go płaszczem i zabrał. Więcej nie wiem.
- Dlaczego pozwoliliście na to? - Katoen przyciskał kobietę.
- On... dał mi za to trzy stuivery.
- Nic więcej o nim nie wiecie? Nie powiedział, kto go przysłał?
- Nie, nie był zbyt rozmowny.
- Jak wyglądał?
- Był dobrze ubrany, tak jak wy, panie, i miał ciemną brodę. Ale nie przyglądałam mu się dokładnie.

Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że trzy monety, które obcy wcisnął w dłoń wdowy Deken, przyciągnęły w pełni jej uwagę. I rzeczywiście nie dało się z niej już nic wydobyć.

- Ta sprawa z obrazem staje się coraz bardziej zawiślana - stwierdził Katoen.

- Czy zajmiecie się nią? - spytałem.

- O ile to będzie możliwe. Ale bez dalszych punktów zaczepienia nie zdołam wpaść na jego ślad. W każdym razie nie powinniście już wtykać nosa w nie swoje sprawy, Suythof. Potrzebny mi jeszcze wasz adres, na wypadek gdybym miał więcej pytań.

Udzieliłem mu informacji i pożegnałem się. Już w sieni usłyszałem wołanie inspektora, że mam iść prosto do domu i nie łamać sobie już głowy tą sprawą.

W żadnym razie nie zamierzałem wracać do domu, jak to doradzał mi inspektor. Chciałem zrobić coś więcej dla Ossela, niż tylko zdać

się na dochodzenie pana Jeremiasa Katoena. Nawet jeśli nie mogłem odnaleźć tajemniczego obrazu, może udałoby mi się ustalić jego pochodzenie.

W tym celu poszedłem w stronę Kanału Farbiarzy, którego brudne wody w jasnym przedpołudniowym słońcu mieniły się wszystkimi kolorami. Zapytałem dziewczki szorującej schody wielkiego domu, gdzie jest warsztat farbiarza Melchersa. Był w pobliżu drewnianego mostku, obok dwóch kamiennych, spinających brzegi kanału.

Brama wjazdowa na podwórze obok domu stała otworem i po prostu wszedłem przez nią. Mimo otwartej bramy na podwórku panował spokój, co mnie jednak nie dziwiło. Po śmierci mistrza Melchersa wydawało mi się wątpliwe, żeby jego interesy w ogóle były kontynuowane.

Poza tym był poniedziałek, w rzemiośle farbiarskim szczególnie dzień. Przez wolną od pracy niedzielę zanurzone w barwniku sukno pozostawało dłużej w kadzi, a w poniedziałek rozwieszano je do suszenia. Ponieważ podczas suszenia materiał nabierał niebieskiego odcienia, mówiło się o „niebieskim poniedziałku”. Czeladnicy farbiarscy w taki dzień nie mieli zbyt wiele do roboty i zgodnie z tym obyczajem także dzisiaj nad Kanałem Farbiarzy było spokojnie.

Skręciłem za róg i ujrzałem wielkie drewniane rusztowanie z wywieszonymi sztukami sukna. Tu zatem, mimo nieobecności mistrza, wrzała praca. Powoli przeszedłem między rusztowaniami suszarni do kolejnej otwartej bramy, która wiodła do dużego pomieszczenia z wieloma drewnianymi kadziami. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że były wypełnione żółtą cieczą, roztworem farbiarskim. I usłyszałem głosy, które docierały do mnie z tylnej części warsztatu, oddzielonej kotarą. Usłyszałem śmiech mężczyzn, ale także cieńsze głosy, jakby kobiet lub dzieci.

Odsunąłem kotarę i odsonił się przede mną niezwykle spektakl. W nozdrza uderzyła mnie ostra woń roztworu. Ciepłe, wilgotne

powietrze było przesycone odorem świeżego moczu. I rzeczywiście, trzech mężczyzn i kilku chłopców z opuszczonymi spodniami otaczało drewnianą kadź i oddawało do niej mocz, przy czym ta czynność wydawała się sprawiać im prawdziwą przyjemność. Dwie duże, oplecione wikliną butelki krążyły z rąk do rąk i miały zapobiec zbyt szybkiemu wyschnięciu ciepłego złocistego strumienia. Wiedziałem wprawdzie, że farbiarze gromadzili ludzki mocz, bo używali go do sporządzania barwnika, ale nigdy nie byłem świadkiem tego rytuału.

Wysoki, potężny mężczyzna dostrzegł mnie i zapytał, nie przerywając swego zajęcia:

- Kim jesteście? Czego tu chcecie?

- Nazywam się Suythof - wyrzuciłem, walcząc z silnymi mdłościami. - Czy jest wśród was ktoś, kto zastępuje mistrza Gijsberta?

- Możecie się zwracać do mnie w każdej sprawie. Jestem czeladnikiem farbiarskim. Nazywam się Aert Tefsen.

- Tefsen - powtórzyłem i zastanowiłem przez chwilę. - Czy to nie wy... znaleźliście głowy pomordowanych w kadzi z barwnikiem?

Szeroka, brodata twarz czeladnika zachmurzyła się.

- Tak, to prawda. Ale dlaczego to was interesuje?

- Chciałbym zadać wam kilka pytań w tej sprawie, mijnheer Tefsen.

Podciągnął poplamione spodnie i podszedł do mnie.

- Przyszyła was sąd grodzki czy magistrat?

- Nie, przyszedłem tu z własnej inicjatywy. Nie wiedziałem nawet, czy kogoś tu zastanę. Więc pracujecie dalej po śmierci mistrza.

- Mamy nawet nowego mistrza, Antonisa ter Kuile. Kupił warsztat mistrza Melchersa. Od dzisiaj znowu pracujemy.

- A, stąd taka aktywność w poniedziałek - powiedziałem i spojrzałem z obrzydzeniem na kadź z moczem.

- Poniedziałek jest zawsze dobrym dniem do zbierania moczu, bo w niedzielę dużo się pije. Ale jaka sprawa sprowadza was tutaj?

- Interesuję się pewnym obrazem, który należał do waszego mistrza. Przywiązywał do niego tak wielką wagę, że kazał go sobie przynieść do Rasphuisu. Z pewnością sobie to przypominacie. Osobiście wręczyliście go nadzorcy więziennemu.

Mina Tefsena zrobiła się jeszcze bardziej ponura, a u nasady nosa pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Co was obchodzi ten obraz, człowieku?

- Zniknął i chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Czeladnik wykonał szybki krok w moim kierunku i złapał mnie za wyłogi kurtki.

- Może opowiecie mi coś o tym obrazie! Dlaczego go szukacie, co? Kto was przysłał?

- Nikt mnie nie przysłał. Chciałbym tylko wiedzieć, co kryje się za tymi okropnymi zbrodniami.

- A ja chciałbym wiedzieć, co kryje się za tym cholernym szpiclowaniem!

Szarpnął mnie z taką siłą, że prawie straciłem równowagę. Dwaj pozostali mężczyźni także złapali mnie ciemnymi od barwników, poplamionymi rękami. Zbyt późno pomyślałem, by sięgnąć do kieszeni po hiszpański nóż. Teraz, w mocnym chwycie trzech osobników, prawie nie mogłem się poruszyć.

- Gadaj wreszcie - krzyknął na mnie Tefsen. - Za czym tu węszysz?

- Chciałbym tylko pomóc przyjacielowi - wyjąkałem.

- Przyjacielowi? Komu?

- Osselowi Jeukenowi, nadzorcy w Rasphuisie.

- Przecież on wczoraj zamordował swoją kobietę.

- Właśnie dlatego tu jestem. Gdy mordował swoją Gesę - jeśli to był on - ten obraz był w jego mieszkaniu.

- Tak? - Spojrzenie Tefsena zdradzało niezrozumienie i nieufność. - Dopiero co powiedzieliście, że obraz zniknął.

- Tak, teraz zniknął.
- Wydaje mi się, że kręcisz, człowieku. Ale wyciągnę z was prawdę.

Złośliwy uśmieszek wypełził mu na twarz, gdy patrzył na swoich towarzyszy. Dajmy mu coś do picia, to mu rozwiąże język.

Wśród ochryplego rechotu pociągnęli mnie do kadzi z moczem. Mimo że gwałtownie się wyrywałem, musiałem ulec przewadze. Powalili mnie na ziemię i wepchnęli głowę do kadzi z ciepłą, parującą, cuchnącą cieczą. Zacisnąłem oczy i zatrzymałem w płucach powietrze, ale w którymś momencie poczułem, że grożą pęknięciem. W beznadziejnym wysiłku zaczerpnięcia tchu otworzyłem usta i zachłysnąłem się obrzydliwą zawartością kadzi.

Silne ręce wyciągnęły mnie na powierzchnię, Kaszlałem, dła-
wiłem się i plułem, a czeladnicy gapili się na mnie z zębami wy-
szczyrzonymi w szyderczym uśmiechu. Kilku chłopców znalazło
szczególne upodobanie w kierowaniu strumienia moczu na mnie i
brukaniu mnie od stóp do głów.

- No i co, będziecie teraz gadać? - zapytał Tefsen.
- Przecież cały czas gadam - odpowiedziałem, gwałtownie wy-
miotując.
- Gadacie, ale nic nie mówicie.
- Nie mogę wam powiedzieć więcej, niż wiem.
- Jest jeszcze tak samo mało rozmowny jak przed chwilą -
stwierdził Tefsen potrząsając głową. - Musimy mu zaaplikować ob-
fitszą kąpiel.

Próbowałem się wyrwać, ale trzech czeladnicy znowu okazali się silniejsi. Zaciągnęli mnie do wielkich kadzi i po prostu wrzucili mnie do jednej z nich. Zalała mnie cuchnąca mieszanina alkoholu i moczu. Taplałem się w niej jak bezbronny kociak, wrzucony do wody, by utonął. Gdy tylko wychylałem głowę ponad powierzchnię i chwytalem powietrze, mężczyźni wciskali mnie ponownie w głąb kadzi. Powtórzyli to wiele razy, zanim zostawili mnie w spokoju. Byłem zbyt zmęczony,

by wydostać się z kadzi. Tkwiłem więc w niej na pół zanurzony i tylko wychyliłem głowę i ramiona poza krawędź, by wypluć pokłnięty roztwór.

- Teraz na pewno będzie gadać - zauważył jeden z czeladników.

- A jak nie, to wywiesimy go do suszenia - odparł Tefsen. - Wtedy dopiero dostanie za swoje.

W ogólnym śmiechu, który rozległ się na te słowa, zabrzmiał ostry głos:

- Za swoje to wy dostaniecie, jeśli nie znajdzie się dobre wyjaśnienie tej sytuacji!

Mężczyzna podszedł bliżej. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, był niebieski pióropusz przy kapeluszu.

- A wy, *mijnheer* Suythof, powinniście byli posłuchać mojej rady i iść do domu - ciągnął inspektor Jeremias Katoen. - Dobrze, że ta sama myśl przywiodła mnie tutaj.

- Jeszcze jak macie rację - powiedziałem ponuro, wydobywając się z jego pomocą z kadzi.

Tefsen gniewnie ofuknął inspektora:

- Nie mieszajcie się w nasze sprawy! Mam już dość obcych, którzy przychodzą tutaj węszyć!

- Będę tu węszyć, ile mi się podoba - odparł spokojnie Katoen i przedstawił się. - Jedno słowo sprzeciwu i jeszcze tego popołudnia zostaniecie wychłostani przed Ratuszem.

Groźba chłosty wydawała się ulubionym przez inspektora sposobem dyscyplinowania rozmówców, i tym razem także okazała się skuteczna. Czeladnicy natychmiast spuścili wzrok i ich opór został złamany.

- Dlaczego tak maltretowaliście pana Suythofa? - zapytał Katoen.

- To już drugi, który tu dzisiaj węszy i dopytuje się o ten przeklęty obraz - odpowiedział Tefsen. - Chcemy wreszcie wiedzieć, o co tu chodzi.

- Drugi, to ciekawe - mruknął inspektor. - A kto był pierwszy?
- Nie podał nazwiska. Wypytywał o obraz. Powiedziałem mu, że mistrz Melchers kazał go zanieść do Rasphuisu. Wtedy nieznajomy szybko się oddalił.

- Opiszcie go! - rozkazał Katoen czeladnikom.

Ich opis nie był zbyt dokładny, ale mógł odnosić się do tego samego mężczyzny, który zabrał obraz z mieszkania Ossela.

- Skąd pochodzi obraz? - pytał dalej Katoen. - Kto go namalował?

Czeladnicy nie wiedzieli. Tefsen stwierdził tylko:

- Dziewięć albo dziesięć dni temu zobaczyłem go pierwszy raz na ścianie pokoju mistrza. Ale skąd się tam wziął, nie potrafię powiedzieć.

Katoen zwrócił się do mnie.

- Powinniście raczej pójść do domu i wykapać się, *mijnheer* Suythof. Gorąca kąpiel. I połóżcie się do łóżka. Wyglądacie jeszcze gorzej, niż pachniecie.

Tym razem posłuchałem jego rady. Zanim doszedłem do domu wdowy Jessen, trzy razy zwymiotowałem.

5 PIĄTEK, TRZYNASTEGO

Wdowa Jessen najpierw załamała ręce, a potem nagrzała wody, wlała ją do wielkiego cebra i kazała mi się rozebrać. Wykonałem polecenie: wydarzenia dzisiejszego dnia złamały we mnie wszelką chęć oporu. Czułem się niemiłosiernie zgnębiony i gorąca woda, w której wkrótce się zanurzyłem, dawała mi prawdziwą rozkosz. Silne ręce wdowy nacierały mnie pachnącym mydłem, aż wreszcie zniknął odór, który przywarł do mnie jak tchnienie zarazy.

Po kąpeli, która w moich wspomnieniach trwała wiele godzin, poczciwa kobieta ułożyła mnie w łóżku i zapadłem w sen, pełen niespokojnych wizji. Stałem naprzeciw Ossela w magazynie Rasphuisu, jak wtedy w niedzielę. Ale tym razem nie chciałem uczyć zapasów. Miał zbrukane krwią ręce, a gdy wyciągnął je w moim kierunku, w jego oczach płonęła żądza mordu. Odwróciłem się i uciekłem - prosto w ramiona czeladników farbiarskich, którzy oblali mnie cuchnącym roztworem. Widziałem siebie oczami innej osoby i patrzyłem, jak cały przebarwiam się na niebiesko. Ponownie chciałem uciekać, ale byłem uwięziony. Nie w budynku, nie w celi Rasphuisu, ale w obrazie! Stałem się jedną z postaci olejnego malowidła, utrzymanego w tonach błękitu, i drewniana rama ograniczała mój świat.

Takie i temu podobne były dręczące mnie sny, pełne zmor, których liczba i różnorodność rzadko przytrafiają się w czasie jednej nocy. Gdy wreszcie się obudziłem, byłem szczęśliwy, że uszedłem nocnym demonom. Leżałem w wąskim łóżku w swoim pokoju i patrzyłem na jasne światło, wpadające przez oba duże okna. Słońce stało wysoko nad dachami Amsterdamu, musiało zbliżać się południe. Nie było możliwe, bym spał tylko kilka godzin, z tymi wszystkimi koszmarami, które mnie tak dręczyły, ale na szczęście teraz zaczęły blednąć. Pozostał mi więc wniosek, że spędziłem w łóżku dwadzieścia cztery godziny.

Gdy chciałem się wyprostować, trafiłem lewym łokciem na miskę z wodą, stojącą na małym stoliku obok łóżka. Miska upadła na podłogę i rozbiła się, a jej zawartość rozlała się po kątach. Potrząsnąłem głową. Coś spadło mi z czoła na poduszkę: wilgotna chustka. W tym momencie, zapewne zwabiona hałasem spadającej miski, zjawiała się wdowa Jessen i zaczęła ścierką zbierać wodę z podłogi.

- Przepraszam - powiedziałem, czując w ustach zeszywniały język. - Gdy się obudziłem, nie pomyślałem o misce. Nie przypominam sobie, bym ją tam postawił.

- To nie wasza wina, panie Cornelisie. To ja odstawiłam tam miszkę, żeby wam robić regularnie wilgotne okłady na czoło, jak zalecił lekarz.

- Lekarz?

- Jak wasz stan się nie poprawiał, zawałam doktora Bijlera. Podawałam wam łyżeczką zalecone przez niego lekarstwo i zmieniałam okłady. Dopiero potem gorączka opadła. Naprawdę kiepsko was urządzili, panie Cornelisie. Powinien pan podać tych czeladników farbiarskich do sądu.

- Proces może kosztować sporo pieniędzy, a chwilowo krucho u mnie z gotówką. Nie pracuję już w Rasphuisie.

Skinęła głową.

- Wiem o tym. Posłaniec z Raasphuisu był tutaj i przyniósł waszą zaległą zapłatę. Położyłam pieniądze do drewnianej kasetki, w której trzymacie wasze cenne rzeczy.

To brzmiało tak, jakbym dysponował bogactwami w nadmiarze. W rzeczywistości pieniądze z Rasphuisu stanowiły mój cały majątek.

Spojrzałem ponownie w okno i zapytałem:

- Czy spałem dłużej niż dwadzieścia cztery godziny?

Ku mojemu zdumieniu wdowa roześmiała się.

- A co w tym śmiesznego? - zapytałem.

- Można by faktycznie tak powiedzieć, panie Cornelisie.

- Co w tym takiego zabawnego? - powtórzyłem z lekkim oburzeniem.

- Gorączka trzymała was długo w swoich szponach. Doktor van Bijler uważa, że napiliście się za dużo tego farbiarskiego roztworu.

- Policzyła na palcach: - Wtorek, środa, czwartek, piątek. Spaliście cztery noce, ani godziny mniej.

Potrzebowałem chwili, by przetrwać tę wiadomość. Czy wdowa żartowała sobie ze mnie? Spojrzałem na dobrotliwą różową twarz i natychmiast odrzuciłem to podejrzenie.

Mimo to upewniłem się:

- To dzisiaj rzeczywiście jest piątek?
- Ależ tak, piątek, trzynastego. Dzień, który najlepiej spędzić w łóżku.

Głęboki przesąd, któremu w wielu sytuacjach hołdowała moja gospodyni, niezbyt dobrze pasował do pobożnej chrześcijanki, jaką w gruncie rzeczy była. Nie raz już sobie pokpiwałem, gdy schodziła z drogi czarnemu kotu lub unikała przechodzenia pod drabiną.

Najwyraźniej umiała czytać w mojej twarzy jak w otwartej księdze, bo rzuciła mi surowe spojrzenie.

- Śmiecie się, młody panie. Gdy dożyjecie mojego wieku, będziecie wiedzieć, że wokół nas jest wiele sił, których nie możemy zobaczyć oczami i dotknąć rękami. Syn mojej siostry, niech Bóg się zmiłuje nad biednym Hendrikiem, urodził się w piątek, trzynastego. A mój kuzyn w piątek, trzynastego brał ślub. Naciągnęła straszna burza i piorun wpadł w środek towarzystwa. Trzy osoby zginęły, a wiele innych zostało ciężko poturbowanych. To zawsze był nieszczęśliwy dzień, a dziś jest także dla waszego przyjaciela.

Momentalnie odeszła mnie chęć do żartów i zapytałem szybko:

- Mówicie o Osselu Jeukenie?

Wdowa Jessen skinęła głową.

- Co z nim? Powiedzcie mi, proszę.

- Skazano go już wczoraj - powiedziała cicho i opuściła wzrok.

- Mają go udusić przy palu pod Ratuszem, a głowę roztrzaskać, tak jak on zrobił to z czaszką Gesy Timmers.

Ogarnęła mnie fala gorąca, przenikająca całe ciało.

- Czy dowiedziono mu winy? - zapytałem słabym głosem.

- Nikt w nią nigdy nie wątpił.

To mogła być prawda, bo moje wątpliwości się nie liczyły.

- Kiedy ma zostać wykonany wyrok? - dopytywałem z niepokojem.

- Dziś w południe.

Wyskoczyłem w łóżka i wbrew protestom wdowy ubrałem się. Dzięki troskliwej gospodyni moje rzeczy były czyste i starannie poskładane. Nie było na nich najmniejszego śladu barwnika ani moczu. Pobieżny rzut oka w małe, okrągłe lustro przy łóżku ukazał mi twarz, która nie nadawała się do wystawiania na widok publiczny. Ciemne plamy zarostu pokrywały moje zwykle gładkie policzki, które wydawały się zapadnięte.

- Jesteście o wiele za słabi, by wychodzić - wdowa Jessen uczyniła jeszcze jeden wysiłek, by mnie zatrzymać. - To się skończy dla was śmiercią, panie Cornelisie. Nie zapominajcie, dzisiaj jest piątek, trzynastego!

Zostawiłem ją lamentującą i zbiegłem po schodach tak szybko, jak na to pozwoliły moje chwiejne jeszcze od długiego leżenia nogi. Do południa musiało już być blisko - blisko do stracenia mojego przyjaciela Ossela.

Przy drzwiach zatrzymałem się i zaczerpnąłem tchu. Moje osłabione ciało nie obroniło się przed zawrotem głowy. Czyżby wdowa miała rację? Oddychałem głęboko i miarowo, opanowałem się, wyszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę Ratusza. Już po chwili musiałem przeciskać się między grupami ludzi, by posuwać się naprzód. Widocznie wszyscy w Amsterdamie, którzy nie byli akurat pilnie zajęci, wyruszyli, by być świadkami egzekucji.

Na placu Dam kolorowa ciżba tłoczyła się między Ratuszem, Nowym Kościołem, Starą Wagą i Giełdą Kupiecką. Tańczyły przede mną barwne pióropusze dostojnych panów, wysokie czarne nakrycia głowy handlarzy i ludzi interesu, niekształtne czapki robotników, kapelusze chroniące młode damy przed słońcem, i białe czepki niezliczonych dziewczek służebnych. Z siłą odsuwałem na bok ludzi, nie bacząc na ich stan i pleć, przy czym padło pod moim adresem niejedno przekleństwo, i przebijałem się do placu kaźni, gdzie czekał już ustawiony pal śmierci.

Nim jeszcze znalazłem się całkiem z przodu, dźwięk trąb uciszył tłum. Po trąbie odezwał się werbel i potworna procesja wyruszyła ze

stopni Ratusza do miejsca egzekucji. Z przodu i z tyłu szli uzbrojeni w halabardy strażnicy, których posępne twarze i lśniąca w słońcu broń trzymały gapiów w należytej odległości. Dostrzegłem dobosza, ujrzałem dostojnych panów z magistratu, widziałem ławników, którzy skazali Ossela - i zobaczyłem mojego przyjaciela.

Ze związanymi na plecach rękami szedł znużonym krokiem między dwoma strażnikami ku miejscu swego przeznaczenia. Jego niegdyś szerokie policzki były tak samo zapadnięte jak moje, głowę opuścił bezwładnie na piersi, a zamglony wzrok zdawał się utkwiony w pustkę. Nie ulegało wątpliwości, że tym nieszczęśnikiem był Ossel, a przecież miał tak mało wspólnego z mężczyzną i zapaśnikiem, którego nazywałem przyjacielem. Chciałem go zawołać po imieniu, by zwrócić na siebie jego uwagę, ale cóż by mu to dało?

Musiał być jakiś sposób, by go wesprzeć! Może mógłbym przekonać ławników i panów z Rady, że jego przypadek nie był tak jednoznaczny, jak wydawało się wszystkim, oprócz mnie. Próbowałem precyzyjnie się jeszcze bliżej procesji, ale nie było już przejścia. Po pojawieniu się skazańca ściana gapiów zwarła się tak ciasno, że zostałem ściśnięty i prawie nie mogłem się ruszyć.

Krzyknąłem w stronę rajców, że nie wolno im zabijać Ossela, ale powszechny gwar zagłuszył moje słowa. W którymś momencie, gdy ochryplem i mogłem już tylko charczeć, zaprzestałem wysiłków. Przyszedłem, by pomóc przyjacielowi, a nie mogłem zrobić nic ponad to, że asystowałem przy wykonaniu straszliwej kary.

Byłem więc świadkiem, jak po publicznym ogłoszeniu wyroku został przywiązany plecami do pala i uduszony przez kata za pomocą grubego sznura. Nigdy nie zapomnę, jak Ossel walczył! o oddech, jak jego członki wyprężyły się w ostatnim spazmie oporu, jak oczy wyszły mu na wierzch.

Gdy głowa opadła bezwładnie na bok, odczułem prawdziwą ulgę, że nadszedł kres jego cierpienia. Gdy kat w końcu podniósł ciężki topór, by uczynić zadość odwetowi i roztrzaskać Osselowi czaszkę, zamknąłem

oczy, a mimo wszystko widziałem wyraźnie okropny obraz.

Tłum powoli się przeredzał i tłoczył się przy kramach handlarzy, którym okrutne widowisko gwarantowało dobry interes. Przeciętny śpiewak wykonywał balladę o nadzorcy więziennym Jeukenie, którego zazdrość pchnęła do morderstwa. Młoda dziewczyna, jeszcze prawie dziecko, krążyła z kapeluszem w ręku, zbierając datki, i niejedna moneta wylądowała w jej kapeluszu. Gdy zatrzymała się przede mną, pokręciłem tylko przecząco głową. Nie dawała się zbyć i natarczywie podsunęła mi kapelusz. Jakaś ręka wyciągnęła się obok mnie z tłumu i wrzuciła monetę do kapelusza, po czym dziewczynka wreszcie zostawiła mnie w pokoju.

- Potrafię zrozumieć, że nie chcecie za to płacić, *mijnheer* Suythof - odezwał się inspektor Jeremias Katoen. - Nawet gdyby śpiewak był bardziej utalentowany, jego występ nie uradowałby was. Nie dziś i na pewno nie tą pieśnią.

- Nie, nie dziś - westchnąłem i dodałem cicho - dziś jest piątek, trzynastego.

- Co macie na myśli?

- Ach, nic, tylko tak - mruknąłem i odchrząknąłem, bo głos odmówił mi posłuszeństwa.

- Nie wyglądacie dobrze, Suythof. Zeszczupleliście. Byliście chorzy, prawda?

Skinąłem głową.

- Opiłem się za dużo tego obrzydliwego roztworu.

- No to powinniście teraz wypić coś porządnego, a przede wszystkim coś zjeść. Tam dalej, w pobliżu kościoła, znam niezłą garkuchnię. Chodźcie, zapraszam.

Chciałem jeszcze raz obejrzeć się w stronę placu kaźni, ale Katoen mnie powstrzymał.

- Zachowajcie raczej waszego przyjaciela w pamięci takim, jakim był za życia! Roztrzaskana czaszka to nie jest przyjemny widok do wspomnienia.

Egzekucja zapewniła licznych gości także jadłodajni. Z trudem udało nam się znaleźć drewnianą ławę w głębi podłużnej sali. Katoen zamówił piwo i zupełną rybą, a już po chwili krzepka blondynka przyniosła dwa dzbany i dwie miski. Inspektor z apetytem zajadał zupełną, ale ja wypilem tylko kilka łyków piwa. Zbyt wyraźnie stał mi jeszcze przed oczami żalospny widok niesławnie uduszonego przyjaciela, bym mógł zjeść choćby łyżkę zupy.

- Powinniście się zmusić do jedzenia - powiedział inspektor. - Wyglądacie, jakbyście tego bardzo potrzebowali.

- Dlaczego okazujecie mi tyle troski? Czy dręczą was może wyrzuty sumienia?

Katoen spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Wyrzuty sumienia? Skąd wam to przyszło do głowy?

- Nie zrobiliście nic, by uratować Ossela Jeukena.

- Nie było to ani moim zadaniem, ani zamiarem. Zwłaszcza że jestem głęboko przekonany, że wasz przyjaciel popełnił to morderstwo. Ławnicy skazali go za to na śmierć i jest to sprawiedliwa kara. Gdyby morderca za swój czyn nie zapłacił życiem, mogłoby to ośmielić niejednego łotra. Patrzycie na mnie z powątpiewaniem, Suythof. Czy wciąż uważacie, że Jeuken był niewinny?

Pomyślałem o swojej wizycie w ciemnicy, o smutnym, zagubionym spojrzeniu Ossela. Było w nim coś więcej niż smutek człowieka, który stał się mordercą. W jego spojrzeniu było zwątpienie, niezrozumienie tego, co się stało. I ponownie na myśl przyszły mi jego słowa: „Obraz... to był obraz... ten błękit...”.

- Dopuszczam możliwość, że Ossel własnoręcznie zabił swoją przyjaciółkę - przyznałem z wahaniem.

- Więc jednak! A już myślałem, że wasze przyjacielskie uczucia wobec niego uczyniły was ślepym.

- Ale czy mimo to nie może być niewinny?

- Jak to?

- Pomyślcie tylko o pijanym, który nie jest już panem samego siebie. Może w upojeniu zabić człowieka, któremu na trzeźwo

nigdy nic by nie zrobił. W takim wypadku nie kieruje nim wola, tylko odurzenie.

- Proszę, proszę! Powinniście byli zostać adwokatem, Suythof. Gdyby wasza argumentacja zyskała posłuch, mordercy mieliby w przyszłości łatwe życie. Wystarczyłoby, żeby się porządnie upili i już mogliby bezkarnie grasować. Czy mówicie poważnie?

- Nie każdy pijany działa bezwolnie. Ale nie kłóćmy się o to, to miał być tylko przykład. Nie wiem, ile Ossel wypił w sobotę wieczorem.

- Prawdopodobnie nie był trzeźwy. On i ta Gesa Timmers, oboje lubili zaglądać do kieliszka.

Nie dałem się zbić z tropu i mówiłem dalej.

- A czy nie ma czegoś innego, co podobnie do odurzenia alkoholem popycha człowieka do czynów, których wcale nie chce popełnić?

- Do morderstwa?

- Tak, także do morderstwa.

- Cóż by to miało być takiego?

- Ciągle wracam myślą do obrazu. Dlaczego Ossel wspomniał o nim, gdy odwiedziłem go w ciemnicy? Nie powiedział przecież nic więcej.

Katoen zastanowił się i potrząsnął głową.

- Dla mnie to nie ma sensu. Obraz nie może przecież zabić człowieka. Nie może nawet wprowadzić go w stan odurzenia, tak jak wódka.

- Nie jesteście zbyt wielkim miłośnikiem malarstwa, prawda?

- Mam w domu dwa, trzy obrazy.

- Ale nie znaczą dla was wiele?

- No cóż, ściany nie są całkiem nagie.

- Wielu myśli tak jak wy. I wielu malarzy maluje swoje dzieła tylko w tym celu. Ale są też inne obrazy. Mogą doprowadzić widza do szaleństwa; wprowadzić w zachwyt lub osłupienie, przywołać marzenia lub przerazić.

- Ale to przecież nie prowadzi do tego, że człowiek o wszystkim zapomina i zabija kogoś!

- Wypowiadacie ciekawą myśl i zaprzeczacie jej, *mijnheer* Katoen. Może powinniście ją głębiej przeanalizować, nim wydacie wyrok.

Inspektor pociągnął łyk piwa i spojrzał na mnie przenikliwie.

- Naprawdę wierzycie w to, co mówicie, Suythof? Sądzicie, że ten tajemniczy obraz wpędził waszego przyjaciela w szaleństwo?

- Był w domu farbiarza Melchersa, gdy ten wymordował swoją rodzinę. Był w celi, w której Melchers odebrał sobie życie. I był w mieszkaniu Ossela, gdy umarła Gesa Timmers.

- To wiem. Ale gdzie jest teraz?

- Miałem nadzieję, że dowiem się tego od was.

- Muszę was rozczarować. Obraz jakby się zapadł pod ziemię.

- Nie znaleźliście człowieka, który zabrał go z mieszkania Jeu-kena?

- Gdybym miał tego człowieka, miałbym też przecież obraz - odparł inspektor z rozdrażnieniem.

- Wygląda na to, że ta sprawa nie jest wam obojętna. Więc jednak przywiązujecie wagę do tego obrazu!

- To niewiadoma w tym równaniu, która mi się nie podoba. Być może z jakiegoś powodu ten obraz jest bardzo cenny. Ale być może nie ma nic wspólnego z morderstwami.

- Na mój gust za dużo w tym „być może”. Dopóty nie zaznam spokoju, dopóki nie wyświetlę tajemniczy tego obrazu.

- Róbcie, co musicie zrobić Suythof, jeśli to ma uspokoić wasz umysł. - Katoen odsunął na bok opróżniony dzban i podniósł się. - Dla mnie ta sprawa jest zamknięta. Czekają na mnie inne ważne zajęcia.

Inspektor pożegnał się, a ja zamówiłem jeszcze jeden dzbanek piwa. Nie skończyło się na nim i nie skończyło się też na piwie.

Flaszka gorzałki miała mi pomóc wygnać z pamięci widok Ossela przy palu śmierci.

6 SZTUKA I RZEMIOSŁO

Promień światła wyrwał mnie z pełnego koszmarów snu. Raz za razem Ossel umierał na moich oczach i nawet po śmierci patrzył na mnie oskarżycielsko. I czyż nie miał racji? Czyż nie byłem współwinni jego śmierci? Kto miał stać przy nim, jeśli nie ja - jego najlepszy i, jak się w tych dniach okazało, jedyny przyjaciel? Mimo że czułem się zmęczony i pozbawiony energii, rad byłem z przebudzenia. Senne majaki zbladły w dziennym świetle, ale poczucie winy pozostało.

Zamrugałem pod wpływem jasności i poczułem się zaskoczony. To nie były szerokie okna dużego pokoju w domu wdowy Jessen i nie wpadało przez nie łagodne światło, do którego byłem przyzwyczajony. Mój wzrok powędrował do mniejszego, prawie kwadratowego okienka, które wychodziło prosto na wschód. Wschodzące słońce z całą siłą stało ku mnie swoje oślepiające promienie, jakby chciało przeszkodzić jakimkolwiek zatuszowaniu mojej winy.

Gdy się odwróciłem, dotknąłem lewym ramieniem czegoś miękkiego i ciężkiego, a jednocześnie odezwał się niechętny, półsenny pomruk. Spojrzałem na różowe ciało, rozpychające się obok mnie na wąskim łóżku. Okrągłe uda, nad nimi lekko wysklepiony brzuch i piersi, dość duże, by zapewnić mleko całej kompanii strzelców. Pofalowane jasne włosy otaczały zaokrąglone ramiona i równie okrągłą twarz o rumianych policzkach.

Kobieta była jeszcze młoda i po chwili namysłu przypomniałem sobie, jak trafiłem do jej łóżka. Nazywała się Elsje i była służącą w jadłodajni, do której zaprosił mnie Jeremias Katoen. Przypomniałem sobie wódkę, którą piłem po jego odejściu. W pewnym momencie miałem

nie tylko butelkę w garści, ale także Elsję na kolanach.

Wszystko inne rozmywało się we mgłę mojego odurzenia, ale skotłowane prześcieradło i moja nagość świadczyły o tym, co się wydarzyło. Nie wiedziałem nawet, czy nam się to spodobało. Zamiast pięknego wspomnienia z nocy z Elsję opanowało mnie jeszcze silniejsze poczucie winy, że tak krótko po śmierci przyjaciela zadałem się z pierwszą lepszą kobietą.

Gdy macałem ręką po podłodze w poszukiwaniu leżących tam spodni, Elsję się obudziła. Ziewnęła szeroko i przeciągnęła się, wypinając przy tym niezwykle obfite piersi, jakby chciała mi zaprezentować swoje fizyczne walory. Patrzyłem na różowe ciało, ale nie z pożądaniem, tylko z odrazą - odrazą do samego siebie.

- Dlaczego chcesz już iść? - zapytała Elsję i odsunęła z twarzy pasmo włosów. - Mam jeszcze parę godzin, zanim będę musiała iść do pracy. Moglibyśmy się jeszcze zabawić, tak jakw nocy.

Szerokim uśmiechem podkreśliła zaproszenie, a lewą ręką potarła owłosiony trójkąt między udami.

- Ale ja jestem zajęty - odpowiedziałem i przetknąłem ślinę, wskakując w spodnie. - Poza tym tak wcześnie rano nie mam ochoty.

Gdy zatrząskiwałem za sobą drzwi i schodziłem po wąskich schodach, ścigały mnie jej wyzwiska.

Pokoik Elsję znajdował się w tym samym budynku co jadłodajnia. Wyjście z niego prowadziło na plac Dam, na którym, mimo wczesnej pory, kilku handlarzy rozstawiało już kramy. Nie chciałem patrzeć w stronę miejsca straceń, ale nie mogłem się oprzeć, czułem jakiś wewnętrzny przymus.

Na szczęście zwłoki Ossela nie były już przywiązane do pala. Być może, jak to było w zwyczaju, przetransportowano je na drugi brzeg rzeki Ij, do Volewijk. Stały tam wysokie słupy, do których przywiązywano ciała straconych, aby ku powszechnej przestrodze rozkładały

się, wystawione na widok publiczny. Z pewną ulgą, ale na pewno nie z lekkim sercem udałem się w drogę powrotną do domu.

Moje spojrzenie padło na ruchliwą ulicę Damrak z licznymi sklepami i zmieniłem zdanie. Już od pięciu dni byłem bez pracy i nie trudno było przewidzieć rychłe wyczerpanie się moich rezerw finansowych. Nadszedł czas, by coś przedsięwziąć. Dlatego skierowałem się do sklepu Emanuela Ochtervelta, który jakiś czas temu wziął w komis pięć moich obrazów. Minęły dwa tygodnie od dnia, gdy ostatni raz o nie pytałem, i wówczas nie sprzedał jeszcze żadnej z moich prac.

Obszerne piwnice przy Damrak, w których mieściły się jadłodajnie, piwiarnie i wszelkiego rodzaju sklepy, należały do najdroższych w całym Amsterdamie. Interesy Ochtervelta musiały iść nieźle, jeśli tu rezydował. Gdy przyjmował ode mnie obrazy, widziałem już w wyobraźni stopy błyszczących monet i oddałem się śmiałemu marzeniu, że wkrótce będę mógł zrezygnować z pracy w Ratshuisie i żyć tylko z malarstwa. Jednak los zakpił sobie z moich planów.

Księgarnia i galeria Ochtervelta znajdowała się między piwiarnią i sklepem, w którym sprzedawano orientalne wazy, odzież i dywany. Akurat gdy schodziłem po niewielkich schodach prowadzących do wejścia, Yola, ładna, szesnastoletnia córka Ochtervelta, otworzyła drzwi. Poznała mnie i obdarowała uśmiechem, który mógł rozgrzać męskie serce, po czym zapytała, jak się miewam.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, w głębi sklepu rozległ się głos jej ojca.

- A jak ma się miewać Cornelis Suythof, córko? Musi czuć się marnie. Nie wiesz, że ten człowiek, którego wczoraj stracono przed Ratuszem, był jego przyjacielem?

- Och, nie wiedziałam - bąknęła Yola i opuściła głowę, tak że mogłem tylko widzieć chmurę jej wspaniałych ciemnych loków. - Proszę wybaczyć moją głupotę, *mijnheer* Suythof!

Ująłem ją pod brodę i uniosłem jej głowę.

- Nie macie powodów do zawstydzienia, Yolu. Skąd mieliście to wiedzieć?

Jej ojciec wyszedł zgarbiony i zamrugał, jakby nie był przyzwyczajony do światła dziennego.

- Kiepsko wyglądacie, Suythof, naprawdę kiepsko. Jakbyście pili przez całą noc, by zalać robaka.

- Tak mniej więcej było - przyznałem. - Ale dzisiaj jest nowy dzień i życie toczy się dalej! Jak idą interesy, *mijnheer* Ochtervelt?

Na jego i tak lekko skrzywionej twarzy pojawił się grymas.

- Mogłoby być lepiej, naprawdę mogłoby być lepiej.

Jego jeszcze przed chwilą zaciśnięte wargi ułożyły się w przyjazny uśmiech.

- Czy przyszlście coś kupić, *mijnheer*? Książkę albo może obraz jakiegoś innego malarza?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, chciałem się tylko dowiedzieć, czy sprzedaliście już którąś z moich prac.

- Ach, tak - uśmiech znikł i Ochtervelt przybrał zatroskaną minę.

- Niestety, wygląda na to, że nikt się nie interesuje waszymi obrazami. Czy nie zechcielibyście ich zabrać, Suythof? Mój sklep i tak jest pełny, a nie mam wielkich nadziei, że zmienią jeszcze właściciela. Może któryś z moich kolegów z cechu potrafi wam lepiej pomóc.

Postarałem się ukryć rozczarowanie. Początkowo chciałem zaapelować do Ochtervelta o współczucie i opowiedzieć mu o stracie pracy, ale handlarza nie robił wrażenia szczególnie współczującego. Więc wywołałem na twarz uśmiech i powiedziałem wspaniałomyślnie:

- Mam do was pełne zaufanie, *mijnheer* Ochtervelt. Znajdziecie na pewno kupców na moje płótna. Zresztą mam teraz więcej czasu na malowanie i wkrótce będę mógł wam przynieść kolejne obrazy.

Ochtervelt spojrział na mnie z przerażeniem.

- Jeśli będziecie malować coś nowego, Suythof, wybierzcie, na miłość boską, jakiś temat, który przemówi do ludzi! Coś chodliwego, na przykład podróż morską.

- Ale trzy spośród obrazów, które wam zostawiłem, pokazują statki!

Handlarz schwył mnie za rękaw i pociągnął bez słowa do ciemnej części sklepu, gdzie w odległym kącie stały na podłodze moje obrazy. Teraz już mnie nie dziwiło, że nikt na nie nie zwrócił uwagi. Dwa z nich ukazywały sceny uliczne w Amsterdamie. Ochtervelt odstawił je na bok i podniósł pozostałe trzy.

- Co tu widzicie, Suythof?

- Statek, rzecz jasna. Kuter śledziowy przy wyładunku.

- No, no. A tutaj?

- Statek Kompanii Wschodnioindyjskiej, wychodzący z portu w Amsterdamie.

- A na trzecim obrazie?

To także mogłem mu powiedzieć, nie patrząc nawet na płótno.

- Luksusowy jacht, na którym kilku zamożnych mieszczan odbywa niedzielną przejażdżkę po rzece Ij.

Ochtervelt odstawił obrazy i spojrział na mnie wyzywająco.

- Czy przy oglądaniu waszych obrazów coś wam się rzuca w oczy?

- Wszystkie przedstawiają statki, dokładnie tak, jak to przed chwilą sugerowaliście.

- Nieprawda! Powinniście malować żeglugę, podróż morską, a nie połów śledzi czy przejażdżkę po rzece. Żaglowiec do Indii to krok w dobrym kierunku, ale nie powinniście go przedstawiać w porcie macierzystym.

- A gdzie?

Znowu pociągnął mnie za sobą, tym razem do stołu z licznymi stosami książek, tuż przy wejściu. Jego twarz wyrażała zadowolenie, gdy położył prawą rękę na jednym ze stosów.

- Moje bestsellery, Suythof. Nie dramaty Vondla, nie wiersze Huygensa i nie proza historyczna Hoofta ⁵. Zgadnijcie, o jakich książkach mowa?

- Dotyczących podróży morskich?

- Oczywiście, i to jakich! Żadne tam dywagacje o połowie śledzi czy wycieczkach wzdłuż wybrzeża. Tu są przedstawione przygody na otwartym morzu i w odległych krajach: burze, katastrofy morskie, bunty, spotkania z dzikusami. Dzienniki Bontekoe⁶ czy raport Gerrieta de Veera⁷ z podróży na północ - to ludzie chcą czytać!

- Jestem malarzem, nie pisarzem.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Weźcie na przykład Gerbranda Breero⁸, też był z początku malarzem, a potem odniósł sukces jako pisarz. A jego wycucie koloru i kształtu znalazło także wyraz w języku, jakim pisał. Ale nie musicie koniecznie stawać się literatem. Jeśli o mnie chodzi, możecie pozostać przy pędzlach i palecie, ale nie malujcie swoich statków na tle Amsterdamu, tylko na chłostanym sztormem morzu albo u brzegów Batawii!

- Nie znam ich.

- No to popłyńcie tam! - Ochtervelt wydawał się przez chwilę wsłuchiwać we własne słowa, a potem skinął z namysłem głową.

⁵ Joost van de Vondel (1587-1679), Constantijn Huygens (1596-1687), Peter Corneliszoon Hooft (1581-1647), najwybitniejsi przedstawiciele literatury niderlandzkiej okresu renesansu.

⁶ Willem Ijsbrandszoon Bontekoe (1587-1657), kapitan w służbie Kompanii Wschodnioindyjskiej. W latach 1618-1625 na statku *Nieuw Hoorn* odbył dramatyczną podróż do Batawii (wskutek wybuchu prochu statek zatonął, a załoga dotarła do Bantamu na Jawie w łodziach ratunkowych), której opis, wydany po powrocie żeglarza do ojczyzny, zyskał wielką poczytność.

⁷ Gerrit de Veer, uczestnik wypraw polarnych pod dowództwem Willema Barentsa. Prowadził ilustrowany dziennik, który opublikował po powrocie do Holandii. Dziennik został przetłumaczony na wiele języków, a opis zimowania załogi na wyspie Nowa Ziemia zawiera sporo cennych obserwacji, m.in. pierwszą informację o tzw. efekcie Nowej Ziemi.

⁸ Gerbrand Adriaenszoon Breero (właśc. Bredero, 1585-1618), autor wierszy miłosnych i religijnych oraz fars i komedii.

- Tak, to dobry pomysł. Wyruszcicie w podróż, jesteście jeszcze przecież młodzi! Posmakujcie soli dalekich mórz, pozwólcie się owiać wiatrowi, przyjrzyjcie się światu! Jaki jest lepszy dla malarza sposób poznania tematów jego obrazów?

—Przemyślę waszą propozycję - odpowiedziałem trochę niepewnie, zaskoczony obrotem, który przybrała nasza rozmowa. Wszedłem do jego sklepu jako pełen nadziei młody malarz - czy miałem z niego wyjść jako początkujący marynarz?

—Zróbcie to, Suythof, ale na razie oszczędźcie mi waszych obrazów. A to wam podaruję.

Wziął egzemplarz książki z najwyższego stosu i wcisnął mi w garść. Pachniał jeszcze świeżością, klejem i farbą drukarską.

— Wczoraj wyszła spod prasy, sam jestem wydawcą. Spodziewam się wielkiego sukcesu, podobnego do tego, który Commelin odniósł zاپiskami Bontekoe. A wy możecie w niej znaleźć inspirację dla siebie.

Otworzyłem książkę i przeczytałem tytuł: *Dziennik. Zapiski kapitana, starszego kupca i dyrektora Fredrika Johanna de Gaala o jego podróżach do Indii Wschodnich w służbie Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej.*

Oczywiście znałem nazwisko autora, jak chyba każdy w Amsterdamie i daleko poza jego granicami. De Gaal zaczynał jako marynarz i dosłużył się stopnia kapitana na żaglowcach Kompanii Wschodnioindyjskiej. Za wielkie zasługi otrzymał rangę starszego kupca. Każdy statek Kompanii miał na pokładzie starszego kupca. Był właściwym dowódcą wyprawy handlowej i miał uprawnienia do wydawania poleceń kapitanowi, także w kwestiach żeglugowych. De Gaal znajdował się w gronie dyrektorów Kompanii i w końcu stał się jednym spośród „Siedemnastu Panów”, ścisłej rady zarządzającej, która zbierała się trzy razy do roku. Ostatecznie, w wieku prawie siedemdziesięciu lat, wycofał się z interesów, przynajmniej oficjalnie. Jego syn Constantijn kontynuował działalność ojca i zasiadał też w dyrekcji Kompanii.

Mimo że niewiele osiągnąłem, opuszczałem sklep Ochtervelta w dość dobrym humorze. Oprawna w skórę książka była cennym upominkiem. Gdyby skończyły mi się pieniądze, mógłbym ją sprzedać i za uzyskane stuivery dać sobie radę przez kilka dni.

W domu wdowa Jessen czyniła mi wyrzuty z powodu długiej nieobecności. Wysłuchałem tyrady, której źródłem była prawdziwie matczyzna troska, i posłusznie położyłem się do łóżka. Moja gospodyni nie myliła się, nie odzyskałem jeszcze pełni sił. Długotrwała gorączka, śmierć Ossela i nadmiar gorzałki - wszystko razem domagało się zadośćuczynienia. Moje wyczerpanie miało jednak też dobrą stronę. Tym razem zapadłem w głęboki sen pozbawiony majaków.

- Przykro mi, panie Cornelisie, ale ten pan nie daje się odprawić.

Głos wdowy Jessen wyrwał mnie ze snu. Jej zaokrąglona postać, jeszcze przed chwilą wypełniająca sobą drzwi, ustąpiła miejsca dobrze ubranemu obcemu mężczyźnie, który wepchnął się do mojego pokoju. Czy sam sobie nie wydal się śmieszny, gdy zdejmował ciemny kapelusz i składał uprzejmy ukłon przed człowiekiem leżącym w łóżku?

W każdym razie jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy powiedział:

- Mam zaszczyt rozmawiać z panem Cornelisem Suythofem, nieprawdaż? Nazywam się Maerten van der Meulen i chciałbym pomówić z wami o ważnych interesach.

- Van der Meulen - mruknąłem ochryply jeszcze od snu. - Handlarz obrazów van der Meulen?

- Tenże sam - odpowiedział, a jego otoczone ciemnym zarostem wargi rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu. Przychodzę prosto od mojego towarzysza cechowego Ochtervelta, który zwrócił mi na was uwagę.

Przypomniałem sobie, że van der Meulen miał swój sklep z dziełami sztuki także przy Damrak, niedaleko galerii Ochtervelta.

Zaświtała mi nadzieja.

- Czy kupiliście któryś z moich obrazów, *mijnheer* van der Meulen?

- Nie. Ale wasz sposób malowania podoba mi się. Potrafię sobie wyobrazić naszą współpracę. - Rzucił niecierpliwe spojrzenie wdo-wie Jessen. - Ale o tym powinniśmy spokojnie porozmawiać w czte-ry oczy.

Kilka minut później siedziałem naprzeciw van der Meulena w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Był tak uprzejmy, że mnie zaprosił. Skoro zadał sobie tyle trudu, z najwyższym napięciem czekałem na propozycję.

- Jak już wspomniałem, przemawia do mnie wasz sposób ma-lowania - podjął wątek. - Ale potrzebne mi są inne motywy.

- Już to dziś słyszałem. Od Ochtervelta.

- O ile go znam, proponował wam malowanie statków na wzbu-rzonym morzu.

Uśmiechnąłem się.

- Tak, a nawet więcej. Zaproponował mi nawet, żebym sam wy-ruszył na morze.

- Ochtervelt w miarę upływu lat robi się coraz dziwniejszy. Chce się pozbyć z Amsterdamu młodego, utalentowanego malarza, a my bylibyśmy przez miesiące, a może nawet lata pozbawieni jego sztu-ki. Co za głupi pomysł!

Ten człowiek umiał łąć miód na serce swego rozmówcy. Za-chęcony jego grzecznymi słówkami, zapytałem o jego ulubiony mo-tyw.

- Potrzebne mi są portrety, mistrzu Suythof. Modele wam do-starczę, a za każdy gotowy obraz zapłacę osiem guldenów.

To była dobra cena. Jasne, wielcy mistrzowie dostawali za obraz tysiąc albo i dwa tysiące guldenów, ale przeciętnym malarzom wio-dło się całkiem inaczej. Niejeden obraz przynosił po sprzedaży, na-wet jeśli był oprawiony, zaledwie około dwudziestu guldenów. Jeśli handlarz obrazów, który z pewnością miał też na uwadze własny zysk,

proponował mi - zupełnie nieznanemu i niestety jak na razie także mało znaczącemu malarzowi - aż osiem guldenów za samo tylko malowidło, mogłem być naprawdę zadowolony. Pogratulowałem sobie, że zostawiłem obrazy u Ochtervelta i patrzyłem na siedzącego *vis-a-vis* mężczyznę jak na prawdziwego dobroczyńcę. Wyglądało na to, że moja zła *passa* chyba się wreszcie skończyła. Van der Meulen nachylił się.

- Nic nie mówicie, przyjacielu. Czy osiem guldenów to dla was za mało?

- Wiem bardzo dobrze, że to dobra cena za obrazy kogoś nieznanego. Mogę tylko mieć nadzieję, że moje prace sprostatą waszym oczekiwaniom.

- Więc interes ubity?

- Tak! — odpowiedziałem żarliwie i uściśnąłem wyciągniętą dłoń.

Ściskając moją prawicę, van der Meulen sięgnął lewą ręką do kieszeni i wy dobył kilka monet, które położył przede mną na stole.

- Dwa guldeny jako zaliczka na poczet pierwszego obrazu, żebyście się nie rozmyślili.

- Nie ma mowy - pospieszyłem z zapewnieniem i zgarnąłem pieniądze. Czuję się trochę dziwnie mając mecenasa, który dał mi sowitą zaliczkę.

- Co dokładnie tak bardzo wam się podoba w moim malarstwie?

- Sposób, w jaki traktujecie światło i cień. Przypomina mi mistrza Rembrandta. Czy terminowaliście u niego?

- Chciałem bardzo, ale coś mi przeszkodziło - odpowiedziałem wymijająco. - Porównanie z Rembrandtem to dla mnie zaszczyt, *mijnheer* van der Meulen, ale sądziłem, że jego styl nie jest już dzisiaj dobrze widziany.

Wąska twarz van der Meulena przybrała poważny wyraz.

- Ktoś taki jak wy, albo jak Rembrandt, wykonuje właściwie dwa zawody. Jest artystą i rzemieślnikiem zarazem. Artysta podąża przy tworzeniu za własną wizją, tymczasem rzemieślnik zwraca uwagę na to, by jego praca zadowoliła zleceniodawcę. Weźcie na przykład obraz Rembrandta ze sceną wymarszu oddziału straży pod dowództwem Fransa Banningha Cocq, który wywołał niegdyś takie poruszenie. Nie ulega wątpliwości, że pod względem artystycznym to dzieło na bardzo wysokim poziomie. A jednak zarzuty, z jakimi spotkał się Rembrandt, były zasłużone. Każdy z przedstawionych zapłacił dobrą cenę za uwiecznienie na płótnie. A co zrobił Rembrandt? Namalował niektórych widocznych tylko w połowie i przedstawił dziecko z kogutem wyraźniej niż większość członków oddziału. Ludzie, którzy zapłacili za obraz, musieli być po prostu rozczarowani.

- Czy Rembrandt jako artysta powinien był się podporządkować?

- Nie podporządkować, tylko powściągnąć. Gdy malarz przyjmuje zlecenie, powinien przede wszystkim kierować się oczekiwaniami swego zleceniodawcy. Sztuka musi się wtedy podporządkować rzemiosłu, musi podnosić jego rangę, a nie dominować. Jeśli jednak malarz chwytą za pędzel bez konieczności zaspokajania życzeń klienta, wtedy może swobodnie dać upust swoim artystycznym potrzebom.

Bardzo dobrze zrozumiałem to napomnienie. Ale uważałem je za zbędne. Nie zamierzałem rozczarować mojego mecenasa. W końcu stworzył nową perspektywę mojej egzystencji, która była niebezpiecznie blisko głodowania. Poza tym zawsze dążyłem do tego, by jako malarz przedstawiać na płótnie ludzkie charaktery ze wszystkimi ich odcieniami. Portrety, o których mówił mój rozmówca, mogły mnie bardziej do tego celu przybliżyć niż amsterdamskie sceny uliczne czy szarpane sztormem statki.

- Będziecie ze mnie zadowoleni - obiecałem i ścisnąłem dwa guldeny w kieszeni kurty. - Kiedy mam zacząć?

- Będzie najlepiej, mój młody przyjacielu, jeśli jeszcze dziś przyprowadzę do was pierwszą modelkę.

Zaledwie dwie godziny później rozległo się pukanie do moich drzwi i van der Meulen wszedł w towarzystwie zapowiedzianej modelki. Była to młoda kobieta, mniej więcej w moim wieku, o proporcjonalnej twarzy, której ładny, prawie doskonały kształt psuł jednak trochę za duży nos. Spod słomkowego kapelusza z niebieską wstążką wystawały rude loki. Kobieta nie miała szerokiej kryzy, jakie w owych czasach były modne wśród dam z towarzystwa, ale materiał i krój jej sukni nie wskazywały na niskie pochodzenie. Ramiona i piersi osłaniała niebieska chusta.

- To panna Marjon, wasza modelka - oznajmił marszand i nie uznał za stosowne podać mi także nazwiska piękności.

Powitałem ją, a ona odpowiedziała mi nieśmiałym uśmiechem.

- Najlepiej będzie, jeśli od razu zaczniemy – zaproponował van der Meulen i spojrzął wyczekująco na swoją towarzyszkę.

Dziewczyna skinęła głową i zdjęła kapelusz. Rudawe loki spadły jej na ramiona. Potem uwolniła się od chusty; jasne ciało stanowiło piękny kontrast z kolorem jej włosów. Spodziewałem się, że na tym skończy, ale Marjon zaczęła zdejmować suknię.

Zaskoczony, zwróciłem się do van der Meulena:

- Co to ma znaczyć?

- Marjon przygotowuje się do pozowania.

- Może zostać w sukni. Pięknie w niej wygląda. Nie musi się przebierać.

- Ona się nie przebiera, tylko rozbiera.

- Rozbiera? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Po co?

Van der Meulen potarł czoło.

- Naprawdę tego nie rozumiecie, Suythof, czy celowo udajecie durnia? Potrzebny mi obraz rozebranej Marjon.

W czasie naszej wymiany zdań Marjon nie przestawała zdejmować kolejnych sztuk odzieży. Gdy odrzuciła koszulę z niedowierzaniem

patrzyłem na małe, ale pięknie ukształtowane piersi. „Co za różnica w porównaniu z różowymi, przelewającymi się masami ciała Elsje z szynku” - przemknęło mi przez głowę.

- Podoba się wam, prawda? - spytał van der Meulen i wydawało mi się, że wyczuwam w jego głosie czujność.

- To nie o to chodzi - odpowiedziałem szorstko, bo nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że sobie ze mnie kpi.

- Owszem, właśnie o to chodzi - sprzeciwił się handlarz. - Tylko jeśli modelka wam się spodoba, będziecie mogli wykonać wyrazisty portret.

- Oczywiście, że mi się podoba - powiedziałem wbrew sobie.

- Jaki mężczyzna, nie będąc ślepcem, mógłby powiedzieć co innego? Ale to nie wyjaśnia, dlaczego mam malować waszą modelkę rozebraną.

Van der Meulen zmierzył mnie surowym spojrzeniem.

- Płacę wam Suythof, więc nie muszę wam objaśniać moich życzeń. Zapomnieliście już, co wam mówiłem w kawiarni o sztuce i rzemiośle? Myślałem, że mnie rozumiecie. Jeśli nie, to teraz powiem wam z całą dobitnością, czego od was oczekuję. Płacę dobre pieniądze i dostarczam modelki. Wy malujecie je dokładnie tak, jak ja tego oczekuję. Wszystko inne was nie obchodzi i nie będziecie mi zadawać na ten temat żadnych pytań. Jeśli się na to zgadzacie, w porządku. Jeśli nie, to oddajcie mi moje dwa guldeny, a ja poszukam sobie innego malarza.

Wydawało mi się, jakbym miał do czynienia z zupełnie innym człowiekiem niż jeszcze dwie godziny temu. Początkowo po prostu się do mnie zalecał, ale teraz stawiał mi twarde warunki. Moja początkowa sympatia do marszanda rozwiała się jak dym. Zorientowałem się, że nie mam do czynienia z mecenasem, tylko z człowiekiem, który kupuje dokładnie to, co chce mieć. W tym wypadku byłem to ja, ale mógł to być równie dobrze inny spośród wielu młodych amsterdamskich malarzy, którzy podobnie jak ja nie wiedzieli, skąd wziąć pieniądze na czynsz i jedzenie.

Z wahaniem spojrziałem na szkatułkę, w której schowałem dwa guldeny od van der Meulena. Niezwłoczne oddanie mu tych pieniędzy na pewno podniosłoby moje poczucie własnej wartości, ale z czego miałbym żyć po wydaniu tych kilku groszy, które pozostały mi jeszcze z ostatniej wypłaty za pracę w Rasphuisie?

Handlarz wydawał się świadom moich myśli. Jego pełen wyższości uśmiech zrobił się jeszcze szerszy, gdy pokornie przystałem na jego warunki.

- Bardzo ładnie, Suythof. Jak sądzicie, jak długo potrwa pozowanie?

- Powiedzmy trzy godziny, tak długo będzie jeszcze dobre światło.

- Dobrze. Wróć za trzy godziny, żeby odprowadzić pannę Marjon.

I zostawił nas samych.

Odsunąłem zle przeczucie, które mnie opanowało, i starałem się skupić na pracy. Węgiel przelatywał po płótnie, chwytając kontury pięknej Marjon. Była rzeczywiście urodziwa i za każdym razem, gdy zbyt długo zatrzymywałem na niej wzrok, ryzykowałem, że zainteresowanie mężczyzny weźmie górę nad zainteresowaniem malarza.

Ona sama, jakby nieobecna, stała w pozie przyjętej na moją prośbę, z twarzą pozbawioną wyrazu jak maska. Ale gdy bliżej przypatrzyłem się, wydało mi się, że ta obojętność jest rzeczywiście tylko maską. Te oczy, oczy nieszczęśliwego człowieka. Nagle przyszło mi na myśl, że nie była tu dobrowolnie, że nieznanne mi nieszczęście przywiodło ją do tego, że zadawała się Maertenem van der Meulenem.

Chociaż nie znałem bliżej okoliczności, moja niechęć do marszanda rosła. Marjon jawiła mi się jako anioł, który został obrabowany ze skrzydeł, wrzucony w środek ludzkiego piekła i przykuty tam niewidzialnym łańcuchem.

Pozowanie nago było niedopuszczalne w środowisku szanowanych niewiast. Często my, malarze, musieliśmy do tego celu wynajmować kobiety, które i tak brały od mężczyzn pieniądze za swe usługi i za odpowiednią opłatą były gotowe na wszystko. Ale Marjon nie sprawiała wrażenia upadłej dziwki. Nie pasowała do tego zarówno jej droga odzież, jak i całe zachowanie oraz dumna postawa. Prezentowała swe nagie ciało, bo musiała to robić, ale nie oferowała mi go. Między nią i mną była ta niewidzialna granica, której nie ma między prostytutką i jej klientem.

Mój szkic węglem był gotów i zaproponowałem Marjon przerwę, podczas której chciałem rozmieszać farby. Zaledwie usiadła, naga na moim łóżku, gdy otworzyły się drzwi i usłyszałem wdowę Jessen:

- Panie Cornelisie, chciałam tylko zapytać, czy wy i wasz gość nie macie może ochoty na czekoladę...

Zamilkła i z przerażoną miną obserwowała scenę, rozgrywającą się przed jej oczami. Gdyby Marjon nie siedziała na moim łóżku, tylko stała jak przed chwilą, oburzenie mojej gospodyni nie byłoby ani trochę mniejsze. Była osobą na wskroś pobożną, znacznie głębiej oddaną surowym regułom kalwinizmu niż ja sam. Rozebrana obca kobieta w jej domu musiała ją niemile zaskoczyć, nawet jeśli była ona modelką malarza. Byłem głupcem, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Ale van der Meulen tak mnie oszołomił, że ani przez moment nie pomyślałem o wdowie Jessen.

Podszedłem do niej, chciałem jej wyjaśnić sytuację, wspomniałem o swoim położeniu finansowym, które zmusiło mnie do przyjęcia zlecenia van der Meulena, ale mówiłem jak do ściany. Z surowością, jakiej nigdy dotąd w niej nie zauważyłem, powiedziała:

- Czegoś takiego nie ścierpię w moim domu. Jutro jest Dzień Pański, ale pojutrze albo wyniesiecie się stąd, albo złożę doniesienie na wasze nieprzyzwoite zachowanie.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Patrzyłem za nią i próbowałem pogodzić jej zachowanie z moim dotychczas-

sowym o niej wyobrażeniem. Przyjęła mnie do siebie jak syna, otoczyła opieką i pielęgnowała, gdy leżałem, zmożony gorączką i nieprzytomny. Czy może właśnie dlatego była teraz rozczarowana? W każdym razie wyglądało na to, że straciła do mnie wszelką sympatię, niezależnie od jej przyczyny. Zwyciężyła rygorystycznie religijna, kalwińska strona jej duszy, która potępia każdy występki i każde odstępstwo od zasad.

Marjon złapała w tym czasie kapę i okryła nią nagie ciało. Popatrzyła na mnie niepewnie. W nieśmiałym spojrzeniu kryło się współczucie, ale nie wiedziałem, czy dla mnie, czy dla siebie samej.

- Będzie lepiej, jeśli już pójdziecie - powiedziałem. - Jeśli chcecie, odprowadzę was do domu.

- To niepotrzebne. - Były to pierwsze słowa, które skierowała do mnie Marjon. Miała jasny i delikatny głos, który wydawał się równie zastraszony jak jej spojrzenie. - Ale co będzie, jeśli pan van der Meulen nie znajdzie mnie tutaj?

- Wytłumaczę mu, co zaszło.

Gdy się ubierała, odwróciłem się. Zanim wyszła z pokoju, spojrzała się jeszcze raz w moją stronę i powiedziała:

- Przykro mi.

7 DOM PRZY ROZENGRACHT

Amsterdam, 15 sierpnia 1669

Im bardziej zbliżałem się do celu mojego marszu, owego domu przy końcu Rozengracht, tym wolniejsze stawały się moje kroki i tym gwałtowniej biło mi serce. Tego ciepłego niedzielnego popołudnia byłem sam ze swoją zgryzotą. Wokół mnie, na zalanych słońcem ulicach tłoczyli się uśmiechnięci spacerowicze, wielu z nich zmierzało do Nowego Labiryntu, założonego przez Niemca

Lingelbacha. Był tam nie tylko ów labirynt, chętnie wykorzystywany przez zakochanych na niezakłócone niczym schadzki, od którego cały lunapark wziął nazwę. Wszelkie osobliwości, od fontann do mechanicznie napędzanych obrazów, wabiły ludzi, a ten wspaniały dzień był wymarzony na podobne rozrywki. Dom, w którym po spektakularnym bankructwie wynajął skromne mieszkanie Rembrandt van Rijn, stał naprzeciw parku rozrywki i zadawałem sobie pytanie, jak stary mistrz znajdował potrzebny do pracy spokój przy tych wszystkich hałasach, okrzykach i piskach.

Dwie młode kobiety wyszły z cienia wysokiego muru i zagroziły mi drogę. We włosy miały wplecione kolorowe wstążki, a ich piersi w ciasno zasznurowanych gorsetach były wysoko podniesione. Jędrnych, sterczących wyzywająco wzgórków nie okrywała żadna chusta. Takie miejsce jak Labirynt musiało przyciągać dziwki. Gdy nie udało mi się obejść pułapki, odsunąłem po prostu oba kolorowe ptaki na bok i szybkim krokiem poszedłem dalej, ścigany kilkoma wyzwiskami, które podawały w wątpliwość moją męskość i wysyłały mnie do wszystkich diabłów.

Nie mogłem nie pomyśleć o młodej kobiecie, którą dzień wcześniej przyprowadził do mnie Maerten van der Meulen. Te dwie dziewczyny byłyby niewątpliwie gotowe za kilka stuiverów pozować malarzowi w stroju Ewy i wyświadczyć mu każdą inną przysługę. I nie były śmiertelnie zawstydzone, o co podejrzewałem piękną modelkę. Zadawałem sobie pytanie, jaka była cena Marjon, ale to pozostawało tajemnicą jej i van der Meulena.

Na myśl przyszło mi ponownie nieoczekiwane wtargnięcie wdowy Jessen do mojego pokoju. Po wyjściu Marjon szukałem okazji do rozmowy z gospodynią, ale nie zdołałem skłonić jej do ustępstw. A potem wrócił van der Meulen. Gdy nie zastał u mnie Marjon, wydał się zaniepokojony, a gdy mu wyjaśniłem, co zaszło, był rozgniewany. Oświadczył mi, że jeśli nie znajdę niezwłocznie nowego mieszkania, w którym będę mógł malować jego modelki, nasza współpraca zakończy się, zanim

się jeszcze na dobre rozpoczęła. W tym fatalnym położeniu nie przyszło mi nic innego do głowy, jak udać się na Rozengracht w poszukiwaniu rozwiązania moich problemów.

Ale przybyłem tu nie tylko po to, by znaleźć nowe mieszkanie, był jeszcze jeden powód. Poprzedniej nocy, gdy zgnębiony nie mogłem zasnąć, nagle poczułem najgłębszy wstyd. Lamentowałem nad utratą pracy i mieszkania, a co stało się z moim przyjacielem Osselem? Zapłacił życiem za czyn, który wciąż wydawał mi się w najwyższym stopniu zagadkowy. Wstyd z powodu użalania się nad sobą umocnił mnie w postanowieniu wyjaśnienia sprawy śmierci Gesy Timmers. Także z tego powodu poszedłem na Rozengracht.

Nabrałem jeszcze raz głęboko powietrza, wszedłem na kamienne schody podestu i pociągnąłem za sznur, który wprawił w ruch metalowy dzwonek. Po dłuższej chwili drzwi domu uchyliły się i zobaczyłem przed sobą pomarszczoną twarz Rebeki Willems, która prowadziła dom Rembrandta wspólnie z jego córką Cornelią. Wąskie oczka gospodyni nie zdradzały, czy mnie rozpoznała. Rembrandt miał w czasie swej długiej kariery tylu uczniów, że jeden, i to taki, który był z nim tylko kilka dni, nie odgrywał żadnej roli.

- Chciałbym porozmawiać z waszym panem, mistrzem Rembrandtem van Rijn.

- Dlaczego? - zapytała. - Macie rachunek, który nie został jeszcze zapłacony?

- Nie przyszedłem po pieniądze, raczej je przynoszę.

Szpara w drzwiach nieco się poszerzyła.

- Jakie pieniądze przynosicie? Za co?

- To chciałbym omówić z samym mistrzem Rembrandtem.

Czy jest w domu?

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, jakby się obawiała zważenia w pułapkę.

- Nie wiem.

Za nią rozbrzmiał jasny, młody głos.

- Co tam, Rebeko? Kto przyszedł?

Gospodyni odwróciła się do niewidocznej rozmówczynie, nie opuszczając jednak posterunku cerbera na progu.

- Mówi, że przynosi pieniądze.

Kroki zbliżyły się i wreszcie drzwi zostały szeroko otwarte. Stała przede mną Cornelia, a ja dziwiłem się, jak bardzo zmieniła się od naszego ostatniego spotkania. Wtedy była faktycznie jeszcze dzieckiem, dziś miałem przed sobą młodą kobietę. Mówiąc dokładniej: ładną młodą kobietę o blond lokach, otaczających pełną, ale niezbyt okrągłą twarz. Mogła mieć najwyżej piętnaście lat, ale wyglądała na więcej. Tak jakby niewątpliwie nie zawsze lekkie życie z ojcem przedwcześnie uczyniło z niej kobietę.

Spojrzenie jej niebieskich oczu skrzyżowało się z moim i dziewczyna powiedziała:

- Idź do kuchni, Rebeko, ja zajmę się naszym gościem.

Gdy gospodyni oddaliła się z wahaniem, Cornelia zapytała:

- Cornelis Sundhoft, prawda? Czego chcecie?

- Suythof - poprawiłem. - Chciałbym porozmawiać z waszym ojcem.

Wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Naprawdę tego chcecie, *mijnheer* Suythof? Nie wystarczyło wam to, jak was potraktował ostatnim razem?

- Był trochę zamroczony winem - odpowiedziałem ostrożnie - a ja byłem może zbyt agresywny w stosunku do niego.

- Mój ojciec był pijany, a wy mu to powiedzieliście prosto w oczy, bo nie można było postąpić inaczej. - Postawiła sprawę jasno.

- Może dzisiaj uda się z nim porozmawiać. Chyba że znowu jest...

- Nie, nie jest pijany, jeszcze nie. Maluje. Czy chcecie jeszcze raz spróbować zostać jego uczniem?

- Właśnie taki mam zamiar.

Potrząsnęła wątpiaco głowa.

- Nic z tego nie będzie.

- Czy ma już aż tylu uczniów?

- Nie, z pewnością nie. Od czasów Arenta de Geldera byliście jedynym, który chciał pobierać nauki u ojca, ale to się nie udało i to zapewne z mojej winy.

- Skąd wam to przyszło do głowy?

- A czyż nie poprosiłam was, byście przemówili memu ojcu do rozumu w związku z jego pijaństwem? No więc! Mam coś do nadrobienia. Dlatego przynajmniej spróbuję skłonić ojca do rozmowy z wami.

- Może już mnie nie pamięta, podobnie jak Rebeka - powiedziałem i rzeczywiście miałem taką nadzieję.

Cornelia roześmiała się szelmowsko.

- Mój ojciec zapomina od czasu do czasu jakiegoś wierzyciela, ale nigdy człowieka, z którym się pokłócił.

Poprowadziła mnie zadaszonym gankiem do sieni, poprosiła, bym zaczekał, i wspięła się na piętro, gdzie mieściła się pracownia Rembrandta. Po krótkiej chwili usłyszałem głośne wyrzekania mistrza, które tak wyraźnie miałem w pamięci i niezbyt dobrze wspominałem. Pożegnałem się już w myślach z planem zamieszkania przy Rozengracht, gdy wróciła Cornelia.

- Ojciec jest gotów was przyjąć - powiedziała.

- Brzmiało to całkiem inaczej - zauważyłem.

- Najlepiej dać mu się wykrzyczeć, potem jest już spokojniejszy. To właściwy moment, żeby mu coś powiedzieć. Zapamiętajcie to sobie.

Obiecałem zapamiętać jej radę i powoli wszedłem po schodach. Przed pracownią zatrzymałem się i ostrożnie zapukałem.

- Wejdźcie, drzwi nie są zamknięte - usłyszałem skrzekliwy głos, w którym wyczułem ton zniecierpliwienia.

Rembrandt stał przed sztalugami w rozchełstany kitlu, usianym plamami farby. Nie można było stwierdzić, jakiego koloru

był kiedyś kitel Wygląd malarza przeraził mnie. Oczywiście, już podczas naszego pierwszego zetknięcia się przed dwoma laty był pod wpływem trosk i nieoczekiwanych ciosów od losu przedwcześnie postarzałym człowiekiem. Ale twarz, którą miałem teraz przed sobą, wyrażająca zarówno ciekawość, jak i niecierpliwość, wyglądała na starszą o dziesięć lat. Była blada i zapadnięta. Wiedziałem, że we wrześniu ubiegłego roku malarz stracił ukochanego syna Tytusa i przypuszczałem, że to go ostatecznie złamało.

Rembrandt rozciągnął wąskie wargi w bezzębnym uśmiechu.

- Moja córka mówi, że przynosicie mi pieniądze. Gdzie one są? Uderzyłem ręką w kieszeń kurtki.

- Tutaj.

Wyciągnął żylastą, poplamioną farbą dłoń.

- No to dajcie.

- A skąd mam wiedzieć, czy dojdziemy do porozumienia?

Jego uśmiech był coraz szerszy.

- Nie dojdziemy, jeśli znowu zechcecie mi zabraniać wina.

- Wasza córka wtedy...

- Tak, tak, wiem - wpadł mi w słowo. - Więc chcecie znowu zostać moim uczniem?

- Bardzo chętnie.

- Dobrze. Więc za rok nauki zapłacicie mi sto guldenów. Z góry.

- Poprzednim razem żądaliście tylko sześćdziesięciu i nie

z góry.

Rembrandt skinął głową.

- Byłem zbyt wspaniałomyślny.

- Sto guldenów to bardzo dużo pieniędzy.

- To nic niezwykłego za naukę. Pamiętajcie, że nie jestem byle kim.

Starzec patrzył na mnie wyzywająco, prawie wojowniczo, a ja zastanawiałem się, czy powinienem bez owijania w bawełnę wyznać

prawdę. Rembrandt nie miał wysokich notowań, a czasy, gdy nie mógł się wprost opędzić od uczniów, dawno minęły. Domaganie się rocznej zapłaty w wysokości stu guldenów było przesadą. Ale ponieważ nie chciałem go zranić i zmarnować okazji zamieszkania u niego, wybrałem inny sposób.

- Nie zdołałem zapłacić stu guldenów, mistrzu Rembrandcie. Mogę wam zaferować połowę i to też tylko w tygodniowych ratach. Powiedzmy, guldena tygodniowo i to zawsze z góry?

Nawet to wobec pustki w sakiewce było zuchwałą propozycją. Aby jej dotrzymać, musiałbym robić dobre interesy z Maertenem van der Meulenem.

- Pięćdziesiąt dwa guldeny? - zachnął się stary i zaczął skubać przerzedzone siwe włosy. - Pomyślcie, że jako mój uczeń macie tu mieszkanie i utrzymanie. Czynnosc za dom nie jest niski.

- Ile wynosi?

- Dochodzi do dwustu pięćdziesięciu - odpowiedział z wahaniem.

- Ile dokładnie?

- Dwieście dwadzieścia pięć - odparł dumnie.

- No to mój wkład pięćdziesięciu dwóch guldenów nie jest wcale nieznaczący.

Ciężko wdychając, usiadł na zydlu.

- Jesteście twardym negocjatorem, Suythof, naprawdę. Nie wiem... - Nagle jego oczy rozbłyły. - Zgodziłbym się, gdybyście ofiarowali mi jakiś piękny prezent.

- Co?

- Prezent do mojej kolekcji. Pamiętacie chyba moją kolekcję?

Oczywiście, że pamiętałem. Pasja zbieracka Rembrandta była legendarna i przez wiele lat amsterdamscy handlarze osobliwościami dobrze na niej zarabiali. Zbierał wszystko, co tylko mogło mu się w jakikolwiek sposób przydać przy malowaniu: egzotyczne ubrania, wypchane zwierzęta, popiersia, ozdoby i broń. W czasie postępowania upadłościowego ogromną kolekcję sprzedano, by zaspokoić

wierzycieli. Nie minęło jednak wiele czasu, a Rembrandt na nowo oddał się swej pasji.

- No co jest? - zapytał i znowu uśmiechnął się szeroko. – Nie przynieśliście mi prezentu?

Idąc za nagłym impulsem, wyciągnąłem z kieszeni mój składany nóż.

- Co powiecie na to? - zapytałem. - Hiszpański nóż.

- Hm, pokażcie no.

Podszedłem bliżej, aby podać mu nóż, i zauważyłem obraz, nad którym właśnie pracował. Był to autoportret, z którego z bezzębnym uśmiechem spoglądał na widza. W uśmiechu było coś szelmowskiego, podstępного, czaił się w nim wyraz twarzy generała, który przegrał wprawdzie bitwę, ale w głębi duszy wiedział, że wygra wojnę. Co jeszcze mogło być w życiu tego starego człowieka, co dawało mu wiarę w ostateczny triumf?

Obejrzał dokładnie wykładaną mosiądzem i jelenim rogiem rękojeść noża, a potem otworzył wygięte ostrze.

- Klinga nie jest nadzwyczajna - powiedział z wyrzutem w głosie. - Znam hiszpańskie noże z ostrzem ozdobionym ornamentami.

- Ale nie ten - odpowiedziałem nieco rozdrażniony.

- Właśnie. To obniża jego wartość.

Wyciągnąłem rękę.

- Jeśli się wam nie podoba, to oddajcie.

Zanim zdołałem odebrać mu nóż, ręka Rembrandta zacisnęła się na nim jak szpony drapieżnego ptaka.

- Wezmę go, bo tu chodzi o was.

- Dobrze. Mam jeszcze jeden warunek.

- Warunek? - Rembrandt powtórzył to słowo, jakby było najgorszą obelgą, którą kiedykolwiek przyszło mu usłyszeć.

Spojrzałem mu twardo w oczy i powiedziałem.

- Domagam się prawa przyjmowania modelek i tworzenia, oprócz pracy dla was, obrazów na własny rachunek. Koszty materiałów pokrywam oczywiście sam.

Zmierzył mnie sceptycznie spojrzeniem.

- Szukacie nauczyciela czy pracowni?
- Jednego i drugiego.

Podczas gdy Rembrandt milczał i spoglądał na mnie spod zmarszczonych brwi, przygotowywałem się na wybuch wściekłości i szybkie wyrzucenie za drzwi. Ale zamiast tego zaczął się kpiąco śmiać i po pobrużdżonych, źle ogolonych policzkach pociekły mu łzy.

- Może tym razem lepiej się dogadamy - stwierdził w końcu.
- A może nawet będziemy się razem nieźle bawić.

Na dole czekała na mnie Cornelia. Zapytała:

- Jak poszło? Dawno już nie słyszałam, żeby ojciec tak się serdecznie śmiał.

W krótkich słowach zrelacjonowałem jej przebieg rozmowy. Jej twarz się rozpromieniła.

- To cudownie, że się z nim dogadujecie, *mijnheer* Suythof. Mojemu ojcu dobrze zrobi, że znów będzie miał ucznia. I będzie dobrze, jeśli w domu znów pojawi się mężczyzna.

- Jest przecież wasz ojciec.
- Ale już stary i siły powoli go opuszczają. Gdy Tytus jeszcze żył, załatwiał dla nas wiele spraw, których nie może załatwić kobieta ani starzec.

- Słyszałem o śmierci waszego brata, ale nie znam szczegółów. Był jeszcze bardzo młody.

- Nie miał jeszcze dwudziestu siedmiu lat - powiedziała Cornelia. - W lutym ubiegłego roku dopiero się ożenił. Nie doczekał nawet narodzin swojej córki, Tycji. Gdyby nie ta mała, mój ojciec chyba zupełnie by się załamał. Zawsze gdy moja szwagierka Magdalena odwiedza nas z Tycją, rozkwita. Część Tytusa żyje w niej i to trzyma ojca przy życiu.

Zamilkła na chwilę i ponura mgła zaćmiła jej spojrzenie, zanim podjęła wątek.

- Tytusa zabrała zaraza. Niestety, nie można mu było pomóc. Siódmego września ubiegłego roku pochowaliśmy go w Zachodnim Kościele. Spoczywa w wynajętym grobie i ma być jeszcze przeniesiony do grobu rodziny van Loo, z której pochodzi Magdalena. Ale nie śpieszymy się z tym. Myślę, że to jeszcze bardziej wstrząsnęłoby ojcem.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

- Nie rozmawiajmy już o tych smutnych sprawach. Dziś jest taki wspaniały dzień. Czy chcecie zaraz przenieść wasze rzeczy, *mijnheer* Suythof?

- Mów do mnie, proszę, po imieniu, bo sam sobie wydaję się tak okropnie stary. A jeśli chodzi o moje rzeczy, to ta niedziela jest zbyt piękna, żeby hańbić ją przeprowadzką. Tam w Labiryncie zebrało się chyba pół Amsterdamu. Jeszcze nigdy tam nie byłem. A wy?

- Raz jako dziecko, ale wtedy mieszkaliśmy jeszcze przy Jodenbreestraat. Od kiedy się tu przeprowadziliśmy, nie było okazji. Mamy i tak dość hałasu: muzyka, głośne śpiewy i nazbyt częste pijackie krzyki.

- Czym innym jest odbieranie bodźców, a czym innym uczestnictwo - powiedziałem, mrużąc oko.

- Czy to ma być zaproszenie, Cornelisie?

- Owszem.

Tę niedzielę naprawdę można było nazwać szczęśliwym dniem. Udało mi się zostać uczniem Rembrandta, a teraz dobrze usposobiona Cornelia szła ze mną do Labiryntu Lingelbacha. Oczywiście, była dla mnie trochę za młoda, ale rozmawiając z nią, zapomniałem o tym. Wydawała się równie doświadczona i odpowiedzialna jak dorosła kobieta, a jej ciała nawet w najlepszej wierze nie można już było określić jako dziecięce. Czasem łapałem się na tym, że zatrzymywałem wzrok na jej krągłościach dłużej, niż wypadało. Raz mnie przyłapała i świadomy uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Żartowaliśmy i śmialiśmy się, spacerując między fontannami i chłodząc się we mgle pryskających kropel. W pawilonie osobliwości kupiliśmy sobie z niezliczonych eksponatów, które przyniosłyby zaszczyt zbiorom Rembrandta: zielonej papugi, która obrzucała zwiedzających sprośnymi wyzwiskami, ogromnej spreparowanej czaszki słonia oraz kilku napędzanych mechanicznie kukieł, które wykonywały najdziwniejsze gesty i figury. Zgubiliśmy się, rzecz jasna, w wielkim labiryncie i gdy w końcu udało nam się odnaleźć drogę wyjścia, zjedliśmy kawałek piernika z Deventer⁹ i popiliśmy go schłodzoną czekoladą. Gdy nadszedł wieczór, usiedliśmy na jednej z ławek winiarni Lingelbacha i zamówiłem karafkę słodkiego wina z wiśni.

- Czy nie jesteście zbyt rozrzutni, Cornelisie? - zapytała figlarnie Cornelia, gdy manewrująca zręcznie między stołami kelnerka postawiła przed nami wino. - W końcu musicie od dzisiaj opłacać lekcje u mojego ojca.

Skloniłem się przed nią.

- Czy mam wam coś zdradzić?

- Co takiego?

- Sposób prowadzenia przeze mnie negocjacji musiał wywrzeć na waszym ojcu takie wrażenie, że zapomniał poprosić mnie o zapłatę za pierwszy tydzień lekcji.

Cornelia uśmiechnęła się.

- Cieszycie się przedwcześnie Cornelisie. Za kasę odpowiadam ja.

- Wy?

- Oczywiście. Zapomnieliście? Od czasu ogłoszenia bankructwa przez ojca, jedenaście lat temu, nic już nie należy do niego. Ustaliliśmy tak, żeby jego wierzyciele nie odebrali mu tego, co teraz z trudem zdobywa.

⁹ Od 1593 r. w Deventer pieczone jest słynne korzenne ciasto o tradycyjnej recepturze, obecnie jedna z najpopularniejszych pamiątek z tego miasta.

- Ale jeśli wasz ojciec pracuje i zarabia pieniądze, w jaki sposób nie trafiają one do wierzycieli?

- Na mocy zawartej wtedy ugody notarialnej został zatrudniony w galerii, której właścicielami byli Tytus i moja matka. Mój ojciec otrzymał wikt i opierunek, za które służył radą oraz świadczył pracę.

- I to jest zgodne z prawem? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Owszem.

- A po śmierci waszej matki i Tytusa wy prowadzicie dalej interes?

- W pewnym sensie. Odziedziczyłam udziały mojej matki w interesie. Oczywiście za wszystkie ważne sprawy odpowiada mój pełnomocnik, malarz Christiaen Dusart. Ale swoje pieniądze możecie oddawać mnie, w końcu to ja razem z Rebeką prowadzę dom i muszę robić zakupy.

Wyciągnęła żartobliwie prawą rękę, a ja, przewracając teatralnie oczami, z udawanym oburzeniem wręczyłem jej guldena. Obydwoje roześmialiśmy się: nareszcie znów beztroski malarz Cornelis Suythof i młoda, ale już nie dziecinna Cornelia van Rijn.

Jakąż złośliwą ułudą potrafi być uśmiech losu! Miałem się tego dowiedzieć jeszcze tego samego wieczoru, po odprowadzeniu Corneli do domu.

Zmierzch jeszcze nie zapadł, ale w otoczeniu Rozengracht, gdzie domy ciasno przylegały do siebie, a ulice były wąskie, nie było już właściwie jasno. Przez cały dzień towarzyszyło mi to dziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje, nawet w czasie pobytu w parku. Ale panował tam taki kolorowa harmider, że wśród tłumu kupców, muszkieterów, żeglarzy, roześmianych dzieci, szacownych i mniej szacownych kobiet, niemożliwe było zidentyfikowanie ewentualnego prześladowcy. Złożyłem w końcu to nieokreślone podejrzenie na karb przewrażliwienia. Ale teraz, gdy szedłem po części cichymi już ulicami, ponownie poczułem na ramieniu chłodną, niewidoczną dłoń, która ostrzegała mnie

przed nieznanym niebezpieczeństwem. A potem usłyszałem też kroki.

Dwukrotnie skręciłem, ale wciąż je słyszałem za sobą, to cichsze, to głośniejsze. Gdy jednak próbowałem spojrzeć znienacka na mojego prześladowcę, nie widziałem nikogo. Zbyt sprytnie krył się w długich cieniach domów. Mijając piekarnię, przed której wejściem ustawiono kilka wielkich skrzyń, podjąłem nagłą decyzję. Szybko przykucnąłem za stosem skrzyń i skuliłem się, jak tylko potrafiłem. Jeśli rzeczywiście ktoś mnie śledził, musiał lada moment przejść obok mnie. Jednocześnie pragnąłem się przekonać, że słyszałem tylko kroki nieszkodliwego przechodnia. Labirynt leżał na obrzeżach Amsterdamu i wielu gości wracało teraz, podobnie jak ja, do miasta.

Ponownie usłyszałem kroki - i podniecony szept. Przestałem już wierzyć w przypadek. Sięgając do kieszeni kurtki po nóż, poczułem, że mam spocone ręce. Trwało chwilę, nim przypomniałem sobie, że podarowałem nóż Rembrandtowi. Przekląłem swoją hojność i głupotę. Bo to była głupota zacząć się na prześladowcę, którego sił nie znałem. Ale było już za późno. Gdybym opuścił kryjówkę, zostałbym niewątpliwie zauważony.

W polu mojego widzenia pojawiło się trzech mężczyzn, którzy wcale mi się nie podobali. Prymitywne typy z zaniedbanym zarostem, jakich spotyka się w portowych spelunkach albo w dzielnicy Jordaan. Przede wszystkim zaś niechętnie stajemy z nimi oko w oko w odludnych miejscach. Nie byłem na pewno słabeuszem, ale bez broni i przeciwko trzem takim opryszkom nie mogłem liczyć na szczęście.

Gdy jeden z nich, szeroki w barach i z prawym policzkiem przeciętym wielką blizną, odezwał się, zniknęła ostatnia resztką nadziei, że to nie ja byłem ich celem.

- Gdzie on się podział? Widziałem go dopiero co przed piekarnią.

- Tu nie odchodzi żadna ulica - zauważył drugi, którego czerwony nos zdradzał zamiłowanie do kieliszka. - Stawiam beczkę gorzałki, że gdzieś tu jeszcze jest.

- To powinniśmy go widzieć - odezwał się trzeci i podrapał się z zakłopotaniem po łysej czaszce.

- Nie, jeśli wszedł do któregoś z domów - odezwał się ten z czerwonym nosem.

- A kto wieczorem wpuszcza obcego do domu? - zdziwił się łysy.

- Może ma tu dziewczynę albo zna kogoś na ulicy – ciągnął czerwono nosy.

Człowiek z blizną, sądząc po postawie - przywódca, rozglądał się w milczeniu. I mimo że coraz bardziej się kulilem, nie mogłem zapobiec nieuchronnemu skrzyżowaniu się naszych spojrzeń. Szeroki uśmiech pojawił się na jego zniekształconej twarzy.

- Patrzcie tylko, kto się tam chowa przed piekarnią! To przecież nasz przyjaciel!

Trójka podeszła do mnie dostojnym krokiem i otoczyła mnie. Ich oczy błyszczały radośnie, jak oczy myśliwego, który osaczył swą zdobycz.

Podniosłem się i nadaremnie rozejrzałem za jakąś bronią. Beznadziejność mojej sytuacji dotarła do mnie, gdy w rękach człowieka z blizną i łysego dostrzegłem noże o długich ostrzach. Czerwono nosy wyciągnął spod kaftana pałkę długości łokcia.

- Czego chcecie ode mnie? - zapytałem i powoli cofnąłem się. - Kto was nasłał?

- Nie trzeba się było na nas zaczynać, pacykarzu - powiedział herszt. - Nie lubimy tego. Gdybyś poszedł sobie dalej, nic by się nie zdarzyło.

Na ich twarzach wyraźnie malowało się radosne oczekiwanie na to, co zamierzali ze mną zrobić. Należeli do ludzi, którzy chętnie i bez trudu znajdowali pretekst do napaści na słabszego, a których czaszki zasługiwały właściwie tylko na roztrzaskanie przez kata.

Gdy dotknąłem plecami ściany, nie miałem się już dokąd cofać.

Obmacywałem rękami ścianę, by znaleźć chociaż obłuzowany kamień, który mógłby mi posłużyć jako broń. Daremnie.

Przygotowałem się już na najgorsze, gdy zabrzmiał głośny okrzyk:

- Hola, co ja widzę? Trzech uzbrojonych ludzi przeciwko jednemu bezbronnemu to chyba niezbyt równy rozkład sił?

Mówiący te słowa nadszedł z tego samego kierunku, co wcześniej moi prześladowcy oraz ja sam, i był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną. Na pierwszy rzut oka można go było wziąć za towarzysza trzech zabijaków, ale tylko na pierwszy. Jego odzież była czysta i porządna, nosił wysoki ciemny kapelusz godnego szacunku mieszczanina, a broda otaczająca podbródek była starannie przystrzyżona. Jego niespodziewane nadejście powitałem z pewną ulgą, ale gdy nie dostrzegłem w jego rękach żadnej broni, zadałem sobie pytanie, czy rzeczywiście nadchodzi mi z pomocą.

Człowiek z blizną zwrócił się do niego bez ceregieli:

- Czego tu szukasz? Odejdź stąd. To nie twoja sprawa!

- Co jest moją sprawą, a co nie jest, o tym decyduję sam, mój panie - odpowiedział nieznajomy z uśmiechem, podchodząc bliżej. - Jeśli widzę trzech łotrów, którzy chcą napaść na uczciwego człowieka, to uważam to za swoją sprawę.

- W takim razie napadniemy na dwóch uczciwych ludzi - odpowiedział człowiek z blizną, wykrzywiając usta w uśmiechu. - Powinieneś być przynajmniej wziąć jakąś broń, zanim się wmisczałeś w cudze sprawy.

Nieznajomy wyciągnął przed siebie ręce, które były naprawdę ogromne i silne.

- Ta broń mi wystarczy.

- Sam tego chciałeś - mruknął człowiek z blizną, wzruszając ramionami.

On i czerwono nosy ruszyli na nieznanego, a łysy dalej groził mi swym długim nożem.

Przed chwilą tak jeszcze spokojny nieznanomy uczynił szybki krok, chwycił prawe ramię czerwono nosego i jednocześnie nacisnął lewą stopą jego prawą łydkę. Efekt był dosłownie powalający. Kompletnie zaskoczony napastnik upuścił pałkę, stracił równowagę i runął na bruk. Gdy rąbnął potylicą w kamienie, rozległ się zdumiewająco głośny trzask i pod czaszką szybko zebrała się kałuża krwi. Wszystko to wydarzyło się błyskawicznie i do tego stopnia zdumiało kumpla powalonego, że zatrzymali się w połowie natarcia.

W dalszej kolejności mój nieznanomy wybawca zbliżył się dwoma krokami do człowieka z blizną i wykręcił mu prawe ramię. Herszt bandytów krzyknął z bólu i upuścił nóż. Krzyk ten zmienił się we wściekłe wycie. Z całą siłą wyrwał się nieznanomemu i chciał rzucić się na niego z zaciśniętymi pięściami. Ten jednak zręcznie zrobił unik, schwytał atakującego za ramiona i biodra i cisnął nim o stos skrzyń. Mężczyzna osunął się na ziemię, a upadające skrzynki zasypały go.

Dziwiłem się jeszcze zręczności mego wybawcy, gdy łysy zaatakował mnie i przycisnął ostrze noża do mojej piersi. Upadłem na ziemię i niechcący podciąłem mu przy tym nogi. Ale w ten sposób go powaliłem. Zanim zdołał się pozbierać, mój wybawca trzymał go już krzepko i zmusił do wypuszczenia noża z ręki.

W tym czasie człowiek z blizną zdołał wygrzebać się spod rozbitych skrzyń i patrzył na nas z gniewem. Nieznanomy odtrącił łysego, który zderzył się ze swoim hersztem.

- Zabierajcie swojego kumpla i wynoście się! Ale już! - zawołał do nich nieznanomy. - Jeśli nie wyniesiecie się natychmiast, oddamy was w ręce straży!

Napastnicy nie czekali ani chwili. Wzięli między siebie mocno krwawiącego towarzysza i pokuśtykali w cień. Zanim zniknęli, przywód-

ca odwrócił się jeszcze raz w naszą stronę i posłał pełne nienawiści spojrzenie.

Mój wybawca podniósł kapelusz, który spadł mu z głowy, i otrzepał go z kurzu.

- Obecnie uliczni rabusie wazą się wpełzać ze swoich kryjówek nawet przed zapadnięciem zmroku. Kiepskie czasy dla uczciwych obywateli.

Nie powiedziałem mu, że nie uważam tych trzech za pospolitych rabusiów. Zdążyłem sobie uświadomić, że śledzili mnie przez cały dzień. Ich przywódca nazwał mnie pacykarzem, a więc wiedział dokładnie, z kim ma do czynienia. Ale jak miałem to wytłumaczyć mojemu wybawcy, skoro sam nie znałem wyjaśnienia.

Podziękowałem więc po prostu za pomoc i dodałem:

- To osobliwe, że nikt nie wyszedł z domu. Narobiliśmy przecież dość hałasu, żeby obudzić pół ulicy.

- To nic dziwnego, raczej normalne, niestety. Ludzie boją się zabijaków i morderców. Są zadowoleni, że nieszczęście przytrafiło się obcemu na ulicy, a nie im samym. A na straż miejską nie można liczyć. Z reguły przychodzą, gdy jest już po wszystkim, i często czepiają się niewinnych.

- Dzięki waszej pomocy wszystko dobrze się skończyło.

- Ale nie zawsze jest w pobliżu ktoś, kto zechce wam dopomóc, mój przyjacielu. Powinniście nauczyć się lepiej bronić. Czy myśleliście już kiedyś o tym, żeby doskonalić się w sztuce zapaśniczej? Ale muszę się pospieszyć. Czeka na mnie słodka ślicznotka, jeśli mnie dobrze rozumiecie. Gdybyście poważnie chcieli zająć się zapasami, przyjdźcie na Prinsengracht do szkoły zapaśniczej Nicolaesa Pettera i zapytajcie o mnie.

Ledwie skończył mówić, ruszył już szybkim krokiem w swoją stronę. Dziewczyna, która na niego czekała, musiała być rzeczywiście słodka. To, że był już w wieku, w którym słodka dziewczyna mogła być śmiało jego córką, zapewne jeszcze uskrzydlało jego pożądanie.

- Stójcie, jak się nazywacie? - zawołałem za nim.
- Kieruję tą szkołą i nazywam się Robbert Cors.

8 TAJEMNICA KOBIET

Ostatnia noc, którą spędziłem w domu wdowy Jessen, była niespokojna. Rozmyślałem o swoich prześladowcach, o ich zamiarach i o tym, kto mógł ich nastać. Ich herszt sam powiedział: gdybym się na nich nie zaczął, nie zaatakowaliby mnie. Zatem mieli mnie tylko obserwować. Dlaczego?

Ponieważ nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź, skupiłem niespokojne myśli na mężczyźnie, który przyszedł mi z pomocą. Robbert Cors... Co za osobliwy przypadek, że w tej ciemnej uliczce spotkałem właśnie człowieka, którego przed tygodniem wspomniał Ossel. Postanowiłem pójść za radą Corsa i odwiedzić go w szkole zapaśniczej. Nie wiedziałem, czy podejmę w niej naukę, ale być może zdołałem się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości Ossela. Byliśmy przyjaciółmi, ale o jego życiu sprzed czasów pracy w Rasphuisie wiedziałem tyle co nic.

Trudno mi było pojąć, że nasz trening zapaśniczy odbył się zaledwie osiem dni temu i od tego czasu tak wiele się wydarzyło: straciłem pracę w Rasphuisie, wdowa Jessen wymówiła mi mieszkanie, mistrz Rembrandt przyjął mnie do terminu - a Ossel został stracony za morderstwo. Ta ostatnia myśl sprawiła, że łzy napłynęły mi do oczu i byłem wdzięczny, gdy w końcu zmorzył mnie sen. Następnego dnia u handlarza owoców z sąsiedztwa pożyczyłem za trzy stuiveiry ręczny wózek i przewiozłem swój skromny dobytek na Rozengracht. Nie miałem tu takich wygod jak u wdowy Jessen. Zająłem jedno z pomieszczeń na piętrze, w których Rembrandt umieścił swoje nowe zbiory osobliwości. Cóż, nie każdy obiecujący młody malarz mógł o sobie powiedzieć, że kładzie

się na spoczynek w otoczeniu orientalnych waz, popiersi starożytnych herosów i wypchanych zwierząt. Gdy rano budziły mnie pierwsze promienie słońca, patrzył na mnie zezowaty niedźwiedź, który wydawał się kpić z tego, że jego sen zimowy trwa dłużej niż mój krótki nocny odpoczynek.

Przez pierwsze dni Rembrandt intensywnie się mną zajmował, wydawało się, że wręcz szuka zleceń, które mógłby mi powierzyć. Być może był to jego sposób pokazania, kto jest mistrzem, a kto uczniem. Musiałem zadbać o to, by znaleźć dość czasu na wykonywanie prac dla marszanda van der Meulena.

Wydawał się zadowolony z portretu Marjon i przyprowadzał mi na Rozengracht kolejne modelki. Wszystkie musiałem malować całkowicie nagie i wszystkie robiły podobne jak Marjon wrażenie: podporządkowywały się nieubłaganemu losowi i czyniły coś, co było właściwie poniżej ich godności. Żadnej z nich nie zobaczyłem ponownie po ukończeniu portretu i żadna nie powiedziała do mnie nic ponad to, co było niezbędne. Po zakończeniu ostatniej sesji wydawało mi się, jakby młodej damy, mojej modelki, nigdy tu nie było. Jedynym dowodem jej istnienia był portret, po który van der Meulen przysłał wkrótce po jego ukończeniu.

Obawiałem się, że obecność tylu młodych dam zirytuje Cornelię, może nawet wzbudzi w niej niechęć, ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, wydawała się uradowana wizytami van der Meulena i często szukała okazji do rozmowy z nim, być może w nadziei, że uzyska dobre ceny na obrazy swego ojca. Handlarz jednak zbywał ją, a raz nawet słyszałem, jak bez ogródek oświadczył biednej Corneli, że jego klientela nie ożywi się na widok płócien Rembrandta. W owej chwili chętnie bym go dzielił pięścią w twarz. Tylko raz, gdy właśnie kończyłem portret Marjon, Cornelia zapytała mnie o modelkę. Gdy odpowiedziałem, że to van der Meulen wyszukiwał kobiety, których nazwisk nawet nie znam, wydawała się wprawdzie trochę zdziwiona, ale zadowolona.

Początkowo prawie nie wychodziłem z domu, chyba że Rembrandt wysyłał mnie, bym coś załatwił. Przy tych okazjach uzupełniałem też swój zasób narzędzi malarskich. Poza tym byłem rad, gdy wieczorem mogłem się położyć do łóżka. Od czasu do czasu, pod okiem mojego przyjaciela niedźwiedzia, czytałem po kawałku książkę, którą sprezentował mi Emanuel Ochtervelt.

Nie odnosiłem wrażenia, bym dziennik był pod jakimś względem dziełem wybitnym. Ale przeczytałem niewiele awanturnicznych opisów podróży, które wywierały takie wrażenie na Ochtervelcie, i dlatego nie mogłem sobie pozwolić na osąd. Wprost przeciwnie, życzyłem sobie, by Ochtervelt miał rację i osiągnął sukces swoją publikacją. Mimo że, mówiąc oględnie, niezbyt ceniał moje obrazy, lubiłem go, a zwłaszcza jego ładniutką córkę, ciemnowłosą Yole.

Fredrik de Gaal odbył na zlecenie Kompanii Wschodnioindyjskiej cztery wielkie wyprawy: dwie jako kapitan i dwie jako starszy kupiec. W swoim dzienniku szczegółowo opisywał jednak tylko pierwszą z tych dwóch ostatnich. Czwartą wyprawę skwitował jedynie kilkoma ogólnymi uwagami i liczbami, które sprawiały wrażenie, jakby zostały przepisane z dziennika okrętowego. Wydało mi się to niezwykle, bo w opisach trzech wcześniejszych podróży starał się jak najbardziej szczegółowo ukazać każdą, najmniejszą nawet przygodę. Mgliście sobie przypominałem, że kiedyś pijany marynarz w portowej knajpie opowiadał, jakoby właśnie ostatnia wyprawa de Gaala wywołała wielkie poruszenie, bo tylko część załogi powróciła do Amsterdamu. Ale nie miałem zielonego pojęcia, czy w tej historii krył się choćby cień prawdy.

Dopiero na początku września znalazłem czas, by wcielić w życie mój plan złożenia wizyty Robbertowi Corsowi. Rembrandt wyszedł załatwić jakąś nieznaną mi sprawę, a Cornelia dała mi

wspaniałomyślnie wolne na resztę dnia. Pogoda nie była już tak ładna jak w sierpniu, ale mimo chmur na niebie nie padało. Wybrałem się na daleki spacer na Prinsengracht, który tylko raz zakłóciło nie-miłe wspomnienie, gdy rzuciłem okiem na dzielnicę farbarzy. Szkoła zapaśnicza mieściła się w dużym budynku, z czego wynioskowałem, że interesy pana Robberta Corsa muszą iść dobrze.

Odźwierny zaprowadził mnie do dużej sali treningowej, w której utrzymywał się ostry zapach potu i ługu. Dwie grupy półnagich mężczyzn pod kierunkiem trenerów wykonywały tu ćwiczenia zapaśnicze. Robbert Cors stał oparty plecami o ścianę i nadzorował przebieg treningu. Jedna z grup wyraźnie składała się z nowicjuszy. Ruchy mężczyzn wydawały się niezborne, a ich trener musiał co chwilę pokazywać te same chwytty. Członkowie drugiej grupy radzili sobie znacznie sprawniej i kładli się wzajemnie na łopatki tak szybkimi ruchami, że prawie nie nadążałem za nimi spojrzeniem. Zafascynowany, obserwowałem ich i wyobrażałem sobie, jak niegdyś młody Ossel Jeuken trenował w tej samej sali.

W którymś momencie Robbert Cors dostrzegł mnie i podszedł z pytaniem w oczach.

- Czy mogę w czymś pomóc, *mijnheer*? Chcielibyście zgłębić sztukę zapaśników?

- Chciałbym się tylko trochę rozejrzeć, jeśli wolno. Sami mnie do tego zapraszaliście, *mijnheer* Cors.

- Ja?

Spojrzał na mnie badawczo, ale wyraźnie nie mógł sobie przypomnieć naszego spotkania.

- Cicha uliczka przy Rozengracht - pomogłem jego pamięci. - Był sierpniowy, niedzielny wieczór i wsparliście mnie w walce przeciwko trzem napastnikom, którzy bez waszej pomocy zrobiliby ze mnie miazgę.

Jego twarz się rozjaśniła.

- A, to wy!

- To ja - uśmiechnąłem się i podałem swoje nazwisko. - Spieczyliście się wtedy tak bardzo, że ledwie zdążyłem wam podziękować. Pragnąłbym to teraz nadrobić.

- A nie chcielibyście się uczyć zapasów? - zahaczył dbały o swe interesy Cors.

- Nie wiem, czy mogę sobie na to pozwolić. Jestem tylko ubogim malarzem.

Skinął głową ze zrozumieniem i zacytował dziecięcy wierszyk:

*Zieleń z liści, błękit z nieba,
Codziennie żebrzę o kromkę chleba.*

Czy naprawdę jesteście aż tak biedni?

- Może nie aż tak, bym musiał żebrać, ale mimo najlepszych chęci nie mogę się nazwać zamożnym. Dlatego będę musiał zrezygnować z pobierania u was nauki, mijnheer Cors. Ale chętnie bym z wami porozmawiał.

- Tak? A o czym?

- O przyjacielu, Osselu Jeukenie.

- Ossel? - twarz Corsa zadrgała zdradziecko. - Jesteście jego przyjacielem? Gdzie on się podziewa? Jak mu się wiedzie?

- Niestety, Ossel nie żyje.

Cors spojrział na mnie zaskoczony. W krótkich słowach opowiedziałem mu, co się wydarzyło.

- To on był tym człowiekiem, którego uduszono przed Ratuszem za zamordowanie kochanki - mruknął Cors. - Oczywiście, że o tym słyszałem, cały Amsterdam mówił o tej historii. Ale nie znałem nazwiska tego nieszczęśnika. Gdybym wiedział, że chodzi o Ossela, to...

- Co byście zrobili? - zapytałem z ciekawością.

Wykonał niezobowiązujący ruch dłonią.

- Ach, nic. Nie mógłbym nic dla niego zrobić. Biedny stary Ossel. Tyle lat. - Nagle wydał mi się bardzo smutny. - Życie zmienia ludzi

i stosunki między nimi, a Bóg jeden wie, że nie zawsze na lepsze. Prawda?

- Macie zapewne rację - przyznałem z ociąganiem, niepewny, do czego zmierza.

- Niestety, mam rację. Ale nie powinniśmy tu kontynuować naszej rozmowy. Zapraszam do mojego kantoru.

Krzyknął do obu trenerów, by prowadzili dalej zajęcia bez niego, i poprowadził mnie do pomieszczenia rozjaśnionego światłem wpadającym przez dwa duże okna. Na ścianach wisiały sztychy ukazujące mężczyzn w różnych pozycjach zapaśniczych.

- Kazałem wykonać tych kilka grafik - wyjaśnił Cors - do książki o sztuce zapaśniczej. Ale te miedzioryty niespecjalnie mi się podobają, są zbyt mało dokładne. Mówiliście, że jesteście malarzem, *mijnheer* Suythof. Może mielibyście ochotę spróbować swych sił przy takich ilustracjach? Cieszyłbym się z waszego projektu.

- Tak, być może - powiedziałem i przemilczałem wobec Corsa, że niezbyt dobrze byłem obeznany z techniką miedziorytu. Chciałem poprosić Rembrandta, by mnie w nią wtajemniczył, a wtedy mógłbym być może przedłożyć Corsowi matrycę. W czasie, gdy jeszcze o tym rozmyślałem, moje spojrzenie padło na olejny obraz, wiszący na ścianie naprzeciw okna. Był to portret kobiety, a jej widok odebrał mi na chwilę oddech.

- Co się stało? Źle się poczuliście? - zapytał Cors.

Pokazałem na obraz.

- Znam tę kobietę.

- Nie sądzę. Umarła przed szesnastu laty. Musieliście jeszcze wtedy być dzieckiem.

- Umarła przed... - wyjąkałem. - Jak to?

- Zaraza zniszczyła jej płuca.

- Kto to był?

- Catryn, córka Nicolaesa Pettera. Ona była powodem, dla którego dobrzy przyjaciele stali się wrogami, albo przynajmniej zaczęli się wzajemnie unikać.

Cors uśmiechnął się z goryczą.

- Od czasów Ewy kobiety przynoszą nieszczęście i spory, a przecież bez nich jesteśmy zgubieni. Nie rozumiemy tego, ale potrzebujemy ich jak powietrza do oddychania. To chyba ich wieczna tajemnica.

- Mówicie o sobie i o Osselu, nie myślę się? Czy zechcecie mi opowiedzieć tę historię?

- Powinniście ją poznać. Ale usiądźcie najpierw i wypijcie ze mną kufel dobrego piwa z Delftu.

Napełnił dwa kubki piwem z cynowego dzbana i usiedliśmy na krzesłach z wysokimi oparciami. Potem opowiedział mi historię dwóch młodych zapaśników, którzy doskonalili się w swej sztuce u mistrza Pettera i wkrótce obaj byli tak dobrzy, że zatrudnił ich jako trenerów w swej szkole.

- I jako możliwych następców - dodał Cors. - Bo obaj wkrótce zakochaliśmy się w ślicznej Catryn i zalecaliśmy się do niej tak, jak tylko wtedy zabiegano w Amsterdamie o względy ładnych dziewcząt.

- I komu okazała przychyłność? - zapytałem.

- Wyglądało na to, że sprzyjała Osselowi. Przebąkiwano już o pierwszych przygotowaniach do ślubu. Prawie już zrezygnowałem z dalszych zalotów, gdy pewnego pięknego letniego wieczoru karta się odwróciła. Ossel pojechał z mistrzem Nicolaesem w interesach do Goudy, a Catryn przyjęła moje zaproszenie na wieczorny spacer do ogrodu Lingelbacha.

W jego oczach pojawił się dziwny odległy blask.

- Tamtego wieczoru wszystko się zmieniło. Byliśmy swobodni i pogodni, roześmiani i rozśpiewani - w którymś momencie uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zaraz po powrocie ojca Catryn i Ossela powiedzieliśmy im o tym.

Nachyliłem się w napięciu do Corsa.

- Jak przyjął to Ossel?

Cors odstawił kubek na wąski i stół i rozłożył swe wielkie ręce bezradnym gestem.

- Trudno to opisać słowami. W jednej chwili zmienił się całkowicie. Z zawsze pogodnego towarzysza, z którym wspólnie wycieliśmy niejednego figla, stał się zgorzkniałym, mrukliwym człowiekiem. Już następnego dnia opuścił nas, mimo że mistrz Petter złożył mu atrakcyjną propozycję. Petter zaproponował mu objęcie wraz ze mną i poprowadzenie po nim szkoły, zupełnie tak samo, jak byłoby, gdyby poślubił Catryn.

- I Ossel to odrzucił?

- Mało tego, nawet dobrze nie wysłuchał tej propozycji. Chciał po prostu tylko odejść precz z tego miejsca i od tej kobiety, którą kochał ponad wszystko. Myśle, że nie mógł znieść bliskości Catryn.

- Czy nie próbowaliście pojednać się z nim?

- Niejeden raz, ale zawsze odmawiał rozmowy ze mną. W jego oczach byłem zdrajcą, złodziejem i nie mogę mu tego brać za złe. Gdy zabiegaliśmy jeszcze o względy Catryn, każdy z nas przyjąłby mężnie jej decyzję. Tak też i ja do tego podszedłem, gdy wydawało się, że to Ossel będzie jej wybrankiem. Ale gdy on i Catryn byli już parą, nasze postępowanie musiało mu się wydać niecnym występkiem. Ale co mieliśmy uczynić? Catryn i ja byliśmy młodzi, a serca płonęły nam od wzajemnej miłości.

Szybko sięgnął po kubek i wychylił go jednym haustem. Jabłko Adam poruszało mu się przy przetykaniu w górę i w dół, a piwo wyciekało kącikami ust. W końcu odstawił pusty kubek, wytarł usta grzbietem dłoni i zapatrzył się na portret. Jego oczy zdawały się spoglądać w inny świat albo w dawno minioną przeszłość.

Ja także obserwowałem portret młodej, jasnowłosej kobiety o zdumiewająco zielonych oczach i z trudem docierało do mnie, co widzę. Ale im dłużej wpatrywałem się w obraz, tym bardziej rozjaśniały się moje myśli. Niejedna sprawa, która w związku z Osselem zawsze wydawała mi się niezrozumiała, stawała się jasna. Uczyłem się rozumieć mojego przyjaciela, mimo że było już na to, niestety, za późno.

- *Mijnheer Cors* - podjąłem wreszcie - powiedzieliście wcześniej, że jestem za młody, by znać kobietę z tego portretu. To prawda i fałsz zarazem. Towarzyszka Ossela, ta kobieta, którą miał zamordować...

- Tak?

- Nazywała się Gesa Timmers i była zaskakująco podobna do waszej Catryn, jak siostra bliźniaczka. Miała takie same wielkie, zielone oczy. Czy Catryn miała siostrę albo kuzynkę?

- O ile wiem, nie. Także nazwisko Timmers nie występuje wśród jej krewnych.

- Zatem to przypadek, że Ossel spotkał kobietę, która była tak bardzo podobna do jego wielkiej miłości, przynajmniej zewnątrz. Wewnątrz Gesa Timmers, którą poznałem, była kobietą zepsutą, chorą i nadmiernie skłoną do alkoholu. Może była jeszcze inna, gdy Ossel spotkał ją po raz pierwszy. W każdym razie rozumiem teraz, dlaczego związał się z kobietą, która obrażała go nawet w obecności przyjaciela. To nie ona, tylko jej wygląd przyciągnął go tak mocno, że wszystko inne straciło znaczenie. Przenosił go w przeszłość i dawał mu poczucie, że został wysłuchany przez ukochaną.

- Wątpliwa pociecha - zauważył Cors.

- Nic więcej mu nie pozostało.

Zapaśnik wstał i podszedł do obrazu. Długo stał przed nim, odwrócony do mnie tyłem. Gdy w końcu spojrzął na mnie, zobaczyłem, że w oczach wielkiego, silnego mężczyzny błyszczą łzy.

- Aby oddać sprawiedliwość Osselowi, muszę jeszcze coś dodać - usłyszałem jego ochryply głos. - Źródłem jego rozgoryczenia była nie tylko domniemana zdrada, której ja - a w jego oczach może także i Catryn - dopuściłem się wobec niego. Catryn umarła kilka miesięcy po ślubie i zabrała ze sobą do grobu nasze nienarodzone dziecko. Wtedy jeszcze raz odwiedziłem Ossela i starałem się z nim pogodzić. Ale było jeszcze gorzej niż poprzednio. Wyrzucił mnie i doszło prawie do rękoczynów. Dlaczego? Zarzucał mi, że byłem winien śmierci Catryn, że nie

dość dobrze chroniłem ją przed zarazą. Wtedy tego nie rozumiałem, ale dziś wiem, że tej winy doszukiwał się właściwie u siebie. Być może wyrzucał sobie, że nie dość mocno walczył o Catryn. Musiał wierzyć, że u jego boku byłoby jej dane żyć dłużej. Nierozsądne myśli, zrodzone z bólu, musiały go wprost pożerać. Potrząsnął głową.

- Ale że zamordował tę Gesę, nie chce mi się pomieścić w głowie.

- Nie jestem przekonany o jego winie.

- Co macie na myśli? - zapytał Cors i usiadł ponownie.

Był bardzo szczery i wzbudził moje zaufanie. Opowiedziałem mu więc o zaginionym obrazie i moim uporczywym, chociaż niejasnym podejrzeniu.

Cors patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ale obraz to tylko przedmiot. Nie żyje, nie myśli, nie czuje i nie działa.

- Znam malarzy, którzy inaczej mówią o swoich dziełach - powiedziałem i dodałem: - Niestety, nie mogę lepiej uzasadnić swojego podejrzenia. Ale gdy tylko będzie to możliwe, dojdę do tego, co ten obraz ma w sobie. Musi być przecież jakiś powód, że zniknął tak krótko po śmierci Gesy Timmers.

- Oczywiście, tu macie rację. Czy odkryliście już coś?

- Nie, miałem na razie niewiele czasu.

Tak było faktycznie. Moje początkowe przypuszczenie, że obraz mógł pochodzić z pracowni Rembrandta albo - co bardziej prawdopodobne - któregoś z jego uczniów, jak dotąd się nie potwierdziło. Przeszukałem pomieszczenia w domu przy Rozengracht od piwnicy po dach, ale nie odkryłem malowidła, które kolorystycznie przypominałoby „śmiercionośny obraz”, jak go w myślach nazwałem. Błękit nie należał po prostu do palety Rembrandta. Ani razu nie zlecił mi zakupu ultramaryny, która jest potrzebna do zmieszania niebieskiej farby. Jedyne błękit, jaki był w domu, należał do mnie i służył mi przy malowaniu moich portretów.

- Jeśli się czegoś dowiecie, *mijnheer* Suythof, powiedzcie mi o tym koniecznie - poprosił Cors. - Chciałbym okazać się pomocny w waszych poszukiwaniach.

- Dlaczego?

- Może dlatego, że chcę wyrównać dług. Ossel i ja byliśmy kiedyś jak bracia. Powinienem był pojednać się z Osselem za życia, teraz mogę już tylko postarać się o oczyszczenie jego pamięci z tej winy, którą, jak przypuszczacie, niesłusznie go obciążono.

Jego oczy zwięziły się, gdy spojrzał na mnie badawczo.

- Tych trzech łotrów przy Rozengracht nie napadło na was przypadkiem. Czy nie zostali na was nastani?

- Wypowiadacie głośno to, co ja sam przypuszczam. Ale nie wiem tego na pewno.

- Tak czy owak, powinniście się przygotować do odparcia następnego ataku! Wtajemniczcie was w zasady zapasów. I biada wam, jeśli zaoferujecie mi za to choćby jednego stuivera!

I tak owego popołudnia, płacąc za to kilkoma upadkami i siniakami, poznałem podstawowe chwytty zapaśnicze. Raz udało mi się nawet tak dobrze zastosować dopiero co zdobytą wiedzę, że przerzuciłem mojego mistrza przez plecy. Wylądował bokiem na ziemi. Gdy z troską dopytywałem, czy nic mu się nie stało, odpowiedział z uśmiechem, że prawidłowe padanie jest częścią nauki i pokaże mi to na następnym treningu. Po jakimś czasie nie byłem już taki pewien, czy powaliłem go rzeczywiście swoją zręcznością, czy może Cors okazał tylko życzliwość.

Mimo siniaków opuściłem budynek szkoły w dobrym nastroju. Możliwość podzielenia się z kimś rozważaniami na temat śmierci Ossela przyniosła mi pewną ulgę. Jednocześnie dowiedziałem się wiele o zmarłym przyjacielu, co skłoniło mnie do zastanowienia. Chmury się przerzedziły i wrześnie słońce oświetliło wszystko przyjaznym blaskiem. Siadłem więc na drewnianej ławie przed gospodą przy

Prinsengracht, zamówiłem dzban piwa, wypożyczyłem od gospodarza dobrą fajkę i obserwując ruch na ulicy oraz na kanale, pozwoliłem myślom błądzić swobodnie.

Obciążone ładunkiem łodzie zatrzymywały się przed składami kupieckimi, a z wysuniętych poza linię fasady szczytów spuszczano haki służące do podnoszenia towarów z pokładu lub ich opuszczania. Były tam beły sukna oraz skrzynie i beczki, o których zawartości spekulowałem w myślach. W przywożonych skrzyniach mogły być cenne przyprawy z Indii lub korek z Portugalii, a w beczkach hiszpańska małaga lub brabantkie piwo. W ekspediowanych skrzyniach spodziewałem się tekstyliów do Anglii bądź tytoniu przeznaczonego dla Lewantu, w beczkach zaś bordeaux podążającego do Szwecji lub win reńskich dla Rosji. Spoglądając w ślad za łodziami, kierującymi się na północ w stronę portu, przypominałem sobie propozycję Emanuela Ochtervelta, bym wyruszył na morze, i nagle nie wydała mi się już ona tak osobliwa.

Ogarnęła mnie ogromna tęsknota i wyobraziłem sobie wszystkie te obce miasta, kraje i wyspy, do których zawijały niderlandzkie statki: Batawia na Jawie, Malakka i Cejlon, Celebes, Sumatra, Mauritius, Surinam, Moluki czy Kraj Przylądkowy. Miejsca, których nazwy i położenie zaledwie znałem. Może właśnie dlatego poruszyły we mnie nieznaną dotąd strunę. Zobaczyłem w wyobraźni tubylców porozumiewających się w obco brzmiących językach i pomyślałem o zwierzętach oraz roślinach, jakich moje oko dotąd nie oglądało. Oczywiście, z podróżą w obce kraje wiązało się wiele niebezpieczeństw: huragany, gorączka tropikalna, piraci i drapieżne zwierzęta. Ale tylko ten, kto stawiał im czoło, mógł odkryć nowy świat i otworzyć sobie perspektywę nowego życia.

Tu, w Amsterdamie, nic mnie nie trzymało i - musiałem to przyznać - nic nie wróżyło mi świetlanej przyszłości. Młodych malarzy bez środków do życia można było spotkać na każdym rogu ulicy. Tylko nielicznym moim rówieśnikom udawało się osiągnąć pozycję powszechnie cenionych mistrzów, a nawet gdy ją zdobyli, nie było żadnej gwarancji

trwałego szczęścia. Potwierdzał to los Rembrandta. Mogłem wprawdzie równać się z większością malarzy w moim wieku i z moją pozycją, ale czy byłem Rubensem albo Fransem Halsem, a może Janem Steenem czy Govaertem Flinikiem¹⁰?

Po raz pierwszy zwątpiłem w swoją karierę malarza. Może dlatego, że wreszcie poważnie się nad nią zastanowiłem. W bardzo wczesnej młodości poświęciłem się malarstwu, bo byłem w tej sztuce naprawdę biegły i zyskałem pochwały za swe pierwsze dzieła. Ale prawdziwe życie nie składało się tylko z pochwał przyjaciół, krewnych i kilku nauczycieli, którzy znali mnie od dzieciństwa.

Na morzu, za wyspą Texel stały na kotwicach wielkie statki handlowe, które już wkrótce miały wyruszyć w nieznane mi części świata. Czy nie powinienem także zwrócić tam swych kroków, postawić stopy na nieznanym lądzie, zanim przekonam się, jak chcę pokierować swym życiem? Amsterdam z ciasno zabudowanymi ulicami i ruchliwymi kanałami wydał mi się nagle strasznie mały i zatłoczony, jakby chciał mnie zgnieść, pogrążyć i na zawsze zamknąć mi oczy na świat.

Tamtego popołudnia, wzburzony wewnątrz, powziąłem decyzję o opuszczeniu Amsterdamu i poszukiwaniu szczęścia w jakimś z miejsc, których obco i obiecująco brzmiące nazwy zapowiadały przygody i niebezpieczeństwa. Wcześniej musiałem tylko oczyścić imię Ossela.

Zadowolony z tego postanowienia, które w końcu otworzyło w moim życiu jakąś perspektywę, rozprostowałem nogi, oparłem się plecami o ścianę gospody i ponownie pozwoliłem błędzić spojrzeniu. Zastanawiając się nad tym, kto z przechodniów mógł już być w odległych krajach, zauważyłem młodą kobietę, zmierzającą do oka załogę

¹⁰ Peter Paul Rubens (1577-1640), Frans Hals (1582/3-1666), Jan Steen (ok. 1625-1679), Govaert Flinck (1615-1660), wybitni malarze niderlandzcy okresu baroku. Rubens jest przedstawicielem szkoły flamandzkiej, pozostali - holenderskiej.

kupieckiego domu po mojej lewej stronie. Być może moją uwagę przyciągnęły początkowo rude loki, być może rozpoznałem słomkowy kapeluszek z błękitną wstążką. Gwałtownie pochyliłem się do przodu, osłoniłem oczy przed promieniami zachodzącego słońca i patrzyłem w ślad za kobietą.

- Niewiasta rzadkiej urody, gdyby mnie kto pytał – zabrzmiał mi w uszach nieznanym głosem. - Bardzo elegancka i uwodzicielska zarazem. Niestety, jestem już za stary i zbyt brzydki dla tej ślicznotki. I za biedny.

Komunikat pochodził od wychudzonego, starszego mężczyzny, który siedział na sąsiedniej ławie nad pustym kubkiem i żuł wygasłą fajkę. Pomarszczona, wygarbowana wiatrem twarz zdradzała starego żeglarza. Liczne drobne fałdki wokół oczu pochodziły od długotrwałego spoglądania pod słońce i wypatrywania łądu lub jego pierwszej zapowiedzi - krążącej nad falami mewy.

- Henk Rovers - przedstawił się stary. - Na wszystkich morzach jak w domu, ale w Amsterdamie u siebie.

- Cornelis Suythof, jeszcze nie wychyliłem się zbyt daleko poza Amsterdam — odpowiedziałem, nie spuszczać z oczu nieznaną.

- Ale macie oko na urodę tego świata - zakpił Rovers. - Patrzeć na małą van Riebeeck to prawdziwa przyjemność, prawda?

- Znać tę kobietę?

Skinął głową.

- Jest córką kupca Melchiora van Riebeecka. Ma na imię Louisa, jeśli się nie mylę. Patrzcie, zaraz wejdzie do jego domu!

Rzeczywiście, kobieta, którą znałem jako Marjon, weszła po schodach na podest przed drzwiami wielkiego domu i zniknęła pod zadaszeniem.

- Czysta rozkosz dla oczu kogoś takiego jak my, i, niestety, nic więcej - westchnął marynarz. - Nie chcę was oczywiście obrazić, Suythof, ale nie wyglądacie na takiego, który ma kieszenie wypchane monetami.

Spojrzałem na niego w uśmiechem.

- Umiecie dostrzec prawdy tego świata, Henku Rovers. Skąd wiecie tyle na temat van Riebeecka i jego córki?

- Siedzę tu prawie codziennie, więc słyszy się to i owo. A o Riebeecku ostatnio wiele mówiono.

- Co takiego?

Rovers wydal chrapliwy dźwięk, pomasaował sobie grdykę i spojrział tęsknym wzrokiem na pusty kubek przed sobą.

- Nie lubię gadać o suchym pysku.

Zamówiłem jeszcze jeden dzban, przesiadłem się do stołu Roversa i czekałem, aż świeże piwo zwilży mu gardło.

Wkrótce opowiedział mi o kupcu Riebeecku i prześladowającym go w ostatnim czasie pechu. Statek, w którym miał udziały, załadowany towarami z Przylądka ¹¹, zatonął w czasie sztormu na krótko przed powrotem. Drugi statek, w który zainwestował, został między Makasarem i Mataramem napadnięty przez piratów, splądrowany i spalony. Aby wyrównać sobie straty, van Riebeeck oddał się śmiałym spekulacjom na giełdzie.

- Ale przesadził i zapłacił za to dosłownie całym majątkiem i dobytkiem - ciągnął Rovers.

- Jak to? Jego córka weszła przecież dopiero co do tego wielkiego domu?

- Tak, to w tej całej historii jest najdziwniejsze - powiedział Rovers z namysłem i wychylił kubek. - Nikt nie stawiał na pana Melchiora van Riebeecka złamanego stuivera, żaden bank nie chciał mu udzielić kredytu. A potem nieoczekiwanie, kilka dni przed licytacją domu, miał dość pieniędzy, by spłacić długi.

- Może znalazł jednak życzliwy bank - stwierdziłem.

Rovers wykrzywił twarz w lekceważącym grymasie.

- Banki wkładają swoje pieniądze tylko tam, gdzie pieniądze już są, albo skąd mogą się przynajmniej spodziewać obfitych odsetek.

¹¹ Przylądek Dobrej Nadziei.

O Melchiorze van Riebeecku nie można było powiedzieć ani jednego, ani drugiego. Tu, w dzielnicy, przebąkuje się coś o prywatnym pożyczkodawcy, który miał go uratować.

- Z jakiego powodu?

- Zadajecie pytania, na które wróble wam nie odpowiedzą. W każdym razie wygląda na to, że van Riebeeckowi znowu powodzi się dobrze. Nagle sąsiedzi ponownie zaczęli mu się kłaniać i powiadają, że jego córka wkrótce wyjdzie za mąż za Constantijna de Gaala. A to najlepsza partia w Amsterdamie dla kupieckiej córki!

Rovers postarał się, by w dzbanku nie pozostała ani kropla piwa, potem wstał i pożegnał się.

- Muszę jeszcze iść do portu, spotykam się tam z przyjaciółmi.

Z tym słowy oddalił się wzdłuż Prinsengracht w kierunku portu i zostawił mnie zbitego z tropu. Kobieta, której akt malowałem kilka tygodni temu, miała wkrótce poślubić jednego z najbogatszych ludzi w Amsterdamie? Potrząsnąłem głową, zapłaciłem rachunek i poszedłem w stronę domu, który według Roversa należał do kupca Melchiora van Riebeecka.

W ostatnich tygodniach natykałem się na wiele osobliwości i tajemnic. Nadszedł czas, by rzucić na nie trochę światła. Chciałem zacząć od młodej kobiety, którą znałem pod imieniem Marjon.

Nie dając posłuchu wewnętrznym wątpliwościom, wspiałem się po schodach wiodących na podest, na którym obfitość marmuru świadczyła o zamożności właściciela, i pociągnąłem za sznur dzwonka. Służąca w białym fartuszu i takimż czepku otworzyła drzwi, a ja zapytałem o Louise van Riebeeck.

- A czego chcecie od młodej pani? - zapytała starsza kobieta tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do jej oceny mojej osoby.

- Chciałbym z nią porozmawiać - odparłem i podałem nazwisko.

- Powiedzcie jej po prostu, kto przyszedł.

- Zaczekajcie!

Zatrzasnęła mocno drzwi i po dwóch lub trzech minutach wróciła w towarzystwie mojej rudowłosej znajomej.

Louisa odwróciła się do swej towarzyszki i powiedziała:

- W porządku, Jule, możesz nas zostawić samych.

Służąca rzuciła mi sceptyczne spojrzenie i zniknęła w głębi domu.

- To naprawdę wy! - powiedziałem, wciąż jeszcze oszołomiony.

- Gdy jakiś czas temu przeszliście obok mnie, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Jak mam się do was zwracać?

- Najlepiej wcale nie - odparła i wyciągnęła mnie z podsienia przed dom. - Nie powinniście tu przychodzić. Co za głupi zbieg okoliczności, że mnie znaleźliście!

- Nie chciałem was wprawiać w zakłopotanie - zapewniłem ją. - Ale wasz widok obudził moją ciekawość. Nie rozumiem tego wszystkiego.

- Nie musicie - powiedziała zdecydowanym tonem. - Dostaliście swoją zapłatę nie tylko za malowanie, ale także za milczenie. Więc dochowajcie go!

Nie mówiąc nic więcej, odwróciła się i weszła z powrotem do domu. Stałem jak błązen. Gdy ponownie wyszedłem na ulicę, stała tam młoda kobieta z koszem na zakupy na ramieniu i czekała na mnie z wyrazem oczu, w którym było tyle samo zdumienia, co gniewu.

- Cornelio, co tu robisz? - zapytałem zaskoczony.

- Ponieważ dałam wam dziś wolne, sama robię niektóre zakupy. Nie wiedziałam, co ważnego macie tu do załatwienia. Oczywiście nie musicie mi zdawać rachunków, ale nie rozumiem, dlaczego mnie okłamujecie.

- Co macie na myśli?

- Gdy jakiś czas temu zapytałam was o wasze, hmmm, nagie modelki, powiedzieliście, że nic o nich nie wiecie, nawet nie znacie ich nazwisk. Jak to się więc dzieje, że odwiedzacie te kobiety w domu?

- Tak, to był dziwny przypadek... - próbowałem wyjaśniać.

Cornelia machnęła ręką.

- Nie wikłajcie się w jeszcze więcej kłamstw! Jak powiedziałam, nie jesteście mi winni żadnych wyjaśnień. Do widzenia.

Z podniesioną głową odmaszerowała, a ja przypominałem sobie słowa Robberta Corsa: „Nie rozumiemy ich, ale potrzebujemy ich jak powietrza do oddychania. To chyba ich wieczny sekret”.

9 MALARZ I JEGO DZIEŁO

20 września 1669

Od niespodziewanego spotkania przed domem kupca Melchiora van Riebeecka stosunki między mną i Cornelia wyraźnie się ochłodziły. Cornelia, mówiąc obrazowo, schodziła mi z drogi, a gdy mieliśmy coś do omówienia, starała się czynić to możliwie jak najkrócej. Tamten wieczór w Labiryncie, gdy byliśmy sobie tak bliscy, wydawał się nieskończenie odległy.

Louisa - czy raczej Marjon, jak w duchu nadal ją nazywałem - najwidoczniej nie powiedziała Martenowi van der Meulenowi o naszym ostatnim spotkaniu. W każdym razie jego zachowanie wobec mnie nie uległo najmniejszej zmianie. Spełniałem swoje obowiązki jako uczeń Rembrandta i wykonywałem zlecenia van der Meulena. W wolnym czasie odwiedzałem szkołę zapaśniczą i Robbert Cors pokazał mi wiele przydatnych chwytów. Po treningu siadywałem przed gospodą i spoglądałem na dom kupca van Riebeecka, ale nie zobaczyłem już ponownie Louisy. W sumie mogłem być zadowolony ze swojego bytowania, nie dawała mi tylko spokoju myśl, że nie posuwam się ani kroku naprzód w dochodzeniu w sprawie krwawego czynu Ossela i zaginionego obrazu.

Nie umiem powiedzieć, dlaczego w końcu zacząłem malować z pamięci kopię zaginionego płótna. Może kierowała mną obawa, że upływ czasu do tego stopnia zatrze moje wspomnienia, że wrażenie śmiertcionośnego obrazu całkowicie zaniknie. Może było to po prostu zwątpienie wynikające z faktu, że nie mogłem natrafić na ślad obrazu i jego tajemnicy. Trudno się było spodziewać czego innego: kopia była bardzo niedokładna. Zbyt krótko widziałem oryginał, by zapamiętać wszystkie szczegóły. Dotyczyło to przede wszystkim twarzy. Rysy mistrza farbiarskiego Gijsberta Melchersa mogłem jeszcze odtworzyć w pamięci, ale twarze jego dzieci i żony były całkowicie wytworem mojej wyobraźni. A mimo to, gdy skończyłem pracę nad kopią, jej wrażenie jednoznacznie przywodziło na myśl oryginał. Pochlebiałem sobie, że dość dobrze uchwyciłem nawet grę światła i cieni, która przypominała mi dzieła mojego mistrza, Rembrandta. Jednak błękit, w którym utrzymane były stroje i tło, nie odpowiadał oryginałowi, mimo że bardzo się starałem odtworzyć odcień. Albo nieznany malarz użył proszku, którym nie dysponowałem i którego nie mogłem zdobyć u amsterdamskich handlarzy, albo uzyskał swój błękit, mieszając inne barwniki. Próbowałem dziesiątek połączeń, ale nie udało mi się utrafić we właściwy odcień.

Mimo to byłem dość zadowolony ze swego dzieła. Zostawiłem je w moim pokoju przy Rozengracht, nakryte chustą i pilnowane przez wypchanego niedźwiedzia, gdy późnym popołudniem wyruszyłem na Prinsengracht, by odbyć kolejną lekcję pod okiem Robberta Corssa.

Tego dnia nauczyłem się nurkowania pod ramieniem przeciwnika i odwracania się szybkim ruchem za jego plecami, tak by schwycić go od tyłu i móc szybkim rzutem powalić na ziemię. Mistrz wydawał się zadowolony z moich postępów, a ja zacząłem sobie zadawać pytanie, czy nie byłem lepszym zapaśnikiem niż malarzem. Po treningu siedzieliśmy jeszcze przed pobliską gospodą nad dzbanem piwa i Cors

opowiadał mi o tamtych czasach, w których on i Ossel byli jeszcze dobrymi przyjaciółmi i przepelniało ich uczucie, że jeśli tylko się postarają, świat będzie należał do nich.

Pożegnaliśmy się jak zwykle przyjaźnie i Cors powrócił do szkoły. Akurat gdy chciałem także odejść, mój wzrok padł na mężczyznę, który czekał przed wejściem do domu kupca Melchiora van Riebecka, a którego znałem aż nazbyt dobrze. Maerten van der Meulen niecierpliwie spacerował przed domem, aż wreszcie wyszła z niego córka kupca. Ukryłem się za pnem wielkiej lipy i obserwowałem, jak marszand prowadzi Louise do oczekującego wynajętego powozu. Nie umiałem znaleźć wyjaśnienia tej sytuacji. Czy van der Meulen zamawiał portrety młodej kobiety także u innych malarzy? Nie, odpowiedziałem sam sobie. Słońce już chyliło się ku zachodowi i najlepsza pora do malowania minęła. Gdy powóz ruszył, nie zastanawiając się długo, pobiegłem za nim.

Na ulicach Amsterdamu panował ożywiony ruch, a mosty nad kanałami stanowiły wyjątkową przeszkodę dla przemieszczających się pojazdów. Dlatego nie miałem trudności ze śledzeniem powozu, mimo że odbył drogę przez pół miasta. Podróż zakończyła się przy szerokiej Anthonisbreestraat. Po zapłaceniu woźnicy van der Meulen i Louisa zmierzali w stronę jednego z domów rozpusty, których nie brakowało w tej okolicy. Był to szantan¹²; dźwięki muzyki, głośny śpiew i śmiechy docierały na zewnątrz.

Przed wejściem stał wykidajło, potężny typ z imponująco szeroką klatką piersiową. Mustrował przybywających badawczym spojrzeniem. Jego twarz rozjaśniła się, gdy zobaczył, kogo ma przed sobą. Niestety, z mojej kryjówki za wysoką beczką na deszczówkę po drugiej stronie ulicy nie słyszałem rozmowy van der Meulena z odźwiernym, w każdym razie marszand i jego towarzyszka nie weszli do lokalu przez główne

¹² Szantan - lokal, w którym odbywają się występy muzyczne i taneczne.

wejście, ale zniknęli w wąskim, ciemnym zaułku, oddzielającym budynek od sąsiedniego domu.

Porzuciłem swoją kryjówkę i powlokłem się ulicą w stronę szantanu. Wykidajło spojrział na mnie równie badawczo jak poprzednio na oboje przybyszów. Jego porwana porami twarz i skołtunionie włosy pod krzywo nasadzoną czapką sprawiały wrażenie zaniedbanych. Pasowałby do tych trzech zabijaków, którzy przed miesiącem deptali mi po piętach. Ale może takie odpychające typy były potrzebne do ochrony zamieszkańców przed niepożądaną gawiedzią.

- W środku trwa już niezła zabawa - powiedziałem z uwodzicielskim uśmiechem. - Czy możecie polecić ten lokal?

- Wam nie - odpowiedział marszcząc nos. - Szantan jest przeznaczony dla innej publiczności.

Zrozumiałem aluzję.

- Myślicie, że nie mam dość w kieszeni, by zapłacić za wino? Mylicie się. Mam pieniądze, nawet dla was! - Z tymi słowami podsunąłem mu pod nos guldena.

Popatrzył na moją rękę z monetą, a potem z pogardą w oczach spojrział mi prosto w twarz.

- Idźcie lepiej do portu. Tam jest dość knajp, w których dostaniecie tanie wino. Tu nie jesteście mile widziani. Wynoście się!

To było jednoznaczne. Wetknąłem monetę z powrotem do kieszeni i oddaliłem się jak zbity pies, ale tylko do najbliższego rogu. Tam przykucnąłem za łukiem bramy i obserwowałem, jak lokal stopniowo wypełniał się gośćmi. Rzeczywiście byli to wyłącznie zamożni goście, zapewne głównie kupcy i wyżsi urzędnicy. Odźwierny wprawnym okiem od razu rozpoznał, że z pewnością nie należą do tego kręgu. Ale nie zamierzałem tak łatwo zrezygnować, bo wciągnęła mnie tajemnica otaczająca piękną Louise.

Gdy zrobiło się ciemniej, wykorzystując cień budynku podkradłem się w pobliże zaułka, w którym zniknęli Louisa i jej towarzysz.

Wcześniej zebrałem kilka kamyków, które rzuciłem teraz na przeciwną stronę ulicy, tak że uderzyły w ścianę podsienia. Hałas wzbudził ciekawość odźwiernego, który przeszedł przez ulicę, aby sprawdzić, co się dzieje. Dało mi to dość czasu, by wśliznąć się do zaułka. Gdy wykidajło potrząsając głową, wrócił na swój posterunek, dawno już wchłonął mnie mrok zaułka.

Między wysokimi budynkami było dość ciemno. Musiałem wysoko zadzierać głowę, by dostrzec jasny pas nieba. I cuchnęło niewymownie ludzkimi odchodami i odpadkami. Oddychałem więc przez usta i posuwałem się ostrożnie przed siebie, aż dotarłem do bocznego wejścia do szantanu.

Czy van der Meulen i Louisa weszli do budynku tymi drzwiami? Mogłem się tego tylko domyślać. Drzwi okazały się zamknięte, więc chwilowo poszedłem dalej. Zaułek kończył się wysokim murem i nie odkryłem żadnych innych drzwi czy załomu, zatem marszand i córka kupca musieli skorzystać z położonych w głębi bocznych drzwi do lokalu.

Cofnąłem się ukradkiem do bocznego wejścia i pod kurtką wy dobyłem nóż, który należał do jednego z trzech napastników. Od tego wieczora nosiłem go zawsze przy sobie, wychodząc z domu. Wprawdzie, jak zapewniał mnie Robbert Cors, czyniłem szybkie postępy w sztuce zapaśniczej, ale ostra klinga dawała mi dodatkowe poczucie bezpieczeństwa. Byłem wszystkim, tylko nie doświadczonym włamywaczem, i nie czyniłem sobie wielkich nadziei, gdy zaczynałem zmagać się z zamkiem za pomocą noża. Nawet gdybym widział więcej, niż mogłem w mrocznym zaułku, musiałem ograniczyć się do niezręcznego gmerania.

Tym bardziej byłem zaskoczony, gdy zamek już po krótkiej chwili ustąpił - w gruncie rzeczy zdumiało mnie to i przeraziło. Bo zdałem sobie sprawę, że właśnie złamałem prawo, i wyobraziłem sobie siebie pod pręgierzem albo - co gorsza - zamkniętego za karę w Rasphuisie, wystawionego na szyderstwa dawnych kolegów i tych pensjonariuszy,

których kilka tygodni wcześniej sam nadzorowałem.

Ale cóż przyszloby z ociągania się? Teraz, gdy się już włamałem, nie mogłem się wycofać, tym bardziej że odzwierny dostrzegłby mnie wychodzącego z zaułka. Schowałem więc nóż, wszedłem do domu i ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Cicho skrzypnęły i mogłem tylko mieć nadzieję, że nikt tego nie usłyszał.

W pozbawionym okien wnętrzu było jeszcze mroczniej niż na zewnątrz w zaułku. Wchodząc, zauważyłem zarysy jakichś skrzyń i beczek, z czego wywnioskowałem, że jestem w magazynie. Głosy i dźwięki muzyki dobiegały do moich uszu, ale tak wymieszane, że nie mogłem nic zrozumieć. Z wyprostowanymi ramionami posuwałem się po omacku przed siebie i stłumiłem przekleństwo, gdy mimo wszelkiej ostrożności uderzyłem czołem o niski strop. Chociaż poruszałem się wolno, zabołało potężnie.

W końcu namacałem drzwi i uchylilem je nieznacznie. Za nimi znajdowało się pomieszczenie z podestem i schodami, nie było w nim nikogo. Mogłem je rozpoznać, bo znajdowało się w nim okno wychodzące na Anthonisbreestraat. Odkryłem kolejne drzwi i przytknąłem do nich lewe ucho. Dotarł do mnie śpiew z wielu gardeł, niezbyt piękny, ale głośny: znana piosenka o cierpieniach żeglarza, który zbyt długo przebywa daleko od swej narzeczonej. Za drzwiami musiała znajdować się główna sala szantanu, którą powinienem omijać, jeśli nie chciałem się zetknąć z wykidajką.

Wspiąłem się zatem po schodach, których deski skrzypiały niemal co drugi stopień. Gwar zagłuszał jednak te dźwięki. Górny podest schodów przechodził w długi korytarz, oświetlony licznymi lampami oliwnymi. Ściany między drzwiami po obu stronach korytarza były ozdobione obrazami, a gdy wreszcie znalazłem się w miejscu, z którego mogłem je obejrzeć, zaparło mi dech: były to moje dzieła!

Co najmniej część portretów wyszła spod mego pędzla. Były to obrazy, które namalowałem dla Maertena van der Meulena.

Także płótna niebędące moimi dziełami przedstawiały akty młodych kobiet. W sumie mogło ich być około tuzina. Zdumiony patrzyłem na tę obsceniczną galerię; rzadko się zdarza, by malarz był tak bezradny w obliczu własnych dzieł.

Oczywiście, zastanawiałem się, co van der Meulen zamierzał zrobić z moimi obrazami. Skoro dobrze mi płacił, musiał mieć odbiorców portretów nagich młodych dam. Myślałem o wąskim kręgu koneserów, ale w tej chwili musiałem przyjąć do wiadomości, że jedynym zainteresowanym tego rodzaju dziełami był nieznan mi właściciel tego szantanu. Najwyraźniej obrazy miały działać pobudzająco na klientów. Granica między szantanami i zamtuzami była płynna; widocznie wylądowałem w domu uciech dla panów z wyższych sfer. Na dole weselono się przy muzyce i tańcach, a od czasu do czasu panowie wchodzili na górę, by zabawić się z młodymi kobietami.

Do tego punktu sprawa była jasna. Ale dlaczego takie kobiety z dobrych domów, jak Louisa, pozowały do obrazów, których ujawnienie zrujnowałoby ich reputację, a w skrajnym przypadku mogło spowodować ich umieszczenie w Spinhuisie, przedzalni, żeńskim odpowiedniku Rasphuisu, gdzie przez ciężką pracę nawracano na ścieżkę cnoty niewiasty, które z niej zesły. Na pewno nie było to przyjemne miejsce, a już z pewnością nie dla dobrze urodzonej kobiety. I dlaczego van der Meulen przywiózł Louise do tej budy? Czy chciał skonfrontować ją z jej własną hańbą, może coś na niej wymusić?

Kroki i głosy dwóch wchodzących po schodach mężczyzn wyrwały mnie z bezowocnej kontemplacji. Szybko pobiegłem w głąb korytarza, aż znalazłem wnękę, w której stał naturalnej wielkości marmurowy posąg nagiej kobiety. Nie, to nie była zwykła kobieta: łuk i kołczan zdradzały boginię łowów Dianę. Kobieta czy bogini, posąg był moją jedyną nadzieją na kryjówkę i skuliłem się za nim, jak mogłem najbardziej. Z zapartym tchem tkwiłem za posągiem i miałem nadzieję, że córka Jupitera i Latony tym razem nie potwierdzi swej sławy

niszczycielki i bogini śmierci.

W jednym z mężczyzn nadchodzących korytarzem rozpoznałem Maertena van der Meulena; drugiego, z którym prowadził ożywioną rozmowę, nie znałem. Był szczupły i tak wysoki, że mimo lekko przygarbionej sylwetki wydawał się wielki. Ciemny strój z szeroką białą kryzą świadczył o wysokim pochodzeniu, wąska, prawie zapadnięta twarz miała w sobie rys ascezy.

Zupełnie nie robił wrażenia człowieka, który szuka zaspokojenia w domu rozpusty, wprost przeciwnie. Podobnie wyobrażałem sobie religijnego fanatyka, najostrej potępiającego cielesne rozkosze. Jego blada skóra wydawała się cienka, prawie przezroczysta, jakby ktoś zadał sobie wiele trudu, by naciągnąć pergamin na wystające kości policzkowe. Oczy miał osadzone głęboko, co wzmacniało jeszcze podobieństwo jego twarzy do trupiej czaszki. Jego głos także zwracał uwagę: był ochryple i przenikliwy. Gdy przeszedł obok mnie, mimowolnie skuliłem się jeszcze mocniej w obawie, że trupia czaszka mogłaby się odwrócić w moją stronę i odkryć moją obecność.

Ale nieznamy nie szukał intruza, był pogrążony w rozmowie z marszandem. Tematem było malarstwo i farby, van der Meulen wymienił nazwisko Rembrandta. Niestety, usłyszałem za mało, by móc uchwycić sens rozmowy. Kusiło mnie, by pójść za nimi, ale to było by zbyt niebezpieczne. Mogłem mówić o szczęściu, że nie odkryli mnie w mojej żałosnej kryjówce.

Poza tym zaledwie zniknęli, usłyszałem ponownie kroki i głosy na schodach. Tym razem rozmawiali mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna był ogromnej postury. Najwidoczniej wypił również ogromne ilości czerwonego wina, na co wskazywała bełkotliwa mowa, chwiejny chód i wielkie czerwone plamy na kryzie. Był modelowym przykładem wypasionego mieszczaucha, któremu bogactwo wylewa się ustami, nosem i uszami.

Kobieta u jego boku miała już swoje najlepsze lata za sobą, ale to nie powstrzymało jej od obwieszania się biżuterią i kolorowymi wstążkami. Gorset zasnuwała tak ciasno, że piersi wylewały się z głębokiego dekoltu. Nie bez powodu przypomniały mi się dziwki, które, przyciągnięte przez licznych gości Labiryntu Lingelbacha, miały swój rewir wokół Rozengracht. Kobieta o metalicznym głosie, która zbliżała się ku mnie u boku tłuściocha, mogła być rajfurką tego niezbyt szacownego przybytku.

Oboje zatrzymali się w przedniej części korytarza i mężczyzna iskrzącym się wzrokiem spoglądał na portrety.

- I wszystkie są do wzięcia? - zapytał z pełną radości nadzieją w głosie.

- Jeśli są dziś wieczorem na miejscu, tak. Jesteście pierwszym klientem, więc macie pierwszeństwo wyboru.

- Pierwszeństwo wyboru - powtórzył i powoli przeszedł wzdłuż korytarza z wzrokiem wlepionym w obrazy.

Gdy znalazł się obok mnie i zachwiał, przeraziłem się, że obali posąg Diany, pozbawiając mnie osłony. Ale w ostatniej chwili się opanował, oparł ręką o ścianę i głośno beknął. Rozszedł się ostry, budzący mdłości odór wina. Grubas kontynuował obchód i w końcu pokazał na portret jasnowłosej, pulchnej kobiety. Była trzecią z kolei modelką, którą przyprowadził do mnie van der Meulen. Przedstawił mi ją imieniem Claertje, ale było na pewno równie fałszywe, jak w przypadku Marjon.

- Chcę tej - powiedział jak dziecko, które dostrzegło łakocie.
- Czy jest na miejscu?

Rajfurka zaśmiała się.

- Macie szczęście, *mijnheer*. Czy mogę pogratulować wyboru?
Proszę za mną.

Z tymi słowy poprowadziła go do pokoju po mojej lewej stronie. Wstrząśnięty, cofnąłem się. Moje ponure przypuszczenie co do celu obrazów właśnie się potwierdziło. Właściwie wolałbym chyba, by ta tajemnica pozostała nieodkryta. Czułem nieodpartą potrzebę pójścia za rajfurką i

jej klientem oraz spuszczenia obojgu solidnego lania, ale oczywiście to ja zasługiwałem na lanie za własną głupotę.

Rajfurka wyszła z izby i wrzuciła kilka monet do wyszywanej perłkami sakiewki, po czym podeszła do schodów i zniknęła z mojego pola widzenia. Przesunąłem wzrokiem po drzwiach wzdłuż korytarza i wyobraziłem sobie zamknięte za nimi kobiety. Jedną z nich była Louisa, to nie ulegało wątpliwości. Ogarnęły mnie wstyd i bezsilna wściekłość.

Pospieszyłem ku schodom, aby opuścić ten dom. W podnieceniu zapomniałem o ostrożności, ale niezauważony dotarłem do ciemnego zaułka i wyszedłem na Anthonisbreestraat.

- Hej, kto tam jest? Znam cię przecież! Jeszcze się tu pętasz?

Wykidajło!

Co za głupiec ze mnie! Nie pomyślałem, że zobaczy mnie, gdy wyjdę z zaułka. W innych okolicznościach przyszedłby mi do głowy jakiś sprytny wykręt, ale moje myśli były do tego stopnia zaprzątnięte odkryciem sprzed kilku minut, że stałem tylko u wylotu zaułka i gapiłem się na niego.

Wykonał jakiś gest i ruszył ku mnie szybkim krokiem.

- Czekaj no! Już ja ci wygarbuję na skórze, że tu się nikt bezkarnie nie szwenda!

Groźnie rozczapierzone palce nie pozostawiały wątpliwości, co do sposobu owego garbowania.

Gdy był już tylko o krok albo dwa ode mnie, obudziłem się z otępienia i przypomniałem sobie, czego nauczyłem się u Robberta Corrsa. Ugiąłem kolana, znalazłem się za plecami odźwiernego, chwyciłem go prawą ręką za przedramię, a lewą poderwałem mu nogę do tyłu. Ciężki mężczyzna stracił równowagę, uderzył czołem o ścianę budynku i padł na ziemię jak ubity niedźwiedź.

Rana na czole krwawiła, ale nie wyglądała groźnie. Obmacując ją, patrzył na mnie zaskoczony.

„Pora znikać”, pomyślałem, i wziąłem nogi za pas. Biegłem w półmroku Anthonisbreestraat i słyszałem za sobą wołania wykidajły o pomoc. Nie oglądając się ani razu w stronę szantanu, skręciłem za najbliższy róg, umknąłem z Anthonisbreestraat i zagłębiłem w labiryncie uliczek i zaułków, klucząc w nich tak długo, aż mogłem być pewien, że zmyliłem wszelką możliwą pogoń.

Wyczerpany, zatrzymałem się i rozejrzałem wokoło, chwytając powietrze. Uliczny gwar, który mnie otaczał, wydał mi się całkowicie obcy. Było tu wiele gospód, ale żadna nie była tak okazała jak szantan. Mijali mnie prości ludzie, wielu równie pijanych, jak opasły mieszcuch, ale wydawali mi się sympatyczniejsi. Może dlatego, że na ich widok nie ogarniało mnie poczucie winy.

Z ciemności bramy wjazdowej wychynęła ku mnie kobieta.

- Jesteś tu całkiem sam, skarbie? Jeśli chcesz, dotrzymam ci towarzystwa.

Chrypliwy głos należał do wyraźnie podstarzałej dziwki. Pod oczami miała głębokie cienie, a usta wydawały się mniej czy bardziej bezzębne. Na czole pysznił się wielki skrofuł. Zdecydowała się szczerze zaprezentować swoje wątpliwe wdzięki i rozsznurowała gorset. Błysnęły ciężkie i smutno zwisające piersi.

Odwróciłem się z obrzydzeniem, poszedłem do najbliższej gospody, znalazłem wolne miejsce i zamówiłem mocną gorzałkę, aby zagłuszyć wściekłość. I na jednej szklance się nie skończyło.

Gdy wróciłem na Rozengracht, zbliżała się już północ. Straż nocna dawno wyruszyła na patrole i zważałem pilnie, by jej nie napotkać, bo podobnie jak każdy o tak późnej porze winienem mieć ze sobą latarnię, a nie miałem.

Już na Rozengracht omal nie wpadłem w ramiona patrolu. Na szczęście latarnia jednego ze strażników ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem. Przykucnąłem za pniem drzewa i obserwowałem przechodzących tuż obok mnie strażników. Rozmawiali o niepokojach w domu

jakiegoś malarza. Wyraźnie widziałem ostrza ich szpad połyskujące w świetle księżyca. Cornelia przywitała mnie w drzwiach, ku mojemu zdumieniu nie w nocnej koszuli, tylko w kompletnym stroju. Była wyraźnie wzburzona.

- Gdzie podziewaliście się przez cały wieczór? - zaatakowała mnie.

- A co was to obchodzi? - odpaliłem i dopiero w tej chwili zauważyłem, że wódka splątała mi język.

- Jesteście pijani, Cornelisie Suythof! Czy wy, mężczyźni, nie znacie innej przyjemności, jak tylko odurzać się trunkiem, który mąci rozum?

- Owszem - odpowiedziałem z nagłą skłonnością do grubiaństwa. - Jeszcze przyjemniej jest wrócić wieczorem do domu i nie być przywitany przez zrzędzącą babę.

Rumieniec gniewu wypełził na twarz Cornelii.

- Jak śmiecie tak do mnie mówić, po tym gdy haniebnie zaniedbaliście swe obowiązki?

- Jakie obowiązki? Załatwiłem wszystko, co mi polecono.

- Ale nikt wam nie pozwolił pozostawać tak długo poza domem. Nie przyszło wam do głowy, że możecie być tu potrzebni?

- Komu? Wam?

- Mojemu ojcu.

Ton Cornelii, mimo mojego zamroczenia, zmusił mnie do posłuchu. Pojąłem, że z Rembrandtem było coś nie w porządku.

- Czy coś mu się stało?

- Można to tak wyrazić. On też się spił i omal się nie utopił. Na szczęście patrol nocny usłyszał, jak wpada do kanału i...

- Do kanału? - przerwałem ze zgrozą i starałem się wyobrazić sobie przebieg wydarzeń.

Skinęła głową i dopiero teraz zauważyłem jej bladość.

- Do Rozengracht, niedaleko naszego domu. Jeden ze strażników wyciągnął go w ostatniej chwili. Kilka sekund dłużej i mój ojciec by utonął.

- To fatalnie - powiedziałem. - Ale nie widzę powodu, dla którego ja miałbym być temu winien.

- Nie? No to chodźcie ze mną.

Poszedłem za nią na piętro, do izby, która służyła Rembrandtowi jako część jego składu osobliwości, a mnie jako sypialnia. Cornelia miała w ręku jedynie cienką świeczkę, ale nawet jej słabe światło wystarczyło, bym cofnął się, jakby odbity od niewidzialnej ściany. Ze zdumieniem patrzyłem na obraz zniszczenia. Wiele osobliwości rzucono ze stołów, dwa czy trzy popiersia i wazy były rozbite. Wypchany niedźwiedź także leżał na podłodze i przypominał mi wykidajkę z szantanu, na którym ćwiczyłem moje postępy w zapasach. Całość robiła wrażenie, jakby przeszedł tędy szaleniec.

Moje sztalugi także były przewrócone i z przerażeniem dostrzegłem podarte płótno. Z mojej reprodukcji śmiercionośnego obrazu pozostały tylko niezliczone drobne strzępy.

- To był wasz obraz, prawda? - zapytała Cornelia.

- Słusznie, był. Co się stało?

- Wróciwszy wieczorem do domu, ojciec przyniósł nowy eksponat do kolekcji. Tureckie nakrycie głowy, tak powiedział. Poszedł ze swoją zdobyczą na górę. Wkrótce potem Rebeka i ja usłyszałyśmy, jak szaleje. Natychmiast wbiegłyśmy na górę. Wykrzykiwał głośno i przeklinał was za ten obraz - wskazała na nędzne resztki. - Szarpał płótno jak opętany. Potem wyszedł z domu, nie zamieniając z nami ani jednego rozsądnego słowa. Musiał się upić w którejś gospodzie. A w drodze powrotnej wpadł do kanału.

- Przeklinał mnie? Dlaczego? Co mówił?

- Niewiele dało się zrozumieć. Mówił coś o wiarołomstwie i zdradzie oraz że jesteście przeklętym szpiclem. Co miał na myśli, Cornelisio? Ten obraz, co się za nim kryje?

Potrząsałem głową.

- Nie umiem wam tego powiedzieć, Cornelio. Sam tego nie wiem dokładnie. Ale niezależnie od tego, jaka tajemnica się w tym kryje, im mniej będziecie wiedzieć, tym lepiej.

Zesztywniała i spojrzała na mnie wyzywająco.

- Nie mogę znieść tych waszych tajemnic! Przez was, przez ten obraz, mój ojciec omal nie stracił życia.

- Jak się teraz czuje? - zapytałem.

- Ma gorączkę, ale śpi. Doktor van Zelden dał mu proszek, który pomógł mu zasnąć.

- Van Zelden? Kto to taki?

- Zamożny lekarz z Kloveniersburgwal, który od kilku miesięcy troszczy się o mojego ojca. Nieodpłatnie, bo ceni jego obrazy. Kupił już od nas kilka rycin i jeden czy dwa obrazy olejne. Posłałam po niego i natychmiast przyszedł.

Jej pełen wyrzutu ton był adresowany do mnie, bo nie było mnie, gdy tak pilnie potrzebowała pomocy.

- Czy mogę zobaczyć waszego ojca? - zapytałem. - Proszę!

- Pod warunkiem, że będziecie cicho i nie zbudzicie go.

Obiecałem jej to i zeszedliśmy na parter. Cornelia zaprowadziła mnie do małego pokoju, w którym zwykle sypiała. Teraz na wąskim łóżku leżał jej ojciec, a Rebeka siedziała obok na krześle, spoglądając na niego z troską. Zapadnięta twarz mistrza wyglądała spokojnie, ale było to złudzenie, maska snu. Opowieść Corneli o jego wybuchu kazała myśleć o najgłębszym wzburzeniu. Teraz miałem pewność, że istniał związek między nim a zaginionym obrazem. Jakiego rodzaju związek, tego musiałem się jeszcze dowiedzieć.

Zostawiliśmy Rebeke samą ze śpiącym i usiadłem przy dużym stole w salonie. Cornelia przyniosła mi z kuchni coś do jedzenia: ser i kawałek zimnego mięsa. Do tego mleko o lekko kwaskowym smaku, który mi jednak nie przeszkadzał. Wlałem w siebie dość wódki jak na jeden wieczór. Jadłem i słuchałem, jak amsterdamskie dzwony biją północ.

Cornelia spokojnie i wyczekująco siedziała naprzeciw mnie. Ponownie zachwyciłem się jej postawą. Oczywiście, była zdenerwowana, w przeciwnym razie nie zarzuciłaby mnie wyrzutami w chwili powrotu,

ale szybko się opanowała. Szybciej niż niejedna kobieta. Światło jedynej świecy, palącej się na stole, nadawało jej lokom rudawy połysk. Promieniował od niej spokój dojrzałej niewiasty, która nawykła stawiać czoło życiowym burzom.

I była piękną, nie tylko ładną dziewczyną. Jej duże, lśniące niebieskie oczy umiały tak uważnie patrzeć na mężczyznę, że to spojrzenie przenikało jego duszę. Poruszała się z naturalną swobodą, która wprost magicznie przyciągała mój wzrok, gdy wykonywała najprostsze czynności, a jej, mimo młodego wieku, bardzo kobiece kształty czyniły z tego obrazu ucztę dla oczu. Nieraz marzyłem, by zanurzyć twarz w jej złocistych włosach, wciągnąć w nozdrza jej zapach i zespolić się z nią.

Złapałem się na poważnej próbie wyobrażenia sobie, jak mógłby się czuć mężczyzna przy jej boku. W następnym momencie karciełem już sam siebie za te mrzonki. Czyż nie postanowiłem dopiero co możliwie jak najszybciej opuścić Amsterdam i wyruszyć w szeroki świat? Pozbawiony środków do życia malarz w dalekiej podróży nie był chyba właściwym mężczyzną, na którego czekałaby Cornelia.

Gdy się najadłem, odsunąłem talerz, spojrzałem jej przeciągle w oczy i powiedziałem:

- Wasz ojciec słusznie nazwał mnie szpiclem. Przyszedłem do waszego domu, by dowiedzieć się czegoś o pewnym obrazie. Obrazie, który, jak sądzę, kosztował życie mojego przyjaciela.

Jej pytające spojrzenie zdradziło mi, że moje słowa zdumiały ją. Opowiedziałem więc jej całą historię, począwszy od doprowadzenia farbiarza Melchersa do Rasphuisu aż do osobliwych odkryć, których dokonałem tego wieczoru w szantanie przy Anthonisbreestraat.

- Widzicie więc, że niekoniecznie mam szczęście — zakończyłem nie bez goryczy. - Przynajmniej nie wtedy, gdy chodzi o przeznaczenie moich dzieł. Jedne służą grzesznym celom, inne padają ofiarą napadu szału mojego mistrza.

- To niezwykła historia - westchnęła Cornelia.
- I komu to mówicie? Nie pogniewam się, jeśli mi nie uwierzyście.

- Ale ja wam wierzę. - Pierwszy raz tej nocy uśmiechnęła się do mnie. - Nie podejrzewam was o taką fantazję, byście to wszystko wymyślili, Cornelisie.

I natychmiast ponownie spoważniała.

- Wasza opowieść rodzi wiele pytań, a najbardziej mnie interesuje, co ma z tym wspólnego mój ojciec.

- W każdym razie zna ten morderczy obraz, w przeciwnym razie nie wściekłyby się tak dziś wieczorem. Trzeba pamiętać, że mój obraz był tylko raczej gorszą niż lepszą kopią, malowaną z pamięci. Pomimo to wasz ojciec od razu go rozpoznał. A poza tym przykryłem go płótnem.

- Możliwe, że ojciec niechcący je stracił, gdy szukał miejsca na tureckie nakrycie głowy. A co zamierzaliście zrobić z obrazem, Cornelisie?

Wzruszyłem ramionami.

- Może dokładnie to samo, co się stało. Czy możecie dopuścić myśl, że wasz ojciec jest autorem oryginału?

- Niemożliwe. Mój ojciec nie używa błękitu. W całym domu nie znajdziecie dosyć barwnika, żeby namalować taki obraz, chyba że we własnych zasobach.

Chciałem w zwątpieniu uderzyć pięścią w stół, ale opamiętałem się, gdy przypomniałem sobie o śpiącym obok Rembrandcie.

- Ta cała historia przypomina mi Labirynt Lingelbacha. Im dalej wnika się w głąb sprawy, tym głębiej się w nią wikła i tym bardziej odległe wydaje się wyjście.

- Pomyślcie o tym, że w Labiryncie wyjście jest często bardzo blisko, nawet jeśli się go na razie nie widzi.

- Pomyślę - obiecałem.

- Czy zameldujecie władzom o tym, co odkryliście?

- A co miałbym zameldować? Że malowałem portrety nagich kobiet i znalazłem je w miejscu rozpusty? A gdzie indziej miałyby wisieć? Jeśli chodzi o Louise van Riebeeck, nie odniosłem wrażenia, by została doprowadzona do szantanu siłą.

Cornelia schwyła moją prawicę i ścisnęła ją oburącz.

- Obiecujcie mi, że będziecie mnie wspierać w tej sprawie, Cornelisie. Boję się o ojca. Wydaje mi się, że wdał się w coś, co przeraża nas wszystkich.

- Nie opuszczę was ani waszego ojca, jak długo będę potrzebny. Ale obawiam się, że moje dni u was są policzone. Gdy ojciec się obudzi, z miejsca wymówi mi dom.

- To zmartwienie pozostawcie mnie.

- Chętnie, mimo że nie podoba mi się myśl, że pomnażam wasze zmartwienia.

Życzyłem Corneli i dobrej nocy i poszedłem na górę. Tam zrobiłem pobieżnie porządek, o ile było to możliwe o tej późnej porze, i ustawiłem mojego milczącego przyjaciela w niedźwiedzim futrze na miejscu. Odniosłem wrażenie, że spojrzał na mnie z wdzięcznością.

Zaledwie zdążyłem się położyć, drzwi uchyliły się z lekkim skrzypieniem. Zaskoczony, otworzyłem oczy. W słabym świetle księżycy, wpadającym przez okno, zarysowały się kształty kobiety w nocnej koszuli.

Cornelia.

Z wahaniem podeszła do łóżka, z niespodziewanie nieśmiałym wyrazem oczu. Nie była już kobietą, która mierzy się z wszystkimi wyzwaniem twardego życia, tylko młodzieńką Cornelia, poszukującą pociechy i pomocy. Tylko tego? „Nie tylko” - odpowiedziałem sam sobie, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały.

- Czy mnie przyjmiesz, Cornelisie? - zapytała cicho.

Zamiast odpowiedzi odsunąłem się na bok, o tyle, o ile pozwalało na to wąskie łóżko, i zapraszająco uniosłem kołdrę.

Wsunęła się pod nią i przytuliła do mnie. Dopiero teraz zauważyłem, że drży. Wziąłem ją w ramiona, ogrzałem własnym ciałem i pocałowałem delikatnie jej nabrzmiałe usta.

Gdy Cornelia namiętnie oddała pocałunek, poczułem, jak budzi się we mnie zapomniane od dawna uczucie. To nieokiełznane poczucie szczęścia, jakie odczuwa dziecko w ramionach matki, i które pojawia się coraz rzadziej w miarę poznawania świata i ludzi.

10 HISTORIA LOUISY

21 września 1669

- Ojciec chce z tobą mówić, Cornelisie.

Gdy Cornelia przekazywała mi następnego ranka tę wiadomość, nie robiła bynajmniej wrażenia wesołej.

Siedziałem właśnie w kuchni przy śniadaniu i zapytałem:

- Czy czuje się już lepiej?

- W każdym razie wystarczająco dobrze, żeby się na ciebie wściekać. Lepiej będzie, jeśli od razu ze mną pójdziesz, w przeciwnym razie gotów jeszcze wstać z łóżka, żeby cię zwymyślać. A doktor van Zelden zalecił mi na dziś absolutny spokój i wypoczynek w łóżku.

Odłożyłem z powrotem na stół nóż i szynkę, z której chciałem właśnie odkroić gruby plaster, i poszedłem za Cornelia. W korytarzu przed kuchnią wziąłem ją w ramiona i pocałowałem w czoło.

Uśmiechnęła się do mnie, ale upomniała mnie:

- Lepiej tego nie rób w obecności ojca! On jeszcze nic nie wie o naszym szczęściu.

- Zgoda, nie będziemy go niepotrzebnie denerwować.

Rembrandt spoglądał na nas z łóżka wyczekująco. Z jego gniewnego spojżenia mogłem wywnioskować, że za chwilę spadną na mnie gromy.

- Możesz odejść Cornelio - powiedział krótko.
- Córka nie wykazywała ochoty opuszczenia pokoju.
- Chciałabym zostać. To, co macie do omówienia, dotyczy także mnie.
- Co takiego? Suythof jest moim uczniem.
- Ale w tym domu ja prowadzę interesy.
- Więc dobrze, jeśli o mnie chodzi - burknął stary człowiek i wyprostował się w łóżku, jakby chciał spojrzeć mi prosto w oczy.
- Cornelisie Suythof, jeszcze dziś opuścicie ten dom! Powód doskonale znacie, więc nie musimy o tym rozmawiać, a już na pewno nie w obecności Cornelii!
- Powinniście o tym rozmawiać właśnie w mojej obecności - sprzeciwiła się Cornelia. - Co to ma wspólnego z tym niebieskim obrazem? Kto go namalował?
- Rembrandt potarł siwe kosmyki na brodzie i zastanowił się. Nie wydawał się zadowolony z tego, że jego córka była wtajemniczona w sprawę. Nawet więcej, sprawiał wrażenie przerażonego, nawet jeśli starał się to ukryć.
- Obraz jest dziełem Suythofa, wiesz przecież. Stał na jego sztalugach.
- Nie traktuj mnie jak głupiego dzieciaka, ojcze! Obraz Corneliisa Suythofa był namalowaną z pamięci kopią. Chcę wiedzieć, kto jest autorem oryginału. Jeden z twoich dawnych uczniów? Cornelis powiedział, że obraz był utrzymany w tonacji niezwykłego błękitu, ale poza tym był całkowicie w twoim stylu.
- Nie znam obrazu, o którym mówisz.
- Podszedłem blisko jego łóżka i zapytałem:
- Jeśli nie znacie oryginału, dlaczego moja kopia tak bardzo was rozgniewała, że musieliście ją zniszczyć?
- Bo to był żaloszny obraz! Obelga dla każdego przyzwoitego malarza. I jeszcze utrzymana w obrzydliwym błękitcie. Jeśli malujecie takie rzeczy, Suythof, nie macie za grosz talentu! Przykro mi, ale nie będę miał z was pożytku.

- A więc nie mam talentu. I zauważyliście to po miesiącu mojego pobytu w waszym domu?

- Już wcześniej nie byłem o was najwyższego zdania, ale istniała szansa, że tli się w was odrobina talentu. Chciałem wam dać okazję do rozwinięcia go.

Westchnął i z pewną przesadą wyrócił oczami.

- Nadaremnie. Nie ma czego rozwijać, pojąłem to wczoraj, widząc wasze niezwykle niebieskie dzieło.

Podjąłem wyzwanie.

- Marszand Maerten van der Meulen ceni mnie wystarczająco, by płacić mi po osiem guldenów za obraz.

- Osiem guldenów, a nie więcej? - zakpił Rembrandt. - Za dobre dzieło szanowany malarz może żądać tysiąc guldenów, dwa tysiące, a nawet więcej.

- Ale są także malarze, którzy muszą ogłaszać upadłość - odparowałem równie szyderycznym tonem.

Cornelia skuliła się, jakby od niewidzialnego uderzenia, i od razu pożałowała swoich słów. Nie zastanowiłem się, że zranię nimi nie jej ojca, ale ją samą.

- Nie będę się wdawać z wami w spór na temat waszego malarstwa, Suythof - oświadczył Rembrandt. - Jeśli uważacie, że możecie zarabiać na życie, malując portrety nagich kobiet, proszę bardzo! Mnie się w każdym razie nie przydadacie.

- To wyjaśnijcie mi, proszę, jedno - powiedziałem, starając się stłumić wściekłość z powodu lekceważącego tonu, jakim do mnie przemawiał. - Dlaczego nazwaliście mnie szpiclem?

- Tak powiedziałem? - potrząsnął głową, aż długie, siwe włosy przeleciały z jednej strony na drugą. - Nie przypominam sobie.

- Dajmy spokój - wtrąciła się Cornelia. - Powinieneś odpocząć, ojczu. Doktor van Zelden odwiedzi cię dziś w południe. Jeśli nie chcesz już Cornelisa jako ucznia, zatrzymam go w domu jako pomocnika.

- Jako pomocnika do czego?

- Do codziennej pracy w galerii. Dostarczania zamówień albo zanoszenia obrazów do oprawy, robienia zakupów i tak dalej. Wcześniej wiele spraw załatwiał Tytus...

- Tak, Tytus... - Rembrandt zamknął oczy i oparł się na poduszkach. - Jestem zmęczony, chcę spać.

Wyszliśmy z sypialni i przeprosiłem Cornelie, że tak ostro naskoczyłem na jej ojca. Ale sposób, w jaki wypowiadał się o moim talencie, rozgniewał mnie. Poza tym nie ulega dla mnie wątpliwości, że wie coś o morderczym obrazie.

- Też tak sądzę, ale czy mam własnego ojca nazwać kłamcą?

- Tego od ciebie nie wymagam. Ale proszę cię, informuj mnie, jeśli zauważysz coś niezwykłego. Nie wolno ci myśleć, że w ten sposób zdradzasz ojca. Wręcz przeciwnie, myślę, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Ten błękitny obraz nie przynosi szczęścia. Być może powinienem się cieszyć, że zniknął, i nie zajmować się już tą historią.

- Nie wolno ci przestać - powiedziała Cornelia. - W przeciwnym razie sprzeniewierzyłbyś się pamięci przyjaciela. Ale jedno musisz wiedzieć: nawet jeśli nie jesteś już uczniem mojego ojca, tylko moim pracownikiem, nie możemy wypłacać ci wynagrodzenia. Tak dobrze nam się nie wiedzie w interesach.

- Nigdy nie przyjąłbym od ciebie pieniędzy, Cornelio.

- Wikt i opierunek masz oczywiście bezpłatnie.

- Nie, zapłacę ci za to.

Spojrzała na mnie zalotnie.

- A jeśli i ja nie przyjmę od ciebie pieniędzy?

- To dostaniesz co innego - odpowiedziałem i pochyliłem się nad nią, by ją pocałować.

Cornelia tak naprawdę nie potrzebowała pomocnika w swoich codziennych zajęciach, to było dla mnie jasne. Zawsze doskonale sobie ze wszystkim radziła i tak byłoby nadal. Miałem uważać na jej ojca i ze względu na nią byłem gotów chętnie to czynić. Gdy o niej myślałem, serce biło mi

szybciej. Osłabło także postanowienie opuszczenia Amsterdamu. Czy rzeczywiście do rozpoczęcia nowego życia potrzebne mi było oddalenie? Czy osoba, którą kocha się z całego serca i która to uczucie odwzajemnia, nie jest bramą do nowego życia?

Zadawałem sobie te pytania, przystępując do porządkowania nieładu, który pozostawił Rembrandt w izbie na piętrze. Zmiotłem skorupy i rozmieszałem trochę kleju, by połatać skórę mojego kudłatego przyjaciela, który ucierpiał nieco przy upadku. Gdy właśnie zacząłem sklejać strzępy mojego zniszczonego obrazu, usłyszałem na dole głosy, a wśród nich ochrypliły męski głos, który nie należał do nikogo z domowników, a który wydał mi się skądś znajomy.

Z ciekawością podszedłem do schodów, ale zatrzymałem się na górze i obserwowałem, jak Cornelia odprowadza do drzwi wysokiego, chudego mężczyznę. Nie tylko głos obudził we mnie wspomnienia, poznałem także lekko zgarbioną sylwetkę i zapadnięte policzki.

- Kto to był? - zapytałem, gdy tylko Cornelia pożegnała gościa.

- Antoon van Zelden, lekarz, który opiekuje się ojcem. Opowiadałam ci o nim. - Cornelia spojrzała na mnie promiennie. - Mówi, że ojciec powinien się trochę oszczędzać, a wkrótce jego stan się poprawi. I zostawił lekarstwo, nie żądając za nie ani grosza.

- Ten doktor van Zelden jest naprawdę wspaniałomyślny - powiedziałem z przekąsem.

Cornelia potarła czoło.

- Co masz przeciwko niemu?

- Trudno mi zaakceptować człowieka, który wygląda jak chodząca śmierć. Takie wrażenie prześladowuje mnie już od wczorajszego wieczora.

- Wczorajszego wieczora? Co masz na myśli?

- Van Zelden był tym człowiekiem, którego widziałem w szantanie, gdy rozmawiał z van der Meulenem.

Czy to był przypadek, że lekarz i handlarz obrazów spotkali się w szantanie? Nie wierzyłem w to, bo powoli odzwyczajałem się od wiary w przypadki. Wszystko, co przydarzyło mi się w minionym tygodniu, miało ze sobą związek. Było jak podarta sieć, której splątane nici musiały zostać ponownie splecione. Dotychczas udało mi się połączyć tylko nieliczne wątki i większa część tej sieci tworzyła z pozoru nieprzenikniony chaos. Van Zelden był jednym z luźnych wątków. Jedno wydawało mi się jednak pewne: jego zainteresowanie Rembrandtem wykraczało daleko poza zainteresowania konesera sztuki i lekarza.

- Jesteście nieuważni, Cornelisie. Coś wam siedzi w głowie. Jeśli się nie pozbieracie, nie zdołam was niczego nauczyć.

Tak ganił mnie Robbert Cors tego samego dnia po południu, gdy dziewięć- czy dziesięciokrotnie daremnie próbowałem obronić się przed jego atakiem.

- Wybaczcie, mistrzu Cors, ale dzisiaj nasz trening chyba nie ma sensu. Jestem myślami zupełnie gdzie indziej.

- Przy Osselu Jeukenie?

- Także. Trudno powiedzieć. W ostatnim czasie zdarzyło się kilka osobliwych rzeczy. Muszę wyjaśnić jeszcze parę spraw.

Cors przeszedł do kąta sali treningowej, zacerpnął wody z małej beczki i pociągnął długi łyk.

- Jeśli dojdziecie do jakiegoś wniosku, dajcie mi znać, Cornelisie. Moja propozycja pomocy pozostaje aktualna.

Podziękowałem mu i także napiłem się wody. Potem ubrałem się i wyszedłem na ciepłe jeszcze wrześnie słońce. Przed gospodą siedział jakiś człowiek, który skinął na mnie ręką. Poznałem Henka Roversa, którego od naszej pierwszej rozmowy spotkałem jeszcze dwa czy trzy razy. Wydawało mi się, że mnie lubi, i zawsze chętnie zamieniał ze mną parę słów. Przysiadłem się do niego i zamówiłem dla nas dzban przedniego piwa.

- Właśnie przed chwilą przyszedł małżonek odprowadził rudowłosą piękność do domu - oświadczył stary żeglarz po pierwszym łyku.

- Co macie na myśli, Henk?

- Nie pamiętacie już naszej rozmowy o pięknej córce kupca van Riebeecka?

- Oczywiście!

- No więc właśnie podjechał paradny powóz z herbem rodzowym de Gaalów. Siedzieli w nim młody de Gaal i Louisa van Riebeeck. Paniczek odprowadził narzeczoną do domu i odjechał. W sobotę u de Gaalów ma być wielkie przyjęcie. Stary chce oficjalnie ogłosić zaręczyny syna z córką van Riebeecka.

Podniosłem kufel w toaście i powiedziałem:

- Jesteście dobrze poinformowani o tym, co dzieje się w wyższych sferach.

- Wyższe sfery, też coś! Tylko dlatego, że mają więcej pieniędzy, nie są przecież niczym lepszym od nas. Jeśli chodzi o robienie dzieci, to kupieckie córki tak samo rozkładają nogi jak portowe dziewczki, a Constantijn de Gaal też musi wtedy spuścić spodnie.

- To prawda, Henk, ale te spodnie są dość kosztowne, uszyte według najnowszej francuskiej mody.

Rovers zaśmiał się kpiąco, a ja patrzyłem na dom van Riebeecków i zastanawiałem się. Dotychczas Louisa zachowywała się wobec mnie dość wyniośle. Czy miałem wobec niej jakieś zobowiązania tylko dlatego, że obiecałem van der Meulenowi nie dowiadywać się o modelki? Chyba nie, zostałem przecież wciągnięty w tę historię bez jakichkolwiek wyjaśnień, o co tak naprawdę chodzi. Raczej byłem zdania, że wszyscy, którzy ukrywali przede mną jakieś sekrety, byli mi winni wyjaśnienia.

Wyjąłem z kieszeni mały notesik i ołówek i na czystej kartce napisałem następujące słowa:

Gratulacje z okazji spodziewanych zaręczyn. Może przed tym ważnym wydarzeniem moglibyście, pani, wyjaśnić coś jeszcze komuś, kto

niedawno nie znał nawet waszego imienia. Jeśli tak, oczekuję was przy Mewiej Baszcie. CS.

Mewia Baszta była starą wieżą strażniczą przy Prinsengracht, znajdującą się, licząc od domu van Riebeecka, w połowie drogi do Kościoła Północnego. Swoją nazwę zawdzięczała mewom, które chętnie wykorzystywały ją jako miejsce odpoczynku w niekończącym się locie ponad kanałami.

Zastanawiałem się, czy wiadomość nie jest sformułowana obcesowo, i zawahałem się. Tkwiła w niej ukryta groźba, że przeskodzę w zaręczynach, jeśli Louisa ze mną nie porozmawia. Ale jak inaczej mógłbym skłonić ją do rozmowy? Postanowiłem niczego nie zmieniać w tej wiadomości, wyrwałem kartkę z notesu, złożyłem ją i wręczyłem mojemu towarzyszowi.

- Wyświadczycie mi przysługę i zanieście ten liścik Louisie van Riebeeck? Ale nalegajcie, by oddać go tylko do rąk własnych. I nie mówcie, kto was przysyła. Powiedzcie tylko, że mężczyzna, którego nie znacie.

Twarz mojego znajomego wydłużała się coraz bardziej.

- Nie mówicie chyba serio, Cornelisie! Żartujecie sobie ze mnie, prawda?

- Na wszystkie holenderskie statki w porcie i na wszystkich morzach świata, Henk, mówię śmiertelnie poważnie.

Zdumienie na wychłostanej wiatrem twarzy zmieniło się teraz w uśmiech od ucha do ucha.

- Do tej pory uważałem was za zapyziałego lądowego szczura, który przemieszcza swój tyłek co najwyżej z łóżka do szynku. Ale to, co zamierzacie, robi na mnie wrażenie, mówiąc bez ogródek. Być może najbogatszemu kawalerowi w mieście sprzątnąć tuż przed zaręczynami narzeczoną sprzed nosa, na Neptuna! To nie byle co! Tylko, z całym szacunkiem dla waszej odwagi, to nic nie da.

Mógł sobie wierzyć, że planowałem schadzkę miłosną z piękną Louisą. Z udawaną naiwnością zapytałem:

- Dlaczegoż to?

- To całkiem proste. W porównaniu z młodym de Gaalem jesteście biedniejsi od najuboższego żebraka.

Wyszczrzyłem zęby w porozumiewawczym uśmiechu.

- Może mam coś, czego nie ma ten bogaty mieszczuch.

- Oho! Nie cierpicie na nadmiar skromności, co? No, Cornelisie Suythof, jesteście przystojnym mężczyzną, wysokim i szerokim w ramionach. Wasza gładka twarz, jeszcze tak ślicznie młodzieńcza, i kręcone włosy bez trudu zawrócą w głowie jakiejś małej kobiecie. Nawet na takiego chudzielca jak ja kobiety leciały, gdy jeszcze pływałem po morzach. Constantijn de Gaal ma może parę latek więcej i nie jest tak okazałej postury, ale nawet najgłupsza baba nie będzie tak głupia, żeby go zamienić na takiego biednego łazika, jak wy.

- Nie muszę od razu zostawać nowym narzeczonym.

- Ale na małą miłosną przygodę z wami młoda dama może się zdecydować, tak myślicie? Więc dobrze, zaryzykujmy. Trzy kanki piwa, że nic z tego nie wyjdzie.

- Przyjmuję zakład!

Godzinę później stałem w cieniu Mewiej Baszty i przygotowywałem się do zafundowania Roversowi trzech kanek piwa. Wzdłuż kanału przesuwali się burłacy z końmi i wołami w zaprzęgach, które ciągnęły załadowane towarami łodzie do magazynów lub z powrotem do portu. Hałaśliwe dzieciaki płoszyły odpoczywające mewy, a przy baszcie, jak nakazywała tradycja, spotykali się zakochani. Nie przychodziła tylko Louisa van Riebeeck. Niespokojnie spacerowałem tam i z powrotem nad wodą, spoglądając co chwilę na południe, gdzie znajdował się dom jej ojca.

Czekałem długo, aż pojawiła się przede mną służąca w czepku nasuniętym głęboko na czoło i z ciężkim koszem.

- Oto jestem, *mijnheer* Suythof. Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

Pod białym czepkiem kryła się rzeczywiście Louisa! Rude loki kipiały spod czepka i otaczały ładną, ale poważną twarz.

- Moje uznanie - powiedziałam. - Gdybyście się nie odezwali do mnie, nie poznałbym was.

- Bo nie czekaliście na służącą. Właśnie dlatego tak się przebrałam. Nasza podkuchenna Bekę bardzo się zdziwiła, gdy pożyczalam sobie jej strój.

- Czy was nie wyda?

- Dałam jej guldena. To dla niej dużo pieniędzy.

Skinałam głowę.

- Przejdźmy się kawałek, będzie nam wygodniej rozmawiać. Dajcie mi kosz.

- Nie trzeba.

- Ależ tak - powiedziałam, wziąłem od niej kosz i stwierdziłem, że nie był wcale ciężki. Podniosłem przykrywającą go chustę: kosz był pusty.

- Powiedziałam przecież, że nie trzeba.

- Jesteście dobrą aktorką.

- Musiałam się tego nauczyć - powiedziała z goryczą.

Szliśmy w cieniu kilku drzew wzdłuż kanału. Moja towarzyszka przez większość czasu miała głowę spuszczoną, aby nikt jej nie rozpoznał pod czepkiem.

- Wybaczcie, że sprawiam wam taki kłopot, Louiso, ale bez waszej pomocy nie zdołam się odnaleźć w tym gąszczu tajemnic. Mam nadzieję, że odpowiecie mi na kilka pytań.

- Pytajcie. Co będzie dalej, zobaczymy.

- Więc dobrze. Wybaczcie, jeśli moje pytania wydadzą się wam, hm, nieco obcesowe, ale o paru sprawach muszę po prostu wiedzieć. Najlepiej zacznijmy od tego, dlaczego pojechaliście wczoraj z panem van der Meulenem na Anthonisbreestraat.

Zatrzymała się, podniosła głowę i spiorunowała mnie wzrokiem.

- Szpiegujecie mnie?

- Nie mogę zaprzeczyć. Jesteście kobietą, którą mężczyzna nie tak łatwo może sobie wybić z głowy.

Po raz pierwszy zobaczyłem lekki uśmiech na jej ustach.

- Dobrze odparowane, *mijnheer* Suythof. Macie ostry język, ale i wasza głowa nie wydaje się pusta. Znacie więcej moich tajemnic?

- To, że zaręczycie się z Constantijnem de Gaalem, to chyba nie tajemnica?

Uśmiech zniknął.

- Więc o to chodzi. Chcecie, żebym zapłaciła wam za milczenie?

- Nie, wspomniałem tylko o zaręczynach, żeby skłonić was do spotkania ze mną. Nie byłem pewien, czy w innym wypadku zgodzilibyście się.

- Słusznie wątpiliście. Jeśli chodzi o mojego przyszłego męża, muszę was prosić o absolutną dyskrecję. Gdyby rodzina de Gaal dowiedziała się, co wiecie, wesele nie odbyłoby się. A to dałoby fatalne skutki.

- Tak bardzo kochacie narzeczonego?

- Czy mówiłam coś o miłości? Nie. Byłoby źle dla mojego ojca, mojej matki, dla całej mojej rodziny. Bo bez pieniędzy de Gaala dom kupiecki van Riebeecka nie przetrwa następnego roku.

- Słyszałem o problemach waszego ojca. Ale słyszy się też, że kredyt pomógł mu wydobyć się z kłopotów.

- Kredyty trzeba spłacać z odsetkami.

- Ach, i do tego wasz ojciec potrzebuje pieniędzy de Gaalów. I co? Podoba wam się, że zostaniecie sprzedani?

- Nie pierwszy raz - powiedziała cicho i uciekła ze spojrzeniem.

Teraz byłem pewien tego, czego tylko się domyślałem, i z trudem przyszło mi to ubrać w słowa.

- Chodzicie do szantanu dla waszego ojca? I zarabiacie dla niego pieniądze?

Ze wzrokiem wbitym jeszcze głębiej w ziemię Louisa odpowiedziała:

- To część odsetek. Tylko pod tym warunkiem mój ojciec w ogóle otrzymał kredyt. Podobnie jak inni ojcowie, mężowie i bracia, których córki, żony i siostry, tak jak ja...

- ...oddają się w szantanie obcym za pieniądze - dokończyłem zdania.

- Po co o tym mówić? Oboje przecież to wiemy. Gdyby związek z Constantijnem de Gaalem był możliwy wcześniej, mój ojciec mógłby pożyczyć potrzebny kapitał od razu od niego lub od jego ojca, ale teraz już jest za późno.

- Kto dał waszemu ojcu pieniądze? Jakiś bank?

Louisa potrząsnęła głową.

- Banki położyły krzyżyk na moim ojcu. Zaczęły o niego ponownie zabiegać dopiero wówczas, gdy interesy się poprawiły. Nie znam żadnych nazwisk. Wiem tylko, że chodzi o grupę kupców, którzy dobrze zarabiają na takich kredytach. Z odsetkami i kobietami takimi jak ja.

Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźną pogardą - wobec samej siebie.

- Dlaczego w ogóle się w to wdaliście?

- A co miałam zrobić? Patrzeć, jak moja rodzina zostanie wyrzucona na bruk, a moja chora matka, która wymaga leczenia i opieki, wyląduje w przytułku? Czy miałam się wzbraniać, jeśli mój własny ojciec prosił mnie, bym to zrobiła?

Nie znałem odpowiedzi i nie miałem prawa ferować wyroków. Skierowałem rozmowę z powrotem na szantana i zapytałem, czy ten interes opłacał się kredytodawcom.

- W przeciwnym razie, po co mieliby to robić? - spytała Louisa. - Goście szantanu należą do najbogatszych ludzi w Amsterdamie. Kupcy i wielcy panowie z magistratu. To musi być dla nich wyjątko-

wa przyjemność wstępować do łoża żon i córek mężczyzn równych im rangą. Być może siedzą później przy winie oraz fajkach i szydzą z tych, których najbliższe istoty przed chwilą...

Przerwała w pół zdania i zadrżała na całym ciele.

Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem jej twarz do piersi, głaszcząc delikatnie po plecach, jak brat pocieszający młodszą siostrę. Ktoś, kto by nas widział, mógłby pomyśleć, że służąca wykorzystana okazję zakupów, by spotkać się z ukochanym. Staliśmy tak dobrą chwilę, a ciekawska mewa zataczała nad nami kręgi.

Louisa płakała tak, jakby pierwszy raz w życiu dawała upust łzom. Nie czyniłem sobie z tego powodu wyrzutów, przeciwnie: miałem wrażenie, że podzielenie się z kimś swoją tajemnicą dobrze jej zrobiło.

Gdy się uspokoiła i powoli uwolniła z moich ramion, powiedziałem:

- Daleki jestem od tego, by was męczyć, Louiso, ale czy wolno mi jeszcze o coś zapytać? Czy dostojni panowie, którzy odwiedzają szantana, nie obawiają się, że zostaną wydani? Należycie, tak jak oni, do wyższych sfer i mogłybyście ich bez trudu rozpoznać?

- Nie ma takiego niebezpieczeństwa. W szantanie musimy nosić maski, zasłaniające nam oczy.

- Jaką rolę odgrywa w tej sprawie Maerten van der Meulen? Jak oboje dobrze wiemy, zamawia obrazy, które mają rozbudzać apetyt gości. Ale to przecież nie wszystko, skoro osobiście was tam zawozi.

- O ile wiem, ma udziały w zyskach z szantanu. Czy lokal należy do niego w całości, czy częściowo - tego nie wiem.

- Jeszcze coś. Czy mówi wam coś nazwisko Antoon van Zelden?

- Ależ oczywiście. To znany lekarz. Drogi medyk, na którego mogą sobie pozwolić tylko najbogatsze rodziny w Amsterdamie. Constantijn wspominał kiedyś, że doktor van Zelden jest domowym lekarzem jego

rodziny. Van Zelden jest podobno specjalistą w zakresie konserwacji narządów i ma wielki zbiór preparatów organów zwierząt i ludzi. Dlaczego o niego pytacie?

- Bo wczoraj wieczorem widziałem go w szantanie razem z van der Meulenem.

- Nic o tym nie wiem. Być może był gościem.

Dzwony Kościoła Północnego wybiły piątą i Louisa wzdrygnęła się.

- Już tak późno? Muszę iść, bo moja nieobecność zwróci uwagę. Mam nadzieję, że zdołałam wam pomóc. Nawet jeśli nie rozumiem, po co wam te wszystkie informacje.

- Sam potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby to stwierdzić. Ale im więcej się dowiaduję, tym klarowniejszy mam obraz.

- Nie powinniście być zbyt pewni siebie, *mijnheer* Suythof.

- Co macie na myśli?

- Węszycie wokół bardzo potężnych ludzi. Jeśli wpadną na wasz trop, będziecie mieć kłopoty.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Louiso. Myślę, że macie rację. Jeśli nie jestem w błędzie, ci ludzie nie cofają się nawet przed morderstwem.

- Szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach, Cornelisie Suythof.

Uśmiechnęła się do mnie jeszcze raz, odwróciła i odeszła w kierunku południowym, schylona, jak służąca, pod ciężarem kosza. Zadawałem sobie pytanie, czy ta poza wymagała rzeczywiście talentu aktorskiego. Zostać sprzedaną przez własnego ojca to ciężki los. Sposób, w jaki Louisa to zносиła i ofiarowała się dla dobra rodziny, skłonił mnie do jeszcze większego szacunku dla niej. Czuję podziw dla tej kobiety i głęboką skłonność, którą jednak natychmiast sobie wyperswadowałem. W końcu była jeszcze Cornelia.

Pozwoliłem Louisie zyskać nade mną znaczną przewagę, nim sam się odwróciłem i poszedłem na spotkanie Henka Roversa, który czekał na mnie przed gospodą, z upodobaniem ćmiąc fajkę.

- No, Suythof, sięgajcie od razu do kieszeni. Pierwszy dzban piwa należy się tu i teraz.

- Jak to?

- Spełniłem wasze polecenie i osobiście przekazałem córce kupca wiadomość od was. I przysięgam na marynarski grób mojego brata Florisa, który wypadł za burtę w czasie sztormu pod Nowym Amsterdamem, że mała van Riebeeck nie opuściła od tego czasu domu. Przegraliście zakład z kretesem, przyznajcie to!

- Wasz brat obraca się w swoim mokrym grobie, że tak lekomyślnie go wzywacie w swoich przysięgach, Henk - odpowiedziałem ze śmiechem. - Chcecie mi powiedzieć, że ani na chwilę nie spuściliście wzroku z domu van Riebeecka?

Gwałtownie skinął głową.

- Możecie się o to założyć, jeśli nie macie jeszcze dosyć na dzisiaj.

- I nikt w tym czasie nie wyszedł z domu?

- Nikt? Jak to rozumiecie? Chodziło przecież o córkę kupca.

- Odpowiedzcie, proszę, na moje pytanie.

- Wyszła służąca z ciężkim koszem.

- I z ciężkim koszem wróciła?

- Tak, ale skąd wiecie...

- Nie dziwi was, że kosz był ciężki zarówno w momencie wyjścia, jak powrotu? Gdyby służąca coś odnosiła, wróciłaby z lekkim koszem. A gdyby wysłano ją po zakupy, kosz musiałby być pusty, gdy wychodziła.

Rewers przesunął zatłuszczoną czapkę na tył głowy, podrapał się i zamruczał:

- Kosz to kosz. Chcecie się wykręcić od splacenia zakładu?

- Pomyślcie chwilę! Jeśli ciężki kosz nie jest ciężkim koszem, to może służąca wcale nie jest służącą?

- Jeśli tak uważacie - powiedział marynarz bez przekonania. Wyraźnie miał problem, żeby nadażyć za moim tokiem rozumowania.

Dałem mu czas i po dłuższej chwili w jego głowie otworzyła się właściwa klapka.

- Teraz rozumiem, do czego zmierzacie. Ale w takim razie... To by znaczyło, że...

- To znaczy, że to wy przegraliście zakład, nie ja. Gdybyście uważniej przyjrżeli się rzekomej służącej, dostrzeglibyście rude loki.

Potrząsnął głową i uderzył dłonią o blat stołu.

- Do kroćset! O to was nie podejrzywałem, przyjacielu! Nie sądziłem też, że mała van Riebeeck, na krótko przed zaręczynami spotka się z takim... no z...

- Zadaje się z nikim. Powiedzcie to głośno, Henk.

- Nie to miałem na myśli - zamruczał i nachylił się do mnie. - Jak było? Opowiadajcie.

- Czy Plutarch nie powiedział, że milczenie we właściwej chwili jest oznaką mądrości i często lepiej służy sprawie niż wszelkie gadanie?

- Nie mam pojęcia, nigdy się z nim nie spotkałem. Ale już widzę, że chcecie zachować szczegóły dla siebie.

- Nie zzymajcie się, Henk, za to odpuszczę wam wasz dług. Nawet więcej, zamówię zaraz dzban piwa na swój rachunek. Co wy na to?

- To, że mam pragnienie.

Podczas gdy hojnie raczyliśmy się piwem, zapytałem Roversa, czy powrót Louisy spowodował jakieś zamieszanie w domu.

- Nie, jej ojciec chyba nic nie zauważył. Ale możecie go zapytać osobiście, właśnie wychodzi z domu.

Po raz pierwszy zobaczyłem Melchiora van Riebeecka. Z siwą hiszpańską brodą i prawie białymi włosami pod czarnym kapeluszem wyglądał na przedwcześnie postarzałego. Był chyba wyższy, niż się wydawał, bo szedł zgarbiony, jakby pod wielkim ciężarem, co przypomniało mi doktora van Zeldena.

Gdy jego córka opowiadała mi o swoim losie, wydawał mi się ostatnim draniem, potworem, którego najchętniej chwyciłbym za ramiona i wrzucił

do kanału. Ale teraz, gdy widziałem go na własne oczy, odczuwałem tylko współczucie. Czułem, że pogardzał samym sobą, ale nie miał innego wyboru. Nie znalazł po prostu innej drogi ratunku.

Prawdziwymi winowajcami byli inni: tacy ludzie jak Maerten van der Meulen, którzy bezwstydnie wykorzystywali niedolę bliźnich dla własnej korzyści. To z nimi chciałem się porachować, kiedy tylko nadarzy się okazja.

11 KOLOR DIABŁA

22 września 1669

Rembrandt poczuł się lepiej. Zaraz po śniadaniu poszedł do pracowni, by kontynuować prace nad jednym z autoportretów, które w ostatnim czasie tak go absorbowały. Do dnia, gdy natrafił na mój obraz, chętnie pozwalał mi uczestniczyć w swojej pracy i nauczył mnie wielu sztuczek związanych z mieszaniem farb, rozkładaniem światła i cieni oraz wyodrębnianiem właściwego motywu z tła. Ale teraz traktował mnie jak powietrze. Wykonywałem więc w domu proste prace i towarzyszyłem Cornelii, która chciała zrobić zakupy. Skorzystaliśmy z okazji, by usiąść w ciepłym blasku południowego słońca na ławce nad Rozengracht i obserwować ruch na wodzie. Zamieniliśmy tylko kilka słów, ale jej ręka spoczywała w mojej i to mi wystarczało.

Na to popołudnie nie zaplanowałem treningu z Robbertem Corsem, a Maerten van der Meulen już od wielu dni nie przyprowadził mi nowej modelki. Nie zdecydowałem jeszcze, jak mam się zachować, gdyby znów się u mnie pojawił. Wykorzystałem wolny czas, by wybrać się na Damrak, gdzie już z daleka dostrzegłem córkę Emanuela Ochtervelta, zamiatającą chodnik przed sklepem ojca. Kierowany impulsem, kupiłem bukiet kolorowych kwiatów i wręczyłem go Yoli.

Odwzajemniła mój uśmiech i wyglądała przy tym tak uroczo, że nie musiałbym być wróżbitą lub astrologiem, by przepowiedzieć staremu Ochterveltowi, iż wkrótce zyska zięcia.

- Czy ojciec jest w sklepie? - zapytałem.

- Tak, *mijnheer* Suythof. Jak zwykle pracuje.

- A w jakim jest humorze?

- Jak najlepszym. Dziennik pana de Gaala sprzedaje się bardzo dobrze. Wkrótce będziemy musieli zrobić dodruk, tak mówi ojciec.

- Jak zetknął się z de Gaalem? Nie chciałbym go dotknąć, ale jako wydawca nie zdobył sobie na razie większej renomy.

- Ojciec uważa, że teraz to się zmieni. Fredrika de Gaala poznał za pośrednictwem młodego pana de Gaala, który jest naszym klientem.

- Jeśli wasz ojciec jest w takim dobrym humorze, złożę mu wizytę - powiedziałem i wszedłem do jak zawsze mrocznego wnętrza.

Ochtervelt stał za pulpitem z nosem wetkniętym w papiery i nosisł piórem kolumny cyfr. Był tak pochłonięty pracą, że wydawało się, jakby mnie w ogóle nie zauważał.

- Zapisujecie właśnie dochód z ostatnich dni, *mijnheer* Ochtervelt? - powitałem go. - Jesteście tak zajęci, że nikogo nie dostrzegacie. Jak słyszę, dziennik pana de Gaala sprzedaje się doskonale.

Księgarz i handlarz dzieł sztuki spojrział zaskoczony, ale uśmiechnął się na mój widok.

- Ach, to wy, przyjacielu Suythof. Tak, zobaczcie, jak zmałał stos książek. Wydaje się, że w każdym lepszym domu Amsterdamu tli się ciekawość, jak przebiegały podróże jednego z najbardziej prominentnych mieszkańców tego miasta. Czy przeczytaliście już książkę?

- Od deski do deski.

- No i co? Spodobała się wam?

- Nie znam zbyt wielu takich relacji i nie chciałbym was dotknąć, ale wydaje mi się, że wasz pan de Gaal opuścił to, co było najciekawsze.

Twarz Ochtervelta zasępiła się.

- Jak to? Co macie na myśli?

- O trzech podróżach, które dokładnie opisuje, nie ma do powiedzenia nic, czego by nie przekazano już w innych relacjach o wyprawach do Indii Wschodnich. Opowiada o sztormach na oceanie, krnąbrnych marynarzach, potyczkach z tubylcami...

- Tego wszystkiego wy sami na razie nie przeżyliście - wpadł mi urażony Ochtervelt w słowo.

- Chcecie mnie znowu wysłać na morze? - zapytałem kpiąco. - Nie odmawiam Fredrikowi de Gaalowi wspaniałych dokonań. Ale dlaczego nie pisze prawie nic o swojej czwartej podróży? Słyszałem, że znaczna część załogi nie powróciła z tego rejsu.

Ochtervelt potrząsnął głową z niezadowoleniem.

- A nie sądzicie, że pan de Gaal sam najlepiej potrafi ocenić, które z jego przygód są warte opowiedzenia, a które nie? Ale wiem, że wy macie swój własny rozum. Przechowujcie pieczołowicie wasz egzemplarz dziennika, kiedyś będzie bardzo cenny.

Prawie słyszałem w jego głosie żal, że podarował mi książkę za darmo.

- Jak tam wasze interesy, Suythof? Co z malowaniem?

- Już nie tak optymistycznie, jak w czasie ostatniej wizyty u was. Muszę wam podziękować za skierowanie do mnie waszego komilitona z gildii, pana van der Meulena. Od tego czasu namalowałem dla niego wiele obrazów.

- A cóż takiego malowaliście?

Spojrzałem badawczo na Ochtervelta.

- Nie wiecie?

- A czy w takim razie pytałbym? - odparł.

- Portrety. Modelki przyprowadzał osobiście.
 - Aha - powiedział tylko Ochtervelt. Ta informacja nie zrobiła chyba na nim wrażenia.
 - Czy jesteście w bliskich kontaktach z panem van der Meulenem? - dopytywałem.
 - Nie bliższych niż z innym członkami gildii. Od czasu do czasu się odwiedzamy i patrzymy, czy jeden z nas nie ma u siebie obrazów, które drugi mógłby lepiej sprzedać.
 - A jakich on ma klientów?
 - Podobnych do moich. Może trochę więcej kupców. Oprócz tego rzemieślników, urzędników, kilku panów z Rady. Wszyscy chętnie ozdabiają ściany obrazami, jedni droższymi, inni tańszymi.
 - To prawda - westchnąłem i spojrzałem w głąb ciemnego kąta, gdzie spodziewałem się dostrzec na podłodze moich pięć płócien. - A jednak wydaje się, że w Amsterdamie jest zbyt wielu malarzy.
 - Bo wiedzą, że znajdują tu odbiorców swoich obrazów. - I dodał z krzywym uśmiechem: - Oczywiście, tylko wówczas, gdy coś potrafią.
 - I gdy wybierają właściwe tematy.
 - Naturalnie.
- Przeciagnałem spojrzeniem po wielu obrazach zgromadzonych w sklepie Ochtervelta: płótna różnej wielkości, ryciny i miedzioryty, dzieła opracowane i nieopracowane, martwe natury, portrety i niezliczone motywy marynistyczne.
- Czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy malował tylko to, co go naprawdę porusza, co wypływa z serca? - zapytałem. - Czy to nie byłaby prawdziwa sztuka?
- Ochtervelt pokręcił lekceważąco głową.
- Przynajmniej nie byłoby wtedy w Amsterdamie tylu malarzy, bo niektórzy szybko pomarliby z głodu.
 - Jesteście tego pewni? Może wtedy obrazy podobatyby się ludziom.

- Ludzie przeważnie dobrze wiedzą, co im się podoba. A mianowicie to, co wiesz na ścianie sąsiad. Tylko każdy by chciał, żeby u niego dzieło wyglądało trochę bardziej okazale. Lepsza bitwa morską niż flota przy połowie śledzi. Ale to już wam przecież tłumaczyłem.

- Czy nie oceniacie zbyt nisko gustu ludzi, *mijnheer* Ochtervelt?

- Bynajmniej. Nie zapominajcie, że już od wielu lat zajmuję się interesami w tej branży. Jeśli będziecie malować obrazy odzwierciedlające wasze własne uczucia, ale nieodpowiadające gustom publiczności, będzie to dla ludzi coś niezwykłego. A jak myślicie, co to oznacza?

- To oznacza, że ludzie muszą się do tych obrazów przyzwyczaić.

- Słusznie. Ale aby tak się stało, muszą się najpierw odważyć, wykonać pewien wysiłek, by zrozumieć ich znaczenie. Tylko że ludzie nie kupują obrazów po to, by dokonywać wysiłków. Chcą ozdobić nagie ściany, utrwalić w pamięci sąsiadów czy potomnych siebie samych, swoją rodzinę albo swoje wielkie czyny. Obrazy są po to, by ludzi uspokajać, pokazać im ich Amsterdam, któremu zawdzięczają zamożność i bezpieczeństwo. Albo też po to, by uświadomić im za pośrednictwem czynów naszej dzielnej marynarki, że ich kraj jest dobrze strzeżony przed wszelką napaścią. Wtedy mogą się rozsiąść wygodnie w fotelu, zapalić fajkę i odpoczywać po trudach dnia. Nie chcą obrazów, które w jakiś sposób burzą ich spokój, bo zawierają coś nowego. Takie dzieła możecie malować sami dla siebie, *Suythof*, ale nie próbujcie w ten sposób zarabiać.

Spojrzałem ponownie na stos książek przy wejściu.

- Czy to jest powód, dla którego *Fredrik de Gaal* nie napisał wiele o swojej ostatniej podróży? Czy to by ludzi nadmiernie zaniepokoiło?

Ochtervelt podniósł ręce, jakby chciał wyrwać sobie włosy z głowy.

- Cóż wy znowu z tą ostatnią podróżą de Gaala? Jeśli to wam nie daje spokoju, zapytajcie go sami.

- Może powinienem - stwierdziłem. - Ale wracając do van der Meulena. Powiedzcie mi, czy oprócz handlu obrazami zajmuje się jeszcze innymi interesami?

- Nie rozmawiamy o tym, jak zarabiamy pieniądze. Ale skoro o to pytacie, przypominam sobie coś. Mniej więcej rok temu za-inwestował podobno w teatr czy szantan. Ale to mogła być tylko pogłoska. Dlaczego tak mnie wypytujecie o van der Meulena?

- Czysta ciekawość. W końcu to dzięki niemu zarabiam pieniądze.

- A pieniądze muszą wam być potrzebne, skoro jesteście teraz uczniem Rembrandta.

- Słyszeliście o tym?

- Jak każdy, kto w Amsterdamie zarabia na obrazach. Nikt się nie spodziewał, że stary znajdzie jeszcze ucznia. Mówi się, że zrobił się trochę nieznośny. Już wcześniej nie był łatwy w obejściu. Mówiąc szczerze, zawierano nawet zakłady, jak długo wytrzymacie przy Rozengracht.

- Jeszcze tam jestem - powiedziałem i zataiłem, że straciłem już status ucznia Rembrandta. - Czy macie tu prace mego mistrza?

- Teraz nie. Czasami coś się pojawia, gdy likwidowane są mieszkania. Ale nie płacę wiele za Rembrandta, jeśli w tej sprawie chcecie ze mną zrobić interes. Jego dzieła nie przynoszą już prawie zysku.

- Nie ma obawy, nie o to mi chodzi. Cornelia zajmuje się sprzedażą prac ojca.

Ochtervelt podniósł brwi.

- Tak? A kto je dziś kupuje?

- Na przykład doktor van Zelden, o którym już pewnie słyszeliście.

- Znam go nawet dość dobrze. Prawie zawsze przychodzi na przyjęcia wydawane przez de Gaalów.

- Tak jak wy?

Klepnął się w pierś.

- Tak, od kiedy jestem wydawcą Fredrika de Gaala. Nie wiedziałem zresztą, że van Zelden interesuje się dziełami Rembrandta. Jest chyba zamożnym człowiekiem, nawet jeśli się z tym nie afiszuje. Może powinienem zajrzeć kiedyś na Rozengracht i zaproponować interes córce Rembrandta. Co myślicie, mój przyjacielu? Czy szepniecie jej za mną dobre słowo?

- Zrobię to - obiecałem i ukryłem uśmiech wywołany zapobiegliwością kupca. - A skoro jesteśmy akurat przy Rembrandcie, czy widzieliście kiedykolwiek jakiś jego obraz, w którym istotną rolę odgrywałby błękit?

Ochtervelt zastanowił się przez chwilę.

- Nie, skąd wam to przyszło do głowy?

- Zetknąłem się niedawno z błękitnym obrazem, który bardzo przypominał dzieła mistrza Rembrandta. Może jest dziełem któregoś z jego wcześniejszych uczniów?

- Być może. Ale gdy się tak zastanawiam, nie przychodzi mi do głowy żaden, który pracowałby w tajemniczym błękitcie.

- Tajemniczym? - powtórzyłem z nagłą czujnością. - Co przez to rozumiecie?

- Nie wiecie, że błękit bywa nazywany kolorem bogów? W historii malarstwa oprócz złota stale stosowano błękit do oddania boskości. Wiele malowideł kościelnych jest w tym względzie bardzo pouczających.

- Gdzie można je jeszcze dziś znaleźć? - westchnąłem. - Obrazy o treści religijnej są przecież w kościołach zakazane.

- Rzeczywiście, ten przejaw naszej kalwińskiej religii nie jest dla malarstwa najkorzystniejszy.

Ochtervelt spojrział na długie rzędy obrazów w swoim sklepie.

- Gdy malarze mogli jeszcze tworzyć w służbie kościoła, nie było tylu martwych natur, wedut i kutrów śledziowych na płótnach.

- Wiem, wiem, nie lubicie kutrów śledziowych - powiedziałem lekko zniecierpliwiony. - Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nazwaliście błękit tajemniczym.

- Bo to nie tylko kolor boski, a potem królewski. Z błękitem wiąże się też pierwiastek demoniczny, diabelski. Możecie to zaobserwować na wielu starych obrazach, a w przesądach błękit jako kolor nieszczęścia także odgrywa istotną rolę. Nie zauważyliście nigdy, że zarazę często przedstawia się jako błękitny opar? Sen o niebieskich śliwkach albo migocący niebiesko płomień świecy zwiastują ponoć rychłą śmierć. Nic dziwnego, że błękit bywa też nazywany kolorem diabła i ciemności.

- Tak plotą stare baby.

- Z pewnością. Ale nie ma dymu bez ognia. Pewnie tkwi w tym ziarenko prawdy. Malarz powinien mieć wiedzę na temat farb i kolorów, którymi pracuje. Zastanówcie się więc nad moimi słowami, Suythof.

Poszedłem za radą Ochtervelta po wyjściu ze sklepu, gdy zwróciłem swe kroki na zachód. Tamten obraz, który zniknął w tak tajemniczy sposób, raczej niewiele miał w sobie boskości czy królewskiego majestatu. Ale to, co Ochtervelt mówił o kolorze diabła i ciemności, sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz, nieważne, czy to gadanina starych bab, czy nie. Nie powinien był widzieć, jak bardzo przeraziły mnie jego słowa. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, byłem gotów uwierzyć, że sam diabeł namalował ten obraz, a potem zabrał go z powrotem do piekła.

Nad Amsterdamem wisiały chmury, a bryza od morza rzuciła mi w twarz drobne krople deszczu. Spuściłem głowę, aby się przed nim ochronić. Dlatego za późno dostrzegłem, że zmierzam dokładnie na miejsce, w którym Ossel stracił życie. Pał, przy którym go stracono, sterczał ostrzegawczo pod szarym niebem.

Od tego czasu sporo się wydarzyło i dzięki Corneli widać przed sobą przyszłość. Moja potajemna przysięga oczyszczenia pamięci

Ossela, gdy tylko będzie to możliwe, była jedynym łącznikiem z przeszłością. Broniłem się przed jego zerwaniem i zaprzestaniem poszukiwań, bo chciałem móc dalej bez wstydu spoglądać w lustro.

Otrząsnąłem się, wyprostowałem mimo deszczu i z podniesioną głową przeszedłem między Ratuszem i Nowym Kościołem, przeświadczony o słuszności swojego postępowania. Tamtego wrześniowego popołudnia wierzyłem jeszcze, że mam wybór. Prawda była jednak taka, że to, co uznawałem za swoją przyszłość - Cornelia - wiązała mnie mocno z przeszłością. Wkrótce miałem się o tym przekonać.

Przeziąłem Heren- i Keizersgracht. Wiatr się wzmógł i nieoczekiwany podmuch prawie zniósł mnie z mostu. Gdy kurczowo chwyciłem się poręczy, mój wzrok padł na Kościół Zachodni, w którym pochowany był syn Rembrandta, Tytus. To dziwne, ale dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że malarz ani razu nie wspomniał przy mnie o synu. Jak to powiedziała kiedyś moja matka? Człowiek w żałobie pokonuje swój smutek, mówiąc o utraconej osobie, ale człowiek, którego serce jest złamane, nawet na to nie może się zdobyć.

Przyspieszyłem kroku, bo deszcz i wiatr stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Początkowo chciałem wrócić na Rozengracht, ale pogoda zapędziła mnie do najbliższej gospody. Była to karczma „Pod Czarnym Psem”, przed którą często siadywałem z Henkiem Roversem. Teraz ławki na zewnątrz były puste, a otwarte przeważnie drzwi - zamknięte. Musiałem użyć siły, by rozewrzeć je pod wiatr, i wśliznąłem się w końcu, gnany deszczem, do sali z szynkwasem. Wiele osób szukało już „Pod Czarnym Psem” schronienia przed psią pogodą. Gwar głosów zagłuszał łomotanie wiatru do drzwi, a gęsta chmura dymu tytoniowego wywołała u mnie pieczenie oczu.

- Cornelisie Suythof, przysiądźcie się do mnie!

Był to głos Henka Roversa. Tkwił z fajką w kąciку ust nad prawie pustym kubkiem przy okrągłym stole w środku sali i klepał ręką wolny zydeł obok siebie. Zanim skorzystałem z jego zaproszenia, zamówiłem dzban piwa i fajkę. Skoro i tak nie dało się uniknąć dymu, uznałem, że najlepiej będzie wziąć udział w jego wytwarzaniu.

Rovers spojrział w okna, o które coraz mocniej uderzał deszcz.

- Dziś będzie jeszcze niezła burzyczka, wierzcie staremu marynarzowi.

Henk ucieszył się, gdy podzieliłem się z nim piwem i oddałem trochę tytoniu, który razem z fajką przyniósł mi rudowłosego pomocnika szynkarza.

- Dziękuję najhojniejszemu malarzowi Amsterdamu - przepił do mnie i zanurzył usta w świeżo napełnionym kubku. - Czy uczyniliście już jakieś postępy w zalotach do panny van Riebeeck?

- Przecież nie będę uwodził na serio narzeczonej jednego z najbogatszych ludzi w Amsterdamie - odpowiedziałem ze śmiechem. - Poza tym, jeśli o to chodzi, mam zupełnie inne możliwości.

Rovers mrugnął porozumiewawczo:

- Mała córeczka Rembrandta, co?

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem:

- A wy skąd o tym wiecie?

Rovers ucieszył się.

- Tak sobie tylko pomyślałem, ale teraz już wiem. A co się tyczy Constantijna de Gaala, nie powinniście się tym gryźć. Sam nie doroził się swoich guldenów. Bez ojca byłby dziś może tylko jednym z wielu amsterdamskich kupców i z pewnością nie zasiadałby w radzie zarządzającej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- Tak, stary de Gaal - mruknąłem pod nosem. - Napisał osobliwą książkę.

- Jak to? - zapytał Rovers, nim ponownie zanurzył nos w kubku z piwem.

- Księgarz Emanuel Ochtervelt wydrukował niedawno dziennik podróży starego de Gaala i podarował mi egzemplarz.

- Nie przepadam za książkami. Kosztują masę pieniędzy i na nic się zdają, jeśli ktoś nie umie czytać.

- Być może nie powinienem był jej czytać - odpowiedziałem ze śmiechem. - Niewiele mi z tego przyszło. Stary de Gaal rozwodzi się szeroko na temat trzech pierwszych wypraw, które odbył dla Kompanii Wschodnioindyjskiej, a o czwartej i ostatniej pisze tyle co nic.

- I co was tak dziwi? Ja na jego miejscu w ogóle bym milczał.

- Ale dlaczego? Co wiecie na ten temat?

- Słyszysz różności o tej podróży, ale nic dobrego. To był dzielnny statek, „Nowy Amsterdam”, duży, ze stuosiemdziesięcioosobową załogą. Dwadzieścia pięć lat upłynęło od dnia, gdy wyruszył z Texel na morze, żeby zaopatrzyć w solone mięso, groch i fasolę faktorię w Bantamie i przywieźć stamtąd kosztowny pieprz. Ale powrót opóźnił się o trzy miesiące i gdy „Nowy Amsterdam” w końcu pojawił się na macierzystych wodach, był w opłakanym stanie. Wyglądał jak po bitwie morskiej i nigdy już nie wyruszył w kolejną podróż. A ze stu osiemdziesięciu ludzi, którzy prawie dwa lata wcześniej wyruszyli z Amsterdamu, na pokładzie pozostała zaledwie jedna trzecia.

- Co się wydarzyło?

- Nie byłem przy tym i Bogu za to nich będą dzięki. Zapytajcie naszego przyjaciela Jana Poola, siedzi tam, przy bocznym stole. Jego brat był wśród tych, którzy uszli z życiem z ostatniej podróży Fredrika de Gaala.

Rovers wskazał na nieokrzesanego mężczyznę, którego prawa połowa twarzy była czarna jak skóra afrykańskiego dzikusa.

- Nie przerażajcie się jego wyglądem. W czasie walki z tureckimi piratami w jego pobliżu wyleciała w powietrze beczka z prochem. Wybuch

zmiótł poczciwego Poola z nóg i przebarwił mu twarz na resztę życia. No, na szczęście nie został czerwony z wściekłości.

Rovers mówił bardzo głośno i został za swoją perorę nagrodzony powszechnym śmiechem. Człowiek z czarnym policzkiem podniósł się i nachylił, z rękami wspartymi na biodrach, nad żartownisiem.

- Mam ci wyrwać twój plugawy język, Henku Roversie? - zapytał groźnie. - Wtedy nie byłbyś ani czarny, ani czerwony, tylko ślicznie bledziutki!

Rovers bez obawy spojrział na niego.

- Daj spokój, Janie, to był tylko żart. Mój przyjaciel, Cornelis Suythof, chciałby z tobą porozmawiać i stawia na stół pół kwarty piwa.

Pool przyjrzał mi się pobieżnie.

- Szczur lądowy, co?

- Niezupełnie. Namalował już parę statków.

- Malarz! - parsknął Pool i spojrział na mnie współczująco. - Tym biedakom powodzi się czasem jeszcze gorzej niż nam. Czy stać go w ogóle na pół kwarty piwa?

Poczułem się dotknięty i oświadczyłem zdecydowanie:

- Stać mnie nawet na całą kwartę!

- Załatwione. - Pool skinął mi głową i usiadł obok Roversa, do którego otwarcie puścił oko.

Dałem się zrobić dwóm starym wygom, ale nie miałem im tego za złe. Radośnie zajęli się piwem, ale gdy skierowałem rozmowę na ostatnią podróż „Nowego Amsterdamu”, dobry humor Poola przysł w okamgnieniu.

- To przekłete koryto - burknął. - Byłoby najlepiej, gdyby spalono ten diabelski statek przed ostatnią podróżą.

- Diabelski statek? - powtórzyłem pytająco.

- Ten statek był przeklęty. Jak inaczej można wyjaśnić, że większość załogi, a między innymi mój brat Jaap, nie powróciła?

- To przecież nic niezwykłego, że ludzie giną na morzu. Przyczyn jest wiele: sztormy, choroby, walka z tubylcami czy z piratami.

Pool machnął ręką.

- Tak, tak, o tym wszystkim też się mówiło po powrocie „Nowego Amsterdamu”. Statek napotkał rzekomo ciężki sztorm, został oddzielony od eskadry i zagnany wiatrem na nieznaną wyspę. Tam załoga musiała pozostać przez jakiś czas, żeby zreperować statek. Brakowało wody i podobno ataki tubylców kosztowały życie wielu członków załogi.

- Nie wierzycie w to? - dopytywałem się dalej.

- Ani trochę. Byłem przypadkiem w mieście, gdy „Nowy Amsterdam” powrócił. Aby powitać brata, wsiadłem na jedną z lichtug¹³, które pływają na Texel po ładunek. Widziałem uszkodzenia statku.

- I co?

- To nie były szkody po sztormie, w żadnym razie. To były ślady walki. Wierście mi, malarzu Suythof, wiem, o czym mówię. - Dla wzmocnienia swej wypowiedzi wskazał na swój czarny policzek, po czym podjął wątek. - Nikt nie chciał nic powiedzieć o walce. Ale niektórzy z ocalałych mieli rany, które mogły powstać tylko w wyniku walki. Gdy zagadywałem o to kilku członków załogi „Nowego Amsterdamu”, opowiadali coś o buntownikach, których musieli unieszkodliwić. Myślę, że to było najbliższe przekłętej prawdy.

Napełniłem jego prawie już pusty kubek i zapytałem, co jego zdaniem, było prawdą.

- Gdybym to wiedział! Nigdy się nie dowiedziałem, jak naprawdę umarł mój brat. Ludzie, którzy mi opowiadali o buncie, i tak byli najuczciwsi. Nikt na pokładzie nie chciał mówić o tym, co przeszli. Było tak, jakby wszyscy czegoś się bali.

¹³ Lichtuga - jednostka pływająca, służąca do częściowego lub całkowitego rozładunku statków na redzie.

Opowieść człowieka o czarnej twarzy przypominała mi klasyczne morskie opowieści.

- I nikt nie dochodził prawdy? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Kompania Wschodnioindyjska wypłaciła rodzinom wysokie odszkodowania, o wiele wyższe niż zwykle. Kaat także dostała ładną sumkę.

- Kto to jest Kaat?

- Żona mojego brata, a raczej wdowa po nim. Jaap zostawił żonę i dwoje wówczas jeszcze bardzo małych dzieci. Kaat dostała od kompanii nie tylko dobre pieniądze, ale także nowego męża.

Zapytywałem sam siebie, ile piwa wypił już tego dnia Pool, i mój sceptycyzm musiał się uzewnętrznić w wyrazie twarzy.

- Co się tak krzywicie? - warknął. - Uważacie Jana Poola za kłamcę?

- Oczywiście, że nie jesteście kłamcą, ale może trochę przesadzacie, co? Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby Kompania w ramach odszkodowania dawała wdowie po marynarzu nowego męża.

Henk Rovers podrapał się za uchem i zachichotał.

- To rzeczywiście niezwykle. Kompania płaci swoim ludziom za utratę oka albo lewej ręki czterysta, a za utratę prawego ramienia nawet osiemset guldenów. Za obie ręce lub obie nogi należy się aż tysiąc dwieście guldenów, to się prawie opłaca. Ale żeby w przypadku śmierci rekompensata wynosiła całego chłopca, o takiej klauzuli nigdy nie słyszałem!

- Ale tak było - stwierdził Pool. - Oczywiście to nie było zapisane w klauzulach. Mimo to mat z „Nowego Amsterdamu”, którego diabli nie wzięli, został nowym mężem Kaat. Nazywa się Claes Steegh, dziś już nie pływa, ale jest płatnikiem w Kompanii. To wszystko było zresztą osobliwe. Wielu, jeśli nie wszyscy z ocalonych, szybko się wzbogaciło. Albo dowodzą teraz własnymi statkami, albo są wyższymi urzędnikami Kompanii lub któregoś z domów kupieckich. Naprawdę dziwne. Jedni idą do diabła, a do

drugich uśmiecha się szczęście. Wierzcie czy nie, ale mówię wam, panie malarzu, diabeł maczał w tym swoje śmierdzące siarką palce!

Skrzywiłem się, bo Kusy tego dnia zbyt często stawał mi na drodze. Jakby mało było rozmowy z Emanuelem Ochterveltem o diablím kolorze, teraz marynarz z twarzą osmaloną prochem wciskał mi swoje ponure bajki!

- Nadal mi nie wierzycie - stwierdził z żalem w głosie Pool. - Zapytajcie innych, którzy widzieli wtedy powrót „Nowego Amsterdamu”. W każdej portowej knajpie znajdziecie jeszcze ludzi, którzy przy tym byli. Zapytajcie tylko o diabelski statek i jego przeklęty ładunek!

- Jak mam wam wierzyć, jeśli wciąż dodajecie nowe dziwy? Opowiadacie o diable, o diabelskim statku i jego przeklętym ładunku. A co, pytam uprzejmie, jest takiego niesamowitego w ładunku wschodnioindyjskiego pieprzu?

Pool głęboko odetchnął, jakby musiał zebrać siły, by zachować cierpliwość w rozmowie z niewiernym Tomaszem.

- Pieprz był ładunkiem, z którym „Nowy Amsterdam” miał powrócić. Podobno statek nawet miał na pokładzie jego ładunek, gdy podnosił kotwicę w Bantamie. Ale nie sądzę, by go miał nadal, gdy pojawił się u brzegów Texel.

- Dlaczego nie? Nie bądźcie tacy tajemniczy, Janie Pool! Dopiero co zachmurzona twarz rozjaśniła się i Pool uśmiechnął się do mnie szyderczo.

- Jak na kogoś, kto mi nie wierzy, chcecie wszystko wiedzieć bardzo dokładnie!

- Może chciałbym się dać wam przekonać - odpowiedziałem, także szczerząc zęby.

- No to może przekona was to, że „Nowy Amsterdam” rozładowywano nocą.

- Czy to takie niezwykle?

- Nawet bardzo. Zwłaszcza że statek przybił do Texel już przed południem. Kompania wygnała wszystkich ciekawskich. Dopiero w

nocy załogi lichtug mogły zacząć rozładunek. A Kompania zleciła to tylko wybranym ludziom, których potem wysłano do kolonii. Nikt nie wie dokładnie, co przywiózł diabelski statek.

- Więc mogło też chodzić o pieprz z Indii Wschodnich - wysnułem wniosek.

- Mogło, owszem - Pool spojrzął na mnie porozumiewawczo spod zmarszczonych brwi. - Ale po co tyle zachodu w środku nocy?

1 2 PRZY MEWIEJ BASZCIE O PÓŁNOCY

Dopiero pod wieczór nawałnica osłabła, odważyłem się zatem opuścić „Czarnego Psa” i wrócić na Rozengracht. Po drodze prawie staranowałem starego woźnicę, tak bardzo byłem pogrążony w rozmyślaniach o tym, co o ostatniej podróży „Nowego Amsterdamu” opowiedzieli mi Henk Rovers i Jan Pool. Nawet jeśli przez lata wielokrotnego powtarzania tych opowieści wydarzenia zostały przeinacone i wzbogacone o jakieś przesadzone szczegóły, to historia ta musiała mieć w sobie coś z gruntu prawdziwego. Czy to tę prawdę przemilczał w swoim dzienniku Fredrik de Gaal?

Spotkanie z Cornelią, która powitała mnie z zatroskaną miną, zepchnęło historię diabelskiego statku na dalszy plan.

- Długo cię nie było, Cornelisie. Bałam się już, że wicher mógł cię zepchnąć do kanału.

- Aby tego uniknąć, poszukałem schronienia „Pod Czarnym Psem” - powiedziałem i pocałowałem ją w policzek.

Zaśmiała się.

- I dla zabicia czasu opróżniłeś z przyjaciółmi kilka dzbanów piwa.

Z tymi słowami odwzajemniła mój pocałunek i zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie czekał na mnie prosty posiłek z ryb i sera.

Cornelia i jej ojciec byli już po kolacji, ale dziewczyna dotrzymała mi towarzystwa i opowiedziała o przebiegu dnia.

- Ach, tak, był tu posłaniec i zostawił to dla ciebie - powiedziała od niechcienia i wydobyla z kieszeni sukienki list.

- Co to za wiadomość? - zapytałem.

Cornelia spiorunowała mnie wzrokiem z udawanym oburzeniem.

- Nie czytam cudzych listów - a już na pewno nie wtedy, gdy są zapieczętowane!

Wziąłem list i obejrzałem nieznaną ciemną pieczęć, przedstawiającą statek handlowy pod pełnymi żaglami. Na liście wytworknym pismem było wykaligrafowane moje nazwisko. C. Suythof. I nic więcej.

- Kto przyniósł list?

- Posłaniec, mały chłopiec.

- A kto go posłał?

- Chłopiec tak szybko odszedł, że nie zdążyłam zapytać. Ale uważam, że kobieta, która napisała ten list, musiała też wysłać chłopca.

- Skąd możesz wiedzieć, że list jest od kobiety?

Wskazała na pismo.

- Wy, mężczyźni, nie piszecie tak drobno. Mam cię zostawić samego, żebyś mógł przeczytać w spokoju?

- Nonsens, nie mam przecież przed tobą tajemnic - burknąłem, przełamane pieczęć i rozłożyłem arkusz.

Wiadomość była zaskakująco krótka:

Przyjdźcie koniecznie o północy pod Mewią Basztę! Mam wam coś ważnego do powiedzenia. L.

Było to osobliwe zaproszenie, które w innych okolicznościach wydałoby mi się podejrzanym. Ale nie miałem powodu nie ufać Louisie i ani przez moment nie wątpiłem, że list wyszedł spod jej ręki. Musiało się wydarzyć coś istotnego, że wzywała mnie o tak późnej porze pod Mewią Basztę.

- Czy to ważne? - spytała Cornelia.
- Być może. W każdym razie muszę jeszcze dziś wyjść. Ktoś chce się ze mną spotkać.

- Domyślałam się, że autorka listu...

Skinąłem głową.

- Nie bądź zła Cornelio, jeśli w tej chwili nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Ale obiecałem dochować tajemnicy.

- I ty mówisz, że nie masz przede mną sekretów - odparła chłodno. W jej głosie nie było wyrzutu, tylko - co gorsza - rozczarowanie.

- Proszę, zaufaj mi - powiedziałem błagalnie.

Potem dokończyłem posiłek, pożegnałem Cornelię i poszedłem na górę. Tam zauważyłem, że drzwi od pracowni Rembrandta są lekko uchylone, i zajrzałem do wnętrza. Mistrz nadal był zajęty swoim autoportretem, oglądał go badawczo, spoglądał w lusterko i ponownie zwracał się w stronę płótna, by małym pędzelkiem nanieść kilka drobnych poprawek. Był tak pochłonięty pracą, że nie musiałem obawiać się odkrycia.

Po raz kolejny zadałem sobie pytanie, co w ostatnim czasie popychało go do tak intensywnej pracy nad autoportretami. Czy to skutek zaawansowanego wieku, czyżby odczuwał bliskość śmierci? Na płótnie wyglądał starzej niż w rzeczywistości, a mimo to spoglądał na widza z zapalem, prawie wojowniczo, z tym chytrym uśmieszkiem na ustach, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Namalowany Rembrandt wydawał się tryumfujący, jakby chciał świętować wielkie zwycięstwo, silniejsze od śmierci. Ponownie podziwiałem niezwykle talent mistrza do przedstawiania ludzi. Jednocześnie jednak podczas obserwacji płótna ogarnął mnie niejasny niepokój.

Poszedłem do swojego pokoju, posłałem ukłon wypchanemu niedźwiedziowi i chwyciłem paletę, by zmieszać farby. Właściwie o tej godzinie, u schyłku i tak pochmurnego dnia, było już za późno na malowanie, ale musiałem jakoś zabić czas do północy. Myślałem o swojej chudej sakiewce i radzie Emanuela Ochtervelta, bym

koncentrował się na morskich podróżach, i krok po kroku na płótnie zaczął się wyłaniać szarpany sztormem żaglowiec. Mimowolnie moje myśli powracały wciąż do tajemnicy „Nowego Amsterdamu”.

Lekki deszcz bryzgał mi w twarz, gdy pół godziny przed północą wyszedłem z domu. Pozostali domownicy poszli spać, także w pokoju Cornellii było ciemno. Chętnie zapewniłbym ją jeszcze raz, że moje milczenie nie kierowało się przeciw niej, ale było już na to za późno.

Zamknąłem drzwi i wyszedłem w zasnutą chmurami noc. W żadnym z okien nie było już widać światła, tylko moja latarnia rzucała żółtawy blask na mokry bruk. Słyszałem, że Rada Miejska chciała wkrótce wyposażyć Amsterdam w uliczne latarnie. Trudno było sobie wyobrazić bardziej sensowne i przydatne mieszkańcom rozwiązanie. To przekonanie umocniło się we mnie, gdy mimo trzymanej w ręce latarni wszedłem w kałużę i w okamgnieniu kompletnie przemoczyłem lewą stopę.

Wkrótce po dotarciu do Prinsengracht i minięciu Kościoła Zachodniego usłyszałem w oddali nawoływania straży nocnej. Nie mogłem zrozumieć poszczególnych słów, ale miałem czyste sumienie. Mając latarnię w ręku, spełniałem obywatelski obowiązek i strażnicy nie mogli mi niczego zarzucić.

Tymczasem deszcz się wzmógł i nieufnie spojrzałem w górę na ciężkie chmury, które zebrały się nad dachami Amsterdamu i prawie zupełnie przesłoniły światło księżyca i gwiazd. Na szczęście nie musiałem już iść daleko. Wydawało mi się, że dostrzegam zarysy Mewiej Baszty i przyspieszyłem kroku. Ciekawy tego, co Louisa miała mi do powiedzenia, zatrzymałem się przy starej wieży.

O tej nocnej godzinie nie krążyła nad nią ani jedna mewa i ani jedna zakochana para nie spotykała się w cieniu baszty.

Amsterdamscy mieszczanie spali w swoich ciepłych łóżach. Miałem wrażenie, że oprócz strażników tylko niejaki Cornelis Suythof błąkał się w deszczu, szukając - no właśnie, czego? Gdy zadałem sobie pytanie, co mnie tak ciągnęło do Louisy, musiałem przyznać, że była to też jej kobieca uroda, a nie tylko współczucie dla tak okrutnie potraktowanej przez własnego ojca dziewczyny. Szybko odsunąłem te myśli na bok, bo musiałbym wkrótce przyznać, że rozczarowanie, z jakim kilka godzin wcześniej spojrzała na mnie Cornelia, nie było bezzasadne.

Mewia Baszta wznosiła się przede mną w ciemne niebo, ale nigdzie nie dostrzegłem Louisy. Dzwony kościelne wybiły dwunastą. Obszedłem basztę, przywarłem jak najbliżej do starego muru i po prostu czekałem. Może coś Louise zatrzymało.

Po dwóch, może trzech minutach zauważyłem postać zmierzającą ostrożnym krokiem w stronę baszty. Ponieważ wbrew przepisom nieznamy nie miał latarni, początkowo mogłem dostrzec tylko zarys sylwetki. Ale z każdym krokiem stawała się wyraźniejsza. Wkrótce zobaczyłem, że była to kobieta w stroju służącej, w czepku nasuniętym głęboko na twarz. Louisa po raz drugi sięgnęła po wypróbowane przebranie.

Wyszedłem z cienia baszty, aby wyjść jej naprzeciw. Chciałem ją powitać, ale słowa zamarły mi na wargach. Postać przed mną okazała się o wiele za wysoka i masywna, by mogła to być Louisa van Riebeeck.

- No, co, pacykarzu? Spodziewałeś się kogoś ładniejszego?

Głos wydał mi się znajomy i byłem pewien, że słyszałem go już wcześniej.

Gdy człowiek, który udawał Louise, podniósł głowę i zobaczyłem wielką bliznę na prawym policzku, przypomniałem sobie z niepokojem pewien letni wieczór w sierpniu, gdy napadło na mnie trzech zabijaków. Przede mną, w kobiecym przebraniu, stał ich przywódca. A wnosząc z szyderczego uśmiechu, musiał się niemało radować z naszego ponownego spotkania.

- Tym razem nie będziesz miał tyle szczęścia, malarzyno! O tej porze i przy takiej pogodzie nikt ci nie pomoże.

Odrzucił czepek i zbliżył się do mnie. Nieogolony mężczyzna w sukni wyglądał groteskowo, jak figura z Labiryntu Lingelbacha, i mimo swojego beznadziejnego położenia musiałem się roześmiać.

- Ciesz się, dopóki jeszcze możesz! - warknął mój przeciwnik. - Jak ci połamię wszystkie kości, będziesz tylko wyć z bólu.

Szybko odstawiłem latarnię i wydobyłem nóż, który kiedyś odebrałem jednemu z napastników. Ale człowiek z bliźną był szybszy i wymierzył cios ciężką pałką, która jakby znikąd znalazła się w jego ręce. Cios trafił mnie w prawe przedramię i ostry ból dotarł aż do ramienia. Zawyłem jak kopnięty pies i nóż wypadł mi ze sparaliżowanej na moment ręki.

Gdy tamten podniósł pałkę do kolejnego ciosu, wiedziałem, że muszę zacząć działać. Teraz miało się okazać, czy Robbert Cors znalazł we mnie godnego ucznia. Wykonałem obrót, który przez całe popołudnie ćwiczyłem w szkole. Jednocześnie, nie zważając na ból w ramieniu, wyciągnąłem je w stronę napastnika, by zablokować jego atak. Zobaczyłem zaskoczenie w oczach obwiesia i wykorzystałem tę okazję, by sięgnąć oburącz po pałkę i wyrwać mu ją z ręki.

Szybkim krokiem uwolniłem się od napastnika i podniosłem pałkę, by zaatakować go jego własną bronią. W tym momencie usłyszałem za sobą hałas. Silny cios w kark powalił mnie na ziemię. Padając, zwymyślałem się w duchu za nieostrożność i nie wzięcie pod uwagę obecności innych napastników. Człowiek z bliźną poprzednio także nie był przecieź sam.

Gdy spojrzałem w górę, zabijaka z czerwonym nosem stał nade mną i wykrzywił twarz w nieprzyjaznym uśmiechu. W rękę trzymał pałkę, podobną do tej, którą wyrwałem przed chwilą jego kompanowi. W moim polu widzenia pojawił się także łysy rzezimieszek, trzeci z bandy. Trzymał oburącz wycelowany we mnie pistolet skałkowy z bardzo długą lufą.

Do zaskoczenia i gniewu na własną lekkomyślność dołączyło uczucie panicznego strachu. Człowiek z blizną miał rację: tym razem nikt mi nie przyjdzie z pomocą. Znalazłem się na lasce tych trzech ludzi, których zamiarów nie znałem. Jednego tylko byłem świadom: chodziło im o coś więcej niż tylko zemsta za wstyd, jakiego najedli się przy naszym pierwszym spotkaniu. Cała intryga z listem była tego niezbitym dowodem. Z pewnością działali na czyjeś zlecenie. Byli niebezpieczni, ale niezbyt mądrzy, a już na pewno nie dość sprytni, by zastawić taką pułapkę.

Człowiek z blizną podniósł pałkę i kopnął mnie w bok, co wywołało gwałtowne klucie.

- Nie chcesz się jeszcze trochę pobronić, malarzyku? Z radością nauczyłbym się moresu.

- Nauczyłbym cię - odpowiedziałem.

Przechylił głowę.

- Że jak?

- Jeśli chodzi o mores, to można go nauczyć kogoś, a nie się. A jeśli to rozumiałeś, to znaczy, że też się czegoś nauczyłeś.

Potrzebował chwili, by pojąć, że z niego kpię. Ale zaraz potem twarz poczerwieniała mu z gniewu i było to widać nawet w ciemnościach nocy.

Nie wiedziałem, dlaczego go prowokuję. Wściekłość na samego siebie za lekkomyślność zmieniła się w przekorę. Chciałem tym łobuzom pokazać, że się ich nie boję, nawet jeśli w istocie było inaczej.

Człowiek z blizną wydal z siebie wściekły pomruk i wziął zamach, by obdarzyć mnie kolejnym kopniakiem. Przypomniałem sobie lekcje Roberta Corsa, schwyciłem go za uniesioną w powietrze stopę i przekręciłem ją ze wszystkich sił. Pomruk zamienił się w skowyt, który wyrażał mieszaninę zaskoczenia, wściekłości i bólu. Potem napastnik stracił równowagę i zwałił się obok mnie na ziemię.

Chciałem wykorzystać ogólne zaskoczenie do ucieczki, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że byłoby błędem podnieść się w tej chwili i w tym miejscu. Trwałoby to zbyt długo i byłbym zbyt wyraźnym celem dla mężczyzny z pistoletem. Pozostałem więc na ziemi i przetoczyłem się z kręgu światła latarni aż pod pień pobliskiego drzewa.

Gdy skoczyłem na równe nogi, zobaczyłem kierujący się w moją stronę płomień i usłyszałem odgłos wystrzału. Łysy wypalił do mnie z pistoletu i kula utkwiała w pniu drzewa, tuż obok mnie.

Przerażenie, wywołane tym, że przed chwilą uniknąłem śmierci, zmroziło mnie na kilka chwil. Serce waliło mi jak młotem i poczułem mdłości. Gdy jednak napastnik z czerwonym nosem zaczął zbliżać się do mnie z podniesioną do ciosu pałą, odzyskałem panowanie nad swoim ciałem i uciekłem.

Napastnik był tuż za mną i biegłem, jak nigdy dotąd. Zbyt późno dostrzegłem, że w ciemnościach straciłem orientację i zmierzałem prosto w stronę Prinsengracht. Gdybym się zatrzymał lub zmienił kierunek, łotr z czerwonym nosem na pewno by mnie dopadł. Skoczyłem więc i wylądowałem, jak miałem nadzieję, na pokładzie jednego z małych czółen, przycumowanych w tym miejscu.

Łódka gwałtownie się zakołysała pod moim ciężarem. Zamaszyście machałem ramionami, by utrzymać równowagę. Przez kilka długich sekund wydawało się, że mi się to uda, ale potem czołno przechyliło się i wpadłem głową naprzód do zimnej wody Prinsengracht.

Nałykałem się wody i podziękowałem w myślach ojcu, że już w dzieciństwie nauczył mnie pływać. Kilkoma szybkimi ruchami wy dostałem się na powierzchnię i stwierdziłem, że jestem tuż przy brzegu. Czołno się uspokoiło i leżało na wodzie, jakby się nic nie wydarzyło. Gdy podniosłem wzrok wyżej i zobaczyłem parę sfatygowanych butów, skuliłem się. Także mój prześladowca wskoczył do czołna i właśnie brał zamach, by uderzyć mnie pałą.

Chciałem zanurkować, ale czerwonończy był szybszy. Pałka trafiła mnie w głowę. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowałem, było okropne uczucie, że moja czaszka rozpada się na tysiąc kawałków. Potem zapadłem w ciemność.

1 3 NOCNY KOSZMAR

Biegłem przez ciemny las, złożony z wielkich, dziwnie powyginanych drzew, które wyciągały ku mnie pokręcone gałęzie. Próba wymknięcia się tym chciwym ramionom powiodła się tylko w części. Kilka gałęzi smagneło mnie po twarzy, tułowiu, nogach. Zachwiałem się i upadłem w końcu jak długi na twardą ziemię. Ponownie gałęzie sięgnęły po mnie i zaczęły mną szarpać, jakby chciały rozerwać na sztuki. Gdy wreszcie zdołałem im się wymknąć, podniosłem się otumaniony.

Moje zagubione spojrzenie obieгло wewnątrz i zatrzymało się na plamie niezwykłego światła. Czy to rzeczywiście światło? Było ciemne, a mimo to przenikające - było niebieskie! Między ponurymi, potwornymi drzewami tworzyło jakby tunel, jedyną, jak mi się wydawało, drogę wyjścia. Skierowałem się ku błękitnemu blaskowi, a drzewa, jeszcze przed chwilą tak wrogie, puściły mnie, jakby odczuwały respekt przed kolorowym lśnieniem. Dopiero, gdy zanurzyłem się w błękitnym tunelu, przyszło mi na myśl, że napaść drzew mogła służyć tylko jednemu celowi: skierowaniu mnie w stronę niesamowitego światła, ale było już za późno.

Błękit otoczył mnie, uwięził, chciał mnie pochłonać. Drżałem z zimna i jednocześnie pociełem z gorąca, czułem się tak, jakby moje ciało topiło się, dusza rozpyływała, a rozum zatracił we wszechogarniającym błękitcie.

Rzucałem się szaleńczo w wysiłku uwolnienia się od błękitnego światła. Ale dokąd miałbym uciekać? Las zniknął. Wokół mnie nie było niczego prócz błękitu.

A potem usłyszałem śmiech, jakby z wielkiego oddalenia, i pośrodku niebieskiego morza dostrzegłem twarz rozciągniętą w uśmiechu tryumfalnej radości. To była stara twarz, pomarszczona i zniszczona, a oczy nie patrzyły na mnie. Przenikały przeze mnie, patrząc na świat i wyśmiewając go. Ten śmiech wydał mi się bluźnierczy i z przerażeniem się odwróciłem. Wtedy wreszcie błękitne światło zbladło, chłód i upał zelżały i oddały mnie ciemności, z której przyszedłem.

Gdy poczułem pod stopami chłód podłoża, poznałem swój błąd. To nie była ta sama ciemność. Ciemność poprzedzająca koszmar wynikała z utraty przytomności. Przypomniałem sobie trzech napastników i palkę, którą mnie jej pozbawiono.

Zaraz potem poczułem tętniący ból w czaszce, szczególnie silny po lewej stronie, gdzie doszedł mnie cios czerwono-nosego. Chciałem dotknąć bolesnego miejsca, by zbadać rozmiary obrażeń, ale nie mogłem. Ręce miałem skrępowane sznurami na plecach, a nogi także były mocno związane. Leżałem więc jak zamorska przesyłka przygotowana w porcie do odprawy, na zimnej posadzce w pozbawionym okna pomieszczeniu, i rozmyślałem o niezwykle śnie.

To nie ciemny las z drapieżnymi drzewami i nie błękitne światło przerażyły mnie najbardziej, tylko uśmiechnięta twarz, wyraz zagadkowego, niewątpliwie przerażającego tryumfu. Przywołałem jeszcze raz w pamięci oblicze ze snu i bez większego trudu rozpoznałem w nim mistrza Rembrandta. Z pewnością nie był to przypadek, że tajemnicze mechanizmy, które wypełniają nasze sny obrazami, powiązały Rembrandta z niesamowitym błękitem. We śnie często ukrywa się głęboka prawda i byłem pewien, że tak właśnie było w przypadku mojego snu. Chciał mi objawić coś, czego znaczenia jeszcze nie

pojmowałem. Z ciężkim westchnieniem pomyślałem, że być może powinienem się z tego cieszyć.

Zwróciłem myśli ku miejscu swojego pobytu. Przed sobą przeczuwałem obecność drzwi, potwierdzoną bardzo słabym poblaskiem światła. Na zewnątrz, gdziekolwiek by to miało być, paliła się jakaś lampa albo świeca, w każdym razie słaby błysk nie pochodził od światła dziennego. Tam, gdzie było sztuczne światło, musieli też być ludzie. Ktoś, kto mógłby mnie uwolnić z więzów.

Już w następnej chwili sam siebie wyzywałem od durniów: Ten, kto mnie przyniósł w to nieznanne miejsce i skrępował tak skutecznie, nie miał raczej zamiaru uwalniać mnie z tego żałostnego położenia.

Moje zmysły wyostrzały się w miarę pozostawania na jawie. Teraz słyszałem też jakieś głosy. Rozmowa? Nie, brzmiały zbyt rytmicznie. Śpiew, to był śpiew, któremu towarzyszył dźwięk instrumentów. Znałem nawet piosenkę. Opowiadała o miłości dzielnego muszkietera do córki kupca i ostatnio była bardzo popularna w lokalach Amsterdamu. Przyszło mi na myśl pewne przypuszczenie co do miejsca mojego pobytu. Dawało punkt zaczepienia dla tego, co mnie spotkało i kto zwabił mnie w pułapkę przy Mewiej Baszcie.

Miałem wprawdzie związane ręce i nogi, ale nie przykuto mnie do ściany. Sturlałem się na podłogę, żeby dalej zbadać miejsce mojego odosobnienia. Było to dość małe, zupełnie puste pomieszczenie. Nie, niezupełnie. Pisk włochatego stworzenia, które przycisnąłem do ściany, powiedział mi, że nie jestem w nim całkiem sam.

Podtoczyłem się do drzwi i uderzałem związanymi stopami w deski, mocno i głośno, raz za razem. Jednocześnie krzyczałem co sił w płucach. Jakie dźwięki wydawałem, nie umiałem później powtórzyć, chciałem za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Zdawałem sobie sprawę, że istniało wielkie prawdopodobieństwo, że będzie to uwaga

tych ludzi, którzy mnie uwięzili, ale to mnie nie powstrzymało. Głowa mnie bolała, ogarniały mdłości i odczuwałem takie pragnienie, że mógłbym wypić beczkę piwa. Hałasowałem więc, ile wlezie. Już po kilku minutach blask w szparze pod drzwiami pojaśniał. Na chwilę zamilkłem i nasłuchiwałem zbliżających się kroków. Gdy rozległ się metaliczny zgrzyt odsuwanej rygla, szybko odtoczyłem się od drzwi. Serce biło mi teraz szybciej, gdy patrzyłem z napięciem na otwierające się wolno drzwi.

Wchodzący trzymał w jednej ręce latarnię, w drugiej sztylet. Jedyną dobrą rzeczą, jaką dało się o nim powiedzieć, było to, że nie należał do trzech zabijaków, którzy dwukrotnie na mnie napadli. Ale sądząc po jego wyglądzie, mógłby śmiało być jednym z nich. Długie, skołtunione włosy spadały mu na ramiona, a splątana broda głośno domagała się brzytwy. Oczy pod wypukłym czołem spoglądały na mnie nieprzyjaźnie.

- Czego chcesz? - warknął. - Dlaczego robisz tyle hałasu?

- Bo boli mnie głowa i chce mi się pić - odpowiedziałem możliwie jak najbardziej naturalnym tonem. - Poza tym byłbym wdzięczny, gdyby ktoś zdjął mi więzy. Wrzynają mi się już w ciało.

Ukryte prawie całkiem za niechlujnym zarostem usta otworzyły się w szyderczym uśmiechu, który ukazał dwa bardzo niekompletne rzędy poczerńiałych zębów.

- Mamy wymagania? Możesz się cieszyć, że cię od razu nie załtukli.

- Sądząc po bólu głowy, niewiele brakowało.

- Od bólu głowy jeszcze nikt nie umarł.

- Ale z pragnienia owszem, tak słyszałem. Czy mogę dostać wody?

Zawahał się.

- To... nie zależy ode mnie.

- A od kogo?

Na chwilę zapadła cisza i dzięki otwartym drzwiom słyszałem wyraźniej muzykę i śpiew. Były to głosy wielu ludzi; śpiewano teraz

o marynarzu, który szuka szczęścia w dalekich krajach.

- Nie mogę powiedzieć - burknął w końcu brodacz.

Mimo swojego mało bohaterskiego położenia spojrzałem mu twardo w oczy i powiedziałem:

- To przyprowadź tu van der Meulena! Chcę mówić z kimś, kto ma tu coś do gadania!

Mężczyzna przestraszył się.

- Skąd wiesz...

- Do tej chwili tylko przypuszczałem, teraz wiem na pewno. Jesteśmy przy Anthonisbreestraat, prawda?

Nie dostałem odpowiedzi. Brodacz odwrócił się bez słowa i zasunął ponownie rygiel na drzwiach. Potem jego człapiące kroki się oddaliły.

Prawdopodobnie goście sztantanu śpiewali głośno i z werwą, ale do mnie ich głosy docierały teraz tylko jako słabe echo. Przypominało mi to kołysanki z okresu dzieciństwa. Pomyślałem o matce, o jej okrągłej twarzy, okolonej blond lokami, i ciepłej dłoni, którą gładziła moje czoło, gdy nie mogłem zasnąć. Mimo żalostnego położenia ogarnęło mnie uczucie błogości i poszukałem schronienia w drzemce, wypełnionej zatartymi wspomnieniami z dzieciństwa, która pozwoliła mi nawet zapomnieć o dotkliwym bólu głowy.

Być może leżałem tak tylko kilka minut, a może wiele godzin. Naprawdę obudziłem się dopiero wówczas, gdy ponownie usłyszałem zgrzyt rygla. Natychmiast powrócił ból głowy i dokuczliwe pragnienie. Gardło miałem wyschnięte na wiór, a język w ustach spuchnięty jak kawałek wygarbowanej skóry.

Brodacz wszedł ponownie z latarnią, a za nim postępował drugi mężczyzna, którego wąska twarz przybrała na mój widok nieufny wyraz. Maerten van der Meulen podszedł dwa kroki w moją stronę, tak że stanął dokładnie nade mną, i potrząsnął głową.

- Sami napytaliście sobie biedy, Suythof. Zaoferowałem wam dobry zarobek, za który niejeden ubogi malarz w Amsterdamie okazałby mi wdzięczność. A wy co? Szpiegujecie mnie, zakłóćcie moje interesy! Szkoda, Suythof, naprawdę szkoda. Wiązałem z wami wielkie plany, ale teraz ktoś inny będzie musiał was zastąpić - z westchnieniem wzruszył ramionami. - No cóż, chętnych nie zabraknie.

- Chętnych do czego? - zapytałem głosem ochryplym z pragnienia. - Do malowania dla was błękitnych śmiercionośnych obrazów?

Mimowolne drgnienie przebiegło po twarzy marszanda. Zwrócił się do swego towarzysza:

- Daj mi latarnię, Bas, i odejdz. Chcę z nim porozmawiać na osobności.

Mężczyzna posłuchał bez słowa.

Van der Meulen odczekał, aż jego kroki ścichły, i ponownie zwrócił się do mnie.

- Co wiecie na temat, jak to mówicie, śmiercionośnych obrazów?

Ku mojej uldze w jego głosie zabrzmiał ton niepewności. Wiadocześnie to, co wiedziałem, albo czego tylko mógł się spodziewać, że wiem, stanowiło dla niego zagrożenie. Chciał się zorientować, jak dalece wniknąłem w jego mroczne tajemnice i gdyby udało mi się wykorzystać jego zainteresowanie, mógłbym odwrócić jeszcze bieg wydarzeń.

- Wiem to i owo - wyjaśniłem mgliście. - Może więcej, niż jest wam w smak.

- A może tylko gracie tą waszą rzekomą wiedzą?

- Czy w takim wypadku znalazłbym się tutaj?

- Nawiązujecie do czegoś, co mnie i tak zajmuje. Martwy Cornelis Suythof byłby najlepszym rozwiązaniem, bo nie mógłby niczego rozpoznać dalej.

Starałem się zachować obojętność. Tylko w ten sposób mogło mi się udać uzyskać od van der Meulena to, co chciałem.

- Oczywiście, że możecie w każdej chwili mnie zgładzić - powiedziałem spokojnie. - Waszemu siepaczowi pod Mewią Basztą prawie się to już udało. Mnie zmusilibyście w ten sposób do milczenia, to prawda. Ale wtedy nie mógłbym wam powiedzieć, kto jeszcze wie o waszych występkach.

Zbliżył latarnię do mojej twarzy, jakby chciał mnie przypalić jej płomieniem.

O kim wy mówicie, Suythof? Kogo wtajemniczyliście?

- Nie tak szybko! Ja też mam kilka pytań.

- Ach tak?

- Tak. Na przykład, jak wam się udało zastawić na mnie pułapkę przy Mewiej Baszcie?

- Prosta sztuczka, skoro dowiedziałem się o waszym spotkaniu z Louisa van Riebeeck.

- Ale jak się o nim dowiedzieliście?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie powinniście mnie uważać za durnia. Myślicie, że nie obserwuję ludzi, którzy mogą być dla mnie niebezpieczni?

Przerazająca myśl przeszła mi przez głowę.

- Czy Louise także zwabiliście w pułapkę?

- To nie będzie potrzebne. Wysłałem jej ojcu ostatnio piękny obraz. Artysta użył przede wszystkim pewnego błękitu, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Ze zgrozą pomyślałem o rodzinie farbiarza Gijsberta Melchersa i o losie, który przypadł w udziale Gesie Timmers. Ogarnęło mnie przerażenie.

- Nie możecie tego zrobić! - wyjąkałem i opadła ze mnie cała udawana pewność siebie.

- Mylicie się, Suythof, co potwierdza fakt, że już dawno to uczyniłem. Obraz już wkrótce pokaże swoją siłę.

Bezradnie szukałem słów, które by go skłoniły do zmiany decyzji, przekonały w jakiś sposób, że Louisa nie stanowi dla niego zagrożenia.

Ale wielkopańskim gestem nakazał mi milczenie.

- Oszczędźcie sobie wysiłków, Suythof, nie mam teraz i tak dla was czasu. Są ważniejsze sprawy. Później wrócimy do tej rozmowy. Zanim odejdę - czy potrzebujecie czegoś?

- Wody - to było wszystko, co zdołałem wyjąkać w przygnębieniu.

Znów upłynął nieokreślony czas, nim drzwi mojego więzienia ponownie się otworzyły i brodaty strażnik, Bas, stanął w nich po raz trzeci. Postawił latarnię obok drzwi i zbliżył się do mnie z wielkim cynowym kubkiem.

Prowokująco wyciągnął w moją stronę rękę z kubkiem.

- Mam związane ręce - przypomniałem mu. - Gdybym potrafił nimi podnieść kubek do ust, mógłbym zarabiać niezłe pieniądze jako osobliwość w Labiryncie Lingelbacha.

- Mam cię napoić jak małe dziecko? - burknął niechętnie.

- Możesz mi poluzować więzy.

Jego oczy zwężyły się nieufnie.

- Boisz się mnie, Bas? Przecież i tak mam związane stopy. A ty masz sztylet, jeśli dobrze pamiętam.

- No dobrze - burknął wreszcie. - Ale jeden podejrzany ruch i wpakuję ci sztylet między żebra.

Rozluźnił sznury na moich przegubach i z przyjemnością roztarłem obolałe nadgarstki. Bas przykucnął obok mnie ze sztyletem w prawej ręce. Wąskie, długie ostrze migotało groźnie w świetle latarni.

- Wolałbyś robić coś ciekawszego, niż pilnować mnie w tej ciemnej norze, prawda? - zapytałem, sięgając obolałą prawą ręką po kubek, który Bas postawił przede mną na ziemi.

W odpowiedzi usłyszałem gardłowy pomruk. Wyraźnie nie miał ochoty wdawać się ze mną w pogawędkę.

- Ja na twoim miejscu na pewno wolałbym coś lepszego - ciągnąłem z krzywym uśmiechem. - Coś z ciepłymi udami i dużymi, twardymi piersiami.

Mówiąc to, powoli podniosłem kubek do ust, ale nie piłem, mimo że nie przyszło mi to łatwo. Potem jednym szybkim ruchem chlusnąłem wodą, której tak byłem spragniony, w twarz mojego strażnika. Bas zamarł na moment, dość długi, bym zdołał się na niego rzucić i schwycić go za prawe ramię. Tarzaliśmy się po twardej posadzce, a więzy na nogach z pewnością nie ułatwiały mi obrony przed silnym przeciwnikiem.

Udało mu się przycisnąć mnie do ziemi i poczułem jego cuchnący oddech. Lewą ręką sięgnął do mojej twarzy i rozczapierzonymi palcami próbował wydrapać mi oczy. W rozpaczliwej obronie sięgnąłem zębami i mocno ugryzłem go w palec wskazujący. Zawył i cofnął rękę, z której ciekła strużka krwi.

Chciałem wykorzystać zaskoczenie i odebrać mu sztylet. Bas zorientował się w moich zamiarach i rzucił się do tyłu, by się ode mnie uwolnić. Rzeczywiście, wyrwał się z mojego chwytu. Obawiałem się już, że użyje przeciw mnie sztyletu, ale zobaczyłem, że leży bez ruchu w kącie piwnicy.

Tak szybko, jak pozwalały na to moje więzy, podpełzłem do niego, przygotowany na to, że lada moment zobaczę błysk ostrza. Ale Bas już nigdy nie miał skierować go przeciw komukolwiek. Sztylet tkwił aż po rękonoż w jego piersi, a ciemnoczerwona plama z lewej strony jego brudnej koszuli powiększała się. Przy próbie uwolnienia się z mojego uścisku nadział się na własny sztylet. Nie współczułem mu. Gdyby van der Meulen wydał taki rozkaz, człowiek o imieniu Bas nie zawahałby się ani sekundy przed zabiciem mnie.

Spróbowałem rozwiązać więzy na nogach, ale czy to węzły były zbyt mocne, czy moje palce drżały za bardzo, a może jedno i drugie - nie dałem rady. Wyrwałem zatem sztylet z piersi martwego Basa i wytarłem zakrwawione ostrze w jego spodnie. W końcu zdołałem przeciąć więzy. Z trudem oparłem się o ścianę i po drugiej próbie stanąłem na nogach. Potupałem w miejscu. Stopy bolały, ale krew powoli zaczynała krążyć normalnie.

Dopiero teraz pomyślałem o ranie na głowie i pomacałem ją. Dotknięcie spowodowało kłujący ból, a do palców przykleiła się skrzepła krew. Nie miałem czasu dalej się tym martwić. Szybko wsunąłem sztylet do cholewy prawego buta, po czym sięgnąłem po latarnię i opuściłem swoje więzienie. Coś czmychnęło z piskiem spod moich nóg. Szczur nie wydawał się zadowolony, że odchodzę.

Starając się zachowywać jak najciszej, szedłem wzdłuż korytarza prowadzącego do schodów. To potwierdzało moje przypuszczenie, że byłem więziony w piwnicy jakiegoś budynku. Wspiąłem się po wąskich schodach i dopiero teraz zdziwiło mnie, że nie słyszę już hałasu, żadnych śpiewów ani dźwięku skrzypiec. Być może zapadła już tak głęboka noc, że nawet szantan był zamknięty. A może nastał już następny ranek?

Na gorze wąski korytarzyk doprowadził mnie do klatki schodowej, którą znałem z poprzedniego pobytu w szantanie. Skręciłem w stronę bocznych drzwi, którymi wówczas wszedłem do budynku. Ku mojej wielkiej uldze nie spotkałem nikogo.

Drzwi były zamknięte. Już raz za pomocą noża udało mi się je otworzyć, spróbowałem więc tym razem użyć sztyletu i już po paru minutach odniosłem sukces. Na zewnątrz panowały spokój i ciemność. Przyjąłem, że było nad ranem. Deszcz już nie padał, ale ostry wiatr hulał nad dachami.

Wyszedłem na ulicę i zamknąłem za sobą drzwi. Cicho przekradłem się do miejsca, w którym zaułek łączył się z Anthonisbreestraat, i wyjrzałem zza rogu. Wejścia do szantanu nikt nie pilnował.

Dokąd powinienem pójść? Oparłem się chęci zgłoszenia napadu władzom. W końcu moje słowa - nieznanego, ubogiego malarza - przeciwstawiono by zeznaniu szanowanego handlarza obrazów i zamożnego mieszczanina Martena van der Meulena. Poza tym istniało niebezpieczeństwo, że zostałbym pociągnięty do odpowiedzialności za śmierć strażnika. W końcu nie mógłbym udowodnić, że zginął z własnej winy.

Nie mogłem teraz wrócić na Rozengracht, mimo że najbardziej na świecie marzyłem o gorącej kąpieli, miękkim łóżku i dzbanku wody. Nie potrafiłem bowiem zapomnieć o tym, co van der Meulen powiedział o ojcu Louisy i niebieskim obrazie. Najszybciej, jak na to pozwalały moje obolałe członki, pobiegłem na Prinsengracht, do domu kupca Melchiora van Riebeecka.

14 GORE!

Musiałem przemierzyć prawie pół miasta, aby dotrzeć z Anthonisbreestraat na Prinsengracht, i przyszło mi to z trudem. Co chwilę się zatrzymywałem, opierałem o ścianę i chwytalem powietrze, walcząc też z szalonym bólem głowy, nasilającym się przy każdym kroku.

Niedaleko Damrak pozbyłem się natrętnej rajfurki, która się do mnie przyczepiła, by zaoferować mi jedną ze swoich dziwek. Na moście przerzuconym ponad Singel omal nie wdałem się w kłótnię z hałaśliwym pijakiem. Ale szedłem niezmordowanie dalej, gnany nadzieją, że zdołam ochronić Louisę przed ^najgorszym. Ale gdy przeciąłem Heerengracht, wiedziałem już, że nie mam szans.

Czerwonawy blask rozjaśniał noc nad Prinsengracht dokładnie w miejscu, w którym stał dom van Riebeecków. Jednocześnie usłyszałem ostrzegawcze sygnały trębaczy, którzy w nocy czuwali na wieżach, i kołatki ulicznych strażników. Z głośnym, monotonnym odgłosem kołatek mieszały się okrzyki: „Gore! Gore!”.

Próbowałem samego siebie uspokajać, że musiałem się omylić, i biegłem dalej. Przy Keizersgracht natrafiłem na grupę mężczyzn popychających sikawkę i zapytałem, dokąd zmierzają.

- Spieszmy się na Prinsengracht, tam pali się dom kupca - odpowiedział jeden z nich, pchając z wysiłkiem ciężką sikawkę.

- Czyj dom?
- Pana van Riebeecka.
- Nie gadaj tyle - ofuknął go inny mężczyzna. - Musimy się pośpieszyć.

Spojrzał na mnie.

- A wy moglibyście nam pomóc.

Ale nie pomogłem im, tylko przecisnąłem się obok nich i pojechałem dalej w kierunku Prinsengracht. Do bólu głowy dołączyło dotkliwe kłucie w boku, ale nie zważałem na nie.

Spotykałem coraz więcej ludzi, którzy biegli w stronę łuny, czy to z czystej ciekawości, czy też w gotowości gaszenia pożaru. Miasto Amsterdam uchwaliło surowe zasady, w myśl których dla skupisk domów w ramach poszczególnych dzielnic ściśle określono, kto w razie pożaru do czego jest zobowiązany. Jeśli ktoś tych obowiązków nie spełnił, musiał liczyć się z dotkliwą karą pieniężną, chyba że zdołał dowieść, iż był chory lub poważnie zajęty w inny sposób.

Gdy zobaczyłem płonący dom, wiedziałem, że wszelkie gorliwe wysiłki były daremne. Płomienie sięgały już zbyt wysoko, pełzały po niegdyś wspaniałej fasadzie i pochłaniały budynek nawet od środka.

Między domem i kanałem utworzyło się kilka łańcuchów ratowniczych. Skórzane wiadra, napełniane wodą z kanału, podawano szybko z rąk do rąk, a pierwszy w szeregu chlustał ich zawartością w stronę ognia. Ludzie zmieniali się prawie co minutę, by zapobiec utracie przytomności pod wpływem gorąca.

Sikawka zaczęła już pracować, strumień wody skierowano na górne partie domu, dokąd nie zdołali sięgnąć mężczyźni z wiadrami. Ludzie przy pompie, rozebrani do pasa, pracowali niestrudzenie, a ich nagie torsy lśniły w blasku ognia jak ciała diabłów tańczących przy ognisku. Zbliżały się jeszcze dwie kolejne sikawki, wśród nich także ta, którą wyprzedziłem po drodze.

Brandmajster¹⁴, wyróżniający się buławą, instruował inną grupę mężczyzn, by okrywali okoliczne budynki płachtami mokrego sukna dla ochrony przed przerzuceniem się ognia. Podbiegłem do niego i zapytałem o mieszkańców domu.

- Czy znacie ich? - zapytał z powątpiewaniem, czego w swoim opłakanym stanie nie mogłem mu brać za złe.

- Owszem - odpowiedziałem szybko. - Czy van Riebeeckowie zdołali ujść z płomieni?

Potrząsnął głową.

- Jak dotąd nie. Wyszło tylko kilkoro służących.

Myśl o otoczonej płomieniami Louisie doprowadzała mnie do szaleństwa. Odstawiłem latarnię, chwyciłem jedną z derek, którą właśnie polano wodą, owinąłem się w nią szybko i pobiegłem w stronę domu. Za sobą usłyszałem zaskoczone, wściekłe okrzyki strażaka, ale nie zważałem na nie, tylko utkwilem wzrok w płonącym domu, który wydawał mi się zionącym ogniem potworem. Potworem, w którego płomiennych szponach uwięziona była Louisa.

Otoczyły mnie iskry i poczułem na policzkach ich bolesne ukłucia, które uświadomiły mi, że moje własne życie było w niebezpieczeństwie na równi z życiem Louisy. Czyżbym powoli przywykał do groźby śmierci? Czy motorem mojego postępowania było bohaterstwo? Ani jedno, ani drugie. W płomień popchnął mnie po prostu strach o Louisę.

Przeskoczyłem kilka stopni do wejścia, ciasniej otuliłem się derką i wskoczyłem do płonącego domu. Gorąco zapało mi dech, jasność mnie oślepiła, a gryzący dym wypełnił płuca. Kaszłąc, zacząłem wołać Louisę. Potykałem się przy tym wśród płomieni jak ślepy błazen, który niebacznie znalazł się pośrodku Apokalipsy św. Jana.

¹⁴ Brandmajster, z nieni. *Brandmeister*, oficer ogniowy, dowodzący akcją gaśniczą na miejscu pożaru.

Rzeczywiście, prawie nic nie widziałem. Wokół mnie szalał ogień i kłębił się dym. Ponownie zawołałem Louise, chociaż prawie straciłem nadzieję. I usłyszałem odpowiedź, przynajmniej tak mi się wydawało. Był to głos kobiety, może Louisy. Nie potrafiłem stwierdzić, czy odpowiedziała na moje wołanie, czy tylko dotarł do mnie okrzyk męki.

Przetarłem skrajem derki zażawione od dymu oczy i rozejrzałem się. Pośród szalejących płomieni zobaczyłem coś, co wyglądało jak dwie ludzkie postacie splecione w groteskowym tańcu. Nie, nie w tańcu. To była walka na śmierć i życie. Rozpoznałem Louise, która daremnie starała się wymknąć z kręgu płomieni, i mężczyznę, z wypisanym na wykrzywionej twarzy obłędem, który przytrzymywał ją i wciągał w ogień. Tym mężczyzną był jej własny ojciec. Morderczy obraz znalazł zatem swoją ofiarę.

Dwoma skokami znalazłem się przy nich i wyrwałem Louise z uścisku jej ojca. Spojrzał na mnie z nienawiścią i wyciągnął płonące ramiona jak demon, który przed chwilą opuścił czeluść piekieł. W tym momencie część dachu zawaliła się z głośnym trzaskiem i po-grzebała go pod gruzami.

Zarzuciłem derkę na ciało Louisy i rzuciłem ją na ziemię, by zdławić płomień, które ogarniały jej tułów. Przewróciłem ją kilka razy na plecy i na brzuch, aż byłem pewien, że ugasilem suknię. Głośny, syczący dźwięk, który przybliżał się wraz z drzeniem podłogi, skłonił mnie do pośpiechu. Dumna siedziba kupca waliła się.

Z Louisa, ciągle jeszcze owiniętą derką, przerzuconą przez ramię, skierowałem się do wyjścia, którego zarys trudno było rozpoznać wśród duszącego dymu. Płomień pełzył za mną gorącymi jęzorami i zamknąłem oczy, by je ochronić. Posuwałem się do przodu, zataczając się, aż nagle poczułem na ciele chłodną wodę. Mężczyźni z jednej z grup opróżnili na nas swoje wiadra. Wyczerpany opadłem na ziemię, uważając jednak, by nie zranić przy tym Louisy.

Starszy strażaków podszedł do mnie i wskazał buławą na zawiniątko leżące obok mnie.

- Co wynieśliście z domu? Nie wiecie, że za plądrowanie grożą surowe kary?

- To,, to jest Louisa van Riebeeck - powiedziałem słabym głosem, u kresu sił. - Pomóżcie jej, proszę...

- Córka kupca? - Strażak szybko ukląkł i odrzucił derkę. - To rzeczywiście ona!

Ogień uczynił jej wielką krzywdę. Piękne, rude włosy były spalone, a na ciele miała wiele oparzeń. Nie ruszała się, jej oczy były zamknięte.

- Jak się czuje? - zapytałem. - Czy straciła przytomność?

Strażak dokładnie zbadał Louise, zanim odpowiedział.

- Nie, nie to. Gorzej... niestety, nie żyje.

Patrzyłem na zeszczone stworzenie, które jeszcze niedawno było piękną Louisa van Riebeeck, i lzy pociekiły mi po policzkach. Łzy, których przyczyną nie był dym, wzbijający się w niebo z płonącego domu.

Gnane ostrym wiatrem, ciągnącym od morza, na tle nocnego nieba tańczyły tysiące iskier. Przypominały robaczki świętojańskie z ciepłych letnich nocy, ale tym razem nie był to pogodny spektakl natury, lecz śmiertelna tragedia. Z najwyższym trudem udawało się utrzymać ogień w bezpiecznym oddaleniu od sąsiednich zabudowań. Biegiem donoszono coraz to nowe derki, które moczo w wodzie Prinsengrachtu. Wiadro za wiadrem chlustano wodą w ogniste piekło, które nie przypominało już w niczym domu kupca. Obrazu dopełniały strugi wody z sikawek, które wysokim łukiem spadały na płomień. Dom był stracony, a dla bezpieczeństwa otoczenia strażacy rozkazali zburzyć płonąca ruinę.

Ludzie z długimi bosakami podbiegli do ścian i zaczęli zrywać płonące belki i deski, a w końcu także szczyty i mury. Aby ogień nie zyskał nowej pożywki, dalsi pomocnicy doskakiwali natychmiast

i zasypywali palący się gruz wapnem, piaskiem i kamieniami.

Obserwowałem to wszystko, ale czułem się dziwnie nieobecny. Moja daremna próba uratowania Louisy pozbawiła mnie resztek sił. Może także przerażenie z powodu śmierci dziewczyny odebrało mi wszelką energię. Oparty o pień lipy, siedziałem tam i patrzyłem na postępującą rozbiórkę domu. W którymś momencie podszedł do mnie lekarz, należący do drużyny strażackiej, by posmarować moje rany kojącą maścią. To także zarejestrowałem tylko na marginesie i później nie byłem w stanie przypomnieć sobie ani jego nazwiska, ani twarzy.

Gdy zaświtał poranek, znów zaczął padać deszcz i było to prawdziwe szczęście dla ludzi tak dzielnie walczących z ogniem. Krople spadały z nieba z coraz większą siłą, chroniąc domy przy Prinsengracht przed przeniesieniem ognia i pomagając dogasić pogorzeliśko.

Deszcz pobudził mnie do działania. Nie miałem tu już nic do roboty. Podniosłem się i rozejrzałem za ciałem Louisy. Ale nie było go już i niemal się z tego ucieszyłem, że jakaś pobożna dusza zatroszczyła się o to, by je stąd zabrać. Nie musiała więc już po śmierci się przyglądać, jak dom, z powodu którego własny ojciec ją sprzedał, przemienia się w kupę dymiących, cuchnących gruzów.

Wolnym krokiem wyruszyłem w stronę Rozengracht. Amsterdam budził się do porannego życia. Otwierano drzwi domów i coraz więcej ludzi wychodziło do pracy. Zważywszy na moje poszarpane odzienie i osmoloną skórę, nie dziwiło mnie, że wiele osób zagadywało mnie o nocny pożar. Żadnemu z ciekawskich nie odpowiedziałem. Byłem zbyt wyczerpany, ale przede wszystkim nie chciałem myśleć o Louise.

Przed drzwiami domu Rembrandta spotkałem Rebeke Willems, która właśnie zamierzała wpuścić do domu nieco powietrza i światła. Jej niemłoda twarz wyglądała jeszcze starzej niż zwykle, a oczy

wydawały się jeszcze węższe, jakby zaznała w nocy równie mało snu jak ja. Spojrzała na mnie, jakbym był widmem.

- To wy? - wykrzyknęła.

- Dzień dobry, Rebeko - powiedziałem cicho i nawet nie próbowałem się uśmiechnąć. - Wy też wyglądacie, jakbyście mieli za sobą długą noc.

- Nic dziwnego, troski nie dały ani Cornelii ani mnie zmrużyć oka.

- Tak bardzo się o mnie martwiłyście?

- O was? - Stara gospodyni zmierzyła mnie powątpiewającym spojrzeniem. - Nie, nie o was. O mistrza Rembrandta.

- A co z nim? Znowu po pijanemu wpadł do kanału?

- Gdybyśmy tylko wiedziały - westchnęła Rebeka. - Biedna Cornelia zamartwi się jeszcze o ojca na śmierć.

Niecierpliwie chwyciłem gospodynię za kościste ramiona.

- Powiedzcie wreszcie, co się stało z Rembrandtem!

- Zniknął. Mniej więcej godzinę po północy wybiegł z krzykiem z domu. Od tego czasu nikt go już nie widział.

- Stary dureń pewnie znowu był pijany - warknąłem, właściwie wściekły sam na siebie, że nie było mnie, gdy Cornelia mnie potrzebowała.

- Nie, nie był. Ale... zachowywał się dziwniej niż po dwóch dzbanach wina. Inaczej nie da się tego wyjaśnić...

- Czego? - podchwyciłem, gdy nie dokończyła zdania.

Rebeka potrząsnęła głową i wciągnęła mnie do środka.

- Wejdźcie, *mijnheer* Suythof. W środku lepiej będzie rozmawiać. Cornelia też się ucieszy, że przynajmniej pan znowu tu jest.

Poszedłem za nią do domu, który miał widocznie za sobą równie niespokojną noc jak ja sam. Gdy w końcu stanąłem przed Cornelia, jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że nie czuje się ani odrobinę lepiej ode mnie.

15 TAJEMNICA REMBRANDTA

23 września 1669

Cornelię znaleźliśmy w kuchni. Mimo wczesnej godziny była już całkowicie ubrana. Nie, nie już, tylko jeszcze. Także i ona nie zaznała tej nocy snu, co zdradzały głębokie cienie pod oczami. Troska o ojca odmalowywała się na jej twarzy, która nie rozjaśniła się na mój widok. Stłumiłem ochotę podejścia do dziewczyny i wzięcia jej w ramiona. Coś w skierowanym w moją stronę spojrzeniu powstrzymało mnie. Powinienem był być z nią w nocy, teraz było za późno.

- Źle wyglądasz, Cornelisie - stwierdziła cichym głosem. - Co ci się przydarzyło?

- To i owo, ale nic przyjemnego. Ale porozmawiamy o tym później. Powiedz mi raczej, co się stało z twoim ojcem.

- Nikt tego nie wie. Wybiegł w nocy z domu i od tej pory zniknął bez śladu.

- Dlaczego wybiegł z domu? Nic nie powiedział?

- Powiedział? Wrzeszczał jak opętany. Chciał do Tytusa.

- A więc do Kościoła Zachodniego. I co, poszłyście za nim?

- Oczywiście, Rebeka i ja szukałyśmy go w kościele. Ale go tam nie było. Prawdę mówiąc nie spodziewałam się go tam znaleźć.

Zamiast opowiadać mi całą historię, Cornelia zacisnęła usta i usiadła przy stole. Próbowwała się opanować.

Rebeka pogładziła ją kojąco po głowie i powiedziała:

- Panu się wydawało, że widzi na ulicy Tytusa.

- Na ulicy? - powtórzyłem, bo sens tej wypowiedzi z trudem do mnie docierał.

- Tak, tu, przed domem - ciągnęła gospodyni. - Dlatego wybiegł z krzykiem, zanim jeszcze zrozumieliśmy, co się dzieje. Gdy ogarnęliśmy się na tyle, by wybiec za nim, już zniknął.

Skołatany, podrapałem się w głowę, ale natychmiast przestałem, bo odezwał się ból wywołany raną.

- Czy ojcu wydawało się, że Tytus jest na ulicy? Czyżby leżały tam zwłoki jego syna?

- Nie leżały, tylko stały - odpowiedziała Cornelia. - Tak w każdym razie rozumialiśmy z jego okrzyków. Tytus miał stać na ulicy i machać do niego ręką.

Mój pełen powątpiewania wzrok krążył między obiema kobietami, starą i młodą.

- I ojciec nic wcześniej nie pił?

- Kufel piwa do kolacji, nic więcej - powiedziała Cornelia. Teraz także przysunąłem sobie krzesło i usiadłem przy stole.

Miałem za sobą naprawdę straszną noc, ale teraz dostrzegłem, że ostatnie godziny nie były dla Cornellii łatwiejsze.

Przypomniał mi się koszmar, w którym pojawiło się przede mną roześmiane oblicze Rembrandta. Gdy usłyszałem, co przytrafiło się w nocy staremu mistrzowi, sen objawił mi się w nowym znaczeniu. Czy sny chciały dać mi do zrozumienia, że tamtej nocy zdarzyło się z Rembrandtem coś niezwykłego? Mistrza otaczała jakaś tajemnica, ale niezależnie od wysiłku, jaki w to wkładałem, nie byłem zdolny jej przeniknąć.

W głowie mi kołatało, nie mogłem zebrać myśli. Ogarnęło mnie zmęczenie trudne do przewyciężenia, ale pozbierałem się i powiedziałem:

- Musisz zgłosić władzom zniknięcie ojca, na wypadek gdyby go gdzieś odnaleziono.

- Już to zrobiłam - odpowiedziała Cornelia. - Myślisz, że postradał zmysły, prawda?

- W obliczu faktów to najbardziej prawdopodobne. Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, co mam myśleć. W ostatnim czasie zdarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że nie mogę tak po prostu wyrokować na temat twojego ojca.

Cornelia nachyliła się i położyła dłoń na moim osmalonym lewym przedramieniu.

- Co się stało, Cornelisio?

Moje zmęczone, zgaszone spojrzenie powiedziało jej chyba, że to nie jest najlepszy moment do kontynuowania rozmowy.

- Twoje miejsce jest teraz w łóżku, Cornelisie. Ale najpierw musisz się wykąpać z sadzy, błota i - zakrzepłej krwi.

Pomogła mi się umyć i znalazła kojącą maść, którą posmarowała oparzenia. Reagowałem na wszystko jak przez mgłę, jakby było nierzeczywiste, zamazane. Ale odczułem wielką wdzięczność, że Cornelia jest przy mnie. I jednocześnie wstydziłem się za to, że w nocy tak haniebnie ją zawiodłem. Zaprowadziła mnie do pokoju. Jeszcze się dobrze nie położyłem, a już zapadłem w sen.

Gdy się obudziłem, mój wypchany przyjaciel rzucał już długi cień na podłogę pokoju. Ledwie usiadłem, ból głowy powrócił, ale nie wydawał się już tak dojmujący. Długi sen dobrze mi zrobił. Odczuwałem potężny głód i postanowiłem zejść do kuchni. Chciałem się też dowiedzieć, czy Rembrandt się odnalazł. Podeszedłem do miednicy w kącie pokoju, obmyłem twarz i ramiona, ubrałem się i wyszedłem na korytarz. Ale zamiast do kuchni, coś kazało mi wejść najpierw do pracowni malarza. Ostrożnie otworzyłem drzwi i omiotłem wnętrze spojrzeniem. Nie, mistrza tu nie było. Wszedłem do środka i stanąłem przed sztalugą, aby spojrzeć na jego autoportret, który prześladował mnie we śnie.

Sztuka Rembrandta ponownie wciągnęła mnie w swój krąg. Już samo mistrzostwo w przedstawianiu szczegółów nie miało sobie równych, każdy włos w brodzie, każda najmniejsza zmarszczka wyglądały jak prawdziwe. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie umiejętność komponowania szczegółów w harmonijną całość. Jak w dobrym utworze muzycznym, w którym piętrzą się i współbrzmiały kolejne dźwięki, detale na obrazach Rembrandta były ze sobą idealnie zestrojone. Autoportret na sztaludze wydobywał oblicze, a pozostawiał w cieniu szaty, które stapiały się z ciemnym tłem.

Odpowiedziałem na spojrzenie malowanego Rembrandta, jakbym stał oko w oko z żywym człowiekiem. Co kryło się za tym mądrym spojrzeniem, pogardliwym uśmiechem? Od obrazu nie otrzymam odpowiedzi. Oderwałem się więc od sztalug, aby zejść do kuchni i nasycić burczący żołądek. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Cornelie stojącą w otwartych drzwiach i wpatrującą się we mnie.

- Co tu robisz, Cornelisie?

- Próbuję zrozumieć, jaką tajemnicę ukrywa twój ojciec.

- Tajemnicę? Co przez to rozumiesz?

- Zanim odpowiem, chciałbym wiedzieć, czy może już powrócił.

- Nie, nie dał znaku życia. Rebeka wyszła przed półgodziną po zakupy. Poprosiłam, żeby rozpytała sąsiadów.

- Dobry pomysł - powiedziałem, by ją uspokoić. W rzeczywistości wątpiłem, aby Rebeka mogła w ten sposób wpaść na ślad zaginionego.

Zeszliśmy do kuchni, gdzie Cornelia przygotowała mi skromny posiłek z ryb i jarzyn. Podczas jedzenia opowiedziałem jej wszystko: o swoim uprowadzeniu przez van der Meulena i ucieczce, o pożarze przy Prinsengracht i strasznej śmierci Louisy, o koszmarze i przypuszczeniach, że Rembrandt odgrywa niepoślednią rolę w historii śmiertelności błękitnego obrazu.

Opowiedziałem jej wszystko prócz jednego, ale o to zapytała sama.

- Co znaczy dla ciebie Louisa van Riebeeck, Cornelisie? Jej śmierć bardzo cię obeszła.

- Sam sobie wciąż zadaję to pytanie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Louisa była piękną i mądrą kobietą, niewątpliwie wywarła na mnie wielkie wrażenie.

- Mówisz o niej z czułością, z jaką niejeden mąż nie wspomina własnej żony.

- Los Louisy głęboko mnie poruszył.

- Tylko jej los?

Cornelia siedziała wyprostowana naprzeciw mnie, odsunęła jasne włosy z czoła i patrzyła na mnie wyczekująco. Wiedziałem, że moja odpowiedź ma dla niej wielkie znaczenie. Nie chciałem jej rozczarować, ale jeszcze mniej pragnąłem ją okłamywać. Na to nie zasłużyła.

- Nie tylko jej los - przyznałem więc. - Potrafiła oczarować mężczyznę, nie mając takiego zamiaru.

- A jakbyś zdecydował, gdyby ostatniej nocy nie zginęła?

- Nie mogę przysiąc, ale mam nadzieję, że wybrałbym ciebie.

- Dlaczego masz taką nadzieję? Żeby mnie nie rozczarować?

- Nie, ze względu na siebie samego. Louisa należała do kobiet, które szybko mogą mężczyznę zawrócić w głowie. Ale ty możesz trwale obdarzyć go szczęśliwym i uczciwym życiem.

Jej wzrok długo spoczywał na mnie i czułem się jak nędzny zdrajca. Nie z powodu uczciwych słów. Ale to, że w ogóle wahałem się między nią i Louisa, nie mówiąc jej tego wcześniej, traktowałem jako zdradę, która zasługiwała na karę.

- A jak będzie teraz dalej z nami? - zapytała wreszcie Cornelia.

- To... - przełknąłem ślinę - zależy tylko od ciebie.

Skinęła głową.

- Zastanowię się.

Nie była to odpowiedź, której oczekiwałem, ale także i nie ta, której się obawiałem. Poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej nie zawiodę Corneli.

16 PODEJRZANY

Postanowiłem udać się do Ratusza, by złożyć doniesienie na moich porywaczy. Miałem niewielką nadzieję udowodnienia cze-
gokolwiek van der Meulenowi, ale Cornelia zachęciła mnie, bym przynajmniej spróbował. Chciałem zwrócić się do inspektora Ka-

toena, który, jak miałem nadzieję, uwierzyłby mi, że zabiłem Basa w obronie koniecznej.

Właśnie wyszedłem do sieni, gdy otworzyły się drzwi i Rebeka wróciła z miasta. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, z których jednego, szczupłego i z ciemną hiszpańską bródką, dobrze znałem.

Jeremias Katoen uchylił na powitanie kapelusza z błękitnym pióropuszem, ale patrzył na mnie z powagą. Także jego towarzysz, młody, wysoki, o słomianych włosach wystających spod skromnego, ciemnego nakrycia głowy, wyglądał ponuro. Katoen przedstawił go jako swego pomocnika i wymienił nazwisko Dekkert.

Ja ze swej strony poznałem Katoena z Cornelią i powiedziałem:

- Oszczędza mi pan drogi, *mijnheer* Katoen. Właśnie chciałem pana odszukać, by złożyć doniesienie.

- Składanie doniesień wydaje się dzisiaj bardzo popularne - odrzekł Katoen, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Przeciwno wam już jedno wniesiono.

- Przeciwno mnie? - zapytałem z niedowierzaniem. - A o co się mnie obwinia?

- Mielicie wtargnąć dziś w nocy do domu kupca Melchiora van Riebeecka przy Prinsengracht, grozić gospodarzowi i podpalić dom.

Inspektor oświadczył to tak beznamiętnie, jakby chodziło co najwyżej o skradzione jabłko czy wybitą szybę. Ale pode mną ugięły się nogi. Oparłem się plecami o ścianę i poczułem, jak pot występuje mi na czoło. Straszliwe wydarzenia ostatniej nocy stanęły mi wyraźnie przed oczami. Zobaczyłem siebie, okrytego tylko mokrą derką, rzucającego się do wnętrza płonącego domu i rozpaczliwie szukającego Louisy. Ponownie przeżyłem w myślach okropny moment, gdy strażak stwierdził jej śmierć. I mnie, uwięzionemu w piwnicy pod szantanem, zarzucono podłożenie ognia?

Z oburzeniem zapytałem:

- Kto mnie oskarża?

- Panna Beke Molenberg, która pracowała w domu van Riebeeck jako pomoc kuchenna i szczęśliwie zdołała się uratować.

Imię Beke pobudziło jakąś strunę w pamięci. Zastanowiłem się i w końcu sobie przypomniałem. Louisa przyszła na nasze spotkanie w przebraniu służącej i powiedziała mi, że pożyczyła strój od służącej Beke. Za królewską sumę jednego guldena, o ile dobrze pamiętałem.

- Czy zaprzeczacie, że byliście ostatniej nocy na Prinsengracht?

- zapytał Katoen.

- Nie, byłem tam - odpowiedziałem w roztargnieniu, zajęty wciąż jeszcze próbą odnalezienia sensu w tym niesłychanym oskarżeniu.

- Zaprzeczanie nic by wam nie dało. Oparzenie na policzku mówi samo za siebie. Poza tym oprócz doniesienia Beke mamy też zeznania dwóch strażaków, którzy znają was z gospody „Pod Czarnym Psem” i widzieli was na miejscu wypadku.

- Miejsce wypadku to chyba nie jest właściwe określenie - wtrącił się Dekkert. - Cała rodzina zginęła w pożarze: Melchior van Riebeeck, jego żona i córka, a także służąca Jule Blomsaed. Raczej należałoby mówić o miejscu zbrodni.

- Macie oczywiście rację, Dekkert - potwierdził Katoen i zwrócił się ponownie do mnie: - Cornelisie Suythof, czy przyznajecie się do podłożenia ognia?

- Nie! Nie mam nic wspólnego z pożarem!

Wyraz urazy pojawił się na twarzy Katoena.

- Ale dopiero co potwierdziliście, że byliście przy Prinsengracht. Poza tym macie ślady po oparzeniach. Dlaczego kręcicie, skoro w niczym wam to nie może pomóc?

- Byłem przy płonącym domu, tak, ale nie ja go podpaliłem! Wprost przeciwnie, pobiegłem na Prinsengracht, by zapobiec najgorszemu!

Katoen potrząsnął głową.

- Nie rozumiem.

- Chętnie wam to wyjaśnię, ale to długa historia. Usiądźmy, a ja opowiem wam, co przydarzyło mi się zeszłej nocy.

Weszliśmy do pokoju i zasiedliśmy przy dużym stole. Cornelia przyniosła nam piwo i zacząłem snuć swoją opowieść, która, jak mogłem wnosić z wyrazu twarzy Katoena i Dekkerta, wydawała im się nad wyraz osobliwa. Mimo to mówiłem dalej, nie miałem zresztą innego wyjścia.

- To wszystko brzmi niezwykle dziwnie - powiedział Katoen, gdy skończyłem.

- Nie tylko dziwnie, ale wręcz absurdalnie - dodał Dekkert. - Nie wierzę ani jednemu słowu z tej opowieści.

- Tak daleko bym się nie posunął - odparł Katoen. - Znam *mijnheera* Suythofa od kilku tygodni i wiem, że ma skłonność do wpłatywania się w niezwykle i niebezpieczne sytuacje.

Dekkert spojrział zaskoczony na przełożonego.

- Ale mamy przecież zeznanie służącej, że to on podłożył ogień.

- To rzeczywiście poważne oskarżenie - przyznał Katoen.

- Poza tym nie rozumiem, dlaczego *mijnheer* Suythof wybrał się na to nocne spotkanie pod Mewią Basztę - dlaczego w ogóle spotkał się z Louisa van Riebeeck?

- Bo jej los mnie głęboko poruszył. Jakby to powiedzieć, nie była mi obojętna.

Po raz pierwszy od początku wizyty Katoen się uśmiechnął.

- To się czasem zdarza między mężczyzną i kobietą.

- To wyjaśnienie, ale nie dowód - upierał się Dekkert. - Suythof nie przedstawił niczego, co obaliłoby zeznanie Beke Molenberg.

- Panowie mogą pójść ze mną do szantanu na Anthonisbreestraat - zaproponowałem. - Cela w piwnicy na pewno tam jest, a także obraz Louisy van Riebeeck, który namalowałem, gdy znałem ją

jeszcze pod imieniem Marjon. Może nawet spotkamy nienagannego pana van der Meulena.

- Dobra propozycja - powiedział Katoen i podniósł się z krzesła.
- Ruszajmy!

Niespełna pół godziny później staliśmy przed szantanem, który, jak dopiero teraz zorientowałem się z napisu na szyldzie, nosił nazwę „Pod Szczęśliwym Jasiem”. Lokal był już otwarty i melodia grana na flecie wypływała na zewnątrz. Przed wejściem czuwał gburowaty wykidajło, z którym zetknąłem się już przy pierwszej bytności. Zwróciłem na to uwagę moich towarzyszy i Katoen zagadnął mężczyznę:

- Czy znacie tego pana? - inspektor wskazał na mnie.
 - Nie, a dlaczego?
 - Mówi, że w poniedziałek wieczorem odprawiliście go od drzwi.
 - Możliwe, jeśli tak twierdzi. Czy muszę pamiętać każdą twarz?
 - Nie, ale w tym wypadku pomogłoby to nam, a zwłaszcza jemu
- odpowiedział Katoen i chciał obejść odźwiernego.

Ten wyciągnął ramię i zagroził mu drogę.

- Nic z tego, przyjacielu. Jeśli odprawiłem waszego znajomego, to wy także nie jesteście tu mile widziani.

- Jakie to przykre - westchnął Katoen i wyciągnął z kieszeni złożony papier. - Czy umiecie czytać?

- N-nie.
- Co za głupota. W przeciwnym razie dowiedzielibyście się z tego dokumentu, że na zlecenie amsterdamskiego Sądu Grodzkiego jestem upoważniony w każdej chwili wejść do każdego domu w tym mieście.

- Ach, tego nie wiedziałem - powiedział pojednawczo odźwierny i szybko cofnął ramię. - No to wchodźcie.

Dekkert i ja podążyliśmy za Katoenem.

W drzwiach Dekkert szepnął do Katoena:

- Nie wiedziałem, że mamy taki dokument.

- Nie mamy.

- Ale pismo!

- To list do mojej siostry w Schoonhoven, który muszę nadać jeszcze dziś.

Weszliśmy do sali z wyszynkiem, gdzie na razie nie było zbyt wielu gości. Przy jednym ze stołów w środku siedział flecista, którego pogodną melodię słyszeliśmy już na ulicy. Szynkarz, kościsty chłop z zaczerwienioną twarzą, chciał nam zaoferować piwo, ale Katoen krótko odmówił, przedstawił się i zapytał o osobę odpowiedzialną za lokal.

- Odpowiedzialną? - powtórzył szynkarz przeciągle. - Jak to rozumiecie?

Dekkert wysunął się do przodu i zapytał:

- Kto to wszystko trzyma w garści?

- Ach, tak, macie na myśli Kaat Laurens. Trzeba było mówić od razu, o co chodzi.

Katoen sapnął niecierpliwie.

- Gdzie znajdziemy tę panią Laurens?

Gospodarz kciukiem wskazał za plecy.

- Jest tam i zajmuje się papierkową robotą. Kończy się nam francuskie wino, musimy zamówić nową dostawę.

Inspektor zażądał, by go zaprowadzono do niej, i gospodarz, wzruszając ramionami, spełnił jego prośbę. Poszliśmy za nim do małego kantorku, w którym siedziała potężna kobieta, przeglądająca księgi. Dopiero po chwili rozpoznałem w niej rajfurkę, którą widziałem w czasie pierwszej bytności „Pod Szczęśliwym Jasiem”. Tego ranka była ubrana w skromniejszą suknię i nie tak umalowana.

Gdy Katoen się przedstawił, kobieta zmarszczyła czoło.

- O co chodzi, panie inspektorze? Czy popełniłam jakieś przestępstwo?

- Dowiemy się - wskazał na mnie. - Obecny tu pan Cornelis Suythof utrzymuje, że minionej nocy został uwięziony w pani do mu w jednym z pomieszczeń w piwnicy. Czy pani go zna?

Wyraz twarzy kobiety zmieniał się od zdumienia do ubawienia, w miarę jak mnie obserwowwała.

- Być może był tu już kiedyś. Mój lokal jest na szczęście licznie odwiedzany i nie mogę pamiętać każdego gościa. Ale jeśli był tu ostatniej nocy, to na pewno nie w piwnicy. Przypuszczam, że wypił za dużo wina.

Nie okazywała ani śladu niepewności. Czy rzeczywiście nie wiedziała nic o moim uwięzieniu? A może po prostu grała?

- Mówicie o swoim lokalu, *mevrouw*¹⁵ Laurens - zabrałem głos.
- Czy „Szczęśliwy Jaś” rzeczywiście należy do was?

- Tak sądzę.

- Czy ktoś jeszcze ma udziały?

- Nie. Skąd wam to przyszło do głowy?

- Mówi się, że handlarz obrazów Maerten van der Meulen jest udziałowcem waszego interesu.

- To nieprawda. Mogę wam okazać poświadczony notarialnie dokument, z którego wynika, że jestem jedyną właścicielką lokalu.

- Ale w poniedziałek w nocy widziałem tu van der Meulena.

- Pan van der Meulen jest tu częstym gościem.

- Czy to samo odnosi się do doktora Antoona van Zeldena?

- Czy jego też tu widzieliście?

- Owszem, i to ramię w ramię z van der Meulenem.

Kaat Laurens wysunęła wojowniczo szeroki podbródek.

- No to po co pytacie, skoro już wiecie?

Katoen ponownie przejął inicjatywę i drażył dalej.

- Więc nie ma żadnego związku między panią i van der Meulenem? Bywa tylko gościem w tym lokalu i nic więcej?

¹⁵ *Mevrouw* (niderl.), pani, zwrot stosowany w kontaktach z kobietą zamężną.

W okamgnieniu jej uśmiech zrobił się słodki jak miód.

- Nie mogłabym tego trafniej wyrazić, panie inspektorze. Naprawdę nie rozumiem, co może być takie ważne w osobie pana van der Meulena.

- Jest odpowiedzialny za uwięzienie pana Suythofa - wyjaśnił Katoen i dodał, rzuciwszy na mnie przelotne spojrzenie: - Tak przynajmniej utrzymuje pan Suythof.

- Tak, czasem bywa kiepsko - westchnęła Kaat Laurens i skinęła ze zrozumieniem głową. - W swoim zawodzie widzę czasem to i owo. Niektórzy panowie upijają się najdosłowniej do utraty rozumu.

Ogarnęła mnie wściekłość, ale uspokajający gest inspektora powstrzymał mnie od ostrego zareagowania.

- Proponuję, byśmy się rozejrzeli w piwnicy - powiedział tonem uprzejmym, ale nieznoszącym sprzeciwu.

- Jeśli trzeba. - Kaat Laurens podniosła się z krzesła i poprowadziła nas na dół.

W migotliwym świetle lampy oliwnej rozejrzeliśmy się, ale nie mogłem sobie przypomnieć, w którym pomieszczeniu leżałem. W nocy byłem zbyt rozbity, by zapamiętać dokładnie położenie swojego więzienia.

- Więc wejdziemy do wszystkich pomieszczeń - zarządził Katoen.

Z lampą w jednej ręce Kaat Laurens otworzyła pierwsze drzwi. Pomieszczenie było zastawione skrzyniami i było o wiele za duże. Także drugie i trzecie nie wchodziło w rachubę. Ale czwarte obudziło we mnie nieprzyjemne wspomnienia. Wszedłem przez wąskie drzwi i rozejrzałem się badawczo.

- No i co? - zapytał inspektor. - Poznacie to pomieszczenie?

- W nocy nie było w nim skrzyń i beczek, ale to tutaj, jestem tego pewien.

Kaat Laurens potrząsnęła głową.

- To niemożliwe. Tu był zawsze skład, a nie więzienie.

- Hm - Katoen rozejrzał się dokładnie. - Wygląda tu rzeczywiście jak w zwykłym składzie, a jednak pan Suythof utrzymuje z pełnym przekonaniem, że minionej nocy dopiero po użyciu siły zdołał stąd uciec. Przy tej ucieczce strażnik, niejaki Bas, miał upaść na własny nóż. Jeśli pan Suythof się nie myli, ten człowiek nie żyje. Coś wam o tym wiadomo?

Kaat Laurens chłodno wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie.

- Trzy tygodnie temu znaleziono w piwnicy zwłoki.

- Zwłoki? - ożywił się Dekkert. - Kto to był?

- Lepiej zapytajcie, co to było - odpowiedziała kobieta z chytrym uśmieszkiem.

- No więc co? - nalegał Dekkert.

Z uśmieszku wyklął się szeroki uśmiech.

- Szczur, zabity pod ciężarem spadającej beczki z winem.

Odnosiłem wrażenie zabawy w kotka i myszkę, tyle że nie wiedziałem, kto jest kotem, a kto myszą. To, co opowiedziałem inspektorowi o swoim uwięzieniu, wydawało się w jego oczach mniej wiarygodne niż to, co wmawiała mu Kaat Laurens. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie skłaniał się do tego, by dać wiarę jej zeznaniom, ja byłem bowiem oskarżony o morderstwo i miałem w związku z tym powody, by kłamać. W przyпіływie zwątpienia ukląknęm, obejrzałem i obmacałem każdy wolny fragment brudnej posadzki.

- Co tam robicie? - zapytał Dekkert.

- Szukam śladów. Może znajdę jeszcze resztki przeciętych więzów albo...

- Albo? - podchwycił Dekkert.

- Albo ślady krwi tego Basa.

- Najwyżej krew zabitego szczura - rzuciła Kaat Laurens.

- Albo plamy z rozlanego wina.

Jej spokój był niewzruszony i rzeczywiście nie odkryłem najmniejszych śladów swojego uwięzienia.

Gdy wyszliśmy z piwnicy, Katoen zwrócił się do mnie:

- Nie wygląda to dla was dobrze, Suythof.

- Chodźmy na górę - zaproponowałem. - Pokażę wam obraz, do którego pozowała mi Louisa van Riebeeck. Wtedy będziecie musieli mi uwierzyć!

Ożywiony nową nadzieją, wbiegłem przodem po schodach do korytarzyka, w którym ukryłem się owej nocy. Po kilku krokach zatrzymałem się i patrzyłem na obrazy na ścianach: widoki miast z wieżami kościelnymi i wiatrakami na tle zasnutego chmurami nieba, dziewczyna zaganiająca gęsi, martwa natura z owocami i kwiatami oraz wszelkie możliwe statki, czy to w egzotycznych portach, czy też na wzburzonym morzu - zupełnie tak, jakby wybierał je sam Emanuel Ochtervelt!

- Piękne, prawda? - usłyszałem za sobą ugrzeczniony głos Kaat Laurens. - Nie myślcie sobie, że moich gości interesuje tylko piwo, wino i tanie przyjemności. Tu spotykają się przede wszystkim wykształceni panowie, którzy umieją docenić dobry obraz.

Z niedowierzaniem stawiałem krok za krokiem. Ani jednego aktu. Na swoim miejscu był jedynie marmurowy posąg bogini Diany, który ochronił mnie przed odkryciem. Na końcu korytarza odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Jeremiasem Katoenem.

- No, Suythof, gdzie są obrazy, o których mówiliście?

- Wisiały tutaj, wszędzie.

- Tak wy mówicie. Ale wasze twierdzenie nie jest dowodem.

- Zabrano obrazy, żeby zmienić wygląd miejsca. To przecież zrozumiałe. Po mojej ucieczce porywacze musieli się liczyć z wizytą przedstawicieli władz.

- Może tak, może nie.

- Uwierzcie mi! Van der Meulen przyprowadził do mnie Louisę van Riebeeck, a ja namalowałem jej akt. Zapytajcie Cornelię van Rijn!

- Nawet jeśli malowaliście Louise van Riebeeck w – hm - stroju Ewy, nie dowodzi to waszej niewinności. Raczej waszej winy, potwierdza bowiem, że byliście z tą młodą damą w bardzo bliskich stosunkach. Stosunkach, których jej ojciec, zważywszy wasz stan, nie mógł akceptować. To z kolei mogło być dla was powodem podpalenia domu van Riebeecków.

- Ale czy rzuciłbym się w takim razie w płomienie, żeby ratować Louise van Riebeeck?

- Groziliście jej ojcu, nie jej. Zbyt późno dostrzeżliście, że w swoim zaślepieniu naraziliście na śmierć także ukochaną.

- Ale... Tak nie było!

- Obecny stan rzeczy to potwierdza. I dlatego, Cornelisie Suythof, na mocy przyznanych mi przez Sąd Grodzki Amsterdamu uprawnień, muszę was aresztować!

17 W CIEMNICY (II)

Przygnębiony, dałem się prowadzić Katoenowi i Dekkertowi przez nocny Amsterdam. W głowie kłębiły mi się różne myśli, ale żadna z nich nie była uchwytna, trwała. Czy Kaat Laurens i Maerten van der Meulen działali ręką w rękę? A może rzeczywiście nie wiedziała, co się dzieje, i po prostu przyjmowała od van der Meulena sowitą zapłatę za swoje usługi? Czy też nie powinienem ufać własnej pamięci - może po prostu oszalałem? Dręczony takimi bezowocnymi rozważaniami, dość późno zorientowałem się, dokąd prowadzą mnie obaj urzędnicy. Nie do Ratusza na przesłuchanie, jak sądziłem. Nie, zbliżaliśmy się do Rasphuisu. Gdy wyrosły przed nami wysokie, tak dobrze mi znane mury, zatrzymałem się.

- No, ruszajcie - ponaglił Dekkert. - Mamy jeszcze inne zajęcia i nie zamierzamy spędzić z wami całego dnia.

- Dlaczego prowadzicie mnie do Rasphuisu?
- Dekkert spojrział na mnie z krzywym uśmiechem.
- Tam przebywają osoby płci męskiej, które złamały prawo. Akurat wy powinniście to wiedzieć.
 - Czy spodziewaliście się czegoś innego? - zapytał Katoen.
 - Sądziłem, że idziemy do Ratusza na przesłuchanie.
 - Na to jest już dziś za późno - odpowiedział inspektor.- Przyjdę do was jutro. Może w nocy coś się wam jeszcze przypomni.
 - A cóż by to mogło być? - zapytałem zgnębiony.
 - Coś, co dotąd wydawało się wam nieistotne, a mogłoby się przyczynić do uwolnienia was od podejrzeń. A może noc w Rasphuisie skłoni was do uznania waszej winy i złożycie zeznanie. Oszczędziłoby to nam wszystkim sporo zachodu.
 - Tylko dlatego mam się przyznać do czegoś, czego nie uczyniłem?
 - Macie zeznać tylko prawdę.
 - Prawdę już wam powiedziałem.
 - Jak chcecie. A teraz idziemy!
 - Czy może mi pan coś obiecać, *mijnheer* Katoen?
 - Co takiego?
 - Czy zawiadomicie Cornelię van Rijn? I czy moglibyście zatroszczyć się też o Rembrandta? Siedząc w Rasphuisie, nie mogę go szukać.
 - Zrobię, co w mojej mocy. Ale nie obiecujcie sobie za wiele. To nic nadzwyczajnego, że stary, znękany i skłonny do nadużywania trunków człowiek znika. Może leżeć bez zmysłów w jakimś ciemnym kącie portu. A może też już nie żyć.
 - Naprawdę umie pan podtrzymać nadzieję - westchnąłem. - Ale dziękuję wam za pomoc w tej sprawie.
- Przy bramie Rasphuisu przyjął nas Arne Peeters i zaprowadził do służbowej izby naczelnika. Rombertus Blankaart zwrócił się z niechęcią do inspektora:

- Czy to konieczne, *mijnheer* Katoen? Nie możecie przechować Suythofa gdzie indziej? Jego obecność tutaj, w więzieniu, w którym jeszcze niedawno był strażnikiem, nie służy temu miejscu. Już fakt osadzenia tu Ossela Jeukena spowodował plotki. A jeśli teraz zamknijemy tu jeszcze Suythofa, nie gwarantuję niczego.

- Czego dokładnie nie możecie zagwarantować? - zapytał Katoen.

- Utrzymania porządku i dyscypliny. Co sobie pomyślą więźniowie, jeśli co chwilę zamyka się tu jako morderców ludzi, którzy mieli ich nadzorować i świecić przykładem?

- Czy naprawdę troszczy się pan o spokój duszy swoich podopiecznych, *mijnheer* Blankaart? A może to reputacja Rasphuisu - a przy okazji wasza własna - przyprawia was o ból głowy?

Przez wąską twarz nadzorcy przebiegło drżenie. Znając Blankaarta, wiedziałem, że Katoen trafił w jego czuły punkt.

- A cóż to ma wspólnego z moją reputacją? - wykrzyknął Blankaart. - Nic na to nie poradzę, że tacy ludzie jak Jeuken czy Suythof są wewnętrznie zepsuci. Moim zadaniem jest dbać o dobro tu osadzonych. I dlatego muszę nalegać, byście zaprowadzili Suythofa gdzie indziej.

- Nie ja o tym decyduję - odpowiedział chłodno Katoen.

- A kto?

- Sędzia śledczy. Ale dziś już go nie znajdziecie. Wydaje mi się, że został zaproszony na przyjęcie Kompanii Wschodnioindyjskiej. Zwróćcie się jutro do niego. A dzisiaj byłbym wam wdzięczny za umieszczenie mojego więźnia w bezpiecznym miejscu.

- Skoro nie może być inaczej - warknął naczelnik jak zbity pies.

Bezpiecznym miejscem, o które poprosił Katoen, okazało się jedno z najgorszych w obrębie więziennych murów: ciemnica. Arne Peeters i strażnik Herman Brink zaprowadzili mnie do piwnicy,

której zimne i wilgotne powietrze mieszało się z zapachem świeżego drewna. Zapało mi prawie dech, ale przyczyna tkwiła bardziej w moim beznadziejnym położeniu niż zgniłym powietrzu. W korytarzu przed całą kolana ugięły się pode mną, zakręciło mi się w głowie. Musiałem się oprzeć o wilgotną ścianę, żeby nie upaść na ziemię jak bezsilny starzec.

Brink schwycił mnie za lewe ramię i podtrzymał. Na jego twarzy malowało się wyraźne zatroskanie. Ale Peeters patrzył na mnie bez śladu współczucia. Wręcz przeciwnie, w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju satysfakcji.

- Weź się w garść, Suythof! - wrzasnął. - Gdy wcześniej prowadziłeś więźniów do ciemnicy, tak się nie przejmowałeś.

- Jest pewna różnica między byciem więźniem i strażnikiem - powiedziałem cicho i odetchnąłem parę razy głęboko, by przezwyciężyć słabość.

- Ty to wiesz najlepiej - wyszczerzył zęby Peeters. - Ale pobieraj się mimo wszystko, a może właśnie dlatego! Nie chcę tu mieć kłopotów, a już na pewno nie przez dawnego kolegę.

- Mówisz, jakby to było twoje więzienie.

- Miejsce Ossela Jeukena ciągle jeszcze jest wolne. Naczelnik dał mi do zrozumienia, że mam szansę na to stanowisko. W tych okolicznościach rozumiesz chyba, że nie mogę sobie pozwolić na kłopoty. Więc nie przynieś mi wstydu, Suythof, nie więcej niż już do tej pory!

To było wyraźne ostrzeżenie. Byłem za bardzo wyczerpany, by cokolwiek odpowiedzieć. Jak wół prowadzony do rzeźni, tak ja pozwoiliłem się wprowadzić do ciemnicy, gdzie opadłem na zimną, kamienną posadzkę. Tu siedział mój przyjaciel Ossel, nim trafił na miejsce kaźni przed Ratuszem. Ta myśl była dla mnie słabą pociechą, gdy drzwi zatrzasnęły się z ostrym zgrzytem i otoczyły mnie prawie całkowite ciemności.

Wolno płynący czas, spędzony w ciemnicy, należy do najbardziej ponurych doświadczeń mojego życia i nie chcę się nad tym

rozwodzić. Na przemian ogarniała mnie litość dla samego siebie i troska o Rembrandta. Nie, właściwie to troska o Cornelię.

Jej ojciec był dla mnie przykładem jako artysta, ale Cornelia jako człowiek znaczyła dla mnie o wiele więcej. Miałem głęboką nadzieję, że odnalazła już ojca. I czyniłem sobie wyrzuty, że moje uwięzienie powiększa jeszcze i tak niemałe brzemię jej trosk. Zarazem, oczywiście, liczyłem na to, że się o mnie martwi, bo to oznaczałoby, że żywi jeszcze dla mnie tkliwe uczucia. Ale wyrzuty sumienia przeważały. Gdybym nie wybrał się na nocne spotkanie z Louisa, nie znalazłbym się w tej okropnej sytuacji i mógłbym wspierać Cornelię. A tak, co robiłem? Tkwiałem w ciemnej, ciasnej celi, beзуżyteczny jak odstawiony i zapomniany worek brukwi. Było oczywiste, że więźniowie ciemnicy nie byli rozpieszczani, ale to, że nie otrzymałem tego wieczoru ani kubka wody, ani kromki chleba, musiało dawać do myślenia. Przypisywałem winę za to Arnemu Peetersowi. Chciał mi pokazać, że jestem całkowicie zdany na jego łaskę i niełaszkę. Na razie nie czułem głodu, ale wyschnięte gardło tęskniło za łykiem wody.

Spałem bardzo źle, dręczony snami, i budziłem się co chwilę, a w gęstych ciemnościach nie mogłem rozpoznać, kiedy noc się skończyła. W końcu usłyszałem kroki i drzwi do celi otworzyły się. Przyszedł Arne Peeters z chlebem oraz wodą i wywnioskowałem z tego, że nastał nowy dzień. Moje pytania o wyniki dochodzeń inspektora i o los Rembrandta pozostały bez odpowiedzi.

- Wiesz, że z więźniami ciemnicy wolno omawiać tylko najistotniejsze sprawy - przypomniał mi Peeters.

Wyraz twarzy miał obojętny, ale sądziłem, że sprawia mu przyjemność trzymanie mnie w niepewności - nawet co do tego, czy sam w ogóle cokolwiek wie.

Ponownie ciemność, potem znowu kroki i metaliczny zgrzyt klucza obracanego w zamku. Krótkie skrzywienie żelaznego rygla i drzwi stały otworem. Wpadające z korytarza światło pozwoliło

początkowo dostrzec tylko zarys postaci. Dopiero po chwili rozpoznałem smukłą sylwetkę inspektora Katoena.

- Dzień dobry, *mijnheer* Suythof, jak się pan miewa?

Uśmiechnął się, mówiąc te słowa, ale bez ukrytej złośliwości, którą wyczuwałem u Arnego Peetersa. Ten ostatni stał dwa kroki od Katoena z zardzewiałym kluczem w prawej ręce.

- Chcecie ze mnie zakpić, *mijnheer* Katoen? - odpowiedziałem. - Na pewno poczułbym się lepiej, gdybyście przynieśli dobre wieści.

- Muszę was rozczarować - odpowiedział szybko. - Byłem w domu marszanda Maertena van der Meulena, ale bez powodzenia.

- Co to znaczy bez powodzenia? Rozumiem, że zaprzeczył, jakoby był zamieszany w moje uprowadzenie.

- W ogóle z nim nie rozmawiałem. Podobno wyjechał wczoraj rano, nie wiadomo, na jak długo.

- Aha. A dokąd?

- Nikt nie potrafił mi tego powiedzieć.

- Nie potrafił czy nie chciał?

Inspektor wzruszył ramionami i westchnął:

- A skąd mogę wiedzieć?

- Ukrywa się! - wyrwało mi się. - Van der Meulen uciekł w obawie przed waszym dochodzeniem. Prawdopodobnie czeka gdzieś, aż zostaną stracony za morderstwo, którego nie popełniłem. Wtedy nie będę już mógł wnieść przeciw niemu oskarżeń.

- Możliwe. Ale równie dobrze może istnieć inne wyjaśnienie jego wyjazdu.

- Akurat teraz?

- To może być przypadek.

- Czy naprawdę sądzicie, że tak znaczący kupiec wybiera się w podróż, nie informując współpracowników i rodziny, kiedy i gdzie go można znaleźć?

- Taki wyjazd jest rzeczywiście w najwyższym stopniu niezwykły i mnie również dał do myślenia. Z drugiej strony nie jest niezgodny z prawem i nie daje podstaw do podjęcia jakichkolwiek działań wobec van der Meulena. Nawet gdyby zniknął.

Rozmyślałem gorączkowo i w końcu zadałem pytanie:

- A co mówi doktor van Zelden? Czy dał wam jakąś wskazówkę? Oczywiście, jeśli udało się wam z nim porozmawiać.

- Owszem. Przysznaje, że od czasu do czasu bywa w szantanie przy Anthonisbreestraat i spotkał tam już van der Meulena. Ale nie wiedział nic o podróży kupca, nie potrafił też udzielić mi żadnych informacji o ewentualnych powiązaniach między van der Meulenem i Kaat Laurens. Mówi, że van der Meulen wydawał mu się zawsze zwykłym gościem „Szczęśliwego Jasia”. Doktor nie miał zresztą dla mnie zbyt wiele czasu. Wezwano go pilnie do de Gaalów. Constantijn de Gaal przeżył szok, gdy dowiedział się, co się stało z Louisa van Riebeeck. Wygląda na to, że szczerze kochał narzeczoną.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co słyzy się o finansowej sytuacji van Riebeecka, de Gaal nie oświadczył się chyba Louisie ze względu na jej majątek.

- Wszystko jedno, to nas nie posuwa do przodu - stwierdził inspektor. - Dopóki niczego nie stwierdzę, musicie pozostać w Raaphuisie. Żal mi was, Suythof.

Byłem skłonny w to uwierzyć.

- A co z Rembrandtem van Rijn? - zapytałem. - Czy się pojawił?

- Na razie nie - odrzekł Katoen i sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Nie miałem jeszcze naprawdę czasu, by zająć się tą sprawą. Gdy wczoraj wieczorem byłem u niego w domu, aby poinformować jego córkę o tym, co się z wami stało, wydawała się bardzo przybita. Błagała mnie o zgodę na odwiedzenie was.

- I?

- Sami wiecie najlepiej, jakie tu obowiązują zasady. Poza tym — naprawdę chcecie, żeby was tu zobaczyła?

- Nie, oczywiście że nie - przyznałem. - Jestem wam winien podziękowanie, *mijnheer* Katoen.

- Za co? Niczego nie osiągnąłem.

- Próbowaliście. Ktoś w moim położeniu nie może oczekiwać niczego więcej.

- Skoro mowa o waszym położeniu: zastanowiliście się nad tym?

- Nad czym?

- Czy chcecie złożyć zeznanie?

- Ależ ja jestem niewinny! Nie wierzycie mi, *mijnheer* Katoen?

- To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co można udowodnić. Jeśli będziecie mieć jeszcze coś do powiedzenia, zgłoście to strażnikowi.

Pożegnał się i Arne Peeters zamknął drzwi do celi. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem, nim znowu ogarnęły mnie ciemności, była jego ptasia twarz, której wyraz wydawał się zdradzać zadowolenie.

Ponownie zostałem sam na sam z myślami. Bezczynność, na jaką byłem skazany, po prostu mnie zżerała. Ciążyła mi - przynajmniej na razie - bardziej niż najsroższy los, który mi zagrażał, w razie gdyby rzeczywiście uznano mnie za winnego podpalenia i morderstwa rodziny van Riebeeck.

Było ciemno, ale widziałem przed sobą Cornelie tak wyraźnie, jak w najjaśniejszym świetle. Widziałem zmarszczki od trosk na jej młodzieńczej twarzy i łzy lśniące w błękitnych oczach. Być może odosobnienie dopomogło mi w ostatecznym rozstrzygnięciu, że nie ma i nie będzie dla mnie innej kobiety niż Cornelia. Odkrycie, które, jak sądziłem, przyszło za późno.

Ile czasu minęło, nim ponownie usłyszałem kroki? Nie wiedziałem. Ponura monotonia odebrała mi wszelkie poczucie czasu. Tym razem, gdy oczy przywykły do światła, zobaczyłem Arnego Peetersa.

- Znowu masz gościa, Suythof. Jesteś najczęściej odwiedzanym więźniem, jaki kiedykolwiek siedział w tej ciemnicy!

Zrobił miejsce innemu mężczyźnie, którego wygląd świadczy! o wielkiej zamożności. Ciemne odzienie połyskiwało aksamitnie, niebieski kaftan był ozdobiony złotym haftem, a biały kołnierz wykonano z delikatnych koronek. Miał ponad czterdzieści lat, był średniego wzrostu i mimo wyraźnego bogactwa nie dostrzegałem w nim ani śladu tej otyłości, którą tak często można było obserwować u amsterdamskich mieszczuchów. We włosach i w brodzie lśniły pierwsze siwe nitki, ale ostro zarysowana twarz z lekko zakrzywionym nosem wyglądała młodzieńczo i bardzo inteligentnie. Ciemne, prawie czarne oczy patrzyły na mnie uważnie. Było to wrogie spojrzenie, pełne nienawiści, które w innych okolicznościach przypawiłoby mnie o drżenie. Ale w ciemnicy znosiłem je z obojętnością człowieka, który nie ma nic do stracenia.

- A więc tak wyglądacie, prawie niewinnie - stwierdził i w jego głosie pojawił się pogardliwy ton.

- Nie aż tak niewinnie, by nie zarzucono mi morderstwa - odpowiedziałem. - Sprawiacie wrażenie, jakbyście mnie znali, ale nie odwzajemniam tej znajomości.

- Na pewno już o mnie słyszeliście. Jestem Constantijn de Gaal.

Teraz zrozumiałem jego spojrzenie. Sądził, że ma przed sobą mordercę kobiety, którą zamierzał poślubić. Na jego miejscu odczuwałbym nie mniejszą nienawiść. Tak wpływowemu człowiekowi, jednemu z Siedemnastu Panów¹⁶, nie odmówiono, rzecz jasna, prawa odwiedzenia więźnia w ciemnicy.

- Nie jest tak, jak się wam wydaje - powiedziałem. - Nie podpaliłem domu van Riebeecka. Byłem tam, by ratować Louise. Wiele dla mnie znaczyła.

¹⁶ Siedemnastu Panów, niderl. *Heren XVII* - siedemnastu dyrektorów, przedstawicieli lokalnych izb handlowych, stojących na czele Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- W to ostatnie chętnie uwierzę. Ale nie powstrzymało was to od zamordowania jej. To, czego nie mogliście osiąść, miało nie przypaść nikomu innemu. Prawda?

- Wcale nie. Mylicie się. Ja...

- Zamilczcie! - przerwał mi. - Czy nie macie odwagi przyznać się do swego czynu? Duży i silny chłop, ale nędzna kreatura, która wije się jak robak!

Podszedł do mnie z zaciśniętymi pięściami, wyraźnie z zamiarem zadania ciosu w twarz, ale w ostatniej chwili drogę zagroził mu Arne Peeters.

- Wybaczcie, *mijnheer* de Gaal, ale tylko strażnikom wolno bić więźniów. Macie wszelkie prawo do gniewu, ale nie mogę pozwolić na rękoczynny.

Brakowało tylko, żeby dodał: niestety. Zajrzałem w wypełnione nieważnością i żalem oczy de Gaala. Musiał naprawdę kochać Louise.

- Po co tu przyszlście, jeśli nie chcecie mnie wysłuchać? - zapytałem.

- Nie chcę słuchać czczych wykrętów, tylko coś wam powiedzieć. Waszym czynem uczyniliście sobie ze mnie śmiertelnego wroga. Módlcie się więc, by rychło spotkała was zasłużona kara i byście dali gardło na katowskim pniu. Bo gdybyście wbrew oczekiwaniom mieli opuścić Rasphuis jako wolny człowiek, spotka was ode mnie coś stokroć gorszego. Daję na to słowo honoru!

Z tymi słowy Constantijn de Gaal odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz. Tu, w lochu było zdecydowanie chłodno, ale w tym momencie poczułem się wręcz zmrożony. Zyskać wroga w jednym z najpotężniejszych ludzi w Amsterdamie, równało się wyrokowi śmierci!

18 W KARCERZE WODNYM

Na brak zainteresowania nie mogłem się uskarżać. Zwykle więzień ciemnicy widział tylko raz dziennie strażnika, który przynosił mu chleb i wodę. Ale ja już niedługo po odejściu Constantijna de Gaala odebrałem kolejne odwiedziny. Był to naczelnik więzienia, który pojawił się w towarzystwie Arnego Peetersa.

Zaciśnięte wargi i drgające powieki Rombertusa Blankaarta zdradzały, że czuł się nieswojo. Ale próbował przynajmniej przybierać pozór pewności siebie i mimo miernej postury starał się w miarę możliwości sprawiać wrażenie potężnego.

- Nie mogę dłużej tolerować, Suythof, że tak siedzicie bezproduktywnie - powiedział.

- A co miałbym robić w tak ciasnej celi? - zapytałem, zaskoczony tym wstępem.

- Moglibyście przyznać się do swego czynu. To by nam wszystkim oszczędziło nieprzyjemności. Nie widzicie, że przynosicie hańbę Rasphuisowi?

- Wierzcie albo nie, *mijnheer* Blankaart, ale to chwilowo stanowi mój najmniej istotny problem.

Blankaart spojrział na mnie po prostu ze zwątpieniem w oczach, co mnie jeszcze bardziej zbiło z tropu. Oczywiście, śmierć rodziny van Riebeeck wywołała poruszenie w całym Amsterdamie. O wiele większe niż morderstwo popełnione przez Ossela. Jednakże nie pojmowałem, dlaczego moje uwięzienie w Rasphuisie tak absorbowało naczelnika, skoro nie byłem już jego podwładnym.

- Wzywam was po raz ostatni, Suythof. Wyznajcie swój czyn. Wierzcie mi, oszczędzicie sobie wielu nieprzyjemności.

- Czy mam się przyznać do czegoś, czego nie popełniłem?

Blankaart rozłożył ramiona w geście bezradności. Wyglądał na tak przygnębionego, jakby to on, nie ja, został uwięziony z powodu popełnienia morderstwa.

- Więc nie mam wyboru - powiedział z głębokim westchnieniem i zwrócił się do strażnika:

- Peeters, wyprowadźcie więźnia!

Peeters zbliżył się do mnie z zadowoloną miną, której nie umiałem sobie wytłumaczyć, podobnie jak zatroskania Blankaarta.

- Słyszałeś, Suythof. Idziemy.

Jeśli dobrze pojąłem tyradę Blankaarta, oczekiwało mnie coś strasznego. Mimo to posłuchałem wezwania Peetersa prawie z ulgą, bo dzięki niemu mogłem wyrwać się z mrocznej, ciasnej celi.

Wyszliśmy z piwnicy i przeszliśmy przez Rasphuis, w którym więźniowie pocili się z wysiłku przy piłowaniu i przenoszeniu drewna. Ukradkiem rzucali na mnie spojrzenia, a na niektórych twarzach dostrzegłem kpinę i satysfakcję, że oto jeden ze strażników znalazł się w sytuacji gorszej niż oni sami. Także strażnicy spoglądali na mnie i trudno było nie dostrzec, że gardzili mną za rzekome morderstwo.

Ku mojemu zdumieniu wyszliśmy na wielki wewnętrzny dziedziniec, gdzie więźniowie przez przysługujące im kilka godzin w tygodniu cieszyli się światłem i świeżym powietrzem. Mimo chmur wiszących nad miastem oraz drobnego deszczu rozkoszowałem się światłem i powietrzem, oddychając głęboko. Podeszliśmy do stojącego na uboczu budynku, który według mojej wiedzy już od wielu lat nie był używany. Obok niego przepływał strumień, zapewne odnoga jednego z kanałów. Na widok tego miejsca pojąłem, co znaczyły ponure słowa Blankaarta, i strach ścisnął mnie za gardło.

Budynek, zwany karcerem wodnym, służył w dawnych czasach do dyscyplinowania krnąbrnych więźniów. Znajdowały się tu dwie pompy. Jedna - na zewnątrz - służyła do przerzucania do środka wody ze strumienia. Tam przykuwano do ściany więźniów, którzy odmawiali pracy. Ich jedyną szansą uniknięcia zatopienia było odprowadzanie wody za pomocą pompy, umieszczonej wewnątrz karceru. Wytrwałe pompowanie miało skłonić leniwych do uległości

i pracy. Tak było w każdym razie do dnia, w którym jeden z więźniów zdecydował, że woli śmierć od pracy. Jego utonięcie spowodowało niemałe poruszenie i od tego czasu wodny karcer nie był już używany. Znałem go tylko z opowieści i nigdy nie widziałem wnętrza. To miało się teraz zmienić.

Peeters dostrzegł moje wahanie i wepchnął mnie do środka. Owionęło mnie zimne, stęchłe powietrze, chyba jeszcze gorsze niż w ciemnicy. Zeszliśmy po schodach w dół, wzdłuż brudnych rur obu pomp, i znalazłem się w cysternie z pompą wewnętrzną. Tam czekał już Herman Brink, który pomógł Peetersowi przykuć mnie do korpusu pompy.

Blankaart powiedział tonem prawie ojcowskim:

- Wiecie, gdzie jesteście, Suythof?

Przewyciężyłem ucisk w gardle i skinąłem głową.

- No to wiecie też, co macie robić. Pompujcie wodę na zewnątrz, jeśli wam życie mile. Albo...

- Co takiego? - zapytałem chrapliwym głosem.

- Przyznajcie się. Wtedy natychmiast odetniemy wodę. - Zwrócił się do Peetersa: - Czy mamy dość ludzi do tej pracy?

- Pieter Boors wybiera właśnie najsilniejszych więźniów. Za chwilę tu będą.

- Jak powiedziałem, Suythof, wszystko w waszych rękach - oświadczył naczelnik i odwrócił się do wyjścia.

Z nieprzyjemnym metalicznym dźwiękiem łańcuchy zatrzasnęły się i zostałem na dobre i złe przykuty do starej, zardzewiałej pompy, która musiała być już świadkiem śmiertelnego strachu tak wielu ludzi. Dopiero tu i teraz uświadomiłem sobie, że ze zwyczajami panującymi w Rasphuisie coś było nie w porządku. Właściwie celem pobytu więźniów miała być ich moralna poprawa, a przecież stosowanie takich kar czy zamykanie w ciemnicy raczej nie mogło się do tego przyczynić.

Naczelnik i obaj strażnicy wyszli z pomieszczenia. Musiałem się powstrzymać od błagania ich o łaskę. Nic by to nie przyniosło, a nie

chciałem dać Arnemu Peetersowi satysfakcji z zobaczenia śmiertelnie przerażonego Cornelisa Suythofa.

Minęło kilka minut, w czasie których słyszałem bardzo stłumione kroki i głosy. Ciężkie, żelazne drzwi, służące do uszczelnienia cysterny, głużyły wszelkie dźwięki. Gdy wreszcie posłyszałem szum, prawie poczułem ulgę. Zaraz potem strumień wody wpadł przez otwór w ścianie. Początkowo brudny język wilgoci, liżący moje buty, wydawał się niegroźny. Ale poziom podnosił się szybko i już po chwili miałem mokre łydki.

Zacząłem pompować. Nie za szybko, rozkazałem sobie, ale rytmicznie. Mięśnie pracowały ciężko, w miarę jak starałem się wypompowywać wodę z cysterny w takim samym tempie, w jakim tłoczyli ją z zewnątrz pracujący tam mężczyźni. Spod oka obserwowałem podnoszenie się poziomu wody w cysternie. Było w niej jasno, bo od góry została otwarta. Nad nią piętrzył się tylko dach karceru. Gdy w czasie pompowania spojrzełem raz w górę, zobaczyłem trzech ludzi przechylających się poza krawędź cysterny.

Stał tam Rombertus Blankaart, obserwujący z wyraźnie mieszanymi uczuciami moje wysiłki i nieubłagane podnoszenie się lustra wody. Już dawno sięgnęła mi do kolan i wędrowała coraz wyżej, pożerając mnie jak zgłodniałe zwierzę.

Obok Blankaarta stał Arne Peeters z szerokim uśmiechem na twarzy. Wcześniej uważałem go za nieszkodliwego, ale teraz, gdy pojawiła się dla niego nadzieja na otrzymanie stanowiska Ossela, którego obowiązki zresztą faktycznie już pełnił, ujawniła się jego prawdziwa - podła - natura. Więźniom Rasphuisu pozostało jedynie mieć nadzieję, że na stanowisko nadzorcy znaleziony zostanie ktoś inny. Ale nie mogłem zajmować się więźniami, osadzonymi tu w celu poprawy. Byłem zbyt zajęty walką z podnoszącym się poziomem wody. Ramiona mnie bolały i mimowolnie pompowałem coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo. Ale woda podnosiła się nieustannie, wkrótce sięgała mi do piersi.

Trzecim mężczyzną, który spoglądał na mnie z góry, był Constantijn de Gaal. Obserwował mnie z największą intensywnością, nie z uczuciem satysfakcji, jak Arne Peeters, ale z wyrazem najgłębszego zadowolenia. Teraz zrozumiałem, dlaczego Rombertus Blankaart ponownie uruchomił zamknięty od wielu lat wodny karcer. Nie był to wynik jego własnej decyzji, tylko wpływu, a może także pieniędzy, bogatego kupca.

Pompowałem, z wodą już na wysokości ramion, i zobaczyłem, jak Blankaart nerwowo mówi coś do de Gaala. Czy naczelnik obawiał się kolejnego śmiertelnego wypadku w karcerze? A może właśnie o to chodziło de Gaalowi? Nie tylko chciał obserwować moje cierpienie. Miałem zapłacić życiem za śmierć Louisy. Zdecydowanie potrząsnął głową, ani na moment nie spuszczał ze mnie wzroku. Blankaart w końcu skapitulował i z obrzydzeniem patrzył na moją mękę.

Resztką sił walczyłem z zalewającą mnie wodą, wahając się, czy nie wykrzyczę zeznania. Na pewno zaprowadziłoby mnie to pod topór kata, lecz chwilowo ocaliłbym życie, uratował się przed groźącą lada moment śmiercią wskutek utonięcia. Ale spojrzałem w czarne oczy Constantijna de Gaala i to, o dziwo, dodało mi sił. Za żadną cenę nie chciałem umacniać go w szalonym przekonaniu o mojej winie. Harowałem więc dalej, a woda otulała już moją szyję.

Pompowałem i krztusiłem się i zapewne ociekałbym też potem, gdyby nie to, że byłem już zupełnie zanurzony w zimnej wodzie. Za chwilę miała mnie pochłonąć całego, ale nie zawołałem Blankaarta. Zaciśnąłem usta, aby nie nałykać się wody, i pompowałem, pompowałem, pompowałem...

Nie patrzyłem już w górę na trzech stojących tam mężczyzn, nie widziałem nawet ścian cysterny. Przed oczami pojawił mi się obraz Cornellii. Uśmiechała się do mnie i dodała mi sił, by po męsku przyjąć nieuchronną śmierć. Los nie przeznaczył nam wspólnego życia.

Ale byłem mu wdzięczny, że ją przynajmniej poznałem. Brakowało mi sił i drżące z wysiłku ramiona przerwały pracę. Z dziwnym spokojem czekałem na śmierć, która miała nadejść za kilka sekund.

Woda jednak zaczęła opadać. Naprawdę, teraz, gdy zrezygnowałem z wszelkiego oporu, oddaliła się i wycofała. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak stopniowo odsłania się moje ciało.

Czy powinienem znowu zacząć pompować, by przyspieszyć opadanie wody? Czy na to czyhał mściwy kupiec de Gaal? Czy bawił się ze mną, aby przedłużyć sobie tryumf i satysfakcję z mojego cierpienia?

Było mi to obojętne. Po prostu nie miałem już sił opierać się temu, co zgotowali mi moi prześladowcy. Nie byłem w stanie nawet na nich spojrzeć. Oparty o korpus pompy po prostu stałem i czekałem na to, co się stanie.

Woda opadła, zakrywała już tylko podłogę i w końcu jej resztką znikła z bulgotem w odpływie, który z nieznanego mi powodu został otwarty.

Żelazne drzwi zaskrzypiały i weszli Peeters z Brinkiem, aby mnie uwolnić z łańcuchów.

Strażnicy wciągnęli mnie po schodach na górę i bardziej zanieśli, niż zaprowadzili do jednego z pomieszczeń w budynku karceru. Położyłem się na drewnianej prycy, która wydała mi się w tej chwili najbardziej miękkim łóżem, zamknąłem oczy i oddychałem głęboko i równo, wstrząsany od czasu do czasu napadami kaszlu. W ostatniej chwili przed opadnięciem lustra wody zachłysnąłem się i nałykałem wody, którą teraz z siebie wyrzucałem. Ktoś nakrył mnie wełnianym kocem, ale mokre ubranie jeszcze kleiło mi się do ciała.

Gdy otworzyłem oczy, wszystko wirowało wokół mnie i widziałem rozmazane twarze stojących nade mną ludzi. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznałem mężczyzn, którzy wyczekująco stali

nad pryczą: Blankaarta, Peetersa. Constantijna de Gaala i ku mojemu zaskoczeniu Jeremiaśa Katoena.

- Potraficie człowiekowi napędzić strachu, Suythof - powiedział ten ostatni, patrząc na mnie z mieszaniną kpiny i z troskania w oczach. - Wystarczy zostawić was samego na kilka godzin, a próbujecie opróżnić z wody wszystkie kanały Amsterdamu.

- Niezupełnie z własnej woli. Zresztą nie bez waszej winy znalazłem się w tej sytuacji.

Blankaart otrząsał się.

- Nie powinniście robić wyrzutów panu inspektorowi, Suythof. Zawdzięczacie mu ratunek.

- Jak to? - spytałem i wyplułem resztkę wody, tak że naczelnik odskoczył ze zgrozą.

Zwróciłem się do inspektora:

- Czyżbyście się przemogli i uznali mnie za niewinnego?

- Trafiliście w sedno. W ciągu ostatnich kilku godzin sytuacja dowodowa uległa znaczącej zmianie.

- I to wam zawdzięczam? Opowiadajcie!

- Nie tylko mnie, ale także pannie Molenberg.

- Molenberg? - powtórzyłem i zastanowiłem się, skąd znam to nazwisko.

- Beke Molenberg - uzupełnił Katoen.

- Ach, pomoc kuchenna.

- Właśnie. Wziąłem ją jeszcze raz w obroty, bardzo starannie. Na końcu zalała się łzami i przyznała do kłamstwa. To nie wy podpaliliście dom, tylko sam Melchior van Riebeeck. W ataku szału, jak wyraziła się służąca. Wyruszyłem natychmiast - i jak widać przyszedłem w samą porę.

Constantijn de Gaal, który przed chwilą jeszcze wydawał się rozczarowany moim ocaleniem, przyjął ten obrót sprawy z kamiennym wyrazem twarzy.

- Co dokładnie powiedziała panna Molenberg? - dopytywałem się. - Dlaczego skłamała?

- Namówił ją do tego nieznajomy mężczyzna. Dał je za to okrągłą sumkę stu guldenów.

- To rzeczywiście dużo, majątek dla takiej dziewczyny jak ona - powiedziałem ze zdumieniem. - Tyle nie zdołałaby zarobić przez cały rok. Każdego więc można kupić.

- Nie tylko o to chodziło. Nieznajomy groził jej też, że podzieli los swoich państwa, jeśli nie będzie rozpowszechniać kłamstwa o waszej zbrodni. Wyraźnie komuś bardzo zależało na tym, by was usunąć.

- I na ochronie prawdziwych sprawców - dodałem. - Mam na myśli tych, którzy byli odpowiedzialni za szaleństwo Melchiora van Riebeecka. Czy dziewczyna potrafiła opisać tego nieznajomego?

- Tylko z grubsza.

- Niech zgadnę. Był dobrze ubrany i miał ciemną brodę.

- Mniej więcej. Jak na to wpadliście?

- Dokładnie tak samo opisano innego - a może tego samego - nieznajomego. Tego, który poszukiwał obrazu.

Katoen uśmiechnął się.

- Nieźle, Suythof. Ja też podejrzewam jakiś związek.

- Tylko ceny, jakie płaci ten nieznajomy, w ostatnim czasie znacznie wzrosły. Być może powinienem być z tego dumny, że jestem dla niego wart aż tyle więcej niż obraz.

Wyobraziłem sobie jeszcze raz jego wygląd i zapytałem:

- Czy pytaliście Bekę Molenberg o Maertena van der Meulena?

- Oczywiście. Zna kupca, był kilkakrotnie gościem w domu van Riebeecków. Z pewnością nie on zaferował jej sto guldenów.

- Ale może on wyasygnował pieniądze.

- Słusznie, być może - odpowiedział Katoen wymijająco, wyraźnie nie chcąc wprost rzucić na szacownego obywatela Amsterdamu tak ciężkiego oskarżenia.

- Rozmawiacie o marszandzie Maertenie van der Meulenie?

- De Gaal wyrwał się w końcu ze swego odrętwienia. - Co on ma wspólnego ze sprawą?

Katoen, ku mojemu zdziwieniu, nie okazał ani cienia służalczości.

- Jestem w trakcie śledztwa, *mijnheer* de Gaal, i dlatego proszę o zrozumienie, że nie mogę się publicznie wypowiadać o stanie dochodzenia. Poza tym nie chcę siał fałszywych oskarżeń. To prowadzi tylko do niebezpiecznych ekscesów, jak tego dowiodły ostatnie wydarzenia w tym zakładzie. De Gaal zeszytniał.

- Czy zdajecie sobie sprawę, do kogo mówicie, mój panie? Mam pewne wpływy także w magistracie.

- Wiem. I co z tego? Chcecie stanąć przed Radą i przyznać się, że za waszą sprawąomal nie zginął niewinny człowiek? - Katoen zwrócił się do naczelnika: - To wam także nie byłoby w smak, *mijnheer* Blankaart. A może leży w waszych kompetencjach ponowne uruchomienie wodnego karceru?

- No, eee, pan de Gaal twierdził, że nie ma przeciwwskazań.

- Pytam jeszcze raz: czy cała sprawa ma być rozpatrywana oficjalnie? Radzę wziąć pod uwagę, że na podstawie dzisiejszych wypadków pan Suythof może zgłosić pod panów adresem roszczenia prawne.

Ta myśl na razie nie przysła mi do głowy, ale skwapliwie skinałem głową, aby wzmocnić wagę słów Katoena.

Blankaart rzucił de Gaalowi błagalne spojrzenie i kupiec rzekł cichym głosem:

- Macie rację, panie inspektorze, najlepiej będzie, jeśli zostawimy sprawę jej biegowi. Jeżeli wyrażicie zgodę, *mijnheer* Suythof. Wyrządziłem wam niesprawiedliwość.

- Czy to znaczy, że odstępujecie od waszej zemsty? - zapytałem.

- Muszę, skoro nie jesteście odpowiedzialni za śmierć Louisy.

- Zatem zapomnijmy o tym incydencie - powiedziałem i wyczerpany opadłem na pryczę.

Pół godziny później siedziałem obok Katoena w powozie, który wiół nas na Rozengracht. Ubrano mnie w jakieś łachmany, które znaleziono w Rasphuisie, ale to nie miało znaczenia. Były suche. A ja byłem wolny!

Nie mogłem jeszcze uwierzyć w odzyskaną wolność, a jednocześnie tak nieodległe tortury w karczerze wodnym wydawały mi się złym snem. Wypełniony poczuciem winy Rombertus Blankaart pożegnał mnie z życzliwością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał. Mimo to byłem zdecydowany nie przekroczyć nigdy więcej progu Rasphuisu - w każdym razie nie z własnej woli.

Gdy powóz zatrzymał się przed domem Rembrandta, poczułem się jak ktoś, kto po długiej podróży powraca do rodzinnego domu. Wszystko wydawało się znajome, a jednocześnie dziwnie obce. A przecież minął zaledwie dzień od wizyty Katoena, po której razem poszliśmy do szantanu przy Anthonisbreestraat.

- Idźcie do swojej Cornelii i odpocznijcie - powiedział Katoen, mrużąc oko i otwierając mi drzwi powozu. - Zasłużyliście na to.

- Nie wejdziecie ze mną?

Potrząsnął głową.

- Nie trzeba wam teraz przeszkadzać, prawda? Poza tym chcę porozmawiać jeszcze raz z Bekę Molenberg, może coś jej się jeszcze przypomni.

Po dwukrotnym dzwonku drzwi się otworzyły i stanęła przede mną Cornelia. W karczerze wodnym straciłem wszelką nadzieję, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Serce zabiło mi mocno, ale nie uczyniłem ani kroku w jej stronę. Wiedziałem, że nie mam do tego prawa.

Jej wymizerowane troskami oblicze zdradzało, że nie miała nadal żadnej wiadomości o miejscu pobytu ojca. Gdy mnie ujrzała, twarz jej się rozjaśniła.

- Cornelis! - wyrzekła tylko, podeszła do mnie z uśmiechem i zarzuciła mi ramiona na szyję.

Przez chwilę było tak, jak w czasie pierwszej wspólnie spędzonej nocy.

19 GRABIEŻCY GROBU

26 września 1669

Do północy nie mogło być więcej niż godzina, gdy wraz z dwoma towarzyszami wyruszałem do Kościoła Zachodniego. Dzięki grubej warstwie chmur ta noc była jeszcze ciemniejsza niż zwykle. Sprzyjało to naszemu przedsięwzięciu. Podobnie jak okoliczność, że oprócz nas nie widać było żywej duszy.

Zgasilem latarnię, którą nieśliśmy zgodnie z przepisami, i podszedłem do potężnej budowli, wychwalanej przez tak wielu budowniczych. Ale pociągała mnie nie jej uroda, która zresztą kryła się w mroku nocy i cieniu chmur, lecz to, co miałem nadzieję w niej odkryć - albo to, czego nie miałem tu znaleźć.

Moi towarzysze zostali kilka kroków w tyle i poszeptywali między sobą. Odwróciłem się do nich i zapytałem cicho:

- Co z wami? Na co czekacie?

- To, co robimy, nie jest w porządku - powiedział z wahaniem Henk Rovers. - Obrazimy Pana Boga, wdzierając się do jego domu.

Spojrzałem na starego marynarza lekceważąco.

- Nie wiedziałem, że jesteście aż tak bogobojni.

- Na morzu każdy uczy się pobożności, gdy przychodzi walczyć ze sztormem, z piratami i potworami morskimi.

- Stary Henk ma rację - zawtórował mu Jan Pool.

- No, no, potwory morskie - powtórzyłem. - Czyżby to był błąd, że wam zapłaciłem z góry? Wydaje mi się, że niezwłocznie zamieniliście pieniądze na piwo i gorzałkę.

Henk Rovers przybrał żalną minę.

- Mieliśmy straszne pragnienie.

- Jeśli wasze pragnienie jest większe od rozumu, nie wyniknie z tego nic dobrego - zganilem go. - Wzięliście pieniądze, więc dotrzymajcie umowy.

- Phy - parsknął Rovers z lekceważeniem. - Dziesięć stuiverów na twarz to nie majątek.

Wyciągnąłem prawą rękę i odpowiedziałem tylko po części żartobliwie:

- Ale lepiej niż dziesięć prztyczków w nos.

- Przecież idę - burknął stary wilk morski i niechętnie zaczął stawiać kroki. Za nim podążył jego towarzysz.

Podszedłem do zaskakująco wąskiego portalu w ogromnej fasadzie, ale zatrzymał mnie cichy gwizd Jana Poola.

- Nie przez główny portal - powiedział, gdy stanął obok mnie i na moment odłożył ciężki worek, niesiony na ramieniu. - Wejdzimy którymś z bocznych wejść, będzie bezpieczniej i łatwiej.

- Jak radzicie - ustąpiłem. - W tych sprawach wy jesteście fachowcem.

Okrążyliśmy kościół i zatrzymaliśmy się obok bocznych drzwi, przy których Pool ponownie zdjął z ramienia worek.

- Spróbujemy tutaj - zdecydował, a Rewers rozglądał się płochliwie na wszystkie strony, jakby z ciemności nocy w każdej chwili mógł się wyłonić niepożądany gość.

Pool wy dobył z kieszeni wyszczerbiony scyzoryk, otworzył go i zajął się zamkiem w drzwiach. Mijały minuty i stopniowo mnie także zaczął ogarniać niepokój. Podszedłem bliżej Poola i szepnąłem:

- Dlaczego nie wchodzimy?

Popatrzył na mnie przez ramię, przy czym jego i tak ponure spojrzenie wydało się jeszcze groźniejsze.

- Nie twierdziłem, że pójdzie szybko. Ale jeśli będziecie mi przeszkadzać w pracy, potrwa z pewnością jeszcze dłużej.

- Ja tylko tak - mruknąłem. - Twierdziliście przecież, że macie doświadczenie w takiej robocie.

- Zgadza się. Ale zamek zamkowi nierówny.

- W porządku - odrzekłem tylko i cofnąłem się o krok, żeby mu nie przeszkadzać.

Czy to była słuszna decyzja najmować obu miłośników gorzałki do takiego zadania? Obudziły się we mnie wątpliwości, ale było już na nie za późno. Poza tym brak czasu nie pozostawiał mi praktycznie innego wyboru.

Od mojego powrotu na Rozengracht przed dwoma dniami nie wydarzyło się nic istotnego. Rembrandta nadal nie było. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia, by choć zgadywać miejsce jego pobytu. Ale przyszła mi do głowy pewna myśl, która stawała się coraz wyraźniejsza. A może Rembrandt wcale nie był tak szalony, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka? Miał rzekomo zobaczyć swego zmarłego syna, Tytusa, na ulicy. To brzmiało oczywiście szaleńczo. Ale może miał rację? O tym chciałem się dziś przekonać, niesiony słabą nadzieją natrafienia wreszcie na jakikolwiek ślad. Jeśli Rembrandt wkrótce się nie odnajdzie, Cornelia ze zgryzoty straci zmysły. Poszedłem więc po południu „Pod Czarnego Psa”, aby pozyskać Roversa i Poola dla nocnego przedsięwzięcia.

- Gotowe - usłyszałem zadowolony okrzyk czarnoliciego marynarza, raczej zbyt głośny jak na te okoliczności, a przeciągłe skrzywienie otwieranych drzwi także mi się nie spodobało.

Stary Henk zaraził mnie swoim niepokojem. Ja także spoglądałem w noc jak spłoszony złodziej. Ciemności nie tylko nas chroniły przed odkryciem, ale mogły też kryć przed naszym wzrokiem każdego innego intruza.

- Szybko, do środka - popędziłem swoich towarzyszy i pośpiesznie weszliśmy do kościoła.

Szedłem jako ostatni i zamknąłem za sobą drzwi najciszej, jak tylko potrafiłem. W kościele paliło się kilka świec, których blask

widzieliśmy już przez okna. Ale wrywały z cienia jedynie pojedyncze miejsca, dlatego ponownie zapaliłem latarnię i dopiero potem rozejrzałem się po bocznej nawie, w której się znajdowaliśmy. Wprawdzie byłem już po południu w kościele, zanim poszedłem „Pod Czarnego Psa”, ale wtedy wszedłem do niego przez główny portal. Dlatego, a także z powodu kiepskiego światła, potrzebowałem chwili, by odzyskać orientację. Potem jednak pewnie poprowadziłem Roversa i Poola na miejsce, gdzie w pobliżu kolumny znajdował się poszukiwany grób.

- To tutaj - powiedziałem i wskazałem na podłogę. - Zaczynajcie, ale jak najciszej!

Pool otworzył worek, który przytaszczył, i każdy z nas wziął do ręki jeden z ciężkich haków. W milczeniu staliśmy wokół grobu i wydłubywaliśmy twardą zaprawę. Każde uderzenie rozbrzmiewało pod nocnym sklepieniem kościoła i miałem tylko nadzieję, że zwielokrotnione echo było jedynie wytworem mojej wyobraźni, wzmocnionej jeszcze wewnętrznym napięciem.

Początkowo wydawało się, że posadzka nie ustąpi, ale potem stopniowo zaczęła pękać i wreszcie ukazała się przed nami okazała dziura.

Nagle Rovers zaprzestał pracy.

- Tam jest coś drewnianego. Widzicie?

Stary miał jeszcze dobre oczy, jak się przekonałem, gdy ukląknęłam i schyliłam się nad otworem. Tak, to było drewno - deska trumny, której szukaliśmy.

Powiększyliśmy otwór, wydobyliśmy mocne sznury z worka Poola i podłożyliśmy je pod trumnę. Za ich pomocą zdołaliśmy ją podnieść centymetr po centymetrze i ustawić obok nas na posadzce.

Wytrzeszczonymi oczami Rovers patrzył najpierw na trumnę, a potem na mnie.

- Chcecie to naprawdę zrobić, Suythof, przyjacielu?

- Po to tu przyszlismy. Myślicie, że zadaję sobie tyle trudu na darmo? Dajcie mi łom!

Pool sięgnął do worka i wydobył kawał żelaza długości łokcia. Za jego pomocą, po dwóch bezowocnych próbach, podniosłem w końcu wieko. Uderzył nas wstrętny, zgniły odór. Rovers postąpił wielki krok do tyłu, a Pool stał bez ruchu i wpatrywał się w trumnę. Ale ja zahałem się teraz przed jej całkowitym otwarciem. Tytus van Rijn nie żył od roku. Czy ciało już się całkowicie rozłożyło? Jaki widok nas czekał?

W końcu zebrałem się w sobie i odsunąłem wieko trumny. Leżał tam już tylko szkielet, ale z pewnością nie ludzki, a już na pewno nie dorosłego mężczyzny. Był na to za mały i zbyt osobliwego kształtu. Podłużna czaszka należała do zwierzęcia.

- Co to jest? - wyszeptał Rovers tak cicho, że ledwie go zrozumieliśmy.

- Pies - odpowiedział Pool. - Albo wilk. Coś w tym rodzaju.

- Ale na wszystkie morskie duchy, kto chowa zwierzę w kościele, który jest domem naszego Pana?

- Też chciałbym to wiedzieć - odpowiedziałem przeciągle.

Sam nie wiedziałem, czy niezwykle znalezisko napełniło mnie ulgą, czy przerażeniem. Nie widziałem nawet do końca, jakie było jego znaczenie? Czy Tytus jeszcze żył? W takim razie Rembrandt mógł go rzeczywiście zobaczyć na ulicy. Ale sam Rembrandt, Cornelia, gospodyni i inni byli przecież świadkami jego śmierci wskutek zarazy. Jak niewątpliwie martwy człowiek mógł odzyskać życie i w jaki sposób truchło psa lub wilka trafiło do grobu?

Nasze nocne zbeczeszczenie grobu zrodziło więcej pytań, niż przyniosło odpowiedzi. Jedno tylko wydawało się pewne: Rembrandt i jego - żywy lub martwy - syn byli wplątani w coś, o czym porządny obywatel wolałby nic nie wiedzieć, jeśli chciał zachować spokojny sen.

Im dłużej wpatrywałem się w szkielet zwierzęcia, tym gorzej się czułem. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Czy miałem rzeczywiście opowiedzieć Corneli o tym, co tutaj znalazłem? Właściwie

chciałem ją jakoś uspokoić i pocieszyć, ale co poczułaby, słysząc, że w Kościele Zachodnim na miejscu jej brata pochowane było truchło zwierzęcia?

- Odstawmy trumnę z powrotem na miejsce - powiedziałem, nawsuwając z powrotem wieko. - Nasza wizyta osiągnęła swój cel.

- Za dnia każdy zauważy, że ktoś tu majstrował - powiedział Pool.

- Postarajmy się jak najlepiej - odrzekłem i pochyliłem się nad trumną, by zepchnąć ją z powrotem do otworu.

Gdy zakończyliśmy pracę i w miarę możliwości jak najstaranniej wyrównaliśmy posadzkę, Jan Pool schował narzędzia do worka. Jeden z haków wypadł mu i upadł z głośnym brzękiem na posadzkę.

- Ciszej, Janie! - syknął Henk Rovers.

- Tak, tak - burknął Jan i podniósł hak.

Zarzucił worek na ramię i chcieliśmy zawrócić do wyjścia, gdy w kręgu światła naszej latarni pojawiła się obca postać: niski, tęgawy człowiek, którego rozszerzone strachem oczy przypominały mi Henka Roversa.

- K-kim jesteście? - wyjąkał z trudem.

- Robotnikami - odpowiedziałem szybko. - Obiecaliśmy, że skończymy prace przy grobie przed jutrzejszym porankiem. - A kim wy jesteście?

- Ja? Ja jestem kościelnym. Adrian Weert. Mam dziś o północy uruchomić karylion¹⁷, bo... - przerwał, cofnął się szybko o krok i zlustrował nas po kolei wzrokiem. - Nie znam was i nie wiem nic o pilnych pracach przy grobie. A powinienem, bo jestem... - ponownie zaniemówił, nie kończąc zdania.

W końcu odwrócił się na pięcie i wybiegł z kościoła z głośnym krzykiem:

- Na pomoc! Rabusie! Grabieżcy!

¹⁷ Karylion (fr. *carillon*) - zespół dzwonów wieżowych, wygrywających melodię (zwaną też karylion) sercami dzwonów lub młotkami.

- Zostawcie worek i w nogi! - krzyknąłem do Jana Poola i popędziliśmy do bocznych drzwi, przez które wtargnęliśmy do kościoła.

Padła gęsta deszcz, ale to było najmniejsze z naszych zmartwień. Uciekaliśmy jak najdalej od kościoła, ale już wkrótce usłyszeliśmy znowu krzyki kościelnego. Najwidoczniej próbował przyzywać nocną straż. I już po chwili wyłonił się przed nami jeden z patroli, przemierzających nocami ulice Amsterdamu. Z tyłu zbliżał się podniecony Adrian Weert.

- To oni! Aresztujcie ich! To rabusie grobów!

Znajdowaliśmy się między Keizersgracht i Prinsengracht, co znacząco ograniczało możliwości ucieczki. Mimo to rzuciliśmy się szybko w krzaki po lewej stronie w nadziei, że obaj strażnicy nie odważą się zadawać z trzema przeciwnikami.

Ale nie musieli. Zaledwie zniknęliśmy z ulicy, usłyszeliśmy przenikliwy dźwięk kołatek, którym alarmowali inne patrole w okolicy. Przed nami wyłonił się drugi, obok nas trzeci i po chwili byliśmy otoczeni przez czternastu lub szesnastu mężczyzn. Ostrza ich sztyletów i pik, skierowane na nas, nie pozostawiały nam wyboru. Podaliśmy się. Moją największą troską była perspektywa spędzenia reszty nocy w Rasphuisie, ale strażnicy zaprowadzili nas do Ratusza, gdzie zamknęli nas wszystkich w jednej celi.

Gdy zatrzasnęły się za nami drzwi, Henk Rovers wymamrotał:

- Teraz wybrałbym dziesięć prztyczków w nos.

20 ŚMIERTELNE ZAKŁADY

27 września 1669

- Aż tak wam się podoba w celi, że nie chcecie jej opuszczać na dłużej, *mijnheer* Suythof? Sądziłem, że wasze przeżycia w Rasphuisie sprzed trzech dni wyleczyły was raz na zawsze.

Mówił to, na pół kpiąco, na poły z wyrzutem, Jeremias Katoen wiele godzin po zamknięciu nas przez nocną straż w areszcie w Ratuszu. Rovers, Pool i ja mieliśmy za sobą niedobłą noc, jak dotąd dostaliśmy tylko dzbanek wody i zasypywaliśmy się wzajemnie wyrzutami aż do ochrypięcia. Gdy drzwi celi otworzyły się ponownie, mieliśmy nadzieję na coś do jedzenia. Ale zamiast strażnika z miską zjawił się inspektor.

- Początkowo nie chciałem uwierzyć, gdy Dekkert powiedział mi rano o incydencie w Kościele Zachodnim - ciągnął Katoen, potrząsając głową. - Myślałem naprawdę, że pozwala sobie na żarty. Ale nie, oto znowu siedzicie jak pospolity przestępca! Powoli zaczynam wątpić w wasz zdrowy rozsądek.

- Doskonale to rozumiem - powiedziałem. - To, co przydarzyło mi się ostatniej nocy, każe mi się samemu zastanowić, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

- Coś wam się przydarzyło? Oho, teraz pewnie mi opowiecie, że wcale nie włamaliście się do Kościoła Zachodniego, tylko zostaliście tam zawleczeni siłą. Może przez pana van der Meulena?

- Nie, w tę sprawę nie jest zamieszany. Ale skoro go wspomniacie: czy może się odnalazł?

- Nie - odpowiedział krótko inspektor. - A teraz opowiedzcie mi wreszcie, czego szukaliście w kościele.

- Tu? W celi? Czy nie ma jakiegoś przyjemniejszego miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

- Chcecie tu zostawić waszych współników samych?

- Myślałem, że mógłby ich pan zwolnić, *mijnheer* Katoen. Znaście przecież ich nazwiska i macie możliwość wezwać ich w każdej chwili.

- Tak też zrobię - powiedział surowo inspektor i rzucił obu ponure spojrzenie. - Czekaj was surowa kara. Ale na razie wynoście się stąd!

Moi towarzysze nie kazali sobie tego powtarzać dwa razy i czmychnęli szybciej, niż zdążyłbym wymówić nazwę Amsterdam.

Katoen obrócił wzrok na mnie.

- A teraz wy, Suythof. Chodźcie do mojego pokoju i wyjaśnijcie mi, co was skłoniło, by z rzekomego podpalacza przemienić się w przyłapanego na gorącym uczynku rabusia grobów.

- Nic nie zrabowałem.

- No to nazwę was bezcześcicielem. Temu nie możecie zaprzeczyć. Idziemy!

Poszedłem za nim do pokoju, w którym podsunał mi niewygodne krzesło. Przez okno widziałem poranny Amsterdam. Niebo było jeszcze zasnutę chmurami, ale od morza wiał silny wiatr i odpędzał chmury, nim jeszcze zdążyły uraczyć nas deszczem. Holowano łódź towarową i kilka mew krążyło w poszukiwaniu pożywienia nad powierzchnią rzeki Amstel.

Katoen podszedł do szafy, z której wyjął małą karafkę i dwa kubki. Napełnił je płynem z karafki i podał mi jeden z nich.

- Wypijcie duszkiem. To pobudzi waszą energię.

Poszedłem za jego wskazówką i wlałem do gardła słodkawy, ostro palący płyn.

- Co to jest? - zapytałem, kaszląc i patrząc podejrzliwie na dno kubka, w którym niebieskawo lśniły ostatnie krople trunku.

- Nalewka z czarnych jagód. Wuj z Utrechtu przysyła mi ją regularnie.

- I pijacie ją regularnie?

- Nie. Tylko przy specjalnych okazjach, jak wasze kolejne aresztowanie.

- Dziękuję - mruknąłem i odstawiłem kubek na założony papierami stół. - Polecę was znajomym. Tutaj opieka jest zdecydowanie staranniejsza niż w Rasphuisie.

Katoen wytarł kubki ściereczką, nim odstawił je razem z karafką. Potem usiadł naprzeciw mnie, oparł łokcie na stole i podparł dłońmi podbródek.

- Jeśli się tu tak dobrze czujecie, to na pewno zechcecie mi opowiedzieć, co was pognało o północy do Kościoła Zachodniego.

Muszę przyznać, że jestem bardzo ciekaw, co tym razem usłyszę.

Powiedziałem mu całą prawdę i zakończyłem:

- Ale pewnie znowu mi nie uwierzycie. A gdy wspomnę naszą wyprawę do szantanu, muszę się obawiać, że w trumnie syna Rembrandta znalazł się już męski szkielet, nawet jeśli niekoniecznie Tytusa van Rijn.

- To da się wyjaśnić. Ale ta historia ze zwierzęcym szkieletem wcale nie jest tak niewiarygodna, Suythof. Niestety, w ostatnim czasie mamy coraz więcej problemów z rabusiami grobów, którzy wykradają zwłoki. Nic więc dziwnego, że kościelny wziął was za jedną z takich band. Okoliczności wskazywały na to wyraźnie. Dlaczego nie złożyliście oficjalnego wniosku o otwarcie grobu? Grób syna Rembrandta jest i tak, o ile mi wiadomo, tymczasowy, do chwili odpowiedniego powiększenia grobowca rodziny van der Loo w Kościele Zachodnim.

- Formalności trwałyby o wiele za długo. Cornelia szaleje z niepokoju o ojca. Chciałem się upewnić, czy jego opowieść o zobaczeniu Tytusa jest wynikiem obłądu, czy też nie.

- Tego w dalszym ciągu nie wiecie.

- Nie, ale trup zwierzęcia w grobie Tytusa dowodzi, że jest coś niejasnego w tej sprawie.

- Niekoniecznie. Także zwłoki Tytusa van Rijn mogły paść łupem rabusiów.

- A kto złożył psa w trumnie?

- Może złodzieje pozwolili sobie na kiepski żart - Katoen postukał palcem w czoło. - Ktoś, kto po nocy zakrada się do kościołów i na cmentarze, żeby wykradać zwłoki, nie może mieć wszystkich klepek w porządku.

- Ale co dzieje się ze zwłokami?

- Anatomia - westchnął inspektor. - Dokonywanie sekcji zwłok w celach rzekomo czy istotnie naukowych zatacza coraz szersze kręgi. Lekarze otwierają zwłoki, wydobywają organy i kolekcjonują

je zakonserwowane, tak jak inni ludzie wieszają na ścianach obrazy.

- Nie macie anatomii w wielkim poważaniu.

- A co mam sądzić o działaniu, które z pozoru ma służyć postępowi nauki i medycyny, ale przy którym obecni są widzowie, a wstęp bywa nawet płatny? Są lekarze, którzy rozkoszują się popularnością i wykorzystują swoją sławę, by ubiegać się o ważne urzędy publiczne. Czy mają na względzie dobro medycyny, czy raczej własną sławę i majątek?

- Czy to aluzja do doktora Nicolaesa Tulpa? - Został rajcą miejskim i burmistrzem Amsterdamu i pamiętałem, że Rembrandt namalował jedną z wykonywanych przez niego publicznie sekcji.

- To tylko jeden przykład, w każdym razie bardzo prominentny.

- Więc sądzicie, że doktor Tulp nie sprostał swym funkcjom publicznym?

- Tego nie powiedziałem. Wzdragam się tylko, gdy żywi nadużywają umarłych do swoich celów. Może ma to związek z moim zawodem, w którym częściej niż inni ma się do czynienia ze śmiercią.

Rozważałem przez chwilę, co powiedział Katoen. Moją uwagę zwróciła zwłaszcza sprawa konserwowania organów.

- Doktor Antoon van Zelden słynie ze swych umiejętności konserwowania organów - zauważyłem. - Wiecie może, czy używa do tego także skradzionych zwłok?

Inspektor pochylił się i potarł czoło.

- Co wy z tym doktorem van Zeldenem. Dlaczego pytacie?

- Bywa w domu Rembrandta, jest lekarzem rodziny de Gaal i widziałem go z van der Meulenem w szantanie. Czy to nie wystarczy?

- Nie, żeby go o coś oskarżyć.

- Unikacie odpowiedzi na moje pytanie, *mijnheer* Katoen.

- Van der Meulen, van Zelden, de Gaal. Macie jakąś obsesję, żeby wplątywać się w konflikt z najbardziej szanowanymi obywatelami tego miasta?

- Nie szukam kłopotów, ale tkwię w tej sprawie po uszy i nie mogę się wycofać. Nie tylko ze względu na siebie, ale...

- Z powodu Cornellii van Rijn?

- Tak. A wy, panie inspektorze, chcecie uniknąć problemów z dostojnymi panami?

- Tam, gdzie to możliwe, owszem.

- Także za cenę zaniedbania czy wręcz niedopełnienia przez was obowiązków?

- Oczywiście, że nie.

- Zatem powiedzcie mi to, co chciałem wiedzieć o doktorze van Zelden!

- Więc dobrze, nie dacie mi i tak spokoju. Ale musicie mi przyrzec, że zachowacie to wszystko w ścisłej tajemnicy.

- To jasne.

- Rzeczywiście podejrzewamy van Zeldena o utrzymywanie bandy rabusiów grobów. Ale na razie niczego mu nie dowiedziono.

- Skoro mówimy o prawdzie, nie powiecie mi wszystkiego? Być może nie jestem ani zbyt sprytny, ani utalentowany jako malarz, w przeciwnym razie nie wplątałbym się w tę sytuację. Ale nie jestem też głupcem. Widać gołym okiem, że zajmujecie się mną w szczególny sposób, *mijnheer* Katoen. Ile razy wpadnę w tarapaty, zjawiacie się, by mnie ocalić od najgorszego. Czy mam to uważać za przypadek? Chyba nie. Więc powiedzcie mi, proszę, czym zasłużyłem sobie na tyle uwagi.

Inspektor uśmiechnął się.

- Jesteście przyjacielem Ossela i uczniem Rembrandta.

- Tym ostatnim byłem dopóty, dopóki mistrz mnie nie wyrzucił.

- Ale mieszkacie nadal w jego domu.

- Tak. I co z tego?

Katoen podniósł się i sięgnął po kapelusz.

- Jesteście głodni, Suythof? Dobrze, więc zapraszam was na śniadanie. A po drodze coś wam pokażę.

Na korytarzu natknęliśmy się na Dekkerta, z którym inspektor zamienił kilka słów - zbyt cicho, bym mógł cokolwiek zrozumieć.

Przecieliśmy bardzo już zatłoczony plac Dam i zbliżyliśmy się do dużego, wolnostojącego budynku o pięknej architekturze, zwieńczonego równie kunsztowną wieżą. W porównaniu z placem Dam i pobliskim Targiem Rybnym panował tu jeszcze spokój, ale w porze południowej miało się to diametralnie zmienić. Tłumy mężczyzn w kupieckich strojach będą spieszyć do gmachu, a gdy o drugiej zamkną się jego podwoje, wyjdą z uśmiechem na twarzy lub zafrasowaną miną.

- Wiecie, gdzie się znajdujemy?

- Żartujecie chyba. Każdy w Amsterdamie wie, że to Giełda Kupiecka, w której handluje się towarami z całego świata i w ten sposób pomnaża bogactwa lub przyspiesza ruinę domów kupieckich.

Gorzki uśmiech przemknął po twarzy Katoena.

- Trafnie to opisaliście, Suythof. Tu rzeczywiście niejeden stracił już cały majątek, bo handlował towarami, których nie widział i nie miał nigdy zobaczyć na własne oczy.

- Takie są zasady handlu. Zysk dla jednych oznacza stratę dla innych.

- To nie są zdrowe zasady dla uczciwych interesów. Mam nadzieję, że te giełdowe machinacje nie potrwać długo.

- Skąd taka gwałtowna odraza?

- Wyjaśnię wam przy śniadaniu.

Katoen zaprowadził mnie do jadłodajni przy Targu Rybnym i wybrał osamotniony stolik w najdalszym kącie. Począł, aż go-

spodarz przyniesie chleb, masło, solone śledzie i dzban piwa z Delftu, a potem zaczął mówić.

- Pamiętacie tak zwaną gorączkę tulipanową, Suythof? Oczywiście nie z własnego doświadczenia, jesteśmy na to obaj za młodzi. Ale słyszeliście pewnie o niej?

- Słyszałem. To było chyba ze trzydzieści lat temu. Wielu kupców straciło majątki na giełdzie, bo przesadzili ze spekulacjami na cebulkach tulipanów.

Katoen skinął głową.

- W 1637 roku chwiejna równowaga kupna i sprzedaży załamała się. Nie tylko najwięksi kupcy odnotowali straty. Gorączka tulipanowa ogarnęła szerokie kręgi i niejednego prostego człowieka pozabawiła z trudem zgromadzonych oszczędności.

- Dlaczego o tym wspominać? - zapytałem, nim ugryzłem pożyteczny kęs chleba ze śledziem.

- Bo ten przykład pokazuje niszczącą siłę, z jaką interesy mogą oddziaływać na Giełdę Kupiecką. Spekulacje cebulkami tulipanów mogły zasadniczo nie być sprzeczne z prawem, ale poruszały się na granicy dopuszczalności wzajemnego traktowania się ludzi.

- Jesteście moralistą - stwierdziłem kpiącym tonem.

- Gdybym nim nie był, nie mógłbym sprawować swojego urzędu. Ale wspominałem o Giełdzie Kupieckiej tylko po to, by przejść do sedna sprawy. Wielki sukces giełdowych interesów polega na tym, że ludzie w tym kraju z niezrozumiałych powodów popadają w kompletne szaleństwo na punkcie spekulacji towarowych lub choćby tylko zakładów. Dla najśmieszniejszych rzeczy stawiają na jedną kartę całe majątki. Przypominam sobie człowieka, który dla zakładu przepłynął Zuiderzee od Texel aż do Wieringen w dzieży. I szacownego właściciela gospody w Bleiswijk, który stracił dom, bo założył się o wygląd kolumny - w Rzymie!

- Ale to przecież wyjątki.

Katoen spojrział na mnie bardzo poważnie.

- Mylicie się, to przejawy obłędu, który zatacza coraz szersze kręgi. Dowodzą tego, niestety, zakłady na śmierć i życie.

- Co takiego?

- Zakłady na śmierć i życie - powtórzył ponuro Katoen. - Chcielibście wiedzieć, dlaczego tak się wami zajmuję. Jak łatwo zgadniecie, chodzi o błękitny obraz, który zaginął. Śmiercionośny obraz, jak go nazwaliście. Przypuszczamy, że ma związek z szeregiem niecnych zakładów, które nierzadko zawiera się na Giełdzie Kupieckiej. Zakazanych, ale popularnych wśród szanowanych kupców.

- Wyjaśnijcie to bliżej - zażądałem i z emocji przestałem nawet jeść.

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy doszło wśród kupców i szacownych braci cechowych do niewyjaśnionych wypadków śmierci. Jako przykład może posłużyć szalona zbrodnia mistrza farbiarskiego Gijberta Melchersa. Otrzymaliśmy wskazówkę, że na tak zwanej czarnej giełdzie zawierane są zakłady, w których chodzi o śmierć znanych obywateli, i to nie takich, którzy są chorzy albo umierający, ale cieszących się najlepszym zdrowiem. Zagadką było, jak można się o coś takiego zakładać, bo przecież o życiu i śmierci człowieka z reguły decyduje los. Dlatego informacje o śmiertelnych zakładach potraktowaliśmy jako plotkę. Gdy jednak doszło do śmierci rodziny Melchersów i przypadku Jeukena, a od was usłyszałem o obrazie, całość nagle nabrała sensu.

- Więc wierzycie jednak, że ten niezwykle obraz pomieszał zmysły Melchersa i Ossela Jeukena i popchnął ich do tych krwawych zbrodni?

- Uważam to przynajmniej za możliwe, nawet jeśli nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Jeszcze nie. Ale muszę znaleźć wyjaśnienie i dlatego, jak słusznie zauważyliście, mam was na oku. Wydajecie się zamieszani w tę sprawę w sposób, którego sami nie jesteście świadomi.

- Czy obawiacie się kolejnych morderstw w przyszłości?
- Nic nie wiem na pewno. Oczywiście bardzo zależy mi na zapobieżeniu śmierci kolejnych obywateli, ale moje właściwe zadanie polega na czym innym. Chcę ocalić Niderlandy przed rozpadem.

- Co to znaczy?

Katoen spojrzał na mnie przenikliwie.

- Dotrzymacie przyrzeczenia i zachowacie dyskrecję?

- Zawsze dotrzymuję słowa.

- Niderlandy są mniej niewzruszone, niż się to może wydawać.

To, co udało się kiedyś Wilhelmowi Orańskiemu, nie jest zakończone. Potężni wrogowie zewnątrzni - jak Anglia czy Francja - tylko czekają na okazanie przez nas oznak słabości, by nas zaatakować. W ostatnim czasie nasiliła się aktywność francuskich szpiegów. Musimy być przygotowani na to, że Ludwik XIV gotuje się do wojny przeciw nam. Wyobraźcie sobie tylko, że w tej sytuacji wyszłoby na światło dzienne, że dostojni panowie, między innymi może także jedni z najbogatszych kupców, doprowadzają swoich rodaków do śmierci, by wzbogacić się na zawartych w związku z tym zakładach. Kto w takich warunkach okazałby jeszcze komuś zaufanie? Wszelki handel załamałby się, a nasz kraj zostałby z dnia na dzień sparaliżowany!

- Czy dlatego żaden z poprzednich wypadków nie dostał się do powszechnej wiadomości?

Inspektor skinął głową.

- Zadbaliśmy o możliwie pełną dyskrecję, ale to, co zdarzyło się w domu Gijsberta Melchersa, wywołało po prostu zbyt wielkie poruszenie, by można to było ukryć. Opinia publiczna nie wie na razie o powiązaniach między tym sprawami, ale to może się w każdej chwili zmienić. Teraz, po śmierci van Riebeecków, gazety zasypują magistrat pytaniami.

Przedemną leżał jeszcze chleb i śledzie, ale nie byłem już głodny. Dłuższą chwilę siedziałem pogrążony w głębokim milczeniu. To, co wydawało mi się najbardziej tajemnicze, uzyskało dzięki

wyjaśnieniom Katoena zupełnie inny wymiar. Przez moment widziałem Amsterdam pogrążony w zbiorowym szaleństwie.

- Jak mogę wam pomóc? - spytałem w końcu.

- Kontynuujcie wasze poszukiwania. Macie możliwości, którymi ja oficjalnie nie dysponuję. Będę was chronić, jak tylko zdołam. Ale proszę was, omawiajcie ze mną swoje zamiary!

- Zatem w związku z incydem w Kościele Zachodnim nie musimy obawiać się konsekwencji?

- Nie. Ale nie mogłem tego powiedzieć otwarcie waszym przyjaciołom. Poza tym nie zaszkodzi im, jeśli się nauczą trochę szacunku dla prawa.

Chciałem wrócić na Rozengracht i Katoen nalegał, by odprowadzić mnie kawałek. Po drodze zapytałem go, czy wydobyl Jeszcze jakieś informacje od Beke Molenberg, ale zaprzeczył.

- Pójdziemy tędy - powiedział i popchnął mnie w kierunku Kościoła Zachodniego, gdy chciałem jak najszybciej minąć scenę moich nocnych wyczynów. - Dekkert czeka na nas.

Nie czułem się zbyt pewnie, wchodząc w towarzystwie inspektora do kościoła. W środku zrozumiałem, dlaczego chciał mi towarzyszyć i co wcześniej uzgadniał z Dekkertem. Ten ostatni stał razem z kościelnym Weertem i dwoma robotnikami przy grobie Tytusa. Został ponownie otwarty i trumna znów stała obok.

- Przyzywacie na czas, *mijnheer* Katoen - powiedział Dekkert. — Jesteśmy gotowi. Czy mamy otworzyć trumnę?

- Po to jesteśmy - odrzekł Katoen.

Dekkert dał znak robotnikom, którzy zdjęli wieko, co po moich wcześniejszych wysiłkach nie było już trudne. Katoen i ja podeszliśmy bliżej i zajrzeliśmy do środka.

- Tym razem muszę wam wierzyć, Suythof - powiedział Katoen i wyszczerzył w uśmiechu zęby na widok zwierzęcego szkieletu.

21 MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIA

Dom był duży i robił ponure wrażenie. Rośliny pięły się po ścianach i pieniały dziko, zajęte całkowicie zadaniem pochłonięcia kiedyś całego domostwa. Inne budynki przy Kloveniersburgwal były znacznie bardziej zadbane, co nie powinno dziwić, skoro należały do zamężnych kupców i lekarzy. Także doktor Antoon van Zelden był, jak słyszałem, człowiekiem dobrze sytuowanym. Wydawało się jednak, że nie troszczy się o wygląd swego domu.

- Tak zaniedbać dom to zupełnie nieholenderski zwyczaj - powiedziałem do Cornellii, która mnie tu przyprowadziła. - Jesteś pewna, że ta rudera należy do doktora van Zeldena?

- Całkowicie pewna. Byłam tu kiedyś z ojcem, gdy odwiedził van Zeldena w związku z jakimś zleceniem. Ale czekałam wtedy przed domem.

Od mojej ponownej bytności w Kościele Zachodnim upłynęło zaledwie kilka godzin. Nie powiedziałem nic Cornellii o zakładach na śmierć i życie, a z rozmowy z Katoenem wyjawiałem tylko, że inspektor nie traktował już sprawy ze śmiertcionośnym obrazem jako wymysłu. Z ciężkim sercem opowiedziałem Cornellii o psim szkielecie w trumnie jej brata. Wbrew oczekiwaniom, przyjęła to bardzo spokojnie. Wyjaśniłem to sobie tym, że znalazła się w punkcie, w którym już nic nie było w stanie jej wzburzyć. Podziwiałem jej siłę, tym bardziej zdumiewającą wobec jej młodości.

Zdecydowaliśmy się na wizytę u doktora van Zeldena, bo mieliśmy nadzieję, że jako lekarz Rembrandta może coś wiedzieć, co pomogłoby nam w poszukiwaniach. Ponadto lekarz wydawał mi się podejrzany, od kiedy widziałem go u boku van der Meulena w szantanie Kaat Laurens, i postanowiłem rozejrzeć się trochę w jego domu.

Pyzata służąca, której okrągłe policzki lśniły jak dwie połówki jabłka, otworzyła nam drzwi i od razu wyjaśniła:

- Doktor już nie przyjmuje. Przyjdźcie jutro, między dziesiątą i dwunastą.

Chciała już zamykać drzwi, gdy wtrąciłem szybko:

- Nie jesteśmy chorzy. To jest Cornelia van Rijn, córka malarza Rembrandta van Rijn. Przyszliśmy w sprawie jej ojca. Bądź tak dobra i zamelduj nas panu van Zeldenowi.

Z ociąganiem wpuściła nas do środka i wprowadziła do poczekalni, która świadczyła zarówno o zainteresowaniach medycznych doktora, jak i o jego zamiłowaniu do sztuki. Dwa z czterech malowideł na ścianach ukazywały studia anatomiczne. Ale jeszcze bardziej zafascynowały mnie rozliczne słoje, ustawione na stołach wzdłuż ścian. Pływały w nich, zanurzone w przezroczystym płynie, ludzkie organy i części ciała, między innymi ucho i dłoń. Cornelia odwróciła się z obrzydzeniem, ale ja przypomniałem sobie słowa Katoena i zadałem sobie pytanie, czy van Zelden rzeczywiście zajmował rabusiów zwłok.

Służąca wróciła i zaprowadziła nas do salonu, który był większy i wytworniejszy od poczekalni. Do jego wyposażenia także należało kilka obrazów oraz szklane naczynia z preparatami organów. Naszą uwagę przyciągnął natychmiast jeden obraz olejny: był to portret Tytusa van Rijn. W domu Rembrandta wisiało dostatecznie dużo portretów zmarłego syna, by jego twarz wydawała mi się prawie równie znajoma jak moja własna.

Cornelia wyciągnęła rękę, jakby chciała delikatnie dotknąć twarzy.

- Jak dobrze oddał podobieństwo! To w każdym calu mój brat. Ojciec kochał go ponad wszystko. Dziwię się, że sprzedał ten obraz.

- Kosztowało mnie to sporo wysiłku - zabrzmiał za nami ochrypły głos. - Musiałem obiecać waszemu ojcu, że będzie mógł tu przychodzić w każdej chwili, by oglądać obraz.

Doktor van Zelden, który wszedł bezgłośnie, skłonił się na powitanie, co w związku z jego wysoką, lekko pochyloną sylwetką wyglądało, jakby miał w każdej chwili stracić równowagę i upaść.

- Czy są jakieś wieści od waszego ojca? - zapytał. - Bardzo się o niego martwię.

- Ja także - odpowiedziała Cornelia. - I właśnie dlatego tu jesienn. Znajdziecie dla mnie chwilę, doktorze van Zelden?

- Dla was zawsze. Proszę usiąść. Czy mogę poczęstować was czekoladą?

Nabrałem tchu.

- Tak? - spytał lekarz.

- Towarzyszyłem tu panie van Rijn. Ale myślę, że to, co ma do omówienia z wami, nie jest przeznaczone dla moich uszu, *mijnheer* van Zelden. Jeśli pozwolicie, obejrzę sobie przez ten czas eksponaty w waszej poczekalni.

- Proszę bardzo. Znacie drogę.

Już w drzwiach odwróciłem się jeszcze do niego.

- Konserwowanie ludzkich organów i członków wydaje się wazną wielką pasją?

- Nie mogę zaprzeczyć wobec tylu zgromadzonych tu preparatów.

Zaśmiał się krótko i sucho, ale natychmiast odzyskał powagę.

- Zresztą w domu lekarza nie jest to niezwykła ozdoba, preparaty służą celom naukowym. Wszystko, co tu zakonserwowałem, jest mi stale przydatne w badaniach i wykładach. Sam sporządziłem specjalny roztwór alkoholowy, dzięki któremu znacząco można było ulepszyć technikę konserwacji.

- Zdumiewające - zawołałem i udałem, że jestem pod wrażeniem. - A skąd bierzecie te wszystkie zwłoki?

- Wypadki i epidemie nie są niestety rzadkością w naszym mieście. Zwłok nie brakuje.

Skinąłem głową i wycofałem się do poczekalni, gdzie spotkałem służącą, która miękką ściereczką odkurzała właśnie wysokie stoje z preparatami.

- Wasz pan przywiązuje wielką wagę do swoich preparatów - zauważyłem mimochodem.

- O tak, *mijnheer*. Muszę bardzo uważać, żeby niczego nie rozbić. A do swojego sanktuarium w ogóle mnie nie wpuszcza.

- Sanktuarium? Co przez to rozumiecie?

Zachichotała i opuściła wzrok.

- Tak sobie sama nazwałam pomieszczenia w głębi domu, gdzie pan prowadzi swoje badania. Pracuje tam też nad preparatami. Jeszcze nigdy nie pozwolił mi tam wejść, chociaż jestem u niego na służbie od dwóch lat. Nie wiem nawet, jak tam utrzymuje porządek.

- Być może wasza obecność za bardzo by go rozpraszała.

- Być może - powiedziała dziewczyna i odstawiła starannie oczyszczony słoik na miejsce. - Gdy zadzwoniliście, pan był właśnie w sanktuarium. Dlatego nie byłam pewna, czy mogę mu w ogóle przeszkodzić.

Wdzięczny za jej szczerość, wypytywałem ostrożnie dalej.

- Ale chcielibyście zobaczyć kiedyś to sanktuarium, prawda? Mnie możecie to spokojnie powiedzieć, nie wydam was. Nie próbowaliście nigdy po kryjomu się tam rozejrzeć?

- Nie, *mijnheer*, co też wam przychodzi do głowy? Oczywiście, czasem aż mnie korci, gdy sprzątam korytarz w głębi, ale nigdy w życiu nie weszłabym tam bez pozwolenia.

- To się wam chwali - pochwaliłem rumianą osobkę, a potem pożegnałem się pod pozorem powrotu. W rzeczywistości skręciłem jednak z długiego, krętego korytarza nie w stronę salonu, ale w głąb domu, gdzie za okazałymi drzwiami spodziewałem się znaleźć sanktuarium doktora van Zeldena. Nie robiłem sobie wielkich nadziei, że drzwi będą otwarte. Mimo to zaryzykowałem - i ku mojemu zdumieniu otworzyły się. Od wewnątrz tkwił klucz. Najwyraźniej nasze pojawienie się tak zaskoczyło lekarza, że po prostu zapomniał je zamknąć.

Wszedłem szybko do środka i przymknąłem drzwi. Przez zaściągnięte zasłony do obszernego wnętrza, które wyglądało na gabinet, wnikało tylko stłumione światło. Na ścianach nie wisały tu

obrazy, lecz ryciny, przedstawiające ludzkie ciało i jego organy wewnętrzne. Ciężkie łańciskie foliasty leżały na stole, a w jednym z kątów u sufitu wisiał kompletny ludzki szkielet. Mimo woli pomyślałem o tym, co zobaczyłem w trumnie Tytusa van Rijn, i dreszcz przebiegł mi po plecach.

W kolejnym pomieszczeniu van Zelden zajmował się najwiśdoczniej swymi preparatami. W przezroczystym roztworze, skomponowanym według słów van Zeldena przez niego samego, pływały liczne organy, a w szafie stały dziesiątki pustych stojów różnej wielkości.

Z tego pokoju prowadziły kolejne drzwi, ale tym razem były one zamknięte.

Rozejrzałem się dokładnie w drugim pokoju, ale nie udało mi się znaleźć klucza. Cofnąłem się więc do gabinetu, rozglądnałem się i w końcu znalazłem klucz ukryty pod jednym z tomów. Pospieszyłem z powrotem, wypróbowałem go i okazało się, że pasuje do zamka.

Serce waliło mi jak młotem, gdy przekraczałem próg pokoju, który van Zelden tak pieczołowicie zamykał. A to, co w nim zobaczyłem, rzeczywiście omal mnie nie powaliło. Odwróciłem wzrok i musiałem zebrać wszystkie siły, by skierować go ponownie na przedmiot, który van Zelden ukrył przed światem.

W kąt pokoju wbudowano szklane ściany na wzór wielkiego słoja, sięgającego od podłogi do sufitu. Wypełniający go płyn konserwujący nie był bezbarwny, jak w małych naczyniach. Połyskiwał niebieskawo, ale mogłem w nim dostrzec nagie ludzkie ciało: młodego mężczyznę, który spoglądał na mnie szklistymi oczami. Jego wąska twarz była mi aż nazbyt dobrze znana. Oczywiście, był martwy, a jego spojrzenie puste; mimo to wydawało mi się, że dostrzegam w nim błaganie, prośbę o uwolnienie martwego ciała z tego sprzecznego z naturą miejsca i złożenie go na ostateczny spoczynek.

Najchętniej chwyciłbym krzesło i rozbił wielkie szyby. Ale nie zrobiłem tego, bo lekarz nie mógł przecież wiedzieć, że odkryłem jego tajemnicę.

Szybko wyszedłem z pokoju, rad, że mogę zamknąć za sobą drzwi. Odłożyłem klucz z powrotem na miejsce i opuściłem pomieszczenia, które uznałbym raczej za miejsce przekłete niż za sanktuarium.

Otarłem pot z czoła, przybrałem obojętną minę i poszedłem do salonu, w którym Cornelia właśnie się podnosiła, by pożegnać się z doktorem van Zeldenem.

- Czy pan doktor zdołał ci pomóc? - zapytałem jak gdyby nigdy nic.

- Nie w kwestii miejsca pobytu ojca. Ale dobrze mi zrobiła możliwość spokojnej rozmowy. Doktor van Zelden jest bardzo życzliwy i zaoferował mi pomoc w każdej chwili, gdybym jej potrzebowała.

Zwróciłem się do lekarza:

- To bardzo łaskawie z pana strony, doktorze van Zelden.

- Nie ma o czym mówić - spojrzał na Cornelie. - Odwiedźcie mnie znowu, jeśli coś wam będzie leżeć na sercu.

Przeniósł wzrok na mnie.

- To odnosi się także do was, *mijnheer* Suythof.

Jego ton i spojrzenie nie podobały mi się. Odniosłem wrażenie, jakby wiedział o moim wtargnięciu do sekretnych pomieszczeń. Ale to było niemożliwe. Z niepokojem zadawałem sobie pytanie, czy mogłem w pośpiechu pozostawić jakieś ślady. Gdyby van Zelden coś odkrył, mogłem tylko mieć nadzieję, że podejrzenie spadnie na ramię dziewczynki, która odprowadziła mnie i Cornelie do wyjścia.

Zaprowadziłem Cornelie do najbliższej gospody i zamówiłem mocne czerwone wino. Wypiliśmy po łyku, zanim opowiedziałem jej o swoim niewiarygodnym odkryciu.

Jej błękitne oczy wpatrywały się we mnie z niedowierzaniem.

- Zakonserwowany człowiek?

- Tak. Pływa w płynie konserwującym jak wieloryb.

- Co van Zelden zamierza z nim zrobić?
- Sam sobie zadaję to pytanie, tym bardziej, że... Przełknąłem ślinę i zabrakło mi sił, by mówić dalej.
- Co z tym umarłym?
- To... to jest twój brat.

Cornelia zbladła i patrzyła na mnie przez minutę lub dłużej w osłupieniu. Potem powiedziała drżącym głosem.

- Tytus? To niemożliwe!
- On, nie ma wątpliwości. I to zgadza się z moim odkryciem w Kościele Zachodnim. Może truchło psa w trumnie nie było żartem rabusiów. Może już w chwili pogrzebu zwłok Tytusa nie było w trumnie. Nie widziałem na jego ciele żadnych śladów rozkładu. Przypuszczam, że jeszcze przed pogrzebem zastąpiono zwłoki truchłem zwierzęcia. Trumna była ciężka, więc nic nie wzbudziło podejrzeń.

- Ale... jakie mogły być zamiary van Zeldena?
- Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

Cornelia zerwała się na równe nogi i chwyciła płaszcz.

- Dokąd idziesz? - zapytałem.
- Do twojego inspektora Katoena. Musimy go natychmiast zaprowadzić do domu van Zeldena, żeby położyć kres tej potwornej profanacji zwłok Tytusa!

Z delikatnym naciskiem posadziłem Cornelię z powrotem na drewnianej ławce.

- To nie jest dobry pomysł. Może van Zelden jednak wie coś o miejscu pobytu twojego ojca. Dobrowolnie raczej nic nam nie powie. Pójdę do Katoena i zadbam o to, by miał van Zeldena na oku. Być może lekarz zaprowadzi nas do Rembrandta.

Z powątpiewaniem, ale i z nadzieją Cornelia spojrzała na mnie. A potem wszystko, co tak długo w sobie tłumiała, znalazło ujście. Płakała z głową na moim ramieniu, a ja delikatnie gładziłem ją po włosach. Jej zwątpienie napełniało mnie bólem i moją jedyną pociechą było, że to na moim ramieniu chciała się wyplakać.

Nie zważałem na ciekawskie spojrzenia innych gości i czekałem cierpliwie, aż Cornelia poczuje się trochę lepiej. Osuszyła lzy moją chustką i zapytała:

- Czy wierzysz, że ojciec zobaczył zwłoki Tytusa na ulicy?
- Nie wiem - powiedziałem. - Ale jeśli tak, to van Zelden musi mieć czarodziejską moc ożywiania umarłych.

22 NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

28 września 1669

Zaraz następnego ranka odwiedziłem Katoena w Ratuszu i opowiedziałem mu o zakonserwowanych zwłokach, które powinny być spoczywać w Kościele Zachodnim. Inspektor wysłuchał niesamowitej historii z poważnym wyrazem twarzy i na końcu zgodził się ze mną, że lepiej będzie na razie nie podejmować żadnych kroków przeciwko van Zeldenowi; należało go tylko starannie obserwować.

Pożegnałem się z Katoenem i udałem się na Damrak, by odwiedzić Ochtervelta. Ponieważ jego urodziwej córki nie było w sklepie, wręczyłem ojcu niewielki bukietik tulipanów, który dla niej kupiłem.

Stary Ochtervelt popatrzył najpierw na kwiaty, a później na mnie, jakby zwątpił w mój zdrowy rozsądek.

— Co to ma znaczyć, Suythof? Chcecie się starać o moją rękę?

- Na razie jeszcze potrafię się powstrzymać - odpowiedziałem, szczerząc zęby w uśmiechu. - Przekażcie bukiet swojej córce, gdy wróci, i powiedzcie, że to od nieznanego wielbiciela.

— Dlaczego? - zapytał, pocierając czoło.

- Bo kobiety mają słabość do nieznanych wielbicieli. Kwiaty uskrzydła Yolę i będzie jeszcze pogodniejsza i piękniejsza niż

zwykle. A kto wie, może wkrótce rzeczywiście powitacie prawdziwego zięcia.

- Mam nadzieję, że nie takiego, jak wy - mruknął Ochtervelt i odłożył obojętnie bukiet na stos książek.

- Co macie mi do zarzucenia?

- Ostatnio słyszy się o was niezbyt dobre rzeczy. Zamknięto was w Rasphuisie, bo podejrzewano was o podpalenie domu van Riebeecka. Młody pan de Gaal był u mnie kilka dni temu, żeby przynieść korektę do drugiego wydania książki ojca, które wkrótce będą drukować. Okropnie się o was wyrażał i rzucał na was najgorsze przekleństwa.

- Mogę to sobie wyobrazić. Spotkaliśmy się w Rasphuisie.

Ochtervelt patrzył na mnie jak na ptaka, którego gatunek uważał za wymarły.

- A co jest teraz z wami?

- Jeszcze żyję i chodzę wolny. Może to wystarczy wam jako dowód, że jestem niewinny?

- Niewinny! A któż na tym świecie jest bez winy?

- To już zupełnie inne pytanie - powiedziałem i spojrzałem z namysłem przez okno. - Powiedzcie, dlaczego sklep pana van der Meulena jest zamknięty?

- Zapytajcie jego, nie mnie.

- To nie takie proste. Podobno opuścił Amsterdam w niewiadomym celu. Nic o tym nie wiecie?

Ochtervelt potrząsnął głową.

- Od czasu do czasu robię jakiś interes z van der Meulenem, to wszystko. Czasem nie widzę go przez wiele tygodni. Cóż mnie może obchodzić, kiedy i dokąd wyjeżdża. A co was to obchodzi?

- Muszę go pilnie o coś zapytać - odpowiedziałem wymijająco, ale zgodnie z prawdą. - Jak długo prowadzi sklep przy Damrak?

Ochtervelt zastanowił się krótko.

- Niezbyt długo, cztery, może pięć lat.

- A przedtem?

- Wtedy nie miał jeszcze tak dobrej klienteli. Jego sklep mieścił się w raczej wiejskiej okolicy na skraju Jordaanu.

- Czy potraficie mi dokładniej opisać to miejsce?

Ponownie zmarszczył czoło, a potem dokładnie opisał mi drogę, mimo że nie pamiętał nazw poszczególnych ulic.

- Ale dzisiaj niewiele się tam dzieje. W okolicy działa jeszcze kilka magazynów, wszystkie inne budynki nadają się do rozbiórki. Najwyższy czas, żeby magistrat coś przedsięwziął.

Podziękowałem i wyszedłem ze sklepu na Damrak, nad którym jesienny wiatr niósł kolorowe liście. Pogrążony w myślach o Cornelii, która nieco wyzwoliła się z przerażenia i pozostawała przy Rozengracht pod troskliwą opieką wiernej Rebeki, podążyłem w kierunku opisanej przez Ochtervelta okolicy. Wiatr zrobił się silniejszy, prawie ostry, więc jak najgłębiej wcisnąłem głowę między ramiona.

Okolica była rzeczywiście mało atrakcyjna. Van der Meulen musiał dokonać znacznego wysiłku, by przeskoczyć stąd na Damrak. Uważałem go za zdolnego do wszystkiego, więc oczywiście także do dokonania tego skoku za pomocą sposobów niezgodnych z prawem.

Już od pół godziny błąkałem się między zrujnowanymi domami i składami, nie mogąc trafić na poszukiwany budynek, gdy na swej drodze spotkałem starszego mężczyznę z ciężkim workiem na ramionach.

- Pozwólcie na słówko, *mijnheer* - zatrzymałem go. - Szukam domu, który należał kiedyś do handlarza obrazów Maertena van der Meulena. Musi być gdzieś tu w pobliżu.

Stary odstawił swój ciężar, potarł pokryty siwymi kosmykami podbródek i potrząsnął głową.

- Handlarz obrazów w tej okolicy? Musicie się mylić, *mijnheer*.

Mówiąc te słowa, wyciągnął w moim kierunku otwartą dłoń, jakby chciał sprawdzić, czy nie pada.

Szybko sięgnąłem do sakiewki i wcisnąłem dwa stuivery w kciścistą dłoń. Stary spojrział przelotnie na monety i wrzucił je do kieszeni kurty. Przeciągnął dłonią po siwych włosach, przekrzywiając przy tym zatłuszczoną czapkę, i podrapał się po ciemieniu.

- Jak się dłużej nad tym zastanawiam, to coś mi się przypomina. Handlarz obrazów, powiadacie?

Skinąłem cierpliwie głowę.

- Wyprowadził się stąd cztery, może pięć lat temu.

- Hm, tak, teraz wiem, o co wam chodzi. Dom, którego szukacie, stoi całkiem niedaleko. Tam, ta uliczka po lewej stronie, widzicie? Musicie w nią wejść. Jest bardzo krótka. Ostatni budynek po prawej stronie, tego szukacie.

Podniósł swój worek i ruszył w dalszą drogę. Jeśli nie kombinował, żeby zarobić kilka stuiverów, byłem blisko celu. Ale czy naprawdę znajdę tam jakieś wskazówki co do miejsca pobytu van der Meulena? Handlarz dokonał zasadniczych zmian w życiu, od kiedy się stąd wyprowadził. Można było przypuszczać, że ze starym domem nic go już nie wiązało.

Mimo to skrzyłem w uliczkę, którą wskazał mi stary. Nie miałem innego punktu zaczepienia i nie miałem nic do stracenia - tak przynajmniej sądziłem.

Ostatni dom po prawej stronie był, jak w mniejszym lub większym stopniu wszystkie budynki przy tej ulicy, w stanie ruiny. Nie umiałem sobie wyjaśnić, jak miasto Amsterdam mogło dopuścić do sytuacji, że całe ciągi ulic tak bardzo podupadły.

Dawny dom marszanda stał niezamieszkały, co mnie nie zdziwiło. Szyby w większości okien na górnych kondygnacjach były powybijane, na parterze gdzieś zabite deskami, podobnie jak drzwi wejściowe. Przy próbie wyrwania kilku desek z framugi drzwi wbiłem sobie wielką drzazgę w prawą dłoń. Ostrożnie wyciągnąłem ją kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki. Dwie lub trzy krople krwi spadły na ziemię. Klnąc, rozejrzałem się za lepszym sposobem wejścia do pustego domu.

Po lewej stronie budynku było wąskie przejście, które wydawało się prowadzić wokół domu. Poszedłem nim, ale znalazłem tylko kolejne zabite deskami okna. Ścieżka zwięzła się coraz bardziej i tylna ściana rudery prawie stykała się ze ścianą sąsiedniego budynku, który nie był w lepszym stanie. Ponieważ domy stały bardzo blisko siebie, było tu dość ciemno. Nic zatem dziwnego, że wpadłem w jakąś dziurę, potknąłem się i upadłem. Próbując zamortyzować upadek, otarłem sobie skórę na dłoniach, które ostro zapiekły. Powoli zaczynałem przeklinać pomysł szukania w tych ruinach śladów zaginionego handlarza obrazów.

Właśnie się podnosiłem z jękiem, gdy dobiegł mnie cichy głos.

- Uważajcie, Suythof! To nie Damrak, jak już pewnie zauważyliście.

Zmrużyłem powieki i spojrzałem przed siebie. Stał tam, jakby wyszedł z niebytu, mężczyzna, którego pochylona postać była mi równie znajoma, jak jego ochryply głos. Ale czy to mógł być on? Z niedowierzaniem podszedłem bliżej, ostrożnie, by znowu nie upaść. Im bardziej się zbliżałem, tym wyraźniejsze wydawały mi się kontury jego sylwetki w półcieniu.

Dwa czy trzy kroki od niego zatrzymałem się i zapytałem bezradnie:

- To wy? Ale co wy tu robicie?

- To pytanie ja powinienem wam zadać - odpowiedział Rembrandt van Rijn. - Nie wydaje mi się, byście tu mieli czego szukać.

- Owszem, was!

Mój były mistrz stał przede mną i patrzył na mnie z takim spokojem, jakby nie zniknął prawie tydzień temu bez śladu, ale wyszedł sobie po prostu na zakupy. Wydawał się szczuplejszy niż w mojej pamięci, twarz miał jeszcze bardziej zapadniętą i naznaczoną zmarszczkami. Nie miał czapki, a cienkie, siwe kosmyki spadały w nieładzie na ramiona.

- Dlaczego mnie szukacie? - zapytał.

- Bo wasza córka jest chora z niepokoju o was.
- To niemożliwe. Cornelia wie, gdzie jestem.
- Tak? Od kiedy?
- Przez cały czas.
- To coś nowego. Wczoraj wyplakiwała sobie jeszcze za wami oczy.

- Kłamiecie! - syknął Rembrandt, a jego spokój w jednej chwili przekształcił się w gniew. - Zawsze byliście człowiekiem zakłamanym, niegodnym zaufania! Nie powinienem był wpuszczać was do domu!

- Nie mam powodu was okłamywać. To wy mówicie od rzeczy. Kto miał powiedzieć Corneli o waszym miejscu pobytu?

- Jak to kto? Oczywiście, że Tytus. On mnie tu przyprowadził.
- Wasz syn Tytus?

Tu Rembrandt szeroko się uśmiechnął i energicznie skinął głową.

- Tytus wcale nie umarł na dżumę, wyobraźcie to sobie! Mój syn żyje! Przyprowadził mnie tutaj i obiecał, że powiadomi Cornelię. Pomyślałem o szkielecie psa w trumnie Tytusa i o zakonserwowanych zwłokach w domu doktora van Zeldena. Czy Rembrandt był szalony, czy ja? A może stopniowo cały Amsterdam popadał w obłąd?

- Nie wierzycie mi - stwierdził stary, patrząc na mnie badawczo.

- Słusznie sądzicie. Byliście świadkiem śmierci syna. Jak możecie twierdzić, że żyje?

- Musi żyć! Przecież jest tutaj. Mam was do niego zaprowadzić, Suythof?

- Wyświadczylibyście mi wielką przysługę.

- Dobrze, zatem chodźcie za mną.

Odwrócił się i zszedł po kilku schodach, których dotąd nie zauważyłem. Prowadziły do drzwi do piwnicy, prawdopodobnie je-

dynego wejścia do domu, które nie było zabite deskami. Jak na swój wiek, Rembrandt poruszał się wyjątkowo żwawo i szybko zniknął w ciemnym prostokącie drzwi. Przyspieszyłem kroku, zanurzyłem się w mroku ponurego, cuchnącego stęchlizną domu i - znalazłem się twarzą w twarz z mym mistrzem i trzema innymi mężczyznami. Wszyscy byli moimi starymi znajomymi, mimo że nie znałem ich nazwisk. Pewnego sierpniowego wieczoru napadli na mnie w pobliżu Rozengracht, a zaledwie sześć nocy temu zastawili na mnie pułapkę przy Mewiej Baszcie. I oto kolejny raz wpadłem w ich łapy.

Za tą trójką z ciemności wyłonił się Rembrandt i zachichotał:

- Tego się nie spodziewaliście, prawda? Teraz już nie będziecie mnie prześladować, Suythof, tylko dlatego, że jesteście zazdrośni o Tytusa!

Jego słowa wydały mi się pozbawione sensu i nie miałem czasu, dłużej się nad nimi zastanawiać. Trzech ponurych drabów zbliżyło się do mnie i tym razem nie było widoków na jakąkolwiek obronę. Każdy z nich dzierżył w garści pistolet i wydawał się gotowy w razie najmniejszego gestu oporu wpakować mi kulę w brzuch.

Człowiek z blizną, przywódca hultajskiej trójki, uśmiechnął się krzywo.

- No, malarzyno, posunąłeś się chyba za daleko, co?

Lufą pistoletu wskazał wąskie zejście do piwnicy.

- Tędy wszedłeś, ale już nie wyjdiesz. Jeśli będziesz sprawiał kłopoty, dostaniesz kulkę w łeb.

- Tak też sobie pomyślałem - odpowiedziałem, starając się zachować przynajmniej pozór obojętności.

Wewnętrznie byłem równie załamany jak zaskoczony. Załamany, bo znowu wpadłem w pułapkę, z której tym razem chyba nie miałem szansy się wymknąć. Zaskoczony, bo Rembrandt van Rijn stał tylko kilka kroków ode mnie i wydawało mi się, że rozkoszuje się moim położeniem.

Malarz i trzech uzbrojonych zbirów poprowadzili mnie podziemnym labiryntem, którego zasięg wprowadził mnie w zdumienie. Mogłem to sobie wyjaśnić tylko w ten sposób, że za pomocą tych korytarzy łączyły się kilka sąsiadujących ze sobą domów. Jeden z mężczyzn szedł z latarnią na przedzie i wskazywał nam drogę.

Na jednym z rozwidleń zatrzymaliśmy się i człowiek z blizną powiedział do Rembrandta:

- Będzie lepiej, jeśli wróćcie teraz do pracy, mistrzu. My się zajmujemy Suythofem.

- Jak uważacie - odparł Rembrandt i zniknął w bocznym korytarzu, przy którego końcu słabo świeciła lampa.

Mnie zaprowadzono do podziemnej celi, która nie różniła się wiele od miejsca mojego uwięzienia pod szantanem. Tyle że to pomieszczenie wydawało się większe, a pod jedną ze ścian zgromadzono kilka skrzyń. Okna nie było, a latarnię uzbrojeni hultaje zabrali ze sobą.

Ciężkie drzwi zamknęły się ze zgrzytem. Po raz trzeci w ciągu jednego tygodnia zostałem uwięziony w ciemnym lochu.

23 PRZEKLEŃSTWO Z DELFTU

- Tak, Suythof, no i znowu tkwicie w równie pożałowania godnej sytuacji jak kilka dni temu. Przyznajcie szczerze, czy, biorąc pod uwagę mizerny efekt, wasze wysiłki się w ogóle opłacały?

Po kilku godzinach, które spędziłem, siedząc na skrzyni w całkowitych ciemnościach, drzwi się otworzyły. Ktoś wszedł do środka, a światło lampy oślepiło mnie. Mimo że początkowo widziałem tylko zarys sylwetki gościa, poznałem go po głosie.

- Więc nie wyjechaliście wcale tak daleko - powiedziałem, a moje oczy stopniowo przywykały do oślepiającego blasku. - Być może wcale nie opuściliście Amsterdamu.

Van der Meulen postąpił krok bliżej i uśmiechnął się.

- Spryciarz z was. To, że mnie tu wytropiliście, także świadczy o waszej przenikliwości. Moje uznanie! Właściwie szkoda, że ciągle nam sprawiacie kłopoty. Taki człowiek jak wy mógłby się przydać w naszych szeregach.

Nakazałem sobie ostrożność. Już kiedyś, gdy uważałem jeszcze van der Meulena za nieszkodliwego handlarza obrazów, przekonałem się o jego umiejętności schlebiana rozmówcy. Ale postanowiłem udać, że daję się złapać na lep jego słodkich słówek. Wydawało mi się to jedynym sposobem odzyskania wolności i ostatecznego odkrycia, co się tu rozgrywa.

- Mówicie o waszych szeregach. Skąd mam wiedzieć, o co chodzi i czy wasza sprawa jest także moją?

- Wątpię, by tak było - westchnął van der Meulen. - Chyba że jesteście człowiekiem religijnym.

- Idąc do kościoła, czynię to raczej z poczucia obowiązku niż z wewnętrznej potrzeby.

- Czy w ogóle wiecie dużo o swojej kalwińskiej religii?

Stałem się czujny.

- O mojej kalwińskiej religii?

- Odpowiedzcie na moje pytanie, Suythof.

- Wiem tyle, ile człowiek uczy się jako dziecko i praktykuje jako dorosły, nic więcej.

- O wierze katolickiej wiecie pewnie jeszcze mniej?

- A co w tym dziwnego? Nie jest u nas zbyt rozpowszechniona.

Gniewny cień wystąpił na twarz van der Meulena.

- Od kiedy kalwiniści przed prawie stu laty zagarnęli władzę, nie wolno nam otwarcie praktykować naszej religii. A to prawdziwa wiara! Musimy się spotykać w ukryciu, w małych kościołach, które kupcy naszego wyznania urządzają w swych domach albo w takich miejscach, jak to, pod ziemią. To hańba. Ale to się wkrótce zmieni.

- Wkrótce? Jak to? I kiedy?

- Nie powinienem wam zbyt wiele opowiadać, Suythof. W końcu nie jesteście katolikiem, a już z pewnością nie gerardystą.

- Gerardystą?

- Nazwa naszego ugrupowania pochodzi od Baltazara Gerarda, owego dzielnego męża, który w 1584 roku oddał życie, by położyć kres panowaniu Wilhelma Orańskiego, a co za tym idzie, potędze kalwinizmu. Na pewno o nim słyszeliście.

- Zastrzelił w Delfcie księcia Wilhelma. Został za to stracony, prawda?

- Tak. Zdołał wprawdzie zabić Wilhelma, ale nie złamał władzy kalwinistów w Niderlandach. My i nasi sprzymierzeńcy wystąpiliśmy, by to zmienić. Na miejscu kaźni, gdy kat rozpruł mu już ciało, Baltazar Gerard powiedział: „Przeklinam was wszystkich, pozabawieni duszy kalwiniści! Was, wasze dzieci i wnuki! Jeszcze za sto lat moje przekleństwo spadnie na was i na wszystkich mieszkańców bezbożnych Niderlandów!”

Stopniowo pojmowałem, co van der Meulen chciał mi przekazać. Cicho, bardziej do siebie niż do niego, powiedziałem:

- Gerardyści chcą dopomóc w wypełnieniu przekleństwa z Delftu.

- Jak już powiedziałem, Suythof, spryciarz z was.

W tej chwili van der Meulen nie był skłonny udzielać mi dalszych informacji. Ale kazał przynieść dla mnie do piwnicy wodę, chleb, kawałek sera i nieco wina.

Mimo kłopotliwości mojego położenia, byłem głodny. Sprawa wyglądała kiepsko, ale nie była beznadziejna. Jeśli się nie pojawię przez dłuższy czas, Jeremias Katoen będzie mógł mnie odszukać na podstawie treści mojej rozmowy z Ochterveltem. Poza tym musiałem zachować siły. Więc zająłem się posiłkiem i wykorzystałem czas, by przemyśleć wyjaśnienia marszanda.

Powoli fragmenty zaczęły się układać w spójny obraz. Ale jak na większości płócien Rembrandta, więcej pozostawało w cieniu niż w pełnym świetle.

Ponownie upłynęło kilka godzin, po czym moi trzej strażnicy zjawili się, by mnie wyprowadzić.

- Dokąd? - zapytałem.

- Sam zobaczysz - odpowiedział człowiek z blizną i popchnął mnie bezceremonialnie przed sobą labiryntem słabo oświetlonych korytarzy.

Na jednym z rozwidleń czekał na nas van der Meulen.

- Jak rozległe jest wasze podziemne królestwo? - zapytałem. - Kto je zbudował?

- Pochodzi z czasów wojen Wilhelma Orańskiego. Wówczas ta okolica była jeszcze słabo zabudowana. Podziemne korytarze wykopano na wypadek oblężenia Amsterdamu, by przechowywać tu zapasy żywności i amunicji i w razie zdobycia miasta uratować je przed zagarnięciem przez wroga. My je rozbudowaliśmy. Ale chodźcie, msza zaraz się zacznie.

- Msza?

- Chcecie dowiedzieć się więcej o naszej wierze? No to chodźcie ze mną do naszego tajnego kościoła.

Naprawdę obudził moją ciekawość i poszedłbym za nim nawet bez „zachęty” ze strony trzech uzbrojonych strażników. Wkrótce korytarz, którym prowadził mnie van der Meulen, zbiegł się z innymi i rozszerzył się do dużej podziemnej sali, oświetlonej licznymi lampami i świecami. Ze wszystkich stron napływali ludzie: mężczyźni, kobiety i dzieci.

- W niedzielę przychodzi tu znacznie więcej osób - objaśnił van der Meulen. - Ale każdego wieczoru odprawiamy tu nabożeństwo. I przychodzą wszyscy członkowie naszej wspólnoty, którzy mają czas.

- Ale czy to nie zwraca uwagi, gdy tylu ludzi zmierza w jednym kierunku?

Potrząsnął głową.

- Jest więcej wejść, nie tylko to, którym dostaliście się tutaj.

Potem wskazał mi przyległe pomieszczenie, w którym bez trudu rozpoznałem wspomniany przez niego ukryty kościół.

Ściany były ozdobione obrazami i arrasami o treści religijnej - całkowite przeciwieństwo ascetycznych świątyń kalwińskich. Wielkie świece oświetlały wnętrze z dwoma rzędami drewnianych ławek, które się coraz szczelniej wypełniały. Van der Meulen usiadł obok mnie na jednej z ławek położonych z tyłu, strażnicy pozostali przy wejściu z pistoletami starannie ukrytymi pod ubraniem.

Do ołtarza podszedł duchowny i zafascynowany słuchałem jego łacińskiego zaśpiewu, nawet jeśli nie rozumiałem ani słowa. Wciągnęła mnie nierzeczywistość scenerii. Kazanie, modlitwy i śpiewy w tym podziemnym pomieszczeniu wydawały mi się gorączkowym majakiem, a przecież były rzeczywiste, uczestniczyłem w nich na jawie.

Gdyby van der Meulen opowiedział mi historię o gerardystach w innym miejscu, w jakiejś gospodzie czy kawiarni, popatrzyłbym zapewne na niego z niedowierzaniem, może nawet roześmiałbym się. Ale tutaj, głęboko, w tym osobnym świecie, rzecz nabierała realnych, groźnych kształtów. Być może, zabierając mnie na nabożeństwo, van der Meulen zamierzał wyrzucić na mnie wrażenie. Na pewno to mu się udało.

Po mszy wielu gerardystów podchodziło do van der Meulena i rozmawiali z nim tonem pełnym szacunku. Niewątpliwie nie był szeregowym członkiem wspólnoty. W tym czasie zachowywał się tak, jakby mnie tam w ogóle nie było. Wydawało się, że moje przysłuchiwanie się rozmowom w niczym mu nie przeszkadza. Zatem nie upatrywał we mnie zagrożenia. Może dlatego, że nie zamierzał pozwolić mi odejść, a może dlatego, że uznał mnie za jednego ze swoich.

Podszedł do nas starszy mężczyzna z młodą dziewczyną i zaparło mi dech. Stali przed nami Emanuel Ochtervelt i jego córka Yola. Oboje uśmiechnęli się do mnie.

- Wy... tutaj? - Z zaskoczenia, które było oczywiste, z trudem mogłem wypowiedzieć kilka słów.

- Nie po raz pierwszy, Suythof, przyjacielu - odpowiedział Ochtervelt. - Cieszyłbym się, gdybyśmy się odąd częściej tu spotykali.

- Ja także - dodała Yola i mrugnęła do mnie. - A gdybyście przypadkiem spotkali mojego nieznanego wielbiciela, *mijnheer* Suythof, to pozdrówcie go ode mnie serdecznie i przekażcie, że tulipany sprawiły mi wielką radość.

Van der Meulen zwrócił się do mnie.

- Porozmawiamy jutro. Mam jeszcze coś do omówienia z panem Ochterveltem. Dobranoc, Suythof.

Strażnicy odprowadzili mnie do mojej celi, w której czekał na mnie nie tylko suty posiłek, ale także koce i poduszka. Tym razem jednak wcale nie miałem ochoty na kolację, bo spotkanie z Ochterveltami zniweczyło moje nadzieje na uratowanie przez Jeremiasa Katoena.

I coś jeszcze: Ochtervelt musiał uprzedzić van der Meulena o moim spodziewanym pojawieniu się. Pewnie tylko po to opowiedział mi o starym domu na skraju Jordaanu, by przeszkodzić mi w dalszych poszukiwaniach.

24 DIABELSKA WYSPA

29 września 1669

Pod ziemią dzień nie różnił się od nocy. Gdy jednak otworzyły się drzwi mojej celi i po niespokojnym śnie usłyszałem szydercze „Dzień dobry” jednego ze strażników, wiedziałem, że nastał nowy dzień. Strażnik przyniósł mi mleko, chleb i ser i wkrótce wrócił z wiadrem wody do mycia.

Była to najbardziej niezwykła toaleta poranna w moim całym życiu. Zaledwie skończyłem, w celi zjawili się człowiek z blizną i tysy.

- Chodź, czekają na ciebie - oświadczył ten z bliźną.

Poszedłem za nimi, spodziewając się, że zaprowadzą mnie do van der Meulena, i miałem nadzieję dowiedzieć się w końcu więcej o spisku. Mężczyźni wprowadzili mnie do pomieszczenia, które najtrafniej można by opisać jako podziemny salon. Stały tu wygodne krzesła i duży stół, a na ścianach wisało nawet kilka obrazów. Jeden z nich przedstawiał motyw ze Starego Testamentu i od razu rozpoznałem rękę Rembrandta. W tym wnętrzu można by się było nawet dobrze czuć, gdyby nie brak dziennego światła oraz wilgoć i chłód, które panowały w całym podziemnym labiryncie.

Zajęty jeszcze oglądaniem obrazu Rembrandta, usłyszałem, że ktoś wchodzi do pomieszczenia. Był to siwowłosy mężczyzna, którego wygląd wskazywał, że zbliża się do siedemdziesiątki. Mimo to trzymał się bardzo prosto, a każdy jego ruch świadczył o niezłomnej woli działania. Choć nie spotkałem go nigdy wcześniej, od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia.

- Dzień dobry, *mijnheer* de Gaal - powitałem go.

Zatrzymał się w odległości dwóch kroków ode mnie i zmierzył spojrzeniem ciemnych oczu.

- Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

- O ile wiem, to nie.

- Więc skąd mnie znacie?

- Poznałem waszego syna w Rasphuisie, w okolicznościach nie mniej pożałowania godnych niż obecne. Jest do was bardzo podobny.

- Przynajmniej zewnątrz - powiedział Fredrik de Gaal ponurym tonem. - Van der Meulen miał rację. Nie jesteście głupcem. I ma też rację, że ktoś taki może nam się przydać.

- Czy przyszliście tu złożyć mi propozycję?

- Powiedzmy, że chcę z wami porozmawiać. Usiądźmy. Zakładam, że chcielibyście mnie o coś zapytać, a i ja także mam do was pytania.

- Tak, mam wiele pytań - powiedziałem i zająłem miejsce na przeciw de Gaala.

- No to słucham.

Jego wąskie usta rozciągnęły się w uśmiechu, ale nie dałem się zwieść. Ostro zarysowana twarz z orlim nosem, która tak przypominała oblicze jego syna, miała w rysach coś drapieżnego. Postanowiłem mieć się przed tym człowiekiem szczególnie na baczności. Zbyt często wpadałem już w pułapkę.

- Van der Meulen opowiedział mi wczoraj o gerardystach - zacząłem. - Ilu członków liczy wasza grupa?

Mój rozmówca wykonał obronny gest.

- Nie zaczynajcie od takich kłopotliwych pytań, bo jeszcze sobie pomyślę, że mnie chcecie przesłuchać. Tej liczby nie zna chyba nikt z członków wspólnoty. Niech wam wystarczy, że jest nas więcej niż potrzeba do osiągnięcia celu.

- Odbudowania katolicyzmu w Niderlandach.

- Słusznie.

- Albo przeforsowania go jako głównej religii?

- To także.

- A może ustanowienia katolicyzmu jako jedyne wyznania?

- Zobaczymy, jaki będzie rozwój wypadków.

- Dlaczego nigdy nie słyszano o gerardystach?

- Bo działamy w ukryciu, jak widzicie. Większość naszych katolickich braci w wierze skupiła się w małych wspólnotach, odprawiających swoje msze w tak zwanych tajnych kościołach. Ale nie ma w tym w zasadzie nic tajnego. Państwo wie o tych kościołach i wie, kto w Niderlandach jest wyznawcą prawdziwej wiary.

- Mówicie o wierze katolickiej?

- Oczywiście. W ten sposób państwo może nadzorować katolików w tym kraju i jednocześnie zapobiegać swobodnemu rozwojowi naszej wiary. Bo jakże katolicy mogą pozyskiwać nowych wyznawców, skoro nie wolno im praktykować publicznie? Ale my poszliśmy inną drogą. Pozornie przeszliśmy na kalwinizm, żyjemy zgodnie z

jego zasadami, chodzimy do kościołów tych bluźnierców. Ale w głębi serc pozostaliśmy katolikami. Dlatego spotykamy się tu w podziemiu, w naszym prawdziwym kościele. I pracujemy nad tym, by przywrócić prawdziwej wierze jej właściwe i godne miejsce.

- Zabijając innych ludzi? Czy to jest zgodne z zasadami waszej religii?

- Jesteśmy w stanie wojny, której nie wywołaliśmy. A wojna rządzi się swoimi prawami.

- To chyba nie usprawiedliwia śmierci niewinnych kobiet i dzieci - powiedziałem z goryczą, myśląc o Louisie i jej matce, o rodzinie farbiarza Melchersa i o Gęsie Timmers, nawet jeśli była kobietą ze-psutą i upadłą.

Wzrok starca stał się kłujący.

- A więc wątpicie w nasze działania.

- Na razie stwierdziłem tylko, że zginęło wielu niewinnych ludzi. W jaki sposób chcecie przez to osiągnąć swój cel, nie jest dla mnie jasne. Gerardyści mogą być liczni, ale jak zdołają podbić cały kraj?

- Gdy nadejdzie pora, uzyskamy pomoc z zewnątrz.

Pomyślałem o słowach Jeremiasa Katoena i zapytałem:

- Od Francuzów?

Na chwilę twarz de Gaala pociemniała. Trafiłem w sedno! Zaraz potem przybrał znów obojętną minę.

- Skąd wam przyszli do głowy akurat Francuzi?

- Anglicy także próbują zmierzyć się z naszym młodym narodem, ale trudno ich podejrzewać o to, że zaangażują się na rzecz katolicyzmu. A z królem francuskim to zupełnie inna sprawa.

- Więc niech wasza własna odpowiedź na razie wam wystarczy - rzeki wymijająco.

- Czy na pytanie o sposób, w jaki chcecie wzburzyć kraj, też mam sobie sam odpowiedzieć?

- Spróbujcie!

Także i w tej kwestii mogłem się oprzeć na tym, czego dowiedziałem się od Katoena.

- Zawieracie na nielegalnej giełdzie zakłady o śmierć szanowanych obywateli, a za pomocą śmiercionośnych obrazów doprowadzacie do tego, że wasze zakłady kończą się wygraną. Napełnianie przy okazji wojennej kasy jest tylko miłym skutkiem ubocznym. Czekacie, a gdy będzie dość dużo budzących poruszenie wypadków śmierci, nadacie sprawie rozgłos. Za jednym zamachem podważycie zaufanie opinii publicznej do spójności niderlandzkiego kupiectwa. W czasie zaś, gdy nasza gospodarka będzie podupadać, a brat przestanie ufać bratu, wojska króla Ludwika przekroczą granice i zajmą nasz kraj. Czy trafiłem w sedno?

W ciemnych oczach błysnęło uznanie.

- Jesteście w istocie bardzo przenikliwym człowiekiem.

- Dziwi mnie tylko jedno: Dlaczego wy sami nie powstrzymaliście się przed zagładą van Riebeecków? Zamordowaliście Louise, chociaż była narzeczoną waszego syna. Odniosłem wrażenie, że ją szczerze kochał. Jak mógł na to pozwolić?

- Nie zrobił tego. Mój syn jest dobrym kupcem, ale w kwestiach wiary nie poszedł w moje ślady. Jest szczerym kalwinistą i nic nie wie o naszej wspólnocie. Louisa musiała umrzeć, bo nie mogliśmy jej już ufać. A jej śmierć uchroniła Constantijna przed poślubieniem córki człowieka zadłużonego po uszy.

A zatem w Rasphuisie Constantijn de Gaal nie chciał zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Upatrywał we mnie prawdziwego mordercy Louisy i wtrącił mnie do karceru z głębokiej żądzy zemsty.

- A ta sprawa portretów, które miałem malować dla van der Meulena? - pytałem dalej. - O co w tym chodziło?

- Naprawdę jeszcze na to nie wpadliście, panie mądrało? To przecież bardzo proste. Córki szanowanych obywateli, surowych kalwinistów, oddają się w domu publicznym za pieniądze obcym mężczyznom. Tego nie da się ukryć, prawda? Jakiś nadęty błazen

zacznie się chwalić swoimi podbojami, w jego ślady pójną inni. To też pomoże wstrząsnąć kalwińską moralnością.

- Chciałbym dowiedzieć się więcej o śmiercionośnych obrazach. Co takiego mają w sobie, że wywołują tak straszliwe skutki?

- Chcielibyście dowiedzieć się wszystkiego, prawda?

Pod wpływem impulsu ciągnąłem:

- Czy to ma jakiś związek z ostatnią podróżą „Nowego Amsterdamu”? Waszą ostatnią wielką wyprawą w służbie Kompanii Wschodnioindyjskiej?

W mgnieniu oka wyraz wyższości znikł z twarzy de Gaala. Stary człowiek wydawał się wstrząśnięty, gdy pytał:

- Co o tym wiecie?

- Niestety, nie wszystko. Ale co nieco zdołałem ustalić i nasuwa się pytanie, jaki ładunek statek przywiózł naprawdę z tej podróży. Bo chyba nie pieprz z Bantamu. Poza tym, przeczytałem waszą książkę i stwierdziłem, że na temat czwartej podróży zachowaliście daleko posuniętą powściągliwość.

Oczy de Gaala zasnuła mgła, jakby nie znajdował się już w podziemnym salonie, ale cofnął w czasie o dwadzieścia pięć lat i przeniósł na pokład „Nowego Amsterdamu”.

Przez jedną czy dwie minuty panowało milczenie, potem Fredrik de Gaal powiedział:

- Skoro wiecie lub przynajmniej odgadujecie już tyle, Suythof, możecie usłyszeć całą historię. Pomoże to wam lepiej zrozumieć mnie i moich współwyznawców. Nasza podróż do Bantamu przebiegała zgodnie z planem, wręcz zbyt spokojnie. Żadnych groźniejszych sztormów, żadnych piratów, żadnych ciężkich chorób na pokładzie. Nasza eskadra wyładowała towary i wzięła na pokład pieprz, za który tutaj płaci się tak drogo. Także podróż powrotna zaczęła się dobrze. Ale pewnej nocy nadciągnął sztorm, tak potężny, że nie pomogła żadna zmiana kursu, żaden manewr uciezkowy. „Nowy

Amsterdam", statek flagowy naszej małej floty, na którego pokładzie ja też się znajdowałem, był w pułapce. Nie widzieliśmy innych statków, a nawet gdybyśmy je widzieli, nie mogliśmy się o nie zatroszczyć. Musieliśmy wyteńczyć wszystkie siły, by ratować naszą łajbę i własną skórę. Dopiero nad ranem sztorm zelżał. „Nowy Amsterdam” był w opłakanym stanie, a pozostałych statków nie było w zasięgu wzroku. Gdy liczne wystrzały armatnie pozostały bez odpowiedzi, zorientowaliśmy się, że jesteśmy zdani tylko na siebie. Około południa zoczyliśmy małą wyspę, której nie było na żadnej z naszych map. Wydawało nam się to zrzędzeniem Boga, który przywiódł nas w miejsce, gdzie mogliśmy naprawić najpoważniejsze uszkodzenia.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że opis jak dotąd zgadzał się z tym, co powszechnie wiadomo było o podróży.

- Zakotwiczyliśmy u brzegów wyspy i wysłaliśmy łodzią kilku ludzi, by ją zbadali - stary kupiec ciągnął swoją opowieść. - Mieli w miarę możliwości postarać się o wodę i upolować trochę zwierzyny, ale nie wrócili. Gdy po dwóch dniach nadal ich nie było, zebrałem kolejną grupę, nad którą sam objąłem komendę. Statek zostawiłem pod opieką kapitana Sweelincka, który kierował pracami naprawczymi. Poszliśmy śladem pierwszej ekspedycji w głąb lądu i w końcu ich znaleźliśmy. To był straszny widok. Nikt nie żył. I wyglądało na to, że pozabijali się wzajemnie, zmasakrowali z całą brutalnością, do jakiej człowiek może być zdolny. Wszystkie zwłoki pokryte były ciężkimi ranami. Nie umieliśmy sobie tego wytłumaczyć. Czy na wyspie był jakiś niewidzialny wróg, tak straszny, że strach przed nim pchał ludzi do obłędu? Pochowaliśmy zabitych i rozbiliśmy na noc obozowisko. Aby nie dać się zaskoczyć, wystawiłem podwójny posterunek. W którymś momencie usłyszałem stękanie i jęki i zobaczyłem, że dwaj strażnicy walczą ze sobą. Obudziłem pozostałych ludzi i rozdzieliliśmy walczących. Jeden robił wrażenie całkiem rozsądne-

go i opowiedział, że jego towarzysz, z którym nie dało się rozmawiać, zaatakował go bez ostrzeżenia. Początkowo wydawało się to nam niepojęte, ale potem znaleźliśmy przy nim owoce.

- Jakie owoce?

- Owoce krzewu, który porastał całą wyspę. Owoce był wielkości jabłka, ale był w kolorze jaskrawoniebieskim. Widocznie wszyscy członkowie pierwszej wyprawy skosztowali go i to wpędziło ich w obłąd. Zamroczony strażnik następnego dnia stopniowo wrócił do siebie, ale niczego nie pamiętał. Spenetrowaliśmy resztę wyspy, znaleźliśmy wodę i zwierzynę, ale żadnych ludzi. Wyspa należała do nas.

- Co było potem? - indagowałem.

- Jaskrawy kolor tego owocu, ten niepowtarzalny błękit, naprowadził mnie na pewien pomysł. Nawet jeśli owoce były niejadalne, roślina mogła się nadawać do wytwarzania z niej barwnika o niezwykłej świetlistości. Błękitu przewyższającego intensywnością nawet ten uzyskiwany z indygo. Zebraliśmy kilka roślin i rozpoczęliśmy próby. W tym czasie objawił mi się Pan.

- Pan?

Kupiec odchylił głowę do tyłu i spojrzał w górę.

- Bóg, nasz Pan, przemówił do mnie. Nie da się inaczej wyjaśnić tego, że nagle, w okamgnieniu, wiedziałem wszystko o tej niezwykłej roślinie. Można z niej wytwarzać barwnik, ale wywiera on wpływ na ludzki rozum. I Bóg rozkazał mi siłą tego błękitu przywrócić w Niderlandach prawdziwą wiarę.

De Gaal ponownie opuścił głowę i spojrzał na mnie.

- Widzicie więc, że działałem w imię Boże.

Wiedziałem tylko, że był kompletnie obłąkany, ale to stwierdzenie zachowałem dla siebie. Skinąłem tylko głową i zapytałem o dalszy ciąg jego historii.

- Ściągnąłem ze statku więcej ludzi, którzy mieli nam pomagać w pracy. Gdy zażądałem jeszcze więcej marynarzy, kapitan Swe-

elinck wzbraniał się przed wypełnieniem mojego rozkazu, mimo że jako starszy kupiec miałem głos decydujący. Uważał, że potrzebuje wszystkich pozostałych ludzi do naprawy statku, i nie rozumiał, że ja działałem z Bożego nakazu. Ludzie, którzy byli już ze mną, myśleli tak samo jak ja. Duch Boży musiał natchnąć ich wszystkich. Nie pozostało mi nic innego, jak opanować z ich pomocą „Nowy Amsterdam”. Odważyliśmy się zaatakować w pewną bezksiężycową noc i odnieśliśmy sukces, mimo że musieliśmy stoczyć zacieklą, krwawą walkę, w której zginął Sweelinck i wielu marynarzy.

Stąd pochodziły więc ślady walki, o których wspominał Jan Pol.

- Zatem zamiast pieprzu przywieźliście do Amsterdamu ładunek nieznanego barwnika - wysnułem wniosek. - Aby ukryć go przed ludzkim okiem, dokonaliście rozładunku nocą. Ale jak usprawiedliwiliście to przed dyrektorami Kompanii Wschodnio-indyjskiej?

- Kilku zdołałem przeciągnąć na swoją stronę za pomocą pieniędzy. Pomogli mi ukryć zdarzenia i odpowiednio zmienić zapisy w księgach. Było to łatwiejsze, niżby się wam wydawało.

- I od tego czasu, od dwudziestu pięciu lat, realizujecie swój plan?

- Już Rzymianie mawiali *Sero molunt deorum molae* - młyny Boże miały powoli. Musieliśmy zbudować rozległą siatkę, nim mogliśmy przystąpić do właściwego działania.

- I w tym pomaga wam teraz mistrz Rembrandt?

De Gaal wydał się przez moment poirytowany.

- Rzeczywiście, jego osoba bardzo wam leży na sercu. Chcecie z nim porozmawiać?

- Jeśli to możliwe, chętnie.

- Wydam polecenia, by was do niego zaprowadzono. Oczekując go, zastanówcie się nad tym, co wam opowiedziałem.

Zrobiłem to wtedy, gdy strażnicy prowadzili mnie do Rembrandta. Jedno w każdym razie było dla mnie od razu jasne. To nie

Bóg przemówił do Fredrika de Gaala, ale szatan. A odległą wyspę, na której tylu dzielnych marynarzy utraciło życie i gdzie wzięło swój początek wiszące teraz nad Amsterdamem i całymi Niderlandami zagrożenie, nazwałem Diabelską Wyspą.

25 UŚMIECH MISTRZA

Ku swojemu zdumieniu w którymś momencie ujrzałem światło dzienne. Prawdziwe światło dzienne! Początkowo słabe, gdy wspiąwszy się po krętych schodach szliśmy długim korytarzem, potem jaśniejsze po wejściu na drugie schody. Były tu okna, przez które mogłem wyjrzeć na dzielnicę Jordaen. To mnie zaskoczyło, sądziłem bowiem, że Rembrandt przebywa w podziemnym labiryncie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

- W domu - odburknął tylko łysy.

Po dwukrotnym jeszcze wspięciu się na schody wiedziałem, że jesteśmy bardzo wysoko „w domu” i że nie jest to ów opuszczony dom, przez który dostałem się do podziemnego świata gerardystów. W tym budynku szyby w oknach były całe, ale sądząc po położeniu dachów i wież kościelnych, nie mógł on być zbyt oddalony od tamtej ruiny. Dziwiłem się tylko wciąż osobnemu, podziemnemu królestwu, które gerardyści stworzyli sobie na obrzeżach Amsterdamu.

Gdy dotarliśmy na poddasze, człowiek z blizną zapukał do jednych z drzwi tak uprzejmie, że nigdy bym go o takie maniery nie podejrzewał.

- Wejść - zachrypiał z wnętrza znajomy głos i wkroczyliśmy do środka.

Nagle pojąłem, dlaczego znajdowaliśmy się ponad, a nie pod powierzchnią ziemi. Mistrz Rembrandt van Rijn potrzebował światła,

bo był właśnie zajęty pracą. Wydawało się zresztą, że jednocześnie pracuje nad wieloma obrazami, co zdradzały ustawione w rzędzie sztalugi.

- Macie gościa - powiedział człowiek z blizną.

Nieżyczliwe spojrzenie Rembrandta spoczęło na mnie.

- Goście mi teraz przeszkadzają, a ten w szczególności. Zabierzcie go stąd i zostawcie mnie samego.

- To niemożliwe. Musicie z nim porozmawiać. Poczekamy na zewnątrz.

Z tymi słowami strażnicy zostawili nas samych. Zamknęli nawet za sobą drzwi. Ale dlaczegoż by nie? Dla mnie nie było stąd ucieczki, chyba że chciałbym wyskoczyć przez okno i wylądować na chodniku z potrzaskanymi kośćmi.

Przyjrzałem się dokładniej sztalugom i zabrakło mi tchu. Każdy obraz był namalowany w dwóch wersjach. Jedna wyszła spod obcej ręki i była delikatniejsza w kolorystyce, druga zaś zawierała ten sam lub bardzo podobny motyw, namalowany przez Rembrandta i utrzymany w tym niesamowitym błękitcie, o którego niewiarygodnym pochodzeniu dopiero co usłyszałem. Wszystkie obrazy były portretami: indywidualnymi lub zbiorowymi. W kolorystyce przypominały obraz, który wpędził w obłąd Gijsberta Melchersa i Ossela Jeukena. Odzienie portretowanych osób i tło były utrzymane w różnych odcieniach wspomnianego błękitu, tak intensywnego, że przy dłuższym wpatrywaniu się wydawało się, że nie istnieje nic poza tym kolorem.

Wreszcie pojąłem: Rembrandt malował tu na podstawie obcych wzorów błękitne śmiercionośne obrazy. Postacie na obrazach były skazane na śmierć, ich los miał wkrótce stać się przedmiotem zakładów na nielegalnej giełdzie.

Mistrz nie patrzył już na mnie i zajął się ponownie pracą nad portretem zażywnego kupca, zupełnie tak, jakby znajdował się w swojej pracowni przy Rozengracht. Już od jakiegoś czasu musiał tu lub w jakimś innym miejscu sporządzać błękitne obrazy.

Dlatego tak często znikał z domu, odwiedzając rzekomo grób Tytusa.

Na temat tego, w jaki sposób gerardyści pozyskali go do swoich szeregów, mogłem tylko spekulować. Czy dochodzenie, prowadzone z jednej strony przez władze, a z drugiej przeze mnie, zaniepokoiło ich do tego stopnia, że zdecydowali się ukryć malarza w odosobnieniu? A może po prostu potrzebowali więcej błękitnych portretów i postanowili, iż malarz będzie odtąd pracował tylko dla nich? Równie niezrozumiałe było dla mnie, dlaczego do tej pracy wybrali właśnie Rembrandta. Jeśli byli tak liczni, jak dał to do zrozumienia van der Meulen, musieli mieć w swoich szeregach dość malarzy. Czy nie chodziło zatem nie tylko o niezwykle błękitny barwnik, ale także o jakość wykonania? To wydawało mi się jedynym wyjaśnieniem.

Powoli obszedłem niezwykłą galerię, na której końcu stał błękitny obraz, dla którego nie było wzorca i który przeraził mnie najbardziej. Pokazywał Tytusa i Cornelię, spacerujących ręką w rękę nad potokiem i wpatrujących się w siebie z głębokim oddaniem. Martwy - rzekomo wciąż żywy - Tytus i ginąca w domu z troski o ojca Cornelia. Nie podobało mi się żadne z możliwych wyjaśnień, jakie przychodziły mi do głowy na temat tego portretu, wszak błękitne obrazy przynosiły tylko szaleństwo i śmierć.

Podniecony zwróciłem się do Rembrandta:

- Dlaczego namalowaliście swojego syna i córkę?

Stary, który właśnie zamierzał przyłożyć pędzel do płótna, zatrzymał się w pół ruchu, zwrócił twarz ponad ramieniem w moim kierunku i spojrzał na mnie, jakby zapomniał o mojej obecności.

- Dzięki temu mam ich oboje zawsze przy sobie - wyjaśnił. - Van der Meulen namówił mnie do namalowania tego obrazu i jestem mu za to wdzięczny. Gdy wrócę na Rozengracht, pokażę go dzieciom. Bardzo się z niego ucieszą.

- Tytus już się z niczego nie ucieszy - powiedziałem z naciśnięciem. - Wasz syn nie żyje. Zapomnieliście o tym?

Rembrandt uśmiechnął się słabo, jakby wprawiał się w pobłażliwości wobec mnie.

- Mylicie się, ale nie mam wam tego za złe. Ja też uważałem Tytusa za zmarłego po jego pogrzebie w Kościele Zachodnim. Ale on nie umarł. Był chory na niezwykle odmianę dżumy, która sprawiła, że wydawał się martwy. Doktor van Zelden zajął się nim i dzięki jego staraniom Tytus wraca do zdrowia. Już kilka razy rozmawiałem z synem. Jeszcze słabo trzyma się na nogach i musi przebywać w ciemności, ale już wkrótce będzie mógł do nas powrócić. Van Zelden obiecał mi to i będę mu za to wdzięczny na wieki.

Mimo kilku jeszcze niejasnych szczegółów stopniowo przeni-kałem makabryczną grę, w którą Antoon van Zelden i jego sprzymierzeńcy wplątali Rembrandta, wyraźnie nie będącego w pełni władz umysłowych. Nie umiałem stwierdzić, czy jego stan wynikał z podeszłego wieku, przygnębienia po stracie Tytusa, czy może wręcz wpływu błękitnego barwnika, z którym w trakcie malowania musiał mieć kontakt. Być może jego choroba była wynikiem oddziaływania wszystkich tych czynników. W każdym razie gerardysty po mistrzowsku potrafili wykorzystać stan umysłu starego malarza.

Zapytywałem się także, dlaczego Rembrandt mimo częstego kontaktu z diabelskim barwnikiem nie popadł w kompletne opętanie, jak to się zdarzyło Gijbertowi Melchersowi, Melchiorowi van Riebec-kowi i mojemu przyjacielowi Osselowi Jeukenowi. Ale na to pytanie na razie nie miałem uzyskać odpowiedzi.

- Pomagacie gerardystom, bo jesteście tak wdzięczni doktorowi van Zeldenowi? Żeby odzyskać Tytusa?

Rembrandt podrapał się pędzlem po ciemieniu.

- Gerardystom? O kim wy mówicie?

Nie był nawet świadom, w co się wplątał. Może mogłem to wykorzystać, by przełamać zły czar. Podszedłem do niego.

- Wasze dzieła, te błękitne obrazy, przynoszą ludziom śmierć. Nie wiecie o tym?

Obronny gest świadczył o tym, że ta okoliczność go nie niepokoiła.

- Umrze kilku złych ludzi, i co z tego? Wszyscy musimy kiedyś umrzeć.

Wskazał końcem pędzla na błękit, dominujący kolor na palecie.

- Spójrzcie, Suythof, czyż ten błękit nie jest jedyny w swoim rodzaju? Do, tego czasu nie cenilem błękitu, ale ten jest inny. Lśni od wewnątrz i po prostu przenika do ludzkich dusz, wydobywa z nich to, co prawdziwe, czy to dobre, czy złe. Gdy popatrzyście na ten kolor, zrozumiecie, dlaczego błękit nazywano kolorem królewskim, kolorem boskim.

- Nazywa się go także kolorem diabelskim i teraz rozumiem to o wiele lepiej.

- Nie rozumiem, co chcecie przez to powiedzieć, Suythof.

Schwyciłem go za ramiona, aby nim potrząsnąć, wyrwać go w jakiś sposób z jego zaślepienia.

- Okłamano was, mistrzu Rembrandcie! W barwniku, którym pracujecie, nie ma nic boskiego. To wyłącznie dzieło szatana, który doprowadza ludzi do czynienia zła, szkodzenia sobie samemu i własnym najbliższym! Tak jak wy szkodzicie sobie i swojej córce Corneli!

Rembrandt wyrwał mi się, cofnął dwa kroki i patrzył na mnie w osłupieniu:

- Co za głupstwa gadacie? Nigdy nie zaszkodziłbym Corneli!

- Przecież to robicie. Ukrywacie się tutaj, podczas gdy Cornelia siedzi w domu przy Rozengracht i jest chora z troski o was.

- Nonsens! - burknął Rembrandt. - Cornelia wie, gdzie jestem i dlaczego tu przebywam.

- To kłamstwo, którym próbowano was uspokoić.

Dostrzegłem błysk niepewności w jego oczach. Czyżby udało mi się przebić otaczający go mur zaślepienia?

- Odszukajcie Cornelię i zapytajcie sami - zaproponowałem. - Chętnie wam będę towarzyszyć.

- To niemożliwe - odpowiedział z wahaniem. - Przyrzekłem van Zeldenowi i van der Meulenowi, że się stąd nie ruszę, dopóki nie skończę roboty.

- Ta obietnica was nie wiąże. Została wymuszona kłamstwem. I nikt dobrowolnie nie pozwoli stąd odejść ani wam, ani mnie, nie widząc tego?

- Jeśli nie wolno nam stąd odejść, jaki sens miałyby chęć odwiedzenia domu przy Rozengracht? - odparł z logiką, która przy jego obecnym stanie umysłu zaskoczyła mnie.

- Musimy uciekać, mistrzu. Jesteście tu dłużej ode mnie i wiecie na pewno na temat tego miejsca coś, co mogłoby nam pomóc stworzyć plan ucieczki. Jeśli zjednoczymy siły, może nam się powieść!

- Uciekać? Nie. Jeśli rozczaruję doktora van Zeldena, Tytus może nigdy nie wrócić do zdrowia. Nie mogę zawieść mojego syna, już nigdy więcej.

- Jak to rozumiecie?

- Omalże dopuściłem do śmierci Tytusa wskutek zarazy, poddałem się, bo wydawało się, że nie ma już w nim śladu życia. Powrócił do mnie tylko dzięki doktorowi van Zeldenowi. Nigdy więcej Tytus nie będzie daremnie czekał na pomoc ojca!

Ponownie chwyciłem go za ramiona i musiałem się powstrzymać od krzyku, by nie zwrócić uwagi strażników pod drzwiami.

- Nie możecie tu zostać, mistrzu! I nie wolno wam dłużej pracować nad tymi obrazami! Przynoszą ludziom śmierć!

Jego twarz przybrała dziwny wyraz, znany mi z późnych autoportretów. Pojawił się ten osobliwy uśmiech, który wydawał się zdradzać światu, że zupełnie nie docenił Rembrandta van Rijn, i zapowiadać, że ci wszyscy, którzy z niego szydzili i odwrócili się od niego plecami, otrzymają kiedyś nauczkę.

Ten uśmiech mnie przeraził, bo pokazywał inną - mroczną - stronę duszy malarza Rembrandta. Jak na jego obrazach, pomyślałem, gdzie światło i cień są sobie tak bliskie. Umysł mistrza mógł być zaćmiony. Ale może właśnie dlatego, albo pomimo to, Rembrandt wydawał się pojmować, że jego obrazy przynoszą innym nieszczęście, popychają do śmierci.

Nic sobie z tego nie robił, wręcz przeciwnie, wydawał się znajdować w tym przyjemność. To była jego zemsta na świecie i ludziach; dopiero w tym przerażającym momencie pojąłem, co znaczyła obudzona na nowo w podeszłym wieku skłonność do autoportretów.

- Co z wami zrobiono? - wyrwało mi się z głębi duszy i jeszcze raz schwyciłem go za ramiona, mocno potrząsając. - Obudźcie się wreszcie, mistrzu Rembrandcie! Musicie stąd uciec jak najszybciej!

- Nie! - powtórzył i ponownie spróbował mi się wyrwać.

Tym razem nie ustąpiłem. W tych zapasach obaj straciliśmy równowagę i upadliśmy na podłogę, trącąc kilka sztalug, które przewróciły się razem z ustawionymi na nich obrazami.

Drzwi otworzyły się i do pracowni weszli nie tylko obaj strażnicy, ale także Fredrik de Gaal i Maerten van der Meulen. Strażnicy wyciągnęli pistolety i wycelowali je we mnie, a van der Meulen podszedł do malarza i pomógł mu stanąć na nogi.

- Czy coś wam się stało, mistrzu Rembrandcie? - zapytał z troską, która była albo autentyczna, albo po mistrzowsku zagrana. Prawdopodobnie obawiał się, że stary nie będzie w stanie kontynuować pracy nad śmiertelnościami obrazami.

Rembrandt spojrział na siebie, jakby chciał przekonać się o kompletności wszystkich członków.

- W porządku, tak sędzę. Ale zabierzcie stąd, proszę, Suythofa. Przeszkadza mi tylko i denerwuje swoją gadaniną.

- Natychmiast tak się stanie, mistrzu - obiecał van der Meulen i dał znak strażnikom.

Zrozumiałem ruch, który człowiek z blizną wykonał pistoletem, i podniosłem się. Lewe ramię, na które upadłem, trochę bolało, ale to nie miało znaczenia. Czując na plecach lufy dwóch pistoletów, opuściłem pracownię, rzucając ostatnie spojrzenie na Rembrandta, który już jakby zapomniał o mojej obecności i zatroskany patrzył na leżące na podłodze obrazy.

26 BŁĘKIT

Patrząc w ciemne wyloty luf obu pistoletów, czekałem niespokojnie na korytarzu i plułem sobie w brodę. Zamiast zachować ostrożność, znowu jak ślepiec wpadłem w pułapkę, nie doceniwszy niebezpieczeństwa.

Fredrik de Gaal pozwolił mi porozmawiać z Rembrandtem tylko po to, by wy badać moje zamiary. Dowodziła tego szybkość, z jaką on i van der Meulen znaleźli się w pracowni. Zachęcając Rembrandta do wspólnej ucieczki, okazałem się niewiarygodny jako potencjalny sprzymierzeniec. Gdy de Gaal i van der Meulen wyszli z pracowni, moje podejrzenia się potwierdziły.

Siwowłosy kupiec spojrział na mnie szyderczo.

- Nie jesteście jednak aż tak sprytni, *mijnheer* Suythof. A wasze zaangażowanie w naszą wielką sprawę także nie wydaje się szczere. Szkoda, ale nie da się tego zmienić. Van der Meulen, odprowadźcie go z powrotem.

De Gaal traktował handlarza obrazów jak podwładnego. Nie myliłem się zatem, upatrując w kupcu przywódcy gerardystów.

Van der Meulen i strażnicy sprowadzili mnie do podziemnych korytarzy, nie pozostawiając mi po drodze nawet najmniejszej możliwości ucieczki.

- Dlaczego właśnie Rembrandt maluje śmiertcionośne obrazy?
- zapytałem van der Meulena. - Czy gerardyści nie mają w swych

szeregach malarzy? Czy nie byłoby prościej zlecić tego zadania jednemu z nich, zamiast inscenizować cały ten teatr w celu pozyskania Rembrandta?

- Próbowaliśmy z młodymi malarzami z naszej wspólnoty, ale wyniki nie były zadowalające. Jeden z nich krótko przed zakończeniem pracy podciął sobie żyły, drugi wybiegł z krzykiem z domu i wpadł pod furgon. Zginął na miejscu. Trzeci prawie udusił swoją młodą żonę, a sam utopił się w najbliższym kanale. Zrezygnowaliśmy więc i zaczęliśmy poszukiwać innych możliwości. Wszyscy trzej malarze nie zdołali na dłuższą metę oprzeć się działaniu błękitnego proszku. Fredrik de Gaal, dzięki boskiemu objawieniu, sam wpadł na pomysł, by powierzyć to zadanie Rembrandtowi.

- Dzięki objawieniu? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Czy de Gaal nie opowiedział wam o tajemniczej wyspie na Morzu Wschodnioindyjskim? Tam Bóg przemówił do niego po raz pierwszy. Od tego czasu Pan na Niebiesiech wspiera go zawsze przy rozstrzygnięciu ważnych kwestii.

- I Bóg zaprowadził go do Rembrandta?

- Tak było, a zdarzyło się to w moim sklepie przy Damrak, gdy de Gaal oglądał obraz Rembrandta, który nieco wcześniej korzystnie nabyłem na aukcji. Oglądając obraz, zadrżał i na kilka minut stracił przytomność. Potem nabrał przekonania, że Rembrandt jest właściwym człowiekiem do realizacji naszych celów. I miał rację!

- Tyle tylko, że Rembrandt nie jest gerardystą!

- Rzeczywiście, byłoby łatwiej. Ale, jak sami widzieliście, udało się nam zapewnić sobie jego usługi.

Miałem jeszcze wiele pytań, ale dotarliśmy do mojego podziemnego więzienia i van der Meulen nie wydawał się skłonny do kontynuowania rozmowy. Samotny w celi słabo oświetlonej światłem świeczki, przysiadłem na jednej ze skrzyń i pograżyłem się w myślach.

Mimo najlepszej woli nie umiałem sobie wyobrazić Fredrika de Gaala jako bożego wysłannika, a jedynie jako sługę piekieł. Czy jakaś zła siła - szatan - pomogła mu wpaść na pomysł powierzenia Rembrandtowi zadania malowania śmiertelnych obrazów? A może po prostu pomyślał, że stary, doświadczony malarz zdoła się dłużej oprzeć działaniu diabelskiej farby, przywiezionej z odległej wyspy?

Wyczerpany położyłem się, wyprostowałem nogi i wpatrywałem się w sufit z surowego kamienia. Bolała mnie głowa. Każda odpowiedź, jaką znajdowałem, otwierała kolejne pytanie, czasem więcej niż jedno. Zacząłem nagle żałować, że zaangażowałem się w wyjaśnianie sprawy śmierci Ossela. Kimże byłem, by się porywać na takie zadanie? I dokąd mnie to zaprowadziło?

Potem jednak obudziło się we mnie sumienie. Ze względu na Ossela, który był moim przyjacielem i któremu złożyłem obietnicę. I ze względu na Cornelię. Gdybym nie poszedł tropem błękitnego obrazu, nie trafiłbym do domu Rembrandta - i nie spotkałbym ukochanej.

Cornelia!

Czy kiedykolwiek ją zobaczę? W swoim obecnym położeniu nie postawiłbym na to ani *stuivera*! Czy powinienem tego w ogóle pragnąć po tym, co jej wyjawilem na temat Louisy? Na pewno w ostatnich dniach niosłem jej pociechę, ale nie byłem pewien, czy odzyskałem już jej dawne zaufanie i życzliwość. Nie odważyłem się zapytać jej o to, by nie wyglądało, że staram się wykorzystywać troskę o ojca do zdobycia jej uczuć. A może po prostu obawiałem się usłyszeć odpowiedź.

Jeszcze jedna rzecz bardzo mnie niepokoiła: błękitny portret dzieci Rembrandta, który stary mistrz namalował. Błękitne obrazy niosły śmierć i zadawałem sobie pytanie o zamiary spiskowców wobec Cornelii.

Usiłując pozbyć się ponurych myśli, usiadłem. Musiałem się czymś zająć i mój wzrok padł na drewniane skrzynie. Po raz

pierwszy zastanowiłem się, co mogło się w nich znajdować. Może coś, co przydałoby mi się do uwolnienia się z pożałowania godnej sytuacji.

Uskrzydlony rozbudzoną na nowo wolą działania, skoczyłem na równe nogi i zbliżyłem się do skrzyń, które były pozabijane gwoździami. Uniosłem dwie, trzy z nich i wszystkie okazały się bardzo ciężkie. Być może - miałem taką nadzieję - znajdowała się w nich broń, dzięki której zdołałbym wywalczyć sobie wolną drogę wyjścia z podziemnego więzienia.

Na razie jednak potrzebne mi było narzędzie, by otworzyć którąś ze skrzyń. Rozejrzałem się starannie po celi, zajrzałem w każdą szparę między stosami skrzyń, ale nie zdołałem odkryć niczego, co choćby w przybliżeniu mogłoby posłużyć jako narzędzie. Omiotłem spojrzeniem surowe ściany z gliny i nieobrobionych kamieni. Jeden z nich, płaski i nieco krótszy niż męskie przedramię, wystawał w kącie. Obejrzałem go dokładnie i doszedłem do wniosku, że może się okazać przydatny. Musiałem go tylko wyłuskać ze ściany. Gołymi rękami zacząłem wydłubywać glinę wokół kamienia, aż zrobiło się wokół niego dość miejsca, by go uchwycić. Złapałem go oburącz i próbowałem wyrwać ze ściany. Skutkiem był gwałtowny ból w lewej ręce i krew, która spłynęła ze skaleczenia na posadzkę. Ostra krawędź kamienia rozorała mi dłoń, a on tkwił w ścianie nieporuszony.

Obmyłem zranioną dłoń wodą z wiadra i chciałem opatrzyć ją chustką. Na widok chustki przyszedł mi jednak do głowy inny pomysł. Owinąłem chustką wystający ze ściany fragment kamienia i ponownie spróbowałem szczęścia. Z powodu gwałtownego bólu dłoni musiałem mocno zacisnąć zęby. Kamień poruszył się, zakołysał i w końcu wypadł mi pod nogi. Dzięki swej ostrej krawędzi mógł być też przydatny jako broń, ale na razie liczyłem, że użyję go jako narzędzia.

Po kilku próbach udało mi się za pomocą płaskiej krawędzi kamienia wydobyć pierwszy gwoździec z jednej ze skrzyń. Kolejne także

ustąpiły i w końcu mogłem otworzyć skrzynię. Dla ochrony przed wilgocią zawartość była zawinięta w nasączone tłuszczem płótno. Odwinąłem je, ze zdumieniem zobaczyłem zawartość skrzyni i wydobyłem egzemplarz, by przyjrzeć mu się dokładniej. A potem wybuchnąłem głośnym śmiechem.

W skrzyni piętrzyły się cienkie, oprawne w skórę katolickie modlitewniki i śpiewniki. Gerardyści rzeczywiście czynili wszystko, by doprowadzić do upadku kalwinizmu i restytucji katolicyzmu.

Książki mogły być przydatne do duchowego umocnienia, ale nie do mojego uwolnienia się z podziemi. Jak mogłem być takim głupcem, by spodziewać się w skrzyniach ukrytej broni? Nie przestawałem śmiać się z własnej głupoty i naiwności. Mój śmiech był tak głośny, że zauważyłem gości, dopiero gdy znaleźli się w celi. Van der Meulen, człowiek z blizną i łysy. Człowiek z blizną trzymał wycelowany we mnie pistolet, jego kompan miał w rękach duży, prostokątny przedmiot.

Van der Meulen spojrzął na mnie surowo.

- Jeśli nasze modlitwy tak was bawią, Suythof, może raczej zajmiecie się swoim rzemiosłem malarskim!

Skinął na łysiego, który podszedł bliżej i ustawił pod ścianą, w kręgu światła świecy, obraz. Było to błękitne malowidło Rembrandta, przedstawiające spacerujących ręką w rękę Cornelie i Tytusa.

- Po co przynosicie tu ten obraz? - zapytałem.

- Chcecie przecież dowiedzieć się więcej o naszym tajemniczym błękitnie - odrzekł van der Meulen i wskazał na płótno. - Więc proszę bardzo, oto jest. Oglądajcie sobie w spokoju!

Gdy jeszcze mówił te słowa, trzeci opryszek – czerwono nosy – wszedł do celi i wytrząsnął na posadzkę obok mojego legowiska sznurki, żelazne kolki i ciężki młot.

- Połóżcie się na kocach. Suythof, tak wam będzie najwygodniej. I niech wam nie przyjdzie do głowy się bronić, bo straciecie na zawsze okazję do podziwiania dzieł sztuki.

Moje położenie rzeczywiście nie rokowało wielkich nadziei. Odłożyłem zatem modlitewnik do skrzyni i wróciłem do legowiska, gdzie na polecenie van der Meulena położyłem się na plecach. Łysy i ten z czerwonym nosem wbili kołki w podłogę po prawej i lewej stronie. Potem z wielką zręcznością zahaczyli na nich sznury, którymi opletli moje ciało i w ciągu kilku minut byłem już skrepowany i skazany na całkowity bezruch. Na kolejny rozkaz handlarza obrazów łysy przybliżył świecę do malowidła.

- Teraz macie dobry widok na obraz i nic nie rozprasza waszej uwagi - powiedział van der Meulen. - Jestem pewien, że czekają was zdumiewające doznania.

Wyszli i usłyszałem, jak drzwi zamykają się od zewnątrz. Kroki, rozbrzmiewające głucho w podziemnym korytarzu, oddaliły się. Czy jeden ze strażników pozostał? Nie umiałem powiedzieć. Ale ze strażnikiem czy bez, z więzami, które nie dawały mi żadnej swobody ruchów, nie zdołałbym i tak uciec. Ani moim strażnikom, ani błękitnemu obrazowi.

Owszem, była jedna możliwość. Zamknąłem oczy i postanowiłem nie poświęcić obrazowi ani jednego spojrzenia. Uznałem to za jedyny sposób uniknięcia wpływu diabelskiej farby. Przeczuwałem, co może mnie czekać, i zawdzięczałem to tym wszystkim, którzy przede mną padli ofiarą śmiertelnych obrazów. Leżałem tak więc z zamkniętymi oczami dwie, trzy, może cztery godziny: straciłem rachubę czasu. Ale umysł czuwał, byłem zbyt podniecony, by zasnąć.

W którymś momencie mój strach przed obrazem w niewyjaśniony sposób ustąpił. Nagle wydało mi się głupotą, żebym ja, malarz, odczuwał strach przed malowidłem. „Gdyby Rembrandt mnie teraz zobaczył - powiedziałem sobie - z pewnością zaśmiałyby się w kułak”. Oto miałem niepowtarzalną okazję studiować z bliska jeden z błękitnych obrazów i jak głupiec zamykałem przed nim oczy. Dlaczego? W razie, gdybym dostrzegł jakieś niebezpieczeństwo, mogłem przecież zawsze zamknąć oczy.

W końcu je otworzyłem. Być może owładnęła mną już nieznana, demoniczna siła emanująca z płótna.

Obraz.

Patrzyłem na niego i po raz kolejny podziwiałem mistrzostwo Rembrandta w oddawaniu gry światła i cieni. Moim zdaniem natretny błękit szczególnie uwydatniał jego zręczność i żałowałem, że wcześniej nie posługiwał się tym kolorem. Woda w strumieniu, nad którym spacerowali Tytus i Cornelia, wydawała się prawdziwa. Widziałem spódnicę Cornellii powiewającą na wietrze i dziwiłem się, jak naturalnie oboje wyglądali.

A potem skinęli na mnie ręką. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, ale tak, nie było co do tego wątpliwości. Nie były to tylko sylwetki, których był został wykreowany farbą i pociągnięciami pędzla, to były prawdziwe postacie. Ludzie.

Cornelia zstąpiła z obrazu na środek pomieszczenia i ponownie skinęła ręką. Uśmiechała się do mnie beztrasko, a ja rozpoznałem jej uśmiech, za którym tak długo tęskniłem. Zrozumiałem gest Cornellii. Było to wezwanie, by pójść za nią. Ale jak miałem to uczynić, skoro trzymały mnie więzy? Zaledwie o nich pomyślałem, a więzy zniknęły. Nie opadły ze mnie, nie musiały tego czynić, bo po prostu ich nie było. Podniosłem się, podbiegłem do Cornellii i wziąłem ją w ramiona.

Śmialiśmy się i wędrowaliśmy przez łąki, cały czas nad strumieniem ze świetliście błękitną wodą. Ktoś jeszcze był z nami: Tytus. Trzymał Cornelię za jedną rękę, ja za drugą, i tak tworzyliśmy beztraską trójkę.

W miarę upływu czasu zauważyłem jednak, że Cornelia poświęca mu więcej uwagi niż mnie. To mnie rozgniewało, bo przecież to ja ją kochałem i zaoferowałem jej pomoc. Dla niej postawiłem na głowie cały Amsterdam, by odnaleźć jej zaginionego ojca.

Ale Cornellii, a zwłaszcza Tytusowi, wydawało się to obojętne. Oboje żartowali i śmiali się do siebie, jakby mnie tam w ogóle nie

widzieli. Jakby byli dla siebie czymś więcej niż bratem i siostrą. On wyrwał mi jej rękę, zamknął siostrę w ramionach i tańczył z nią w wysokiej, lśniącej osobliwym błękitem trawie. Chciałem ich rozdzielić, ale coś mnie powstrzymało. To były więzy, które w okamgnieniu pojawiły się ponownie.

Coś jeszcze mnie zaskoczyło: zarysowane schematycznie postacie, które nie pochodziły z tej łąki. Starłem się zobaczyć je dokładniej, ale pozostały tylko cieniami, które znikły równie szybko, jak się pojawiły.

Gdy ponownie odwróciłem się w stronę Cornellii i Tytusa, jego już nie było. Tylko Cornelia siedziała w kucki na środku łąki i patrzyła na mnie niewinnie ogromnymi oczami. Moja wściekłość wywołana jej obłudą zmieniała się w szalony gniew i rzuciłem się na nią. Więzy mnie już nie zatrzymywały, ale nie zastanawiałem się nad tym.

Zaatakowana przeze mnie Cornelia upadła i krzyknęła, może wskutek zaskoczenia, a może z bólu. W napadzie obłędu nie dbałem o to. Zasłużyła na karę, na surową karę. Klęczałem na niej i biłem ją dopóty, dopóki krzyki nie zamieniły się w jęki, a dziewczyna zrezygnowała z wszelkiej obrony.

Ale nie zdołała mnie zwieść. W jej zachowaniu dostrzegłem nędzną próbę uniknięcia kary. To tylko podsyciło mój gniew. Objąłem dłońmi jej białą szyję i dusiłem tak długo, aż ciche jęki także umilkły.

W tym momencie oderwano mnie od niej i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Uderzyłem potylicą o ścianę i przeszła mnie błyskawica bólu. Jak poranna mgła w blasku słońca obraz błękitnej łąki rozplynął się przed moimi oczami i ujrzałem prawdę.

Nadal znajdowałem się w podziemnym więzieniu, ani na chwilę go nie opuściłem. Obok było moje legowisko z potarganymi więzami. A pod ścianą stał portret Tytusa i Cornellii.

Cornelia!

Zobaczyłem ją przed sobą podwójnie. Na obrazie, gdzie u boku Tytusa spacerowała brzegiem strumienia, jakby nic się nie zdarzyło. Ale na podłodze leżała prawdziwa Cornelia, w podartej sukience, pokrwawiona i zmasakrowana, z zamkniętymi oczami.

Do bólu wywołanego tym widokiem dołączyła się straszliwa świadomość, że było to moje dzieło. Gdy znajdowałem się w mocy niesamowitego błękitu, całkowicie zniewolony jego szatańską mocą, przyprowadzili do mojej celi Cornelię i przecięli mi więzy. Rezultat tej odrażającej gry był przerażający. Wstrząśnięty, patrzyłem na swoje dłonie jak na obce przedmioty i najchętniej bym je sobie odrywał. Tymi rękami biłem i dusiłem Cornelię - ja, który przysiągłem sobie jej bronić i strzec przed wszelkim złem! Do obrzydzenia wobec samego siebie dołączyło się przerażenie, jakiego nie odczułem nigdy dotąd. Potęga diabelskiej farby objawiła mi się z całą mocą dopiero teraz, gdy sam jej doświadczyłem. Mimo że byłem świadom niebezpieczeństwa, nie udało mi się obronić przed atakiem na moje myśli. Niesamowity błękit otumanił moje zmysły i uczynił ze mnie bezwolnego niewolnika. Z drżeniem wyobraziłem sobie, jak miasto wielkości Amsterdamu albo nawet cały kraj popada we władanie diabelskiej potęgi.

Zauważyłem trzech strażników, van der Meulena i doktora van Zeldena. Lekarz kłęczał obok Corneli.

Chciałem zapytać, co z nią, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Nie bacząc na ich przewagę i uzbrojenie, chciałem rzucić się na nich, ale nie zdołałem nawet podnieść się z podłogi. Po napadzie szaleństwa, który nie wiedziałem nawet, jak długo trwał, byłem kompletnie wyczerpany. Nie pozostało mi więc nic innego, jak przyglądać się, jak van Zelden pochyla się nad Cornelia i bada jej stan.

— Żyje, ale jest bardzo słaba.

Słowa te zdjęły ze mnie część przygniatającego mnie ciężaru, ale nie zdołały uwolnić mnie od winy, którą się obarczyłem.

- Wynieście ją stąd - polecił strażnikom van der Meulen. – Ja się zajmę obrazem.

Prawie z wdzięcznością patrzyłem, jak podnosi obraz i wychodzi za strażnikami, wynoszącymi wciąż jeszcze nieruchome ciało Cornelii na korytarz.

W drzwiach obrócił się jeszcze raz do mnie.

- Teraz znacie moc boskiego błękitu, Cornelisie Suythof. Ukarał was za zdradę naszej sprawy, pokazując wam mroczną stronę waszej duszy. Nie zdarzyło się nic, co już wcześniej nie tkwiłoby w was samych!

Przycupnąłem na derkach z ramionami wokół ciała i drżałem, przeżywając na nowo w myślach straszne chwile. Pod wpływem diabelskiej farby zrobiłem coś, czego nigdy bym nie uznał za możliwe. Niewiele brakowało, bym zabił Cornelie, najdroższą mi osobę na świecie!

Pozostawałem w osobliwym stanie między oszołomieniem i zrozumieniem. Stopniowo pojmowałem, co popchnęło Ossela do morderstwa. Szatański błękit był władny wydobyć na powierzchnię ukryte cechy i myśli, to, czego człowiek sam nie chciał o sobie wiedzieć.

W przypadku Ossela była to nagromadzona potajemnie zawziętość wobec Gesy Timmers, którą kochał, a która go wciąż wykorzystywała i poniżała. Miłość i oddanie Ossela były silniejsze od jego zgorzknienia, ale diabelska farba sprawiła, że zapomniał o swej dobroci. I czarne uczucia w głębi jego duszy zyskały przewagę, czyniąc zeń mordercę.

A jak było ze mną? Wciąż od nowa zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście kryła się we mnie aż taka nienawiść do Cornelii, która mogłaby usprawiedliwić moją napaść. Diabelski obraz wzbudził we mnie zazdrość o Tytusa, ale to było tylko złudzenie. Tytus był bratem Cornelii i nie ulegało wątpliwości, że nie żyje, bez względu na to, co mówił Rembrandt. Co zatem miałem do zarzucenia Cornelii? Że brała mi za złe zainteresowanie Louisą, być może.

Ale rozumiałem ją i potrafiłem podzielać jej uczucia. Byłoby niesprawiedliwością znienawidzić ją za to. Szukałem w sobie jak najgłębiej, ale nie potrafiłem odkryć nienawistnych uczuć.

A przecież zaatakowałem ją jak dzika bestia. Krwawe plamy na podłodze, tam, gdzie leżała Cornelia, były tego dowodem. Jej krzyki i jęki brzmiały mi w uszach i doprowadzały mnie do szaleństwa.

Niezliczony raz powtarzałem pytanie: dlaczego? I znajdowałem tylko jedną odpowiedź. To nie ukryta nienawiść do Cornellii popchnęła mnie do czynu, tylko raczej nieświadoma nienawiść do samego siebie. Od czasu, gdy ukochana utraciła do mnie zaufanie z powodu mojego stosunku do Louisy, zadreczęłem się wyrzutami. Najchętniej wyrwałbym z serca i wrzucił w ogień tę część, która tęskniła za Louisa. Błękitny demon odkrył to ukryte uczucie, wydo był je ze mnie i skierował przeciw Cornellii. Ona miała powód do zazdrości. Diabelski obłęd przemienił ją w zazdrość, która omotała mnie.

Wstrząsały mną dreszcze. Mimowolnie owinąłem się jednym z koców i pogрузyłem w myślach o przeklętej potędze błękitu.

27 OGNIEM I ŻELAZEM

30 września 1669

W którymś momencie, pod wpływem zmęczenia, mimo wszystko usnąłem. Był to jednak sen bardzo niespokojny, pełen równie dręczących jak szalonych majaków, w których dominującą rolę odgrywał błękit. Budziłem się wielokrotnie zlany potem i pragnąłem już więcej nie zasypiać, ale moje zmęczenie brało górę.

Gdy obudziłem się po raz piąty czy szósty, wydało mi się, że słyszę stłumione, ale przecież wyraźne odgłosy. Początkowo uznałem

je za wytwory mojej wyobraźni, zrodzone ze snu, ale nie chciały ścichnąć. Słyszałem głośne wołania, pospieszne kroki i wybuchy.

Zerwałem się z legowiska, podbiegłem do drzwi i przyłożyłem do nich ucho. Dobiegające dźwięki jednoznacznie wskazywały na toczącą się walkę. Naparłem na drzwi, ale, zgodnie z oczekiwaniami, były zamknięte. Zacząłem więc bębnić pięściami w masywne drewno, przeciwko czemu skaleczona lewa dłoń zaprotestowała ostrym bólem. Dopiero gdy się zorientowałem, że ktoś manipuluje przy zamku, zaprzestałem wysiłków i odstałem dwa kroki do tyłu.

Ogarnęły mnie wątpliwości, czy słusznie postąpiłem. Waląc w drzwi, chciałem przyciągnąć uwagę potencjalnych wyzwolicieli. A co, jeśli gerardyści uzyskali przewagę w walce i przychodzili teraz, by mnie ukarać?

Drzwi odskoczyły i momentalnie usłyszałem wyraźniej bitewny gwar. Do celi weszło trzech zbrojnych, dowodzonych przez jasnowłosego, młodego człowieka, który trzymał w ręce dwulufowy pistolet skałkowy. Na jego widok odetchnąłem z ulgą.

- *Mijnheer* Dekkert - zawołałem. - Jeszcze nigdy wasz widok tak mnie nie ucieszył!

- Chętnie uwierzę - odpowiedział pomocnik Katoena, obrzuwszy spojrzeniem celę. - Znaleźliście sobie rzeczywiście najnędnniejsze miejsce w tym i tak osobliwym otoczeniu.

Skinąłem głową.

- Dobrze, że udało się wam wyłamać zamek.

- Nie musieliśmy. Miał klucz przy sobie.

Wskazał na człowieka, który leżał bez ruchu na podłodze przed drzwiami. Podeszedłem bliżej i rozpoznałem mojego strażnika z czerwonym nosem. Obok niego leżał pistolet, którym już nigdy nie miał się posłużyć. W piersi zionęła mu wielka dziura, a obok rozlewała się potężna kałuża krwi.

- Czy to wy? - zapytałem Dekkerta, którego towarzysze byli uzbrojeni tylko w broń sieczną.

- Byłem tylko szybszy od niego - odpowiedział i ponownie załadował broń. - Dla pewności wypaliłem z obu luf, co dało w efekcie niezbyt piękny widok.

Na końcu języka kłębiły mi się pytania.

- Czy Katoen też tu jest? - było tylko jednym z nich.

- Oczywiście! Wszyscy mu podlegamy.

- A co z Rembrandtem i jego córką? Czy już ich odnaleziono?

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu potrząsnął głową.

- Nic o tym nie wiem. Ale nie mogę powiedzieć nic pewnego.

Pod ziemią wszędzie toczy się walka.

- Rembrandt i Cornelia nie muszą się znajdować pod ziemią. Są też wejścia do wielu domów w tej dzielnicy. W jednym z nich, na poddaszu, Rembrandt ma pracownię.

- Więc musimy niezwłocznie udać się na poszukiwania - zaproponował Dekkert. - Chyba że mamy tu jeszcze coś do załatwienia?

Omiotłem wzrokiem niegościnnie wnętrze, w którym nie było nic oprócz skrzyń przysuniętych do ściany.

- Nie, nic, Dekkert, chyba że interesujecie się wiarą katolicką. Chodźmy!

Opuszczając celę, pochyliłem się po broń zabitego i upewniłem się, czy jest załadowana. Był to również pistolet skałkowy, który wyglądał jednak na mniej zadbane niż broń Dekkerta. Mimo wszystko poczułem się z nim nieco lepiej i miałem nadzieję, że w razie konieczności będę się mógł na niego zdać. Już wkrótce miała się nadarzyć sposobność sprawdzenia słuszności tego przekonania. Pod moim przewodnictwem pobiegliśmy korytarzami, wypełnionymi gryzącym prochowym dymem. Co chwilę słyszeliśmy strzały i okrzyki, ale miałem wrażenie, jakby bitewny gwar stopniowo zamierał. Orientowałem się w podziemiu niewiele lepiej niż Dekkert i jego ludzie, zatem dość dużo czasu zajęło nam znalezienie właściwych schodów.

Dotarliśmy do nich tuż za dwójką innych mężczyzn, którzy nadbiegli z przeciwnego kierunku. Byli to van der Meulen i łysy strażnik. Każdy był uzbrojony w pistolet i gdy tylko nas zobaczyli, wycelowali do nas.

Bez zastanowienia przykleknąłem i przygotowałem broń. Nie mogłem jednak rozpoznać celu, bo w huku wystrzałów rozszedł się gęsty prochowy dym. Podczas gdy zaciskałem powieki i starałem się przebić wzrokiem szarobiałą mgłę, Dekkert stęknął obok mnie i zważył się na ziemię. Obawiając się najgorszego, wypaliłem wściekle, bez wyraźnego celu przed oczami.

Potem odwróciłem się do Dekkerta, przy którym klęczał już jeden z jego ludzi. Dekkert upuścił broń i przyciskał obie ręce do uda.

- Żyjecie! - zawołałem z ulgą i oderwałem pas tkaniny z koszuli, by opatrzyć mu ranę.

Gdy byliśmy gotowi z opatrunkiem, chmura dymu znacznie się przprzedziła. Zobaczyliśmy skurczone ciało mężczyzny, leżące na schodach. Był to łysy, ale rozpoznałem go dopiero po chwili. Moja kula oderwała mu pół czaszki, a krwawa resztką poszarpanych mięśni i roztrzaskanych kości nadawałaby się do kolekcji doktora van Zeldena.

- Jesteście znakomitym strzelcem, Suythof - pochwalił Dekkert, podnosząc się z jękiem przy pomocy jednego ze swych podwładnych.

- Nazwijcie to raczej szczęśliwym trafem. Z bronią palną mam zapewne nie więcej doświadczenia niż wy w obchodzeniu się z pędzlem. Jak się miewacie?

- Lepiej, niż to się może wydawać - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Na szczęście kula tylko musnęła nogę. Ten drugi wbiegł pewnie na schody, prawda?

Skinąłem głową.

- Pobiegł albo na zewnątrz, albo do Rembrandta. Jeśli się pośpieszymy, może jeszcze dopadniemy van der Meulena.

- To był van der Meulen? No to za nim!

Z pośpiechem wspięliśmy się po schodach, przy czym Dekkert starał się mimo rany dotrzymać nam kroku. Jeśli van der Meulen był rzeczywiście przed nami, jego przewaga była na tyle duża, że go nie widzieliśmy. A może się pomyliłem i skierowałem naszą grupkę w złym kierunku? Nie, rozpoznałem korytarz prowadzący do pracowni Rembrandta. Drzwi stały otworem, co nie wróżyło niczego dobrego.

Gdy wpadliśmy do pracowni, znaleźliśmy w niej Rembrandta i van der Meulena, który przekonywał o czymś malarza. Prawdopodobnie chciał skłonić starego do wspólnej ucieczki. Nasze pojawienie się przstraszyło marszanda, który liczył zapewne, że ma większą przewagę. Niepewnie zakołysał pistoletem, celując to w Rembrandta, to w nas.

Czy miał czas, by ponownie załadować broń? Nie wiedziałem i nie chciałem czekać, by się o tym przekonać. Mój pistolet był wprawdzie bezużyteczny, ale w całym tym zamieszaniu nadal go trzymałem w garści. Rzuciłem nim w van der Meulena i ciężkie żelazo ugodziło go w skroń.

Wydał z siebie niezrozumiały okrzyk, opuścił broń i zatoczył się kilka kroków do tyłu. Potknął się przy tym o sztalugi i całkowicie stracił równowagę. Upadł do tyłu, wybił jedną z dużych szyb w oknie i wypadł na ulicę. Usłyszeliśmy stłumiony krzyk, a potem tępy łomot upadającego ciała.

Pospieszyłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Osobliwie pokurczona pozycja ciała van der Meulena na chodniku wąskiej uliczki nie pozostawiała wątpliwości, że był martwy. Skręcił sobie zapewne kark.

Dekkert podszedł do mnie.

- Naprawdę zręcznie sobie poczynacie z pistoletem.

Odwróciłem się do Rembrandta, który patrzył na nas z zapartym tchem. Z pędzla w prawej ręce skapywała na podłogę błękitna farba.

- Co to ma znaczyć? Co zrobiliście panu van der Meulenowi, Suythof?

- Nic takiego, na co by sobie nie zasłużył - odpowiedziałem z goryczą. - Powiedzcie mi lepiej, czego od was chciał.

- Miałem pójść z nim. Bardzo się spieszył. Chciałem mu wyjaśnić, że najpierw muszę dokończyć ten obraz.

Wskazał przy tym pędzlem na błękitne malowidło, nad którym pracował już podczas mojej pierwszej bytności w pracowni.

- Dokąd mieliście towarzyszyć van der Meulenowi? - dopytywałem dalej. - Czy wam to powiedział?

Rembrandt zaprzeczył.

- Czy mówił coś o Cornelii? Czy wspomniał coś o miejscu jej pobytu?

- A gdzieżby miała być? Jest w naszym domu przy Rozengracht, rzecz jasna.

Wydawało się, że rzeczywiście nie ma pojęcia o tym, iż sprowadzono tu jego córkę i co straszego - w końcu także z mojej winy - jej się przydarzyło.

- Czy van der Meulen naprawdę nie wspomniał o Cornelii?

Rembrandt potrząsnął gniewnie głową.

- Cóż wy tak ciągle o Cornelii? Nie czyńcie sobie próżnych nadziei. Moja córka poślubi kiedyś zamożnego człowieka, kogoś takiego jak van der Meulen, a nie takiego nicponia, jak wy!

Ponownie wyjrzałem na ulicę, gdzie leżał van der Meulen, i pożałowałem, że go zabiłem. Nie dlatego, że zrobiło mi się go żal. Ale mógłby nam powiedzieć, gdzie znajdziemy Cornelie.

- Nie traćcie odwagi - powiedział Dekkert, który dostrzegł moje zwątpienie. - Przewróćmy tu każdy kamień. Jeśli wasza Cornelia tu jest, znajdziemy ją niezawodnie.

Pomagałem w tych poszukiwaniach, pokój po pokoju, piętro za piętro. Większość pomieszczeń była pusta i nie znaleźliśmy najmniejszego śladu pobytu Cornelii. Po przeszukaniu całego budynku spotkaliśmy Jeremiasa Katoena, który właśnie wydawał kapitanowi

straży polecenia dotyczące odtransportowania więźniów.

Z nadzieją zwróciłem się do niego, ale on także nie wiedział nic o losie Cornelii. Fredrik de Gaal albo Antoon van Zelden mogliby nam udzielić informacji, ale nie było ich wśród zatrzymanych.

Na parterze domu znaleźliśmy pokój, w którym stało kilka zakurzonych mebli. Wyczerpani, Katoen, Dekkert i ja, opadliśmy na wystrzępione poduszki, a Dekkert oparł zranioną nogę na niskim stoliku, który służył niegdyś do odstawiania naczyń.

- Zadaliśmy spiskowcom prawdziwy cios - oświadczył Katoen. - Nawet jeśli brakuje nam jeszcze kilku ważnych osób. Szkoda, że wymknął się nam van Zelden, chociaż mieliśmy go już prawie w rękach.

Chciałem się o tym dowiedzieć więcej.

- Van Zelden zaprowadził nas do was, Suythof - powiedział ku mojemu zaskoczeniu inspektor. - Zgodnie z obietnicą kazałem go obserwować. Pojechał na Rozengracht i zabrał córkę Rembrandta. Moi ludzie śledzili go aż do chwili, gdy znaleźli się w tej okolicy i zniknęli w zrujnowanym domu. Zasięgnęliśmy informacji i wkrótce byliśmy już pewni, że odnaleźliśmy kryjówkę spiskowców. Przez całą noc trwały przygotowania i o świcie byliśmy gotowi zniszczyć zdradzieckie plemię ogniem i żelazem.

- Dlaczego nie jeszcze nocą? - zapytałem. - W ciemnych korytarzach pod ziemią światło dnia nie ma znaczenia.

- Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Poza tym potrzebowaliśmy czasu, by zebrać ludzi i zamknąć całą ciąg ulic.

- Ale część spiskowców wam się wymknęła!

- Skąd te wyrzuty, Suythof? Czy nie powinniście raczej być nam wdzięczni? Na podstawie tego, co opowiedział Dekkert, nie wydaje mi się, by wasze położenie było szczególnie korzystne.

- Wybaczcie - odpowiedziałem. - Macie przecież rację. Ale troška o Cornelie wpędza mnie w szaleństwo. Poza tym myślę o tym,

co zrobiłem. Gdybyście przyszli już w nocy, zostałyby jej to oszczędzone.

Opowiedziałem, co uczyniłem pod wpływem diabelskiego barwnika, i zrelejonowałem wszystko, co wiedziałem o gerardystach i ich planach.

- Fantastyczna historia - stwierdził Katoen. - Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tej podziemnej twierdzy na własne oczy. Macie szczęście, Suythof, bo w przeciwnym razie na podstawie tej opowieści postarałbym się o wysłanie was do najbliższego zakładu dla obłąkanych.

- Niestety, diabelski barwnik nie jest wytworem mojej fantazji - powiedziałem. - Zadbajcie tylko, żeby obrazy z pracowni Rembrandta były przechowywane pod kluczem. Czy znaleźliście magazyn z barwnikiem?

- Nie, na razie, niestety, jeszcze nie - odpowiedział Katoen i jego twarz spochmurniała na myśl o tym, do jakich jeszcze nieszczęść mogło dojść za sprawą przekłętego błękitu.

28 OJCIEC I SYN

Dwie godziny później Katoen i ja jechaliśmy z Rembrandtem powozem na Rozengracht. Porywisty wiatr hulał po ulicach i szarpał powozem. Zwiastowało to nieuniknione nadejście jesieni.

Katoen zrezygnował z zatrzymywania malarza, i z tego się cieszyłem. Nie można było z pewnością uwolnić starego mistrza od wszelkich win. Był świadom tego, że jego obrazy niosą innym śmierć. Ale w jakim stopniu można mu było przypisywać tę świadomość, zszarganą starością, bólem, szaleństwem i diabelską farbą? Wobec długiego czasu, w którym Rembrandt miał styczność z błękitem gerardystów, i tak zdumiewało mnie, że zachował chociaż cień

rozsądku. Czyżby Fredrik de Gaal rzeczywiście wybrał go za sprawą boskiego natchnienia?

Ponownie zastanowiłem się, czy zło tylko wyrastało z błękitu, czy też może na dalekiej wyspie istniało coś - nazwałem to demonem - co za pośrednictwem diabelskiego barwnika wyciągało szpony po wszystkich ludzi, których było w stanie opanować.

Rebeka Willems musiała zauważyć pojawienie się powozu. Otworzyła drzwi, zanim jeszcze do nich podeszliśmy. Gdy zobaczyła swego chlebobdawcę, dla którego była już prawie członkiem rodziny, uśmiech rozjaśnił jej pobrużdżoną twarz, ale zaraz potem przemknął po niej cień.

- Jak wy wyglądacie, panie! Co wam uczyniono?

- Przeszedł niejedno i przede wszystkim potrzebuje spokoju - wyjaśniłem w sieni, w której schroniliśmy się przed silnym wiatrem. - Ale powiedzcie nam przede wszystkim, czy wiecie coś o miejscu pobytu Cornellii?

- Cornelia. A nie ma jej z wami?

- Czy w takim razie pytałbym?

- Nie rozumiem tego - powiedziała cicho staruszka i potrząsnęła kilkakrotnie głową. - Gdy zobaczyłam was wysiadających z mistrzem Rembrandtem z powozu, pomyślałam, że Cornelia jest z wami. Doktor van Zelden powiedział przecież, że znalazł zaginionego mistrza i chciał zaprowadzić do niego Cornelię. Gdy nie wróciła do późnego wieczora, zaczęłam się niepokoić.

- I słusznie - powiedział Katoen. - Czy van Zelden powiedział coś jeszcze? Może wspomniał o tym, dokąd chce zaprowadzić Cornelię?

- Nic takiego - odpowiedziała Rebeka. - Bardzo się spieszył i popędzał Cornelię, żeby się szybko ubierała i szła z nim.

Zastanawiałem się, co mogła myśleć moja ukochana, gdy van Zelden pojawił się w jej domu. Być może zachowała ostrożność, wiedziała przecież o zakonserwowanych zwłokach Tytusa, ale troska o ojca musiała być silniejsza niż wszelka przezorność.

Zwróciłem się do Katoena:

- Może w domu van Zeldena znajdziemy jakiś ślad. Przy okazji moglibyście się sami przekonać o tym, co van Zelden zrobił ze zwłokami Tytusa van Rijn.

- Dobry pomysł - odpowiedział inspektor.

W Rembrandta, który stał dotąd obojętnie obok nas, wstąpiło życie.

- Mówicie o Tytusie? Gdzie on jest? Może u doktora van Zeldena?

- Tytus nie żyje - zapewniłem go po raz kolejny. - W domu van Zeldena znajdują się tylko jego zwłoki, zakonserwowane w wielkiej szklanej gablocie.

- Zabierzcie mnie tam - nalegał drżącym głosem, ze łzami w oczach. - Chcę zobaczyć syna.

Czy naprawdę zrozumiał, że Tytus nie żyje? Nie wiedziałem, ale poprosiłem inspektora, by spełnił życzenie starego mistrza. Może wreszcie odnajdzie spokój, gdy na własne oczy się przekona, że Tytusa nie ma już wśród żywych.

Katoen wyraził zgodę i wsiedliśmy ponownie do powozu. Rebeka odprowadziła nas pełnym troski spojrzeniem. W drodze na Kloveniersburgwal wiatr się wzmógł i zerwał daszki kilku straganów na skraju ulicy. Nad Amsterdam nadciągała burza.

Gdy wysiedliśmy przed domem lekarza, musieliśmy z całej siły stawić opór wiatrowi. Jakiś człowiek, podtrzymujący poły płaszcza, wyszedł nam naprzeciw.

- Czy coś się wydarzyło, Kampen? - zapytał Katoen.

- Niewiele - padła odpowiedź. - Służąca wyszła mniej więcej godzinę temu na zakupy i niedawno wróciła. W tym czasie jakaś starsza kobieta, prawdopodobnie kucharka, odprawiła dwóch pacjentów.

- A doktor van Zelden?

- Nie pokazał się od wczorajszego wieczora, gdy wyszedł z domu.

Gdyby się pojawił, byłby głupcem - pomyślałem. Po ataku na kryjówkę spiskowców musiał zostać ostrzeżony.

Na nasz dzwonek zjawiła się służąca. Na jej rumianej buzi nie było śladu rozpoznania mnie.

- Doktora nie ma w domu.

- Chcielibyśmy mimo wszystko wejść - powiedział Katoen i przedstawił się. - Jestem pełnomocnikiem sędziego grodzkiego Amsterdamu.

Dziewczyna z wahaniem wpuściła nas do domu. Kampen przyłączył się do nas. W środku spotkaliśmy kucharkę, o której wspominał: siwowłosą kobietę po pięćdziesiątce z ciastowatą twarzą jak księżyc w pełni.

Katoen zapytał o miejsce pobytu van Zeldena.

- Nie wiemy, gdzie jest - odpowiedziała kobieta i w moich uszach zabrzmiało to szczerze. - Wczoraj wieczorem wyszedł z domu i od tego czasu nie mamy od niego wiadomości.

- Czy to coś niezwykłego? - kontynuował Katoen przesłuchanie.

- Ach, już się zdarzało, że nie wracał na noc do domu. W końcu nie jest żonaty, takie rzeczy się zdarzają, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. - Kucharka mrugnęła porozumiewawczo. - Ale nigdy nie opuścił godzin przyjęć, nie informując nas o tym. To mnie trochę martwi.

- Czy ma jakichś krewnych albo znajomą, u której mógł zostać na noc?

- Nic o tym nie wiem - powiedziała kucharka i spojrzała na służącą. - A ty?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Więc rozejrzemy się trochę po domu - oświadczył inspektor. - Zwłaszcza w pomieszczeniach w głębi.

- To niemożliwe - szybko odpowiedziała kucharka. - Są zamknięte.

- Gdzie jest klucz?

- Łaskawy pan ma go zawsze przy sobie.
- Czy jest drugi klucz?
- Nie. Doktorowi van Zeldenowi nie spodobałoby się, gdyby ktoś buszował tam pod jego nieobecność. Nie wpuszcza tam nikogo.
- Właśnie dlatego chcemy je zobaczyć - oświadczył Katoen. wyciągnął z kieszeni składany nóż i zwrócił się do mnie:
- No, Suythof, tak lubicie otwierać cudze drzwi, nawet kościelne, więc pokażcie, co potraficie!

Pod wystraszoną spojrzaniem kucharki i służącej zabrałem się do dzieła. Ale drzwi do sanktuarium doktora nie chciały ustąpić. Po mnie spróbował Kampen. Potrzebował zaledwie jednej, może dwóch minut i zamek odskoczył z metalicznym kliknięciem.

Katoen, Kampen, Rembrandt i ja szliśmy przez pokoje van Zeldena, a jego służące lękliwie czekały przy wyłamanych drzwiach. Być może zastanawiały się gorączkowo, jak po powrocie pana wyjaśnią mu, co tu zaszło. Osobiście wątpiłem, czy van Zelden jeszcze kiedykolwiek wróci do domu. Najdalszy pokój był, podobnie jak w czasie mojej pierwszej wizyty, zamknięty. Katoen sięgał już po nóż, ale ja cofnąłem się do gabinetu i znalazłem klucz na tym samym miejscu, co poprzednio.

Zanim otworzyłem drzwi, zwróciłem się do Rembrandta:

- Zastanówcie się, czy naprawdę chcecie to zobaczyć! Wierzcie mi, to nie jest przyjemny widok!

Popatrzył na mnie prawie błagalnie.

- Jeśli to mój syn, Tytus, to chcę go zobaczyć.

- Dobrze więc - westchnąłem i otworzyłem drzwi.

Przez głowę przemknęła mi przerażająca myśl. A jeśli zwłoki Tytusa zniknęły tak samo jak obrazy, które chciałem pokazać Katoenowi w szantanie? Ale nie, ogromny szklany pojemnik znajdował się na miejscu, a w połyskującej niebieskawo cieczy unosiło się pozbawione życia ciało syna Rembrandta.

Nie tylko Rembrandt, także Katoen i Kampen patrzyli szeroko otwartymi oczami na niewiarygodny widok.

- Ten van Zelden musi być diabłem wcielonym, żeby zrobić coś takiego - mruknął Katoen.

- Albo jest opętany przez diabła - powiedziałem.

Rembrandt powoli podszedł do zwłok syna. Wydawało się, że zapomniał zupełnie o obecności obu funkcjonariuszy i mojej. Opadł przed szybą na kolana, odchylił głowę do tyłu i patrzył na nagie ciało, zanurzone w niebieskiej cieczy. Nasza trójka stała w ciszy. Pomieszczenie wypełnił głęboki respekt wobec siły kierującej losem żywych i martwych. Przez krótką wieczność stary człowiek patrzył bez słowa na zmarłego syna.

- Co oni ci zrobili? - Głos Rembrandta był tak cichy, że prawie nie rozumieliśmy jego słów.

Po długiej chwili podniósł się i odwrócił ku nam. W jego oczach lśniły łzy. Jego spojrzenie wydawało się bezbrzeżnie zmęczone, a jednocześnie dostrzegłem w nim coś, czego od dawna brakowało: rozsądek i zrozumienie.

- Co ja zrobiłem? - zapytał łamiącym się głosem, nie patrząc na nas. - Co sprowadziłem na ludzi?

- Omalże nieszczęście - powiedziałem bez wyrzutu, starając się o delikatny ton głosu. - Ale jeśli odnajdziemy Fredrika de Gaala i Antona van Zeldena, może zdołamy zapobiec najgorszemu.

Miałem przy tym na myśli zapasy błękitnego barwnika, którym nadal dysponowali pozostali na wolności gerardyści.

- Nie wiem już, co myślałem - ciągnął Rembrandt. - Tak bardzo chciałem odzyskać Tytusa, że naprawdę uwierzyłem, iż jeszcze żyje.

Katoen, który w tym czasie rozejrzał się po pomieszczeniu, wydobyl coś z szafy i podniósł do góry.

- Czy widzieliście to, *mijnheer* van Rijn?

Był to wiotki przedmiot, przypominający skrawek skóry. Gdy Katoen rozciągnął go w obu rękach, przybrał kształt zniekształconej poziomo twarzy z otworami na oczy.

- Co to jest? - zapytał malarz.

Inspektor podał mu przedmiot.

- Maska zdjęta z twarzy waszego syna. Za jej pomocą zwodził was van Zelden. Dlatego spotykaliście waszego rzekomego syna tylko w ciemności. W ten sposób nie mogliście dostrzec oszustwa. Przy tym stłumiony do szeptu głos, jak w ciężkiej chorobie, i złudny występ był prawie doskonały. Do tego doktorowi potrzebne były zwłoki waszego syna i pewnie dlatego w salonie van Zeldena wisi jego portret, o którym mówił Suythof.

- Ale po co zakonserwował całe zwłoki? - zapytałem głośno. - Wystarczyłby odlew twarzy.

- Kto wie, może planował dalsze profanacje, jakie może wymyślić tylko chory, gardzący bliźnimi umysł. A może bawił się myślą przywrócenia martwego ciała do życia, nawet jeśli tylko w postaci pozbawionego duszy golema? Rozglądając się tutaj, nabieram przekonania, że van Zelden jest geniuszem, nawet jeśli oddał swój talent w służbę zła.

Rembrandt z odrazą odrzucił maskę i zwrócił się do mnie:

- Suythof, muszę was prosić po wielokroć o wybaczenie. Czy mimo wszystko wyświadcycie mi przysługę?

- Jeśli tylko potrafię?

- Zadbajcie o to, by Tytus odnalazł spokój. Oddajcie go ziemi, do której należy.

Zaczął drzeć na całym ciełe i z najwyższym wysiłkiem trzymał się na nogach.

- I znajdźcie Cornelie!

Katoen i ja zdążyliśmy go jeszcze podtrzymać, nim upadł. Zanieśliśmy go na fotel, a Kampen wybiegł z pokoju w poszukiwaniu pomocy.

29 BURZA NAD AMSTERDAMEM

Podczas gdy lekarz z sąsiedztwa zajmował się Rembrandtem, Katoen, Kampen i ja przeszukiwaliśmy dom Antoona van Zeldena. Szukaliśmy wskazówek co do kolejnych kryjówek gerardystów, miejsca przechowywania diabelskiego barwnika i być może przetrzymywania Corneli. Ale niczego nie znaleźliśmy.

- Po co spiskowcy zabrali ze sobą córkę Rembrandta? - spytał Kampen, gdy skończyliśmy przeglądać ostatnią szafkę z papierami.

- Pierwotnie po to, by nadal zapewnić sobie jego współpracę - odpowiedział Katoen. - Nie mogli wiedzieć, jak długo da się jeszcze zwozić tym teatrem z udziałem fałszywego Tytusa. Gdy zaatakowaliśmy ich kryjówkę, musieli działać szybko. Wyprowadzeniu Rembrandta zdołaliśmy zapobiec, z Cornelią prawdopodobnie im się udało. Ale teraz nie mają jej ojca.

- Więc mogliby właściwie uwolnić dziewczynę - stwierdził Kampen.

- Raczej tego nie zrobią - odparł Katoen. - Cornelią mogłaby zdradzić ich nową kryjówkę. Może liczą na to, że zdołają odzyskać Rembrandta. A poza tym...

- Co takiego? - zapytał Kampen, gdy Katoen spojrział na mnie i zamilkł.

Inspektor zawahał się.

- No, mogliby posłużyć się dziewczyną jako zakładniczką, gdybyśmy ich wytropili.

Gdy lekarz postawił Rembrandta na nogi, odwieźliśmy go do domu. Kampen nam towarzyszył. Katoen także był zdania, że van Zelden nie wróci na Kloveniersburgwal, zatem obserwacja jego domu stała się zbędna. Kampen otrzymał zadanie obserwowania domu Rembrandta na wypadek, gdyby gerardyści próbowali nawiązać z nim ponownie kontakt.

- A co teraz zrobimy? - zapytałem Katoena po odprowadzeniu Rembrandta do sypialni, w której zajęła się nim Rebeka Willems. - Jak moglibyśmy ustalić, dokąd się wynieśli?

- Podczas ataku na podziemną twierdzę - można to przecież tak bez przesady nazwać - zatrzymaliśmy prawie trzydzieści osób. Dekkert i paru moich ludzi właśnie ich przesłuchują. Być może już wkrótce uzyskamy jakąś znaczącą wskazówkę.

- Nie byłbym taki pewny. Gerardyści są wspólnotą zamkniętą. Nikt z nich tak łatwo nie zdradzi pozostałych. Czy obserwujecie w ogóle dom Fredrika de Gaala?

- To była pierwsza rzecz, którą zarządziłem, gdy dowiedziałem się od was, że jest jednym z przywódców - a może przywódcą - spiskowców. I zanim zapytacie: oczywiście także wszystkie statki de Gaala, stojące teraz w porcie lub kotwiczące na redzie, pozostają pod obserwacją.

- To dobrze - powiedziałem. Tak dalekosiężnie nawet nie pomyślałem. - Na statku gerardyści mogliby nie tylko opuścić Amsterdam, ale przewieźć barwnik w inne miejsce.

- No właśnie.

Otrząsnąłem się z niechęcią.

- Nie podoba mi się, że tu siedzimy i czekamy na jakąś wskazówkę, która może nigdy nie nadejść. Czy nie tracimy w ten sposób cennego czasu?

- Co proponujecie?

Do głowy przyszła mi pewna myśl.

- Ochterveltowie. Czy ich także zatrzymaliście?

- Mówicie o księgarzu i handlarzu obrazów z Damrak?

- Tak. Jego sklep jest w pobliżu interesu van der Meulena.

- Który już zresztą przeszukaliśmy, niestety, bez rezultatu.

- Emanuel Ochtervelt wydał dziennik podróży Fredrika de Gaala. Ale dopiero gdy spotkałem Ochtervelta i jego córkę po mszy w podziemnych kościele, zorientowałem się, jaki jest między nimi związek.

- Jeśli gerardyści są tak zamkniętą wspólnotą, jak mówicie, Suythof, od Ochterveltów także niczego się nie dowiemy. Z drugiej strony nie powinniśmy niczego zaniedbać. A więc na Damrak!

Burza nad Amsterdamem przybrała na sile. Na mostach nad kanałami wiatr szarpał nasz powóz, co napędziło mi stracha o woźnicę, siedzącego wysoko na koźle.

- No to koniec lata - stwierdził Katoen, wyglądając przez okno na szare niebo. - Teraz zaczniesz się w Amsterdamie nieprzyjemny czas burz i sztormów.

- Jeśli nie odnajdziemy tego przeklętego błękitnego barwnika, Amsterdam i wszystkie pozostałe miasta Holandii będą musiały się przygotować na znacznie gorszą nawałnicę. Sami mi pokazaliście, w jaki sposób spiskowcy chcą zasiać rozłam w naszym społeczeństwie, a Fredrik de Gaal potwierdził wasze słowa. Gdy regimenty króla Francji Ludwika wtargną na nasze terytorium, ludzie zatęsknią za jesiennymi burzami.

Katoen westchnął głęboko.

- Chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi z tą diabelską farbą. Opowieść de Gaala o nieznanym wyspie wydaje mi się dość nie zwykła.

- Ja mu wierzę. Nie miał powodu, by mnie okłamywać w kwestii pochodzenia błękitu. Poza tym ta historia koresponduje ze znanymi faktami o podróży „Nowego Amsterdamu”. Ja zadaję sobie raczej pytanie, czy tym błękitem posługują się rzeczywiście tylko gerardyści, którzy chcą za jego pomocą wcielić w życie swoje wywrotowe plany, czy może spiskowcy są tylko narzędziem.

- W których rękach?

- Narzędziem nieczystej siły, która ich opanowała, aby popchnąć ludzkość w nieszczęście.

- Suythof!

- Co takiego? Patrzycie na mnie, jakbyście zwątpili w mój rozum.

- Nic dziwnego po takim oświadczeniu. Może za długo pozostawaliście pod działaniem niszczącej siły diabelskiej farby?

- Być może, ale to nie ma nic wspólnego z moimi rozważaniami. Wiele z tego, co opowiedział mi de Gaal, dało mi do myślenia. Wielokrotnie powtarzał, że przemówił do niego Bóg, najpierw na wyspie, a potem w Amsterdamie, gdzie nakazał mu zamawiać śmiercionośne obrazy ni mniej, ni więcej tylko u Rembrandta. Może rzeczywiście usłyszał głos siły wyższej, ale z pewnością nie boskiej, ale złej, demonicznej. W takim wypadku przewrót w Niderlandach byłby jedynie początkiem, a zło rozprzestrzeniałoby się stąd dalej.

- Wy, artyści, cierpicie na nadmiar fantazji - mruknął Kato-en. - Mnie wystarczy, że mam do czynienia z bandą spiskowców. Bóg mi świadkiem, że nie potrzebuję jeszcze demonów u ich boku.

- To tylko rozważania. Ale gdy w piwnicy patrzyłem na błękitny obraz, miałem rzeczywiście wrażenie, jakby coś obcego chciało zawładnąć moją duszą. Jakiś byt, który rozkoszował się moim cierpieniem. - I dodałem po cichu: - I tym, co uczyniłem Cornelii.

- Jeśli taki demoniczny twór rzeczywiście istnieje, to uknuł sobie iście szatański plan - stwierdził Katoen po chwili namysłu. - Wpaja gerardystom przekonanie, że realizują swój cel, podczas gdy w rzeczywistości to on jest panem i uczynił ze spiskowców swoich nieświadomych pomocników.

Zgodziłem się z nim milczącym skinieniem, ale moje myśli pobiegły dalej: do Cornelii. Troska o nią odbierała mi oddech i wyobrażałem sobie wszystko, co mogłoby się jej przydarzyć. Czy była już od dawna martwa, a jej zwłoki leżały porzucone gdzieś w pobliżu portu? A może gerardyści wcale jej nie uprowadzili? Może leżała związana i zakneblowana w jakimś zakamarku podziemnego labi-

ryntu, do którego nie trafili ludzie Katoena, i być może właśnie w tej chwili umierała z pragnienia lub braku powietrza? Ze zwątpienia uderzyłem pięścią w drzwi powozu, a inspektor spojrział na mnie ze współczuciem.

Po krótkim postoju przy Ratuszu, do którego Katoen poszedł coś załatwić, dotarliśmy do sklepu Ochtervelta. Na zwykle tak ruchliwej ulicy Damrak nie było widać żywego ducha. Każdy, kto choć po części był przy zdrowych zmysłach, skrył się w domu przed szalejącą nawałnicą. Wiatr wył i zawodził i wydawało się, że nie chce nas dopuścić do sklepu Ochtervelta, z taką siłą napierał na drzwi powozu.

Gdy wreszcie udało nam się wysiąść, wściekły wiatr porwał kapelusze Katoena z lśniącym błękitnym pióropuszem, zakręcił nim w powietrzu i uniósł daleko ponad dachami.

W pośpiechu weszliśmy do sklepu, w którym oprócz Ochtervelta i jego córki nie było nikogo. Oboje starali się przenieść w głąb pomieszczenia wielki obraz w ciężkiej ramie. Emanuel Ochtervelt był do nas odwrócony plecami, tylko Yola mogła nas zobaczyć. Zatrzymała się, postawiła obraz na podłodze i wpatrywała się we mnie jak w widmo. Po jej minie poznałem, że nie dotarła jeszcze do nich informacja o wydarzeniach, jakie rozegrały się tego ranka w kryjówce gerardystów.

- Co z tobą, córko? - powiedział burkliwie stary. - Ruszaj się.

- Mamy gości, ojciec - odpowiedziała Yola, nie odwracając ode mnie wzroku.

- I co z tego? Najpierw przeniesiemy obraz, a potem zajmujemy się naszym klientem.

- Ojciec... to Cornelis Suythof.

Teraz Emanuel Ochtervelt także odstawił obraz. Potem odwrócił się do nas i patrzył na nas równie zdumiony, jak córka.

- Suythof! Jak się tu... To znaczy...

- Skąd takie zaskoczenie? - zapytałem, podchodząc bliżej. - Nie dalej jak dwa dni temu wyraziliście nadzieję na częstsze spotkania.

Ale wtedy nie mieliście zapewne na myśli waszego sklepu, tylko podziemny kościół waszej diabelskiej sekty.

Ochtervelt obejrzał się jak królik, przed którego norką czatuje lis. Ale stąd nie było ucieczki.

Yola podeszła do niego i ujęła go za rękę.

- Bądź spokojny, ojczu. Pan Suythof zawsze traktował nas życzliwie. Nie pozwoli, żeby spotkało nas coś złego.

- Tak życzliwie, jak potraktowali mnie gerardyści? - zapytałem szorstko.

Yola popatrzyła na mnie pytająco.

- O czym mówicie?

- O torturach za pomocą diabelskiej farby, którym poddano mnie w waszym podziemnym labiryncie. O szaleństwie, w które wpędził mnie wasz szatański błękit i w którym omal nie zamordowałem córki Rembrandta.

Yola pobladła.

Emanuel Ochtervelt milcząco potrząsnął głową.

- To nie zmienia niczego w tym, co się wydarzyło - powiedziałem. - Jeśli chcecie, by potraktowano was łagodnie, pomóżcie nam zapobiec dalszym nieszczęściom.

Katoen przejął inicjatywę i zapytał Ochterveltów, czy znają miejsce przechowywania diabelskiego barwnika i czy wiedzą, gdzie może być ukryta Cornelia.

Yola zaprzeczyła i ponownie spojrzała na mnie.

- Wierzcie mi, *mijnheer* Suythof, pomogłabym wam odnaleźć Cornelię, gdybym tylko mogła! Nie chciałam tego wszystkiego!

Katoen zwrócił się do jej ojca:

- A co z wami, *mijnheer* Ochtervelt? Czy macie nam coś do powiedzenia?

Ochtervelt, zanim zaczął, przełknął ślinę.

- Wiem, że wiele z tego, co czyniliśmy dla prawdziwej wiary, w waszych oczach jawi się jako przestępstwo. Ale z tego zdamy rachunek przed Najwyższym i tylko przed nim, nawet jeśli wasze sądy

nas ukarzą. Ale proszę was usilnie, okażcie mojej córce łaskę. Jest jeszcze młoda, to ja zaprowadziłem ją do gerardystów. Chodziła ze mną na msze, ale nie ma pojęcia o naszych tajnych planach!

- Najlepiej pomożecie córce, i sobie też, jeśli nam pomożecie - powiedział Katoen. - Co wiecie o magazynie niebieskiej farby i o miejscu pobytu Corneli?

Ochtervelt spojrzał na nas, potem na Yolę. Był w rozterce między wiernością gerardystom a miłością do córki. Musiał się w końcu przemóc, by powiedzieć:

- Wiem tylko, że de Gaal wykorzystywał do naszych celów liczne magazyny w porcie. Ale czy przechowywał tam barwnik, czy może broń i ulotki, tego nie potrafię powiedzieć.

- Wiemy oczywiście o magazynach i dawno już je przeszukaliśmy, przynajmniej te, o których wiemy - powiedział Katoen bardziej do mnie niż do Ochtervelta. - Ale na razie znaleźliśmy jedynie parę skrzyń z wywrotowymi broszurami i modlitewnikami oraz kilka beczek prochu.

Hałas przy drzwiach przyciągnął moją uwagę. Myślałem, że szalejący wiatr otworzył drzwi do sklepu Ochtervelta, ale czterech młodych ludzi weszło do środka i przywitało się krótko z Katoeniem. Zapewne w czasie naszej krótkiej przerwy przy Ratuszu wezwał posiłki.

Zwróciłem się do Ochtervelta.

- Czy naprawdę nie możecie mi dać żadnej wskazówki co do miejsca pobytu Corneli? Może chociaż coś przypuszczacie?

- Nie.

Nieszczęśliwa mina Ochtervelta zdradzała, że mówi prawdę.

- Należę do gerardystów, przyznaję. Ale nigdy nie należałem do przywódców i nie jestem wtajemniczony we wszystkie sekrety. Przykro mi, także ze względu na was, *mijnheer* Suythof.

Katoen podzielił swoich ludzi.

- Dwóch z was odprowadzi ich na dalsze przesłuchanie do Ratusza. Dekkert zna sprawę. Pozostali: przeszukać sklep i mieszkanie

-

i zabezpieczyć wszystko, co może być choćby w najmniejszym stopniu pomocne.

Dwaj mężczyźni wyprowadzili Ochterveltów. Mijając mnie, Yo-la posłała mi spojrzenie, w którym była prośba o wybaczenie. Skinąłem jej zachęcająco, ale sam nie czułem się pełen nadziei.

- A my? - spytałem bezradnie. - Co możemy zrobić?

- Możemy pomóc w przeszukaniu domu Ochtervelta - odpowiedział Katoen. - Chyba że macie inny pomysł.

- Być może - odrzekłem po krótkim namyśle. - Nie wiem, czy lepszy, ale jest jeszcze jedna możliwość.

- Tak? No to mówcie, Suythof.

Samotny przechodzień i nasz powóz walczyli z wiatrem na Anthonisbreestraat, która prócz tego była zupełnie pusta. Także przed „Szczęśliwym Jasiem” nie było żywego ducha. Było popołudnie i o tej wczesnej godzinie szantan był jeszcze zamknięty.

Gdy wysiedliśmy z powozu, woźnica zawołał do nas:

- Koń wariuje od tej pogody. Nie dam rady go dłużej utrzymać.

- Zatem wracajcie - odpowiedział Katoen, któremu wiatr mierzwił włosy. - Przebijemy się pieszo.

Woźnica skinął głową z wdzięcznością i skierował pojazd w stronę Ratusza, a my zbliżyliśmy się do wejścia do lokalu. Katoen załomotał kilkakrotnie pięścią w drzwi i w końcu szynkarz, którego już znaliśmy, uchylił je nieco.

- Jeszcze zamknięte - burknął i chciał zatrzasać drzwi.

- Nie dla nas - odparł Katoen. - A może już nas nie poznajecie?

- Ach, to wy. Chcecie pewnie znowu do Kaat?

- Zgadza się.

- No to chodźcie - powiedział i wpuścił nas do środka. Zmarszczone czoło dowodziło, że nasza wizyta jest mu nie w smak.

Zaprowadził nas na piętro, gdzie z ciekawością rozejrzałem się za obrazami. Na ścianach, jak poprzednio, wisały niewinne widoki i martwe natury i zadawałem sobie pytanie, czy tym razem wskóramy więcej u Kaat Laurens.

Gospodarz zawołał ją po imieniu i odpowiedź przyszła z jednego z pokoi. Gdy weszliśmy, zdziwił mnie bogaty wystrój ze srebrnymi świecznikami i dwoma obrazami olejnymi. Ktoś, kto chciał odwiedzić dziewczęta Kaat Laurens, musiał mieć w sakiewce sporo guldenów. Rajfurka, tym razem wyjątkowo ubrana w bardzo skromną sukienkę, była zajęta ścieleniem łóżka, w czym pomagała jej młoda dziewczyna.

- Odeślijcie dziewczynę, mamy z wami do pomówienia - zażądał Katoen i poinformował czekającego za drzwiami szynkarza, że nie będzie chwilowo potrzebny.

Kaat Laurens spjrzała na nas wyczekująco, ale nie ze spokojem, który starała się pozorować. Nie uszło mej uwadze, jak kilkakrotnie przełknęła ślinę i spjrzała przy tym na drzwi, jakby rozważała najlepszy sposób ucieczki.

- Wiecie chyba, dlaczego tu jesteśmy - zaczął Katoen.

- Nie mam pojęcia, ale za chwilę się na pewno dowiem.

- Wasz przyjaciel van der Meulen nie żyje - oświadczył inspektor.

- Van der Meulen, co też mówicie. Jak to się stało? Czy dopadła go burza?

- Nie, wypadł przez okno. Na skraju dzielnicy Jordaan, gdzie niegdyś miał sklep. Z pewnością wiedzieliście, że ciągle jeszcze bywa w tamtej okolicy, można by rzec, ma tam swój drugi sekretny dom.

- Nic mi o tym wszystkim nie wiadomo - odpowiedziała rajfurka, trochę za szybko jak na mój gust. - I w ogóle nie rozumiem polowy tego, o czym mówicie.

Wtrąciłem się:

- Bardzo wątpię. Rozumiecie aż za dobrze.

- Ach, to znowu wy. Malarz, prawda? Co was tym razem tu sprowadza? Znowu was porwano?

Katoen odpowiedział zamiast mnie.

- Owszem. I tym razem nie ma co do najmniejszych wątpliwości. Podobnie nie wątpię, że wy, *mevrouw* Laurens, współdziałacie z gerardystami. Czy do nich rzeczywiście należycie, czy tylko świadczyliście im usługi, tego się dowiem. Możecie mieć wpływ na wyrok sądu w swojej sprawie, jeśli będziecie z nami współpracować. Powiedzcie nam wszystko, co wiecie o gerardystach, a być może będę mógł wyłączyć wasze nazwisko z rozprawy.

Kaat Laurens patrzyła przez kilka sekund przed siebie i zastanawiała się.

- O ludziach, których wspomnieliście, nigdy dotąd nie słyszałam. Najwyraźniej wnosicie przeciw mnie oskarżenia, ale nie macie dowodów. To nie na wiele wam się zda przed sądem. Więc zostawcie mnie w spokoju z łaski swojej!

Musieliśmy uznać swoją klęskę i jak niepyszni opuścić szantan. Na zewnątrz głośnym przekleństwem dałem upust swojemu rozczarowaniu i złości.

- Uspokójcie się, Suythof, wasz plan nie był zły. Ale ta Kaat Laurens jest kuta na cztery nogi. Wie na pewno więcej, niż nam mówi, ale środkami, na jakie pozwala mi prawo i mój urząd, nie uzyskamy nic więcej.

Nadstawiłem uszu.

- Jak to rozumiecie?

- Ach, pomyślałem sobie tylko, że trzeba się ostrzej wziąć za Kaat Laurens, jeśli chce się ją skłonić do mówienia. Ale ja nie mogę bez niepodważalnych dowodów. Inaczej byłoby jednak w przypadku kogoś, kto nie występuje oficjalnie w imieniu amsterdamskiego Sądu Grodzkiego.

Zrozumiałem sugestię, ale dałem też wyraz wątpliwościom.

- W takim wypadku Kaat Laurens mogłaby się odwołać do ochrony prawa.

Katoen patrzył w głąb ulicy, gdzie szalejący wiatr porywał ze sobą wszystko, co nie było przymocowane na stałe.

- Ta burza dzisiaj jest sroga. Straż miejska będzie miała dużo pracy, żeby usunąć największe szkody. Nie wydaje mi się, by oczy stróżów prawa były dziś wieczorem zwrócone na „Szczęśliwego Jasia”.

30 OBLICZE DEMONA

Pod wieczór burza wciąż nie ustępowała. Kilka barek cumujących w kanałach przewróciło się. I wiele domów potraciło dachy. Wszędzie na ulicach widać było, jak ludzie zabijają okna deskami, by zapobiec zniszczeniom. Wyglądało to tak, jakby jakaś pozaziemska siła postanowiła zrównać Amsterdam z ziemią.

Gdy szedłem z towarzyszami w stronę Anthonisbreestraat, było ciemniej niż zwykle o tej porze dnia, prawie tak jak w środku nocy. Olbrzymia, ponura chmura wisiała nad miastem. Za każdym razem, gdy podnosiłem wzrok ku niebu, wydawało mi się, że dostrzegam tam demona, który rozkazywał wiatrom i pragnął wylać na Amsterdam cały swój gniew z powodu zawiedzionych planów. Czy tam z góry nie spoglądały na mnie złe oczy i czy nie było widać rogów, wyrastających ponad nimi jak u diabła? W pewnej chwili zatrzymałem się z przerażenia i Robbert Cors wpadł na mnie.

- Co z wami, Suythof? - zapytał. - Patrząc ciągle w niebo, nie odpędzicie burzy.

- Nie widzicie tej twarzy?

- Twarzy? Gdzie? W chmurach?

- Już dobrze - powiedziałem i wziąłem się w garść, zanim Cors uznał mnie za stukniętego i wycofał obietnicę pomocy.

Być może miał rację, a ja tylko sobie coś wmawiałem. Widocznie działanie błękitnej farby jeszcze niezupełnie ustąpiło i powinienem

uważać, by ponownie nie zatracić się w świecie istniejącym tylko w mojej wybujałej fantazji.

Szliśmy dalej i wkrótce pojawił się przed nami „Szczęśliwy Jaś”. Za szybami szantanu płonęły światła, ale na zewnątrz nie przenikały prawie żadne dźwięki. Szalejąca burza pochłaniała wszystko. Odźwierny schował się pod zadaszeniem przy drzwiach. Dla ochrony przed niepogodą miał kapelusz z szerokimi kresami, który naciągnął głęboko na oczy.

Było z nami pięciu najlepszych uczniów Corsa. Nie wiedzieli, o co chodzi, ale z szacunku dla swego nauczyciela zadeklarowali gotowość pomocy. Sam Cors także nie był wtajemniczony we wszystkie szczegóły, ale wiedział, że zamierzamy zadać cios ludziom, którzy mieli na sumieniu śmierć Ossela Jeukena.

- I jesteście pewni, że w pobliżu nie ma żadnego patrolu? - upewnił się po raz kolejny. - Nie chodzi o mnie. Ale nie spodobałoby mi się, gdybym musiał potem udzielać swoim uczniom lekcji w Rasphuisie.

- Możecie być tego pewni, mistrzu Cors.

- Dobrze. Zajmę się więc tym biedakiem przed nami.

Z tymi słowy wyszedł z cienia i podszedł do drzwi „Szczęśliwego Jasia”, jakby był gościem lokalu. Odźwierny postąpił krok w jego kierunku, aby go zlustrować. Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Obrót w wykonaniu Corsa, wystawiona noga, pewny chwyt i wykidajło leżał jak długi. Cors usiadł na nim i dopilnował, by się nie podniósł. Dwaj zapaśnicy podbiegli do niego i w ciągu dwóch, trzech minut odźwierny był już zakneblowany i związany. Zanieśliśmy go do wąskiego zaułka i tam położyliśmy.

- Cudownie - uśmiechnął się Cors. - Przy tej pogodzie nie prędko ktoś się tu o niego potknie.

Weszliśmy do szynku, gdzie Kaat Laurens raczej donośnym niż melodyjnym głosem śpiewała skoczną piosenkę. Jej obfite piersi kołysały się w takt muzyki i wydawało się, że przy kolejnym nabraniu tchu rozsadzą ciasno zasnuwany gorset sukienki. Nieliczni

goście, którzy odważyli się wyjść z domów mimo burzy, słuchali z uwagą. W ich uszach wszystko musiało brzmieć lepiej od wycia wichru. Chudy mężczyzna, siedzący przy szpinecie, nie szczędził wysiłku, by wydobyć z instrumentu stosowny akompaniament, ale Kaat Laurens, porwana melodią, śpiewała tak szybko, że muzyka stale pozostawała nieco w tyle za słowami. Szylnik, który nie miał zbyt wiele do roboty, zobaczył nas pierwszy i omiół niepewnym spojrzeniem. Oczywiście rozpoznał mnie, a sześciu ludzi za moimi plecami było dla niego wystarczającym ostrzeżeniem.

Nie zwracałem już na niego uwagi i minąłem bufet. Zatrzymałem się przed szpinetem i podniosłem siekiere na długim stylisku, którą miałem ze sobą. Trzy, cztery szybko po sobie następujące uderzenia i z instrumentu nie pozostało nic prócz stosu drzazg. Chudy muzykant zeskoczył z zydła i salwował się ucieczką za szerokimi plecami umilkłej nagle śpiewaczki. Podniosłem ponownie siekiere i rozprawiłem się z zydlem.

Robbert Cors i jego zapaśnicy nie brali udziału w tym dziele zniszczenia. Nie chciałem ich wpędzać w zbyt wielkie kłopoty, w razie gdyby wbrew oczekiwaniom doszło do interwencji stróżów prawa. Mieli jedynie zadbać o to, by nikt mi nie przeszkodził w realizacji moich zamiarów.

- Co wy robicie? - napadła na mnie wściekle Kaat Laurens.
- Przestańcie natychmiast!

Jeszcze nie skończyła mówić, a podszedłem do jednego z wolnych stołów i zamieniłem go w stos drewnianych szczap. Potem to samo zrobiłem z krzesłami.

Rajfurka chciała mnie złapać za ramiona, by mnie powstrzymać, ale Cors był szybszy i ujął ją w kleszcze swego chwytu. Stół za stołem i krzesło za krzesłem, nie ustawałem w dziele zniszczenia i wkrótce podłoga lokalu była pokryta grubą warstwą porąbanego drewna.

- Pomóżcie mi, przyjaciele - zawołała Kaat Laurens do swoich gości łamiącym się głosem. - Wyrzućcie ich stąd, a przez cały wieczór będziecie mieć zabawę za darmo. Także dziewczęta!

Goście szantanu nie czekali na powtórne zaproszenie. Szybko stworzył się front ośmiu mężczyzn, do którego dołączył jeszcze szynkarz ze sztyletem. W rękach kilku klientów także błysnęła broń. Naprzeciwko nich stało sześciu nieuzbrojonych zapaśników. Cors odepchnął rajfurkę z taką siłą, że upadła na stos drzazg. Leżała tam z obnażoną lewą piersią, dużą i miękką, która wysunęła się z dekoltu, i spoglądała z obawą na moją podniesioną siekiere.

Atak zainicjował szynkarz, doskakując do mistrza zapaśniczego i próbując wbić mu sztylet w ramię. Cors odwrócił się szybko, uskakując z linii ataku, chwycił zaskoczonego napastnika od tyłu i rzucił go z takim impetem na ziemię, że upadł z jękiem i już się nie podniósł. Sztylet wpadł pod jeden z nieporąbanych jeszcze stołów. Uczniowie Corsa nie przynosili wstydu mistrzowi. Po kolei goście szantanu padali pokotem, a zapaśnicy nie ponieśli większej szkody niż kilka drobnych draśnień od sztyletów. Przed chwilą tak jeszcze pełni animuszu osobnicy wymykali się chyłkiem i w końcu w lokalu oprócz mnie i moich pomocników pozostali tylko szynkarz i rajfurka. Szpinecista wyniósł się już dawno.

Odwróciłem się do szynkwasu i metodycznie porąbałem go na kawałki. Potem zająłem się kredensem z dzbankami gorzałki. Rozbijały się z brzękiem i wkrótce pomieszczenie cuchnęło tak mocno wódką, że wydawało mi się, że wszystko mogłoby się zapalić od jednej iskry.

- Przestańcie wreszcie i powiedzcie, czego chcecie - zawołała błagalnie rajfurka, której źródło dochodu zmieniało się na jej oczach w stos śmieci. Ciągle jeszcze tkwiła z nagą piersią na podłodze.

- Wiecie, czego chcę - powiedziałem tylko i ponownie zająłem się kredensem, nie poświęcając jej wiele uwagi.

Myślałem tylko o Cornelii i niebezpieczeństwie, w jakim znajdowała się kobieta, którą kochałem. O ile w ogóle jeszcze żyła.

Zapaśnicy szczyrzyli zęby w uśmiechach. Wydawało się, że świetnie się bawią. Nieczęsto mieli chyba okazję dowieść swego kunsztu poza szkołą.

- Chcę z wami rozmawiać - zawołała Kaat Laurens drżącym głosem - ale nie tutaj. W cztery oczy.

Opuściłem siekiere.

- Możemy pójść do waszego kantoru.

Rajfurka podniosła się niepewnie i poszła przede mną, a Cors i jego ludzie pozostali, by uważać na ciągle jeszcze nieprzytomnego szynkarza.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi kantoru, przemówiłem do pobladłej z przerażenia kobiety:

- Nie liczcie na interwencję straży. Anthonisbreestraat dziś dla niej nie istnieje.

Zbladła jeszcze bardziej i wyczerpana opadła na krzesło. Pot drobnymi strużkami spływał jej z czoła na pierś, ale wydawało się, że w ogóle tego nie zauważa.

Patrzyłem na nią w milczeniu i bawiłem się siekiere.

- Co chcecie wiedzieć? - spytała Kaat Laurens.

- Spiskowcy van der Meulena ukryli się. Gdzieś musi być ich tajny magazyn. I porwali kobietę, której szukam. Córkę malarza Rembrandta. Co o tym wiecie?

- Nic, naprawdę nic. Nie należę do nich. - Gdy uniosłem groźnie siekiere, dodała: - Robiłam interesy z van der Meulenem i był moim cichym współnikiem, ale z papierów wynika, że „Szczęśliwy Jaś” jest moją wyłączną własnością. Van der Meulen wyjaśnił mi, że władze nie muszą wiedzieć o jego udziałach. Ale nie wiem nic o tej uprowadzonej kobiecie ani o żadnym magazynie. Czasami van der Meulen przechowywał tu skrzynie i beczki, ale nigdy nie mówił, skąd pochodzą i jakie jest ich przeznaczenie.

- Co wiecie o towarzyszach van der Meulena, zwłaszcza o Antoonie van Zeldenie i Fredriku de Gaalu?

- Van der Meulen bywał tu czasem z van Zeldenem. W miarę możliwości schodziłam mu z drogi, bo wydawał mi się niesamowity. Gdy zdarzało mu się spędzić noc z którąś z moich dziewcząt,

biedaczka była następnego dnia zupełnie rozbita. Kiedyś musiałam nawet zaprowadzić dziewczynę do lekarza.

Jej odraza do van Zeldena wydała mi się autentyczna.

- A de Gaal?

- Był tu tylko raz, gdy van der Meulen umieścił w piwnicy duży ładunek skrzyń. Chciał pewnie sprawdzić zawartość.

- I co w nich było?

- Nie wiem. Nie interesowałam się tym. Taka była umowa z van der Meulenem.

- Coś wiecie, a potem nic nie wiecie - powiedziałem i stuknąłem styliskiem siekiery w podłogę. - Nie wiem, czy mogę wam wierzyć.

- Poczekajcie, jest coś jeszcze. Pytacie o magazyn. Gdy de Gaal był tutaj, usłyszałam przypadkiem fragment jego rozmowy z van der Meulenem. Nie zauważyli tego. Stali w jednym z pomieszczeń w piwnicy i nie wiedzieli, że przez szyb wentylacyjny można usłyszeć, o czym się tam mówi.

Wątpiłem, że Kaat Laurens usłyszała rozmowę tak przypadkiem, jak utrzymywała, ale to nie miało teraz znaczenia.

- Co słyszeliście?

- Chodziło o skrzynie. Miały zostać przeładowane na statek. Van der Meulen dopytywał się, czy to nie będzie zbyt bezpośrednio wskazywać na de Gaala. Ale ten się tylko roześmiał i powiedział, że statek nie jest oczywiście zarejestrowany na jego nazwisko, tylko na kogoś innego, kto uchodzi za właściciela.

- Pamiętajcie, jak ten statek się nazywa?

- Chyba coś z ptakiem. - Zastanawiała się tak długo, że już prawie zwątpiłem. - Tak, przypominam sobie. Statek nazywa się „Jaskółka”.

Jaskółka. Nazwa nie była niezwykła, a w Amsterdamie mogło być wiele tak ochrzczonych statków. Ale był to jakiś punkt zaczepienia.

- Jak brzmiało nazwisko, na które był zarejestrowany? - zapytałem.

- Nie wymienili go w ogóle. W każdym razie, nie przypominam sobie, żebym je słyszała.

Zadałem jeszcze kilka pytań, ale więcej nie dało się z niej wydobyć. Nie do końca zadowolony z wyników tego niezwykłego przesłuchania, zrezygnowałem jednak z dalszego użycia siekiery. Tym razem - takie odniosłem wrażenie - powiedziała mi prawdę, w każdym razie częściowo. Zapewne przemilczała swoją własną rolę w planach spiskowców, by się nie obciążyć na wypadek postępowania sądowego. Ale tego nie mogłem jej brać za złe.

W szynku czekali zapaśnicy i gospodarz, który w międzyczasie podniósł się z podłogi i siedział, trzymając się za głowę, na jednym z nielicznych ocalałych krzesel. Krew ciekła nieprzerwanie z jego rany i zabarwiała ciemną czerwienią koszulę.

Robbert Cors spojrzął na mnie wyczekująco.

- Czy wycisnęliście z tej baby wszystko, co chcieliście wiedzieć?

- Nie jestem pewien - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - W każdym razie dziękuję za waszą nieocenioną pomoc. Być może będę jej jeszcze potrzebował.

- Kiedy tylko zechcecie - zapewnił mnie Cors, a jego uczniowie wyszczerzyli w uśmiechu zęby, spoglądając na pobojobowisko. - Jak widzicie, dobrze się bawiliśmy.

Z opuszczonymi głowami przebijaliśmy się pod wiatr przez Anthonisbreestraat i dopiero w ostatniej chwili dostrzegłem coś dziwnego, co pędziło na mnie. Przypominało wir powietrzny i świeciło na pół przeźroczystym błękitem. Chwyciło mnie i uniosło z taką lekkością, jakbym był motylem, a nie dorosłym mężczyzną. Ze strachu upuściłem siekiere.

Wir zakręcił mną i chciał mnie wyrwać z kręgu przyjaciół. Oni jednak chwycili mnie i przytrzymali silnymi dłońmi. Czułem się, jakbym był rozrywany. Najgorsze było całkowite wydanie na łaskę i niełaskę żywiołu.

Wietrzny wir szarpał mną nieprzerwanie, ale zapaśnicy także nie szczydzili sił i w końcu, z sekundy na sekundę, wir zniknął, a ja upadłem twardo na chodnik. Uderzenie było bolesne i czułem się zupełnie rozbity. Odzież miałem poszarpaną. Wyglądałem, jakby zaatakowała mnie wataha wilków.

- Jak się czujecie, Suythof? - zapytał Cors, który znalazł się przy mnie pierwszy.

Podniosłem się na kolana.

- Jestem trochę otumaniony. Wszystko działo się tak szybko.

Cors potrząsnął głową.

- Nigdy jeszcze nie widziałem niczego podobnego. Wydawało się, jakby burza chciała was, właśnie was, zmiażdżyć. Nam, ludziom, wydaje się, że panujemy nad wszystkim, ale czasem przyroda znajduje swoje osobliwe ścieżki.

- Macie rację - przyznałem tylko, bo nie chciałem ośmieszać się myślami, które mnie akurat zaprzętały. W czasie tej krótkiej wieczności, gdy pozostawałem zawieszony między niebem i ziemią, wydawało mi się, że dostrzegam w powietrznym wirze coś jeszcze: niewymownie brzydką błękitną postać o gniewnym, wypełnionym nienawiścią spojrzeniu. Jeśli rzeczywiście istniała jakaś zła moc, demon igrający z ludzkim cierpieniem, to przed chwilą spojrzałem mu w twarz.

31 STATEK WE MGLE

Zuiderzee¹⁸, 1 października 1669

Nastał wieczór i w ciągu poprzedzających go godzin początkowo wzburzone morze na szczęście nieco się uspokoiło. Mimo to wielu ludzi na pokładzie „Fali”, którzy nie byli zawodowymi marynarzami,

¹⁸ Zuiderzee, dawna zatoka Morza Północnego na wybrzeżu Holandii, obecnie część zalewu IJsselmeer.

zwisalo na relingach i skladało Neptunowi ofiare. Spojrzałem na dwa jednomasztowce, podążające w niewielkim oddaleniu za naszą dwumasztową lichtugą, i zauważyłem, że sytuacja na nich była identyczna. Ja sam, mimo że pierwszy raz byłem na morzu, nie odczuwałem najmniejszych sensacji. Być może byłem po prostu zbyt podniecony.

Po raz setny wysiliłem wzrok, spoglądając na wprost, gdzie przed dziobem rysowały się jeszcze niewyraźne kontury wyspy Texel, i zadałem sobie pytanie, czy będzie mi dane wkrótce wziąć w ramiona Cornelię. Nikt nie wiedział, czy znajduje się ona na pokładzie „Jaskółki”. Równie dobrze spiskowcy mogli ukryć ją w jakimś innym miejscu w Amsterdamie. Mogli też uciekać łodem i zabrać dziewczynę ze sobą jako zakładniczkę. Wszystko wydawało się możliwe, ale dysponowaliśmy jedynie wskazówką od Kaat Laurens i nazwą statku „Jaskółka”.

Po wieczornej wizycie „Pod Szczęśliwym Jasiem” i przygodzie z wirem powietrznym, zgodnie z ustaleniami odwiedziłem Jeremiasa Katoena i złożyłem mu sprawozdanie. Inspektor niezwłocznie rozesłał czekających już w pogotowiu ludzi, by możliwie jak najszybciej zebrać jak najwięcej informacji na temat „Jaskółki”. A rezultat był zaiste zdumiewający. Na redzie stały aktualnie cztery statki o tej nazwie, ale tylko jeden był dość duży, by móc służyć gerardystom jako kryjówka.

Jako właściciel figurował w księgach niejaki Isbrant Winckelhaack, raczej drobny handlarz sukmem, którego nie byłoby stać na utrzymanie tak dużego statku jak „Jaskółka”. Złożyliśmy Winckelhaackowi wizytę w domu przy Singel, niedaleko mieszkania Antona van Zeldena przy Kloveniersburgwal, ale gospodarz około południa niespodziewanie wyjechał. Tak niespodziewanie, że nawet żona nie potrafiła nam udzielić żadnej informacji o celu podróży. Jakby tego było mało, w tym samym dniu otrzymał zlecenie przygotowania do wyjścia w morze stojącej na redzie przed Texel „Jaskółki”. W pośpiechu mustrowano załogę, a lichtugi wyruszyły z Amsterdamu na

Texel, by zaopatrzyć statek w wodę i prowiant na wielomiesięczny rejs. To wszystko niczego nie dowodziło, ale było podejrzane, i to podejrzenie było naszym jedynym punktem zaczepienia.

Jeremias Katoen opisał to tymi słowami:

Fredrik de Gaal przywiózł niegdyś diabelską farbę do Amsterdamu na pokładzie statku. Więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby teraz próbował wywieźć ją także statkiem. Być może barwnik już od dawna jest w ładowniach. W poprzednią podróż „Jaskółka” wyruszyła cztery lata temu. Można zadać sobie pytanie, jak taki drobny kupiec jak Winckelhaack w ogóle może sobie pozwolić na utrzymanie takiego dużego statku, nie uzyskując w ogóle profitów z wypraw handlowych. Być może statek służy gerardystom jako pływający magazyn.

Poprzedniej nocy inspektor zaznał równie mało snu jak ja. Obydwaj zwoływaliśmy ludzi do tej akcji. On wyszukał najlepszych muszkieterów z amsterdamskich oddziałów straży, a ja przypominałem Robbertowi Corsowi o jego obietnicy udzielenia mi w każdej chwili pomocy. Na końcu wyrwałem z wzmocnionego winnymi oparami snu Henka Roversa i Jana Poola, aby pozyskać do załogi możliwie godnych zaufania i obytych z bronią marynarzy. Z taką zróżnicowaną załogą na pokładzie nasze trzy barki wyruszyły o świcie z Amsterdamu, biorąc kurs na Texel, gdzie stały duże statki, których zanurzenie nie pozwalało żeglować po płytkich wodach wokół miasta.

Burza jeszcze w nocy ucichła i wiał tylko silny wiatr od lądu, który jednak wystarczał do wzbudzenia fal. Żeglując więc z wiatrem, nasza mała flotylla początkowo posuwała się żwawo naprzód, dopiero w ostatnich kilku godzinach wiatr osłabł, jakby jakaś siła wyższa nakazała mu trzymać nas w oddaleniu od Texel.

Nieostre zarysy przed dziobem statku po prostu nie chciały stać się wyraźniejsze. Zwróciłem się do Henka Roversa, który przysiadł obok mnie i wspólnie z Janem Poolem nabijał się z lądowych

szczurów, wiszących na relingach, zamiast umościć sobie jak najwygodniejsze legowiska na linach.

- Dlaczego nie widzimy wyraźniej wyspy, Henk?

Stary marynarz zmrużył oczy, tak że pojawiło się wokół nich jeszcze więcej zmarszczek, i spojrzął w stronę wyspy.

- To mgła, tak mi się wydaje. Nadciąga na całą Texel. Diabeł jeden wie, skąd się tak szybko zebrała.

- To na pewno wie tylko diabeł - mruknąłem.

- Nonsens - rzucił Jan Pool i rozciągnął swą poczerńiałą twarz w uśmiechu. - Nie słuchajcie tego gadania Henka, *mijnheer* Suythof. Jest pora jesiennego przesilenia, pogoda jest zmienna. To nic nadzwyczajnego, że mgła podnosi się szybko nad Zuiderzee. Zatrószcie się lepiej o te nieszczęsne szczury lądowe, bo niedługo zarzycą nam całe morze.

- Co macie na myśli?

- Chcecie przecież zaskoczyć ludzi na „Jaskółce”, prawda? Powinni sądzić, że przywozimy im nowo zamustrowaną załogę. Gdy zobaczą tę rozpaczliwą bandę, od razu zorientują się, że coś jest nie tak.

Podziękowałem za przestrożę i przekazałem ją Jeremiasowi Katoenowi, który porozmawiał z kolei z szyprem naszego dwumasztowca Hendriksem. Ten polecił wywiesić sygnał flagowy, by obie pozostałe barki zbliżyły się do nas na odległość głosu. Katoen wydał rozkaz, by przy zbliżaniu się do „Jaskółki” nikt nie odważył się rzygać. Mogłem tylko mieć nadzieję, że ludzie byli w stanie się do niego zastosować.

- Tam - powiedziałem do Roversa i Poola. - Patrzcie tylko, duży cień. Czy to „Jaskółka”?

- Może tak - odrzekł Pool. - A może nie.

Podszedłem do Hendriksa, stojącego przy sterze, i zwróciłem mu uwagę na dostrzeżony cień.

- Już widziałem - odpowiedział obojętnie szyper. - Niedługo z mgły wyłoni się więcej statków stojących na redzie.

- Więc to nie jest „Jaskółka”? - zapytałem nieco rozczarowany.

Hendriks rzucił szybkie spojrzenie na pomalowane błyszczącą farbą beczki służące jako znaki szlakowe, które tańczyły na falach między Amsterdamem i Texel.

- Nie, *mijnheer*, jeśli pogoda się nie zmieni, droga zajmie nam jeszcze pół godziny. Jak sądzicie, ile statków stoi tu przy Texel?

Nie miałem zielonego pojęcia i wcale nie chciałem wiedzieć. Pełen niepokoju wróciłem na swoje miejsce obok Roversa i Poola i spoglądałem na wielki, ciemny kadłub handlowego frachtowca, obok którego przepływaliśmy. Z mgły wyłoniły się kolejne statki, a po chwili ponownie zniknęły, jak to przewidział Hendriks. Szyper pewnie trzymał kurs, jakby posiadał umiejętność przebijania wzrokiem szarozółtej ściany mgły.

Mimo ogromnego napięcia, pogrążałem się stopniowo w stanie pewnej obojętności, wiedziałem przecież, że dopóki pozostaję na pokładzie, dopóty jestem skazany na bezczynność. Kożuch mgły gęstniał, a kontury coraz liczniejszych statków coraz częściej pozostawały tylko cieniami. Poczułem lekkie tchnienie samotności i pustki, której musieli doznawać w czasie długich podróży prawdziwi marynarze, ludzie tacy, jak Henk Rovers i Jan Pool.

- Statek przed nami! - rozległ się kolejny okrzyk marynarza, który na rozkaz szypra Hendriksa pełnił służbę na dziobie i czuwał, by „Fala” nie zderzyła się z innym statkiem.

Tym razem nasza lichtuga nie zeszła z kursu, tylko zmierzała prosto w kierunku ciemnego kształtu przed dziobem. Jeremias Katoen podszedł do załogi i powiedział kilka słów. Kto jeszcze cierpiał i wisiał na relingu, wycofał się i starał się powstrzymać wymioty. Muszkieteryzy wydobyli przybijaki i przygotowali broń do ataku. Takie same przygotowania poczyniono na pozostałych barkach, które we mgle pozostały blisko nas. Katoen podszedł także do nas i powiedział:

- Za chwilę dotrzemy do „Jaskółki”. Wszystko zgodnie z planem. Marynarze i ludzie Robberta Corsa wejdą pierwsi na pokład, bo widok muszkietarów ostrzegłby wroga. Ta szpica ma za zadanie tak długo zaabsorbować przeciwnika, aż zjawią się muszkietarzy. Od tej chwili musimy się zdać na szczęście. Przynajmniej pogoda sprzyja naszemu planowi. W tej mgłę ludzie na „Jaskółce” nie zorientują się tak szybko, z kim naprawdę mają do czynienia.

Statek przed nami rósł w oczach. Nasze barki wydawały się przy nim prawie niepozorne. Ale nie zamierzaliśmy staczać bitwy morskiej z „Jaskółką”, która bez trudu zatopiłaby pociskami swych dział nasze nieuzbrojone żaglowce. Jeremias Katoen rozważał oczywiście możliwość wezwania kilku okrętów wojennych, by w razie oporu rozbić „Jaskółkę” w drzazgi. Ale wtedy zginęliby także niewinni ludzie: marynarze i ewentualni zakładnicy - jak Cornelia. Poza tym wcale nie wiedzieliśmy, czy nasze przypuszczenia co do statku były trafne. Nie mogliśmy po prostu zniszczyć żaglowca, który był być może niewinnym frachtowcem. Musiało więc dojść do walki wręcz i nie było jasne, po czyjej stronie jest przewaga liczebna.

Na naszą grupę, liczącą około dziewięćdziesięciu ludzi, składało się sześćdziesięciu muszkietarów oraz marynarze i zapaśnicy. Ale pełną siłą uderzenia mogliśmy uzyskać stopniowo, bo najpierw musieliśmy się dostać na pokład statku. Dlatego decydujące było, by przeciwnik możliwie długo uważał nas za oczekiwane wzmocnienie załogi.

Nie wiedzieliśmy nawet w przybliżeniu, ile osób znajdowało się na pokładzie „Jaskółki”. Zapewne była tam tylko kadłubowa załoga, wykonująca najpilniejsze prace w czasie postoju statku na redzie. Niewiadomą była tylko liczba gerardystów: czy przebywało tam zaledwie kilku spiskowców, czy może ich większość już się tam schroniła.

Dostrzegłem masywny dziób statku, kołyszający się w górę i w dół, jak potężne cielsko ogromnego zwierzęcia, i wzniesający za każdym

zanurzeniem fontannę piany. „Fala” podchodziła do sterburty¹⁹ frachtowca.

- Kadłub jest głęboko zanurzony - stwierdził Henk Rovers.
- Ładownie muszą być pełne.

Mimo woli pomyślałem o diabelskim błękitnym barwniku. Ale co będzie, jeśli się pomyliliśmy i tajemnicze zamieszanie z wyjściem „Jaskółki” w morze znajdzie niewinne wyjaśnienie? Może jakiś dobry interes, który Isbrant Winckelhaack chciał utrzymać w tajemnicy przed konkurencją? Nie, powiedziałem do siebie, to niemożliwe. „Jaskółka” była naszą ostatnią nadzieją, by pokrzyżować gerardystom plany. I dla mnie też była ostatnią nadzieją...

Szyper Hendriks wymienił kilka okrzyków z wachtą pokładową na „Jaskółce” i już z burty wysoko nad naszymi głowami zwisała sznurowa drabinka. Sceptycznie spojrzałem na płataninę sznurów, przypominającą swym zachowaniem huśtawkę, której uchwycenie wydawało mi się przy ciągłym kołysaniu się „Fali” niemałą sztuką. Nawet ciężki frachtowiec nie stał spokojnie na wodzie, tylko szarpał niespokojnie łańcuchy kotwiczne.

- Ja pójdę pierwszy - zdecydował się Jan Pool i pewną ręką uchwycił dolny szczebel drabinki. - Gdy ci na górze zobaczą moją twarz, będą potrzebowali chwili czasu, żeby się otrząsnąć z przerażenia.

- No to i ja muszę się wspinać - westchnął Henk Rovers, jakby poddawał się losowi, i poszedł w ślady marynarza o osmalonej prochem twarzy.

Od dawna już wiedziałem, że byli dobrymi przyjaciółmi. Surowy sposób, w jaki się traktowali, odpowiadał ich naturze i w ich środowisku nie był niczym odmiennym od wyszukanych uprzejmości, wymienianych w wytwornym towarzystwie.

¹⁹ Sterburta, prawa burta statku.

Tylko chwilę z obawą patrzyłem w ślad za nimi i chciałem już uchwycić drabinę, gdy uprzedził mnie Robbert Cors.

- Mam wcześniejsze prawa, jeśli chodzi o wyrównanie rachunków za Ossela Jeukena - powiedział i wspiął się po drabinie nie mniej sprawnie od obu starych wilków morskich. Siła i zręczność wprawnego zapaśnika także w tym okazały się przydatne.

Naciągnąłem głęboko na czoło wystrzępioną wełnianą czapkę, która miała mi służyć jako przebranie marynarza, na wypadek, gdyby na górze na pokładzie znalazł się ktoś, kto mnie znał. Wziąłem jeszcze jeden głęboki oddech i już wisiąłem między obu statkami jak ryba nawleczona do wędzenia na sznurek.

Byle nie patrzeć w dół - poradził mi wcześniej Henk Rovers i trzymałem się tego zalecenia, podciągając się stopniowo na rękach w górę. Gdy wskutek wahnięcia kadłuba „Jaskółki” zostałem przyciśnięty do burty, poczułem przez kaftan ukryte w kieszeni spodni pistolet i duży nóż. Broń niekoniecznie ułatwiała wspinaczkę, ale jej posiadanie uspokajało mnie.

Daleko ponad mną Jan Pool wskoczył na pokład „Jaskółki” i usłyszałem, jak głośno żartuje z członkami załogi, zapewne chodziło o jego czarną twarz. Henk Rovers także zniknął za relingiem, potem Robbert Cors i w końcu ja także spojrzałem w twarze oczekujących nas mężczyzn. Nie wyczytałem z nich ani wrogości, ani podejrzliwości i z westchnieniem ulgi przerzuciłem ciało ponad relingiem.

Potężne chłopisko z płomiennoczerwoną czupryną, przewyższające o głowę nawet Robberta Corsa, klepnęło mnie prawie boleśnie po ramieniu.

- Wyglądasz na niezłe wyplutego, chłopie. To żadna przyjemność taplać się takim kaloszem po Zuiderzee.

Skinąłem tylko w milczeniu, bo nie uznałem za rozsądne wdawać się z marynarzem w rozważania na tematy żeglarskie. Za mną coraz liczniejsi członkowie naszej drużyny, częściowo marynarze,

częściowo zapaśnicy, wchodzili na „Jaskółkę”. Gdy zobaczyłem chwiejny krok tych ostatnich, którym poruszali się po rozkołysanym pokładzie, zdałem sobie sprawę, że niedługo zdołamy utrzymać nasz kamuflaż. Zamaszysty marynarski krok był im równie obcy jak mnie samemu.

- Hej, co wy za dziwolągi? - zdziwił się tymczasem rudowłosy olbrzym. - Byliście już kiedyś na statku?

Szybko spojrzałem na Corsa, Roversa i Poola. Na wszystkich trzech twarzach wyczytałem to samo: nadszedł czas działania. Właściwie to Jeremias Katoen miał dać sygnał do ataku, ale nie było go jeszcze na pokładzie.

- Teraz - zawołałem i wyciągnąłem dwulufowy pistolet, który dostałem rano przed zaokrętowaniem na barcę.

Jednocześnie moi przyjaciele i pomocnicy wyciągnęli broń, by skierować ją w stronę załogi „Jaskółki”. Wycelowałem w rudzielca i powiedziałem:

- Nie ruszajcie się i odpowiedzcie na nasze pytania. Jeśli jesteś niewinny, nic ci się nie stanie!

- Niewinny? - wrzasnął, bardziej wściekły niż przerażony. - Czego?

- Tego wszystkiego, co gerardyści mają na sumieniu - o ile można w ich wypadku w ogóle mówić jeszcze o sumieniu.

Wspominając gerardystów, spojrzałem uważnie na swojego przeciwnika. Jego szeroka twarz zachmurzyła się i wyraźnie się przeraził. Nie ulegało wątpliwości, należał do spiskowców. Ponieważ w szeregach gerardystów prawdopodobnie można było spotkać wszystkich, od zamożnych kupców po prostych robotników, także kadłubowa załoga „Jaskółki” mogła składać się wyłącznie z członków sprzysiężenia.

Nie zważając na mój pistolet, rudzielec krzyknął:

- Alarm! Wszystkie ręce na pokład! Zostaliśmy...

Jego ostatnie słowa utonęły w huku wystrzału. Złapał się za pierś, w której z tej niewielkiej odległości kula wyrwała dziurę wielkości

dłoni, spojrział na mnie rozszerzonymi oczami i zwał się jak ścięte drzewo.

Wokół mnie rozgorzała zaciekle walka wręcz.

Robbert Cors i jego ludzie przeważnie zrezygnowali z użycia przydzielonej im broni i uderzyli na swych przeciwników gołymi rękami. Sam Cors z taką siłą cisnął w powietrze pewnym marynarzem, który wyciągnął nóż z zębiastym ostrzem, że ten w odległości pięciu czy sześciu kroków grzmotnął o nadbudówkę i opadł bezwładnie na pokład. W jednej chwili mistrz zapaśniczy był przy nim, dwoma szybkimi ciosami pięści pozbawił go przytomności i złamał nóż o deski nadbudówki.

Sytuacja Jana Poola i Henka Roversa nie była tak dobra. Obaj dali się zepchnąć w stronę rufy i bronili się u wejścia na pokład załogowy przed czterema marynarzami. Rovers krwawił z rany na czole i mocował się z przeciwnikiem, który mógł być dwukrotnie cięższy od niego, i po prostu groziło mu uduszenie. Silniejszy Pool zmagał się z trzema innymi. Trzymał w rękach kawałek liny, którym posługiwał się jak pejczem i utrzymywał napastników w pewnej odległości.

Tylko przez moment pomyślałem, by pomóc Roversowi strzałem z pistoletu. Nie byłem jednak doświadczonym strzelcem, nawet jeśli Dekkert chwalił mój sposób obchodzenia się z bronią, a na rozkołysanym pokładzie szaleństwem było liczyć na choćby połowicznie pewny strzał z takiej odległości. Rovers i jego przeciwnik byli tak ciasno spleceni, że równie dobrze mogłem trafić jednego, jak i drugiego.

Coraz liczniejsi członkowie załogi „Jaskółki” pojawiali się na pokładzie i włączali do walki. W tej chwili nie mogłem poświęcić im więcej uwagi. Musiałem się pospieszyć, jeśli chciałem przyjść z pomocą przyjaciołom w potrzebie.

Więc pogałem w kierunku rufy. Rovers upadł na pokład pod ciężarem przeciwnika, który klęczał na nim z podniesionym kłocem drewna, chcąc zapewne roztrzaskać mu czaszkę.

Doşkoczyłem do niego i uderzyłem ciężkim pistoletem w tył głowy. Nie było to może tak skuteczne jak cios kłocem, ale wystarczyło, by posłać tęgiego marynarza na deski. Rovers poderwał się szybko, chwycił nóż, który mu wcześniej wypadł z ręki, i poderznął swemu przeciwnikowi gardło. Strumień krwi chlusnął na pokład i zabarwił deski na czerwono.

- Nie patrzcie z taką zgrozą, Suythof - sapnął Rovers i pokazał nożem na konającego. - Oni albo my, innego rozwiązania tu nie ma!

Skinąłem głową i odwróciłem się do Jana Poola. Ale on nie potrzebował mojej pomocy. Dwóch przeciwników już powalił, trzeciemu zarzucił kawałek liny na szyję jak stryczek. Teraz zaciskał pętlę i zwolnił chwyt dopiero wówczas, gdy marynarz z posiniałą twarzą i wytrzeszczonymi oczami osunął się na pokład.

- Dziękuję za wasze wsparcie - zawołał do mnie Pool. – Nie zdążyłbym przyjść Henkowi z pomocą. Poczciwina robi się powoli za stary na takie zabawy.

Rovers zareagował na to pogardliwym prychnięciem. Coraz więcej muszkietierów pojawiało się na pokładzie i oddawało strzały. Wrogowie padali pod gradem ich kul, a pozostali przy życiu byli stopniowo wypierani pod pokład. Chmura dymu prochowego dodatkowo spowiła „Jaskółkę”, jakby mgła nie była wystarczająco gęsta. Część muszkietierów ponownie naładowała broń, pozostali wydobyli jednak sztylety i ruszyli na obrońców frachtowca. Wśród muszkietierów stał Jeremias Katoen, komenderując nimi.

Nagle zobaczyłem, jak dwaj ludzie doşkoczyli do obrotowej armatki pościgowej na bakdeku²⁰. Szybko załadowali małe działko i skierowali je dokładnie w miejsce, gdzie stał Katoen. Wymierzyłem z pistoletu i wystrzeliłem, nie mając czasu na staranne celowanie. Kula chybiła i wyrwała drzazgi z relingu obok marynarzy.

²⁰ Bakdek, bak, górny pokład dziobowej części statku.

Przestraszyli się jednak i również chybili. Strzał z pościgówki muśnął grotmaszt w odległości łokcia powyżej głowy Katoena.

Było to ostrzeżenie dla inspektora i kilku z jego ludzi wzięło bakdek pod ostrzał. Człowiek, który wystrzelił z działka, wyrzucił ramiona w górę, przeleciał przez rozbity reling i wpadł do morza. Jego towarzysz szybko skrył się pod pokładem.

Odwróciłem się do Roversa i Poola.

- Tu nie ma już dla nas nic do roboty. Musimy zejść na dół!

Rovers przytaknął.

- Oby Neptun pozwolił nam odnaleźć waszą dziewczynę.

Zeszliśmy po drabinie na międzypokład, gdzie zgromadzone były beczki i skrzynie z prowiantem. Zaskoczył mnie osobliwy hałas, coś w rodzaju cichego śmiechu. Ale były to tylko kury w wielkiej klatce, które w czasie planowanej podróży miały zaopatrywać załogę w świeże jajka.

- Dokąd? - zapytał Jan Pool i rozejrzał się.

- Na rufę - zdecydowałem, bo tam znajdowały się kabiny. Prawdopodobnie tam mogliśmy spotkać ludzi, którzy mieli coś do powiedzenia na pokładzie „Jaskółki”. - Ale możecie tu poczekać na muszkieterów. Nie wymagam, żebyście się narażali na niebezpieczeństwo.

- Gadanie! - przerwał mi Pool. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, czyż nie tak? Nie traćmy już czasu.

Podziękowałem mu skinieniem głowy i po załadowaniu pistoletu wysunąłem się na czoło naszej grupki. Z góry dobiegał suchy grzechot strzałów muszkietowych oraz okrzyki rannych i konających. Miałem nadzieję, że wkrótce otrzymamy posiłki.

Przecisnęliśmy się pomiędzy nie do końca zasztatowanymi²¹ zapasami i dotarliśmy do obszernej kajuty, w której zapewne spożywali posiłki najwyżsi rangą oficerowie oraz pasażerowie. Długi stół i wyściełane aksamitem krzesła stały pośrodku pomieszczenia.

²¹ Zasztatowany - prawidłowo i celowo ułożony ładunek na statku.

Do jednej ze ścian był umocowany stojak na muszkiety. Broń stała starannie ustawiona, aby można było szybko odeprzeć nieoczekiwany atak lub stłumić bunt. Z zadowoleniem zanotowałem, że nasi przeciwnicy nie zdążyli wydać broni. Najwyraźniej całkowicie zaskoczyliśmy załogę „Jaskółki”.

Minąwszy kilka małych, również pustych kabin, dotarliśmy do kajuty kapitańskiej na rufie. Gdy tylko przecisnąłem się przez wąskie wejście, stanąłem jak wryty. Przed dużymi oknami w głębi kabiny stał wysoki mężczyzna w kapitańskim stroju i mierzył w nas z pistoletu o długiej lufie. Mimo woli ukląknęłam i jednocześnie wypaliłem z obu luf. Za sobą usłyszałem krzyk, a przed sobą zobaczyłem, jak moje kule trafiają kapitana w pierś. Impet kul szarpnął nim w tył i ciało opadło na jedno z okien. Listwy połamały się pod jego ciężarem, szyby rozprysły i kapitan poleciał głową naprzód do morza.

Odwróciłem się do moich towarzyszy. Jan Pool klęczał na deskach i trzymał w ramionach Henka Roversa. W oczach lśniły mu łzy.

- Czy on... - zacząłem, ale klucha w gardle nie pozwoliła mi dokończyć zdania. Jak zahipnotyzowany patrzyłem na wielki otwór w brzuchu starego Henka.

- Tak - powiedział Pool. - Na szczęście. Powolne zdychanie od rany w brzuch to najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić.

- Przykro mi - powiedziałem drżącym głosem. - Czy chcecie tu przy nim zostać?

- Po co? Jemu już nie mogę pomóc, a wam - owszem.

- Dziękuję - powiedziałem i pospiesznie załadowałem pistolet. - Powinniśmy spróbować w ładowniach, Janie. Znacie się na statkach lepiej ode mnie. Zaprowadzicie mnie?

Opuściliśmy półpokład z kajutami i zeszlismy kilka pięter w głąb kadłuba statku. Wreszcie skierowaliśmy się w stronę rufy, gdzie w półmroku widniały liczne skrzynie i beczki. Morze z taką

wściekłością bilo w burty, że tu, na dole, to klaskanie zagłuszało odgłosy walki. Pool znalazł łom i podważył pokrywy kilku skrzyń i beczek. Zawierały dalsze zapasy: peklowane mięso, suchary, rum i słodką wodę. Bezradnie spojrzął na mnie.

- Na dziób! - zdecydowałem. - Może tam będziemy mieć więcej szczęścia.

I zaniósłem do nieba cichą modlitwę, aby tak się stało. Pobiegliśmy w przeciwnym kierunku i znaleźliśmy się w ładowni dziobowej. Było tu jeszcze ciemniej niż na rufie, dlatego początkowo dostrzegłem jedynie cienie, poruszające się w półmroku. Zostaliśmy zaatakowani i szybko uskokczyłem w bok. Po tępych odgłosie uderzenia nastąpił na pół stłumiony jęk i Jan Pool upadł obok mnie.

Zapłonęła latarnia i zobaczyłem swojego towarzysza leżącego bez ruchu, w skulonej pozycji. Nie miałem jednak czasu sprawdzać, czy po Henku Roversie także drugi z przyjaciół oddał za mnie życie. Nie mogłem nawet się nad nim pochylić. Otoczyła mnie liczna grupa mężczyzn z nożami i pałkami w rękach. Cofałem się do chwili, gdy oparłem się o kilka skrzyń. Tylko pistolet w prawej ręce powstrzymywał ich od potraktowania mnie tak samo jak Poola.

- Odłóżcie tę pukawkę powoli na bok - zażądał ochryply, a mimo to świdrujący głos, który od razu rozpoznałem. - Jeśli tego nie zrobicie, wasza najdroższa będzie za chwilę tylko martwą kukłą, jak jej braciszek.

Z cienia wyłoniły się trzy postacie i zaparło mi dech. Antoon van Zelden i Fredrik de Gaal popychali przed sobą Cornelię, która była w pożałowania godnym stanie. Ramiona miała związane na plecach, jej suknia była podarta, a twarz i zawsze tak świetliste włosy pokryte brudem. Wyraz oczu świadczył o zmęczeniu i utracie nadziei.

Jej twarz ożywiła się na mój widok.

- Cornelis! - przełknęła ślinę i zapytała: - Jak się czuje ojciec?

- Martwi się o ciebie, ale poza tym czuje się lepiej, od kiedy nie jest już w rękach tych szaleńców. Widział zwłoki Tytusa i wie już, że jego syn nie żyje, że van Zelden jedynie uprawiał z nim diabelską grę.

- Powtarzam jeszcze raz, Suythof, rzuć broń! - warknął lekarz i w jego prawej ręce błysnęło ostrze noża, który skierował ku szyi Cornelii. - Powinniście wiedzieć, że umiem posługiwać się takim nożem. To nie byłoby dla dziewczyny zbyt przyjemne.

Szybko odłożyłem pistolet na jedną ze skrzyń.

- Tak lepiej - powiedział van Zelden, nie odejmując noża od szyi Cornelii. - Właściwie sam nie wiem, dlaczego was obu nie zabijamy na miejscu.

- Ale ja wiem - odparłem. - Potrzebujecie zakładników, żeby ujść z pułapki, w którą sami się wpakowaliście. Nasze zwycięstwo w walce o „Jaskółkę” nie ulega wątpliwości.

- Co to ma znaczyć, że sami weszliśmy w pułapkę? - zapytał Fredrik de Gaal.

- Weszliście przecież dobrowolnie na pokład tego statku. To mogła być dobra kryjówka, a nawet możliwość ucieczki przed prawem. Ale musicie przyznać, że nie ma stąd drogi odwrotu. Dlatego Cornelia i ja jesteśmy wam potrzebni. Wydaje mi się, że Cornelia jest dla was ważna także z innego powodu.

- Znowu się mądrzycie?

- Wcale nie. Mam tylko pewne przypuszczenie.

- Mianowicie?

Licząc, że czas pracuje na moją korzyść, postanowiłem udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Kiedyś bitwa o statek musiała się rozstrzygnąć, na naszą korzyść, jak byłem przekonany. Gdyby Katoen i jego muszkietierowie pojawili się tutaj, nie musiałoby to oznaczać poprawy naszej sytuacji, ale z kilkoma naładowanymi muszkietami po swojej stronie czułbym się zdecydowanie lepiej. Powiedziałem więc:

- Początkowo myślałem, że chcecie wykorzystać Cornelie tylko do tego, by podporządkować sobie jej ojca. To był być może jeden z powodów jej uprowadzenia, może nawet najważniejszy. Ale myślę, że jest jeszcze jeden. Okazało się, że Rembrandt stosunkowo dobrze znosi zaćmiewającą umysł moc diabelskiej farby. Wobec długiego czasu, w którym stykał się z szatańskim błękitem, jest cudem, że nie popadł w zupełne szaleństwo. Prawdopodobnie chcecie ustalić, czy Cornelia także dysponuje tą odpornością i skąd pochodzi ta rzadka zdolność stawienia oporu waszemu demonowi.

De Gaal skinął głową z uznaniem.

- Diabelna szkoda, że wystąpiliście przeciwko nam. Ale co wy tam ciągle bredzicie o jakimś demonie, Suythof?

- Rozmyślałem wiele o was i o tej wschodnioindyjskiej roślinie z nieznanym barwnikiem. Doszedłem do wniosku, że to nie wy posługujecie się błękitem do swoich celów, tylko raczej jakaś niesamowita siła podporządkowała sobie was samych i waszych współników. Tu nie chodzi tylko o sprawę gerardystów, o przewagę wiary katolickiej czy kalwińskiej w Niderlandach. W rzeczywistości mimo woli prowadzicie walkę jakiejś obcej, złej mocy. Swoimi czynami nie szerczycie prawdziwej jakoby wiary w Boga, ale moc szatana!

Pochwyciłem kilka zaskoczonych spojrzeń. Marynarze, którzy zaatakowali mnie i Poola, patrzyli niepewnie na van Zeldena i de Gaala. Lekarz także wydawał się zaniepokojony. Tylko de Gaal zachował spokój, na jego twarzy malowała się kpina.

- Wygląda na to, że słabiej opieracie się szaleństwu niż Rembrandt, w przeciwnym razie nie opowiadalibyście takich bzdur. Nie, nie bzdur. To coś więcej. To bluźnierstwo przypisywać Jego moc szatanowi.

Potrząsnąłem głową.

- Nie dostrzegacie własnego zaślepienia, bo opanowało was zło. To nie Bóg stoi za waszymi osobliwymi objawieniami, tylko szatan!

Kpina de Gaala przemieniła się w gniew.

- Dość już tego głupiego gadania! Zaraz się przekonacie, o jakiej mocy mówicie!

Na jego polecenie marynarz otworzył jedną ze skrzyń. De Gaal sięgnął do środka i z wyciągniętą ręką podszedł do mnie. Na wyprostowanej dłoni lśnił błękitny proszek, diabelska farba. De Gaal stulił wargi i dmuchnął mi proszkiem w twarz.

Wstrzymałem oddech, ale było już za późno. Zakręciło mi się w głowie i wszystkie ostre kontury rozmyły mi się przed oczami w faliste linie, jakby morze pochłonęło cały statek. Twarze ludzi zmieniły się w odrażające paszcze, a przestraszona jeszcze przed chwilą buzia Cornelii przybrała wyraz pełen wyrzutu. Nie podobało mi się, jak na mnie patrzy.

- Macie coś przeciwko tej kobiecie, Suythof? – zabrzmiał przymilny głos de Gaala. - To nie krępujcie się, ukarżcie ją za wszystko, co wam wyrządziła.

Słabo przypomniałem sobie, że już raz próbowałem ukarać Cornelie. Za jej zdradę, za to, że okazywała komuś innemu większe względy. Wtedy mi się wymknęła. Ale ponownie jej się to nie uda. Powoli podszedłem do niej i wyciągnąłem ręce w stronę jej szyi.

- Nie, Cornelisie - jęknęła. - Nie słuchaj tego, co ci mówią inni! Słuchaj tylko siebie!

Była do głębi przestraszona, co wzbudziło we mnie sprzeczne uczucia.

Część mojego ja rozkoszowała się jej strachem, nie mogła się nim dość nacieszyć. Najchętniej zadałaby jej tyle bólu i cierpienia, ile tylko by mogła.

Ale była też ta druga część, której strach Cornelii zadał bolesny cios w samo serce i której największym pragnieniem było uwolnić ją na zawsze od wszelkich trosk.

Ta druga część wstydziła się za pierwszą i jednocześnie się jej obawiała, poznała, że uległa wpływowi złej mocy.

Tym razem nie!

Tętniło we mnie rytmicznie. Przełamałem to coś, co zaćmiło moje zmysły i rozum. Przez chwilę wydało mi się, że patrzę na półprzezroczystą błękitną paszczę, która odpowiadała rozczarowanym i gniewnym spojrzeniem. Ale pozostałem niezłomny. Moje dłonie zacisnęły się nie na szyi Cornelii, tylko Fredrika de Gaala. Mocno i nieubłaganie. Z dziwnym gulgotem kupiec upadł na kolana.

- Puść go natychmiast, Suythof!

To był głos Antona van Zeldena, który najwidoczniej nie uwierzył w to, co powiedziałem o demonicznej mocy diabelskiej farby. Cornelia odchyliła głowę daleko do tyłu, by uniknąć ostrza. Nie pozostało mi nic innego, jak puścić de Gaala i cofnąć się. W tej samej chwili za mną powstało zamieszanie.

Jan Pool ocknął się z zamroczenia i czekał zapewne na właściwy moment. Nagle zerwał się z podłogi i obalił za jednym zamachem trzech przeciwników, z którymi tarzał się teraz w dzikich zapasach. Mimo ich przewagi trzymał się dzielnie. Było tak, jakby śmierć przyjaciela podwoiła jego siły.

Rzuciłem się gwałtownym susem na van Zeldena, co było czynem ryzykownym z uwagi na nóż przy szyi Cornelii. Ale uwaga van Zeldena wydawała się rozproszona wskutek zmagania, w które Pool uwikłał członków załogi „Jaskółki”, i na to liczyłem. Ostrze tylko drasnęło skórę Cornelii i van Zelden zachwiał się do tyłu, obalając trzymającego latarnię marynarza. Potoczyła się ona po podłodze ładowni, uderzyła w końcu o jedną ze skrzyń i rozprysła na kawałki.

Walcząc z van Zeldenem, zauważyłem, że rozlany olej rozprzestrzenił płomień, który ogarnął deski i skrzynie, i już po krótkiej chwili w kilku miejscach strzelały w górę języki ognia.

- Ogień na pokładzie! - krzyknął w panice marynarz, któremu wypadła latarnia.

Stracił wszelkie zainteresowanie nami i pobiegł do przejścia, którym dotarliśmy z Poolem do ładowni. Tam jednak natknął się

na Robberta Corsa, który chwycił go za kołnierz i odepchnął na bok. Za zapaśnikami pojawili się dwaj jego uczniowie.

- Wygląda na to, że przybyliśmy w samą porę - zawołał Cors i złapał jednego z marynarzy, z którymi zmagał się Pool.

Mnie udało się przyprzeć van Zeldena do jednego ze stosów skrzyń i wyrwać mu nóż. Jego zapadnięte oczy patrzyły na mnie z nienawiścią i pogardą. W chybottliwym świetle coraz bardziej rozprzestrzeniającego się pożaru jego głowa, przypominająca trupa czaszkę, wydawała mi się głową demona. Nieludzki krzyk wyrwał się z jego gardła i w tej samej chwili uchwycił mnie oburącz, pociągając w stronę płomieni. Był gotów oddać własne życie, rzucić się razem ze mną w ogień.

Wbiłem mu w pierś jego własny nóż, który wciąż jeszcze trzymałem w dłoni. Uderzyłem ponownie i jeszcze raz. Krew trysnęła mi na twarz.

Z gardłowym okrzykiem bólu van Zelden puścił mnie. Ciągnął mnie uprzednio z taką siłą, że teraz z rozpędu sam wpadł w płomienie, które szybko nim zawładnęły. Pełzały po jego ciele w górę i mógłbym przysiąc, że przybrały błękitną barwę. Jeden z płonących stosów skrzyń z błękitnym proszkiem zawałił się i pogrzebał pod sobą van Zeldena.

Rozejrzałem się za towarzyszami. Cors, jego uczniowie i Pool zdecydowanie zyskali przewagę i wkrótce musieli odnieść pełne zwycięstwo. Cornelia stała drżąc obok walczących, a z rany na szyi ciekła jej cienka strużka krwi. Podbiegłem do niej i przeciąłem jej więzy nożem zbrukanym krwią van Zeldena. Roztarła obolałe nadgarstki i spojrzała na mnie z wdzięcznością. Dopiero teraz zauważyłem, że nie ma Fredrika de Gaala i zapytałem o niego Cornelie.

- Zniknął między skrzyniami, w tamtym kierunku - wskazała Cornelia w stronę dziobu.

Być może znajdował się tam luk, dlatego pobiegłem we wskazanym kierunku. Ogień zalewał ładownię czerwonym, migotliwym

światłem. W tym świetle rzeczywiście dostrzegłem drabinę i wspinającego się po niej szybko człowieka: Fredrika de Gaala.

Stał na jednym z górnych szczebli i starał się otworzyć luk nad głową. Zobaczywszy mnie, wzmógł wysiłki. Byłem jednak szybszy, wspiąłem się na drabinę i złapałem go za stopę. Potem zsunąłem się ponownie na dół, pociągając swoim ciężarem de Gaala.

Gdy udało mi się oprzeć obie nogi na pokładzie, odskoczyłem na bok i kupiec ciężko osunął się w dół. Wyprostował się na tyle, że plecami opierał się o szczeble drabiny.

Stałem przed nim z nożem van Zeldena, który ponownie podniosłem po zeskoczeniu z drabiny. Grożąc mu tą bronią, zdyszany, wyrzuciłem z siebie:

- To już koniec, de Gaal! Odpowiedcie przed sądem za wszystkie wasze czyny i legenda szanowanego amsterdamskiego kupca Fredrika de Gaala skończy się raz na zawsze!

Z dziwnym spokojem potrząsnął głową.

- Mylicie się, Suythof, jak już nie raz wcześniej. Nigdy nie stanę przed sądem. A sprawa jeszcze nie jest skończona, przynajmniej nie dla was. Nasi bracia są liczni, a wy nie będziecie bezpieczni ani w Amsterdamie, ani gdziekolwiek indziej w Niderlandach!

W jego ciemnych oczach błysnęło coś w rodzaju ostatniego tryumfu. Wyprostował się, chwycił oburącz mój prawy nadgarstek w mocny uścisk i rzucił się na nóż van Zeldena. Ostrze wbiło się prosto w serce. Pospiesznie odrzuciłem go od siebie. Jego ciało upadło do tyłu i oparło się na drabinie. Utkwione we mnie oczy patrzyły martwo.

- Cor-ne-lis!

To była Cornelia. Jej przeciągłe, pełne niepewności wołanie uświadomiło mi, że byłem w największym niebezpieczeństwie. Groziło mi, że ogień, który ogarnął już znaczną część frachtowca,

odetnie mnie od towarzyszy i od wyjścia. Oczywiście, miałem jeszcze przed sobą drabinę, a w górze luk, do którego daremnie wspinał się de Gaal. Ale co, jeśli nie zdołam go otworzyć?

Postanowiłem tego nie sprawdzać. Pobiegłem w stronę Cornelii i przyjaciół i poczułem przy tym bolesne ukąszenie ognia. Mimo woli pomyślałem o tamtej nocy, gdy na próżno próbowałem ocalić Louise przed śmiercią w płomieniach, i ogarnął mnie strach, że to samo mogłoby mi się przydarzyć z Cornelią.

Zbliżywszy się do niej, chwyciłem ją mocno za rękę i pociągnąłem za sobą w stronę wyjścia. Także Pool i zapaśnicy spieszenie opuszczali ładownię, podobnie jak dwóch członków załogi „Jaskółki”, którzy byli teraz nie tyle więźniami, ile po prostu uciekinierami przed pożarem.

Spotkałem Roberta Corsa i wskazałem na marynarzy, rannych lub leżących bez świadomości na pokładzie.

- Co z nimi? Ogień wkrótce do nich dotrze.

- Właśnie dlatego nie możemy się teraz nimi zajmować. Statek płonie jak pochodnia. Musimy myśleć o sobie.

Rzut oka na płomienie, które podążały za nami w trop, powiedział mi, że Cors ma rację. Uciekliśmy z ładowni i wspięliśmy się po drabinach najszybciej, jak zdołaliśmy. Pozostawałem w pobliżu Cornelii, wciąż jeszcze pełen obawy, że stracę ją w szalejącym pożarze.

W połowie drogi na górę, na pokładzie działowym, spotkaliśmy Jeremiasa Katoena i oddział muszkietierów.

- Mój Boże, Suythof, skąd przybywacie? - wyrwało się inspektorowi na mój widok. Widok mojego poszarpanego w walce, opalonego płomieniami i zbryzganego krwią odzienia wyraźnie go przeraził.

- Prosto od van Zeldena i de Gaala - odpowiedziałem.

- Gdzie oni są?

- Tam - wskazałem w dół. - Obaj nie żyją. A jeśli się nie spieszymy, też niedługo będziemy martwi. Na dole szaleje prawdziwe ogniste piekło.

- A co z błękitnym barwnikiem?

- Też tam jest, pośrodku pożaru.

Katoen rzucił okiem pod pokład i dostrzegł właśnie pierwsze płomienie pełzające w górę drewnianej drabiny.

- Tak jest chyba najlepiej - mruknął i rozkazał swoim muszkieterom szybko wspiąć się na pokład.

Puścili nas przodem, za co byłem im szczególnie wdzięczny ze względu na Cornelie. Ogień wydawał mi się żywą istotą, która postawiła sobie za cel dogonić nas i pochłonąć.

Gdy w końcu wyszliśmy na pokład i odetchnęliśmy świeżym powietrzem, poczułem się trochę lepiej. Teraz musieliśmy jeszcze dotrzeć na czas na barkę. Początkowo przy opuszczaniu frachtowca panował dziki chaos. Mężczyźni bardziej sobie wzajemnie przeszkadzali, niż pomagali. Ale Katoen szybko zaprowadził porządek. Wkrótce ze sterburty „Jaskółki” zwiisało kilka sznurowych drabin, tak że ostatni nasi ludzie, a także gromada więźniów, mogli rozdzielić się szybko na trzy barki. Kilku ciężko rannych trzeba było mierzalnie opuszczać na linach, ale Katoen zatroszczył się o to, aby w miarę możliwości nikt nie pozostał.

Cornelia miała trudności z utrzymaniem się na drabince. Więzy tak dalece zatamowały jej krążenie w ramionach, że nie mogła mocno się jej uchwycić. Ale Jan Pool i ja pozostawaliśmy tuż przy niej i pomogliśmy jej dotrzeć bezpiecznie na „Falę”, gdzie spotkaliśmy też Corsa i Katoena.

W końcu szyper Hendriks wydał rozkaz do podniesienia kotwicy. Nasz dwumasztowiec powoli wyruszył w drogę, a za nami podążyły obie pozostałe barki. Był to ostatni moment. Wkrótce po naszym odbiciu od burt „Jaskółki” płomienie opanowały ją całkowicie i kilka następujących po sobie gwałtownych wybuchów wstrząsnęło kadłubem.

- Prochownia - powiedział Jan Pool i dotknął przy tym osmałonej polowy twarzy. - Cały czas się tego obawiałem. Mieliśmy naprawdę szczęście - tylko Henkowi się nie udało.

Ja także myślałem o zabitym przyjacielu w czasie, gdy wokół nas z sykiem wpadały w wodę płonące drzazgi. Jeszcze raz gniewny demon próbował nas zniszczyć.

Ale barki oddalały się szparko od „Jaskółki”. Mgła zaległa między nami i płonącym frachtowcem. Wkrótce widzieliśmy już tylko zatarte kontury, zmieniające stale swój kształt na tle szalejących płomieni.

Mieszanina mgły i dymu przybierała coraz intensywniejszy niebieski kolor, co przypisywałem płonącemu barwnikowi. A może było tam coś jeszcze? Wydawało mi się, jakby w niebieskiej mgle ukazywały się rysy ogromnej, wykrzywionej nienawiścią twarzy, która długo jeszcze patrzyła w ślad za nami.

32 POD MASKĄ

W czasie długiej podróży powrotnej z Texel do Amsterdamu moje obolałe, wyczerpane, pozbawione snu ciało upomniało się o swoje prawa. Mimo że sama u kresu sił, Cornelia umościła mnie tak wygodnie, jak tylko na to pozwalała ciasnota pokładu. Z głową wtuloną w jej ramiona, spałem na twardych deskach pokładu „Fali” jak w najmiększym łożu.

Obudził mnie osobliwy hałas, twardy łoskot. Jednocześnie stwierdziłem, że nasza barka bardzo niespokojnie tańczy na falach.

Niebo nad nami zniknęło. Załoga rozciągnęła płachty nad pokładem, by osłonić nas przed niepogodą.

Spojrzałem na twarz Cornelii, która uśmiechnęła się do mnie uspokajająco.

- Jak się czujesz, Cornelisie?

— Całkiem dobrze - odpowiedziałem, jeszcze trochę oszołomiony. - Musiałem mocno spać.

- Mocno i długo.
- Jak długo?
- Całą noc, a teraz już zbliża się południe. Myślę, że to był zdrowy sen.

Coś stukotało nieustannie o płachtę i burty. W moich uszach brzmiało to, jakby cała gromada kowali stukotała na wyścigi młotkami.

- Co się stało? - spytałem.
- Wcześniej rano zrobiło się zimniej, nadciągnęła burza. Przebijamy się przez padający grad. Ale twój przyjaciel, Jan Pool, właśnie powiedział, że Amsterdam jest już blisko.

Odwrociłem głowę i zobaczyłem czarną twarz, która rozciągnęła się w uśmiechu.

- Dzień dobry, *mijnheer* Suythof. Już myślałem, że chcecie przespać tę śliczną burzę.

Mimo niepogody szyper Hendriks pewnie trzymał kurs, a oba jednomasztowce podążały za nami w niewielkim oddaleniu. Było rzeczywiście zimno. Zauważyłem, że Cornelia marznie. Tymczasem ja leżałem przykryty kocem, którym mnie otuliła, wprawdzie nieco zalatującym pleśnią, ale przyjemnie grzejącym. Usiadłem prosto i owinąłem nas oboje. Cornelia przytuliła się ciasno do mnie i ogrzewała mnie jeszcze lepiej niż koc.

Po południu dotarliśmy do Amsterdamu. Nasze wejście do portu wzbudziło pewne poruszenie. Jeremias Katoen wezwał na nabrzeże kilka wozów w celu przewiezienia rannych do lazaretu. Cornelli i mnie także zaproponował pobyt w szpitalu, ale ona chciała jak najszybciej zobaczyć ojca. Katoen polecił więc, by jeden z wozów wysadził nas przy Rozengracht. Rozpadał się ulewny, lodowaty deszcz, który przegnał przechodniów. Po przybyciu na Rozengracht jak najszybciej pobiegliśmy do domu.

Podniecona Rebeka Willems otworzyła nam drzwi, ale to nie nasz powrót wzburzył ją do tego stopnia, że jej ręce i głos drżały, gdy powiedziała:

- Na górze jest jakiś człowiek i spisuje wszystko, co chciałby zabrać!

- Co spisuje? - zapytała Cornelia, strżając w sieni z włosów kryształki lodu.

- Wszystko, co się da z naszych zbiorów. Mówi, że znaczna część może mu się przydać.

- A co na to mój ojciec?

- Twojemu ojcu to się wydaje obojętne. Pozwolił temu człowiekowi na wszystko. Mistrz Rembrandt siedzi tylko w pracowni i wpatruje się w swoje obrazy. Tak samo było wczoraj.

Przeżyłem za dużo, by od razu nie zwierzyć niebezpieczeństwa. Czy obcy był wysłannikiem gerardystów? Czy otrzymał polecenie usunięcia wszystkich możliwych dowodów - a być może także świadków?

- Zostańcie obie tu na dole i uważajcie na siebie - poleciłem Cornelii i Rebecce. - Jeśli cokolwiek wzbudzi wasze podejrzenie, wołajcie natychmiast strażę. Ja pójdę na górę i przyjrę się temu nieznanemu dokładniej.

Gdy tylko postawiłem stopę na pierwszym stopniu schodów, poczułem na ramieniu dłoń Cornelii i zmierzyłem się z błagalnym spojrzeniem jej błękitnych oczu.

- Bądź ostrożny, Cornelisio, proszę!

Obiecałem jej to i pospieszyłem na górę. Zaledwie się tam znalazłem, usłyszałem głośny hałas w pokoju, który służył mi jako sypialnia i mała pracownia. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie mam żadnej broni. Mimo to wbiegłem do pokoju, gdzie moim oczom ukazał się osobliwy widok.

Wypchany niedźwiedź, który zwykle dotrzymywał mi towarzysztwa, leżał na podłodze, jak wówczas, gdy Rembrandt uległ w tym pokoju atakowi szaleństwa. To właśnie upadek niedźwiedzia musiał wywołać ów hałas. Chudy mężczyzna o kręconych, dziko zwieszających się włosach, z trudem stawiał go na nogi i niezdarnym ruchem ocierał sobie pot z czoła. Dopiero po chwili mnie zauważył

i spojrzął z wyrazem nie tylko z zaskoczenia, ale przede wszystkim przestraszu w wąskich oczach.

Od walki na „Jaskółce” nie miałem okazji się umyć. Z brudem i krwią na poszarpanym ubraniu musiałem wyglądać jak uliczny rzeźmieszek, który potajemnie wdarł się do tego domu. Ja jednak zadawałem sobie pytanie, kto tu był rabusiem.

- Kim jesteście? - usłyszałem niepewny głos przybysza.

- Człowiekiem, który mieszka w tym pokoju. A kim wy jesteście, jeśli wolno spytać?

- Och, przepraszam. - Skłonił się. - Moje nazwisko Pieter van Brederode. Zbieram starożytności i osobliwości. Jest ich w tym domu więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Wyobraźcie sobie, że odkryłem tu hełm, który prawdopodobnie nosił sławny rycerz Gerard van Velsen!

- Aha - mruknąłem tylko.

Wszystko wskazywało na to, że gość nie był gerardystą, tylko admiratorem rycerza Gerarda, który, o ile mi było wiadomo, żył czterysta lat wcześniej. Ale nie uznałbym go za nieszkodliwego. Wydawał mi się geszefciarzem, który chciał wykorzystać zubożenie Rembrandta do swoich celów. Cornelia i ja wyraźnie w dobrym momencie wróciliśmy do domu.

Van Brederode podniósł oprawioną w skórę księgę.

- Tu spisałem wszystko, co mi się przyda. Mistrz Rembrandt van Rijn musi jeszcze tylko podpisać. W ciągu kilku dni przyślę kogoś po rzeczy.

- Ach, tak. A zapłacić za to nie zamierzacie?

- Oczywiście, że zapłacę. Mistrz Rembrandt pozostawił mi ustalenie ceny.

To nie było podobne do Rembrandta, który zwykle wyklócał się o każdego stuivera. Być może do oszołomionego malarza w ogóle nie dotarło, czego ten człowiek od niego chce. Przecież przywiązywał wielką wagę do swoich zbiorów.

Wyjąłem van Brederodemu księgę z ręki i wsunąłem do jednej z kieszeni jego kurty.

- Teraz posłuchajcie mnie uważnie, *mijnheer*. Rembrandt van Rijn nie może wam niczego zaoferować i nie może niczego podpisać. Nie dysponuje tu żadnymi pełnomocnictwami. Wszystko zostało przepisane na jego dzieci.

- Ale syn nie żyje, a córki nie było w domu, gdy przyszedłem.

- Ale teraz jest.

- To będę z nią pertraktował i zaproponuję jej dobrą...

- Możecie jej powiedzieć dzień dobry, to wszystko - wpadłem mu w słowo, złapałem mężczyznę za kołnierz i po prostu wypchnąłem go z pokoju.

Nie zważając na wołania o pomoc, spuściłem go ze schodów, obok Cornelii i Rebeki, i wyprowadziłem na ulicę. Tam opadł na zmrożoną ziemię i poleciał szczupakiem do przodu. Rzucił mi wściekłe spojrzenie, ale ja po prostu zatrzęsiałem drzwiami.

- Kto to był? - zapytała Cornelia.

- Być może tylko nieszkodliwy wariat - odpowiedziałem.

- Ale być może łobuz, który chciał oszukać twojego ojca. Nie jestem w nastroju, by sobie tym łamać głowę.

Rebeka chciała coś powiedzieć, ale do moich uszu dobiegło dziwne, aż nazbyt dobrze mi znane, trzeszczenie.

- Czujecie to? - zapytałem, gdy poczułem słaby, ale wyraźny zapach spalenizny.

Na moment poczułem się jak na pokładzie „Jaskółki” i ujrzałem się przed wejściem do ładowni, która w mgnieniu okaz zmieniła się w szalejące piekło ognia i śmierci.

- To z góry - krzyknęła Cornelia i podbiegła do schodów.
- Z pracowni ojca!

Rebeka Willems i ja poszliśmy w jej ślady. Cornelia dobiegła do pracowni jako pierwsza i otworzyła drzwi. Uderzyło nas gorąco i zobaczyłem w środku pełzające płomienie. Przebijały się przez powracane sztalugi i zamalowane płótna.

Gdy stanąłem obok Corneli, zobaczyłem twarz Rembrandta giniącą w płomieniach. Ogień w ciągu minuty pochłoniął autoportrety, nad którymi pracował przez wiele miesięcy z takim oddaniem. Mistrz stał naprzeciw płomieni, które sam musiał wzniecić, i niewzruszenie przyglądał się dziełu zniszczenia. Cornelia podeszła do niego, ale on wydawał się jej nie dostrzegać.

Pospieszyłem do swego pokoju i wróciłem z kocem, który zarzuciłem na płomień. Rebeka wpadła na ten sam pomysł i w ten sposób stłumiliśmy ogień. Nie bacząc na lodowaty deszcz, otworzyliśmy okna, by wypuścić gryzący dym, który powodował kaszel i łzawienie. Z autoportretów Rembrandta nie pozostało nic prócz stosu popiołu.

Dopiero teraz starzec oderwał martwe spojrzenie od ruiny swego dzieła i jego oczy rozbłyły na widok Corneli.

Zamknął córkę w uścisku i łka! bez opamiętania jak dziecko.

- Przykro mi - powiedział po chwili. - Wyrządziłem ci tyle złego, moja córko, naraziłem cię nawet na śmierć. I zabiłem innych ludzi, nie własną ręką, ale przez swoje obrazy. Nie chciałem tego wszystkiego. W tym starym ciele tkwił ktoś inny, jakbym był opętany przez jakąś złą siłę.

- Wiem o tym, ojcie - powiedziała Cornelia i łagodnie gładziła go po rzadkich włosach. - Ale dlaczego zniszczyłeś obrazy?

- Bo pokazywały kogoś innego, tego złego, którym byłem. Uśmiech na tych obrazach nie był dobrym uśmiechem. Nie chciałem, by mnie takim zapamiętano, nie teraz, gdy zbliża się koniec.

- Nie wolno ci tak mówić, ojcie! Jesteś wyczerpany, ale wkrótce odzyskasz siły.

- Wkrótce będę z Tytusem - odparł Rembrandt.

Wyraz jego twarzy zdradzał, że głęboko wierzy w to, co mówi.

Nie była to owa szalona wiara opętanego umysłu, który nie chciał przyjąć do wiadomości śmierci ukochanego syna. Spod maski złego i zaślepionego człowieka, który chciał się zemścić na całym świecie

za doznane poniżenia i osobiste nieszczęścia, ukazał się prawdziwy Rembrandt van Rijn: mądry, stary człowiek, który w momencie od dawna już nie doznawanej jasności umysłu ujrzał nadchodzący swój własny koniec.

- Jest mi zimno i jestem zmęczony - powiedział łamiącym się głosem. - Chcę się położyć.

Cornelia zaprowadziła ojca na dół i przygotowała mu poślanie, podczas gdy my z Rebeką staraliśmy się przynajmniej z grubsza uporządkować pracownię. Pod jedną ze ścian stały jeszcze obrazy, nad którymi Rembrandt pracował w ubiegłym tygodniu, wśród nich *Symeon w Świątyni*, który, moim zdaniem, miał już pozostać niedokończony. Ale mimo że szukałem dokładnie, wydawało się, że żaden z autoportretów malarza nie uniknął zniszczenia w pożarze.

Cornelia martwiła się o ojca, więc sprowadziłem lekarza. Nie mógł jednak dać jej nadziei.

- Wasz ojciec uważa, że nadszedł jego czas - powiedział. - A ja obawiam się, że ma rację. Dałem mu coś, aby spokojnie spędził noc.

Środek podzielał i następnego ranka Rembrandt wezwał mnie do siebie. Siedział w łóżku i dzielnie zajadał zupę rybną, którą Rebeka osobiście dla niego przyrządziła. Wyglądało na to, że czuje się lepiej niż poprzedniego dnia.

- Wejdźcie, Suythof - powiedział i odstawił talerz na mały stolik obok łóżka. - Cornelia opowiedziała mi, co dla niej zrobiliście. Chciałbym wam za to podziękować. Za to i za wszystko inne.

- Nie robiłem tego dla podziękowań, tylko dla Corneli.

Spojrzał w stronę okna. Na zewnątrz nie było już tak burzliwie, ale wiatr wiał jeszcze na tyle gwałtowny, że zrywał liście z drzew.

- Wkrótce jesienny wiatr porwie także i mnie - powiedział cicho Rembrandt - i taka jest kolej rzeczy. Jako malarz już się nie liczę, a ludziom także nie jestem już potrzebny.

- To nonsens - wyrwało mi się. - Cornelia was potrzebuje.

Uśmiech pojawił się na starczych, popękanych wargach. Nie ten pogardliwy, perfidny uśmiezek, który spłonął w pracowni na piętrze, tylko uśmiech pełen życzliwości.

- Moja córka wcześniej stała się kobietą, między innymi dlatego, że jej ojciec wcześniej stał się dzieckiem. Dzieckiem, które zamiast zabawek gromadziło stare rupiecie i od czasu do czasu musiało korzystać z oszczędności własnej córki. Teraz, gdy znów patrzę jasno, żałuję tego wszystkiego. Powinienem był troszczyć się o ludzi, a nie o jakieś graty. Przy okazji, czy ten van Brederode odebrał już to, co sobie wybrał?

- Och - zająknąłem się. - Obawiam się, że postąpiłem trochę pochopnie. Uznałem go za marnego geszefciarza i niezbyt delikatnie wystawiłem za drzwi.

- Nie martwcie się tym, Suythof. On wróci, jeśli zależy mu choć trochę na moich zbiorach. - Nachylił się w moją stronę i chwycił oburącz moją prawą rękę. - Właściwie wcale nie o tym chciałem z wami rozmawiać. Chodzi o Cornelię. Jak już powiedziałem, nie jest już dzieckiem, tylko kobietą. A młoda kobieta nie potrzebuje starego ojca. Potrzebuje młodego, krzepkiego męża. Więc Suythof, musicie mi przyrzec na wszystko, co dla was święte, że zawsze będziecie uważać na moje dziecko!

- To niemożliwe - powiedziałem cicho.

- Jak to?

Opowiedziałem mu o amoku, w którym prawie zabiłem Cornelię, i o tym, że na pokładzie „Jaskółki” ponownie uległem mocy diabelskiej farby.

- Może coś z tego zła jeszcze we mnie pozostało i może w każdej chwili wybuchnąć? Nie, mogę temu zapobiec tylko opuszczając jak najszybciej Amsterdam i Cornelię.

Rembrandt, nadal trzymając moją dłoń, odpowiedział:

- Powiedziałem o was kiedyś wiele złego, Suythof, ale nigdy nie nazwałem was tchórzem, bo was za takiego nie uważałem. Czyżbym się pomylił?

- Chcę tylko ustrzec Cornelię przed krzywdą.

- Wmawiacie to sobie. Naprawdę uciekacie od odpowiedzialności z obawy, że moglibyście rozczarować ukochaną osobę, która wam zawierzyła. Niejeden raz okłamałem, wykorzystałem i zawiodłem ludzi, których kochałem i którzy byli mi oddani. Nikt nie może wam zagwarantować, że wam się coś takiego nie przydarzy. Ale mając w pamięci mój zły przykład, powinniście lepiej zadbać o Cornelie, niż ja potrafiłem. A może jej nie kochacie?

- Oczywiście, że ją Kocham!

- Więc trzymajcie się tego! Jeśli uciekniecie od tej miłości, będziecie stale nieszczęśliwi. I Cornelia także.

Odprawiwszy mnie po tych słowach, wezwał do siebie Cornelie. Długo ze sobą rozmawiali. Gdy wyszła z jego sypialni, wyczytałem w jej oczach, że Rembrandt opowiedział jej o naszej rozmowie.

Stała blisko przy mnie i powiedziała:

- Wiem, że nie byłeś panem samego siebie, gdy mnie zaatakowałeś. Przypisuję ci równie mało winy jak ojcu, pomimo że namalował ten diabelski obraz, który cię opętał. Ten Cornelis Suythof, którego znam i Kocham, nigdy nie zrobiłby mi nic złego.

Objąłem ją i mocno przyciągnąłem do siebie. Ściskaliśmy się i całowali przez krótką wieczność, podczas której poczułem, że wybaczyła mi wszystko. Od dawna już nie było mi tak lekko na sercu i w duchu złożyłem Rembrandtowi obietnicę, o którą mnie prosił.

Rembrandt van Rijn zmarł następnego dnia, czwartego października, a ósmego został pochowany w Kościele Zachodnim, niedaleko miejsca, gdzie nie tylko znajdował się grób Tytusa, ale od dwóch dni spoczywały także jego szczątki. Jeremias Katoen zadbał o to, by syn Rembrandta został bez wielkiego szumu złożony do wynajętego grobu, który i tak uważano za jego miejsce pochówku.

Podobnie bez większego rozgłosu odbył się pogrzeb samego Rembrandta. Ze sławy minionych lat nic nie pozostało i oficjalny Amsterdam obojętnie przyjął jego śmierć. Za prostą trumną z Rozengracht do Kościoła Zachodniego podążała tylko nieliczna grupka żałobników, wśród których byli Robbert Cors i Jan Pool.

Gdy grabarze złożyli trumnę do grobu, Cors zagadnął mnie:

- Jak sądzicie, *mijnheer* Suythof? Czy Ossel Jeuken zazna teraz spokoju?

- Mam nadzieję. Zrobiliśmy w tym celu wszystko, co było w naszej mocy. Opinia publiczna może go uważać za mordercę, ale my, jego przyjaciele, znamy prawdę.

Zza kolumny wyszedł jakiś mężczyzna i powiedział:

- Ale o tym, co zdarzyło się naprawdę, opinia publiczna nie może się dowiedzieć. Bliskość upadku naszego młodego państwa wzbudziła by zbyt wielkie przerażenie.

Był to Jeremias Katoen w towarzystwie utykającego jeszcze Dekkerta.

- Narzędzia zła, ludzie, którzy tylko z pozoru byli mordercami, a w gruncie rzeczy także ofiarami, podobnie jak zamordowani, pozostaną zatem obciążeni piętnem przestępców - powiedziałem z goryczą.

Katoen skinął głową.

- Tego nie da się zmienić. Tylko w ten sposób możemy zapobiec osiągnięciu mimo wszystko celu przez gerardystów i podważeniu zaufania Holendrów do państwa.

- A co z gerardystami? - zapytałem. - Czy przesłuchania przyniosły jakieś efekty?

- Posuwamy się mozolnie do przodu. Wielu zatrzymanych uparczywie milczy, niektórzy zaczynają zeznawać i wymieniają nazwiska, co prowadzi do dalszych aresztowań. Schwytanie większości spiskowców zajmie sporo czasu. Wszystkich zapewne nie zdołamy ujawnić. Ale odnaleźliśmy tego, który zabrał wtedy obraz z mieszkania Jeukena i przekupił Bekę Molenberg.

To handlarz obrazów z Leidsegracht, który często robił interesy z van der Meulenem. I aresztowaliśmy też Isbranta Winckelhaacka.

- Właściciela „Jaskółki”?

- Tak. Głupiec rzeczywiście próbował zainkasować wypłatę ubezpieczenia za zniszczony statek. To naprowadziło nas na jego trop.

- A co się stało z wrakiem „Jaskółki”?

- To, co nie spłonęło albo nie wyleciało w powietrze, osiadło na dnie morza.

- Cały ładunek uległ więc zniszczeniu - powiedziałem z satysfakcją.

- Można tak przyjąć - potwierdził inspektor. - Całe szczęście, że tak się stało.

Chciałem się już z nim pożegnać, gdy przyszło mi na myśl jeszcze jedno pytanie.

- A co będzie z Ochterveltami? Czy grozi im surowa kara?

- Emmanuelowi Ochterveltowi, owszem. Sam fakt, że was wydał, dowodzi, jak głęboko był uwikłany w spisek. Może spędzić resztę życia w Rasphuisie. Ale jego córka wyjdzie z tego niewielkim kosztem. Mało wiedziała, a uczestnictwo w ukryciu w katolickich mszach nie jest zakazane. Wprost przeciwnie, nasze prawo wręcz zabrania katolikom otwartego praktykowania ich religii.

- Czy Yola da sobie radę bez ojca?

Katoen spojrział na Cornelię, która stała jeszcze nad grobem ojca i zegnała się z nim.

- Wygląda na to, że los młodych kobiet leży wam bardzo na sercu, Suythof. Córka Ochtervelta wspomniała w czasie przesłuchania o ciotce w Oudewater. Zadbam o to, by ją do niej odesłano.

Cornelia podeszła do nas i ujęła mnie za rękę.

- Czy panowie znowu prowadzą rozmowy wagi państwowej?

- Ależ skąd - odrzekł Katoen i zdjął kapelusz, by się pożegnać. - Rozmawialiśmy tylko o młodych damach i powiedziałem Corneliosowi Suythofowi, że w tych sprawach ma znakomity gust.

33 NIGDY NIE BĘDZIESZ BEZPIECZNY

Amsterdam, 9 stycznia 1670

Tygodnie po śmierci Rembrandta nie były łatwe dla Corneli. Magdalena van Loo, wdowa po Tytusie, była zdecydowana walczyć o to, by jej córka Tycja nie utraciła ani stuivera z przypadającej jej części spadku. Po wszystkim, co przecierpiała, Cornelia musiała się teraz jeszcze zmagać z mało subtelną Magdaleną. Wykorzystywała ona bezwzględnie fakt, że w świetle prawa Cornelia była dzieckiem nieślubnym. Całe szczęście, że większość kwestii spornych rozstrzygała się między pełnomocnikiem Corneli, malarzem Christianem Dusartem, i reprezentującym Tycję złotnikiem Fransem van Bijlertem. Ale ciężki rok 1669 jeszcze się nie skończył, gdy Magdalena podążyła za swoim mężem do grobu. Wczesna śmierć nie była w Amsterdamie rzadkością, nawet gdy w grę nie wchodziły nieczne knowania spiskowców.

Pełnomocnik Corneli uważał za najlepsze rozwiązanie zlikwidowanie domu przy Rozengracht i wystawienie na licytację większości dobytku w celu spłacenia wierzycieli. Z tego powodu liczne pomieszczenia domu bezpośrednio po śmierci Rembrandta zapieczętowano, między innymi także moją sypialnię. Ekspozyty, zgromadzone tam przez mistrza, zostały przeznaczone na sprzedaż. Rozstałem się więc z niemym, ale wiernym towarzyszem.

Pożegnałem się też z Rozengracht. Dzięki pośrednictwu Roberta Corsa znalazłem małe i nawet niezbyt drogie mieszkanie na poddaszu przy Botermarkt, gdzie miałem doskonałe warunki do

malowania. To zajęcie od dawna bardzo zaniedbywałem. W mojej głowie kłębiły się jeszcze wspomnienia ostatnich przeżyć, ale może właśnie dlatego udało mi się kilka płócien, które zyskały pochwałę amsterdamskich marszandów za wyrazistość i przyniosły mi większy dochód, niż się spodziewałem.

W tym czasie rzadko widywałem Cornelie. Dusart zajął się nią i chciał dokładnie zbadać sprawy finansowe przed wyrażeniem zgody na małżeństwo. Gdy Cornelia któregoś dnia w mojej obecności naciśkała na niego, by zgodził się na nasz ślub, kazał nam poczekać do wiosny, bo, jak się wyraził, to właściwa pora dla dwojga kochających się ludzi. Myślę, że nie miał całkowitej pewności co do mojej osoby i chciał wystawić naszą miłość na próbę.

Cornelia i ja spotykaliśmy się przeważnie w niedzielę po nabożeństwie i wkrótce Dusart na tyle nam zaufał, że nie odgrywał już przy nas roli przywoitki. W drugą niedzielę nowego roku, gdy Amsterdam był spowity grubą warstwą śniegu, a zamrożone rzeki i kanały lśniły w łagodnym świetle zimowego słońca, wybraliśmy się na łyżwy poza bramy miasta, gdzie nie było już takiej ciżby i mogliśmy swobodnie poruszać się po zamrożonej rzece.

Także tutaj nie brakowało chętnych do uprawiania zimowej rozrywki, ale my wystarczaliśmy sobie wzajemnie, poruszaliśmy się po własnej orbicie i oddalaliśmy się w miarę upływu czasu, nie tylko przypadkiem, od pozostałych. W jednym miejscu na brzegu rzeki ustawiono stragan, na którym sprzedawano gorące kasztany i grzane wino. W innym bawiły się dzieci, które, podzielone na dwie grupki, próbowały kijami odbierać sobie płaski kamień. Ale stopniowo, trzymając się za ręce, pozostawiliśmy za sobą ostatnich łyżwiarzy.

Nie sprawiałem na lodzie najlepszego wrażenia, co Cornelie często rozśmieszało. A to było dla mnie ważniejsze niż okazanie się wprawnym i godnym podziwu łyżwiarzem.

Gdy cienie się wydłużyły i poczuliśmy pewne zmęczenie, usiedliśmy na otoczonym ośnieżonymi krzakami pomoście i rozma-

wialiśmy o wspólnej przyszłości. O tym, w której dzielnicy Amsterdamu zamieszkamy, jak urządzimy dom i jakie imiona będą nosić nasze dzieci. To były pogodne rozmowy, które wkrótce odsunęły na bok poważniejsze rozważania. Ale niebawem mieliśmy sobie uświadomić poważną stronę naszej przyszłości.

Początkowo prawie nie zauważyłem cienia w zakolu rzeki. Robiło się już ciemno i w pierwszej chwili pomyślałem, że jeden z pni na brzegu rzuca cień na taflę lodu. Dopiero gdy powróciliśmy na rzekę, by wyruszyć w drogę powrotną, dostrzegłem, że był to człowiek. Stał tam jak skamieniały i wydawało się, że na nas czeka. Mężczyzna o szerokich ramionach, z dużą blizną na prawym policzku.

Prerażony chwyciłem Cornelię za ramię tak gwałtownie, że straciła równowagę i złapała się mnie. Ale ja także nie zdołałem się utrzymać na nogach. Obydwoje upadliśmy na lód, ale tym razem się nie roześmialiśmy.

Mężczyzna z blizną poruszał się na łyżwach szybko i zręcznie. Zanim zdążyliśmy się podnieść, już stał nad nami i teraz rozpoznałem oszpecone oblicze. Wiele razy ten człowiek stawał na mojej drodze, a tym razem na jego twarzy malował się wyraz zdecydowania, że to spotkanie ma być ostatnie.

Wyciągnął pistolet spod czarnej peleryny i skierował wylot lufy na mnie.

- Dobry wieczór, malarzyno. Wydajesz się zaskoczony moim widokiem. Myślałeś pewnie, że utonąłem razem z „Jaskółką”?

- A nie byliście na pokładzie? - zapytałem, gorączkowo zastanawiając się, co robić.

- Oczywiście, że byłem. Ale zdążyłem w porę wyskoczyć i dopłynąć do Texel. Kilku z nas musiało zostać przy życiu, by wypełnić testament.

- Testament?

- Czy Fredrik de Gaal nie przysiągł ci, że nigdy nie będziesz bezpieczny?

Owszem, tak było i dokładnie pamiętałem każde wypowiedziane przez niego słowo: „A sprawa jeszcze nie jest skończona, przynajmniej nie dla was. Nasi bracia są liczni, a wy nie będziecie bezpieczni ani w Amsterdamie, ani gdziekolwiek indziej w Niderlandach!”.

- Co jeden z nas przysięgnie, jest dla wszystkich pozostałych zobowiązaniem. Obserwowaliśmy ciebie i twoją kochaneczkę już od dawna, Suythof. Czekaliśmy tylko na odpowiednie miejsce i czas, by was ukarać, jak na to zasłużyliście. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi. A ja się cieszę, że mnie przypadło w udziale was zabić. Jestem to winien Truusowi i Roelofowi.

- Truusowi i Roelofowi?

- Zapomniałeś już moich przyjaciół? Nie mieli tyle szczęścia, żeby ujść z życiem.

Oczywiście, że pamiętałem tysego i człowieka z czerwonym nosem. W końcu nie raz weszli mi w drogę.

- Odebrało ci widać mowę, malarzyno - ciągnął człowiek z blizną. - Boisz się o siebie, czy o swoją ślicznotkę? Nie martw się, odejdziesz stąd pierwszy. Z twoją kochaneczką zabawię się trochę, zanim ją wyślę w twoje ślady.

Powoli, prawie z namysłem zaczął odciągać kurek masywnego pistoletu.

Odepchnąłem Cornelię i, ponieważ nie miałem czasu, by się podnieść, potoczyłem się po lodzie w kierunku napastnika. Zabrzmiał strzał, poczułem dotkliwy ból w lewym ramieniu i otulił nas dym ze spalonego prochu. W ten samej sekundzie podciąłem nogi człowiekowi z blizną, który upadł na lód.

Ból w ramieniu promieniował na całe ciało i przez chwilę poczułem się jak sparaliżowany. Moja krew zabarwiła lód na czerwono.

Dysząc ciężko, przeciwnik podniósł się na kolana i cisnął w moją stronę wystrzelony pistolet. Zebrałem siły i schyliłem się. Broń uderzyła za mną o lód i zniknęła w mroku.

Mój wróg wyszczerzy! zęby.

- Twardy z ciebie przeciwnik, malarzyno. Ale nic ci z tego nie przyjdzie. Jeśli nie chcesz szybkiej śmierci od kuli, zaduszę cię gołymi rękami.

Nie wątpiłem w to, że ten zamiar mu się powiedzie. Zranione lewe ramię zwisało bezużytecznie, a jedną ręką nie zdołałbym się obronić przed silnym przeciwnikiem. Także Cornelia, która czaiła się za nim skulona na lodzie i obserwowała nas trwożnie, nie miała żadnych szans.

Nasz samozwańczy kat podniósł się, ale w tej samej chwili zachwiał się gwałtownie. Do moich uszu dobiegł trzeszczący dźwięk: lód pękał. Pod łyżwami człowieka z blizną pojawiły się rysy, które powstały prawdopodobnie wskutek naszych gwałtownych ruchów.

- Na brzeg, Cornelio, prędko! - krzyknąłem.

Początkowo wahała się, ale po chwili podniosła się i pomknęła posuwistymi krokami w stronę brzegu.

Przynajmniej obie nogi były mi jeszcze posłuszne. Chwiejnie wstałem i pobiegłem, nie, pokuśtykałem za nią.

Człowiek z blizną chciał pójść w moje ślady, nie tyle gnany żądzą zemsty, ile z chęci ratowania życia, ale pęknięcia pod nim powiększały się coraz szybciej i jego masywne ciało zanurzyło się w wodzie.

Zamiast biec prosto ku zbawczemu brzegowi, Cornelia zmieniła kierunek i skręciła w moją stronę. Pomogła mi też przebyć ostatni odcinek lodu. Pozostawiałem krwawy ślad, ale w tej chwili nie zwracałem na to najmniejszej uwagi.

Gdy wreszcie dotarliśmy na brzeg, tylko głowa, ramiona i pierś mężczyzny wystawały jeszcze ponad wodę. Desperacko starał się utrzymać na kruszącym się lodzie i kierować w stronę brzegu. Dwukrotnie wydawało się, że ten zamiar mu się powiedzie, ale za każdym razem zsuwał się w lodowaty nurt.

- Pomóżcie mi! - zawołał. - Ratujcie mnie! Jesteście przecież chrześcijanami!

Ale my siedzieliśmy na brzegu, sparaliżowani jeszcze strachem, i patrzyliśmy na ostateczny koniec człowieka, który groził nam śmiercią.

Dopiero gdy zniknął, Cornelia się odezwała.

- Czy on - nie żyje?

- Na pewno. W każdym razie mam taką nadzieję. Ale to nie powód, abyśmy mogli odetchnąć z ulgą.

- Dlaczego nie?

- Nie słyszałaś, co powiedział? Inni także dybią na nasze życie. Nigdy nie zaznamy spokoju ani w Amsterdamie, ani gdziekolwiek w Niderlandach.

- Ale co mamy robić, Cornelisio?

- Nie wyobrażałaś sobie nigdy dalekich krajów, do których wyruszają nasze statki z Texel? Nie zastanawiałaś się nigdy, jak tam może być, jakim językiem mówią ludzie, jaki kolor ma niebo i jaki zapach rozsiewają kwiaty? Ja chciałbym to usłyszeć, zobaczyć i poczuć.

W milczeniu Cornelia zajęła się opatrywaniem mojej rany za pomocą jednej z licznych wełnianych koszul, które włożyła dla ochrony przed chłodem. Kula tkwiła głęboko w ramieniu. Cornelia obchodziła się z nim najdelikatniej, jak to tylko było możliwe, ale od czasu do czasu nie zdołałem stłumić jęku.

- Weź się w garść, Cornelisio Suythof! - powiedziała w końcu z udawaną surowością. - Chyba nie myślisz, że odważę się wyruszyć w podróż do dalekich krajów w towarzystwie mazgaja?

Epilog

NOWE ŻYCIE

Batawia, 6 grudnia 1673

Cornelia i ja powiedzieliśmy sobie tak wiosną 1670 roku i wkrótce potem zaokrętowaliśmy się na żaglowcu „Tulpenburgh”²². Naszym celem była stolica Indii Wschodnich, Batawia na wyspie Jawie, wielkie miasto handlowe nad rzeką Tjiliwong, o którym opowiadano prawdziwe cuda. Można tam było szybko zdobyć bogactwo i poważanie, nawet jeśli w starym kraju człowiek nie szczyił się majątkiem ani pochodzeniem.

Jestem teraz podwójnie rad z decyzji wyjazdu, bo Niderlandy znajdują się przecież od ubiegłego roku ponownie w stanie wojny. Atakowana z morza przez Anglików i z lądu przez Francuzów, moja ojczyzna musi stawić czoło ciężkiej próbie. Oddziały francuskiego króla Ludwika XIV najechały Niderlandy i pozostawiły po sobie zniszczenia. W jakim stopniu ten atak był wspierany czy wręcz inspirowany przez gerardystów, tego nie wiem. Mówiąc całkiem uczciwie, nie chcę też wiedzieć.

Tu, w Batawii, wojna wydaje się odległa. Czasami, gdy czas na to pozwala, siaduję w porcie i wpatruję się w bezkresny błękit morza, które na horyzoncie zlewa się z lazurowym niebem. Morze i niebo otaczają nasz mały świat, chronią go. Patrząc na jasny, świetlisty błękit wokół siebie, zaczynam sobie zadawać pytanie, jakim sposobem ten kolor mógł się mnie i innym wydawać tak groźny.

Jeszcze w Amsterdamie zacząłem spisywać tę relację, aby utrwalić dla potomnych niezwykle wydarzenia 1669 roku. W czasie długiej, nużącej podróży morskiej miałem dość czasu, by kontynuować

²² Tulpenburgh, w dosłownym tłumaczeniu Tulipanowy Zamek.

zapiski, ale w pierwszych miesiącach pobytu w Batawii prawie nie pisałem. Bogactwa i sławy nawet tutaj nie zdobywa się aż tak łatwo i muszę ciężko pracować, by opłacić nasz domek przy Bramie Rotterdamskiej.

Niestety, musiałem doświadczyć i tego, że młody, nieznany malarz jest w Batawii równie mało poszukiwany jak w Amsterdamie. Ubiegałem się więc o posadę strażnika więzienia, umiejscowionego w budynku cechowym, i dzięki doświadczeniu zostałem zatrudniony. Nie wspominałem jednakże o okolicznościach utraty pracy w Rasphuisie i o tym, że siedziałem w nim także jako więzień.

Praca w więzieniu i przychody z malarstwa umożliwiają życie bez trosk Cornelii, mnie i naszemu synkowi, który wczoraj został ochrzczony w kościele Świętego Krzyża i otrzymał imię Rembrandt.

Prowadziłem dalej zapiski i teraz, gdy jest z nami mały Rembrandt, prawie ukończyłem relację o starym Rembrandcie, jego dziadku.

Cornelia nakarmiła naszego syna. Teraz tuli do piersi gulgożącego z zadowoleniem malca i patrzy na mnie.

- Zepsujesz sobie oczy od tego pisania, Cornelisie.
- Nie martw się, właśnie skończyłem.

Jej śliczna buzia zachmurza się.

- Czy opisałeś wszystko? To znaczy o moim ojcu?
- Musiałem. To może być ważne dla przyszłych pokoleń.
- Ale ojciec zniszczył swoje autoportrety, aby nic nie przypominało o jego szaleństwie.

- To nie było tylko jego szaleństwo. Wszystkich nas opanowało. Ja sam długo wierzyłem, że to nie gerardyści, tylko jakiś demon, który nimi owładnął, chce sprowadzić na nas zło.

- A teraz już tak nie myślisz?

Wzdycham ciężko.

- Wtedy bez przerwy zdarzały się niezwykle rzeczy, jak w malignie. W gorączce często widzi się coś, co nie wytrzymuje próby

obserwacji chłodnym okiem i umysłem. Po co wierzyć w demony, skoro człowiek ma w sobie dość zła, by wtrącić siebie samego i bliźnich w nieszczęście? Czy to zło nie jest właśnie prawdziwym demonem?

Cornelia zamyśla się i w końcu kiwa potakująco głową.

- Może masz rację. To wszystko jest takie odległe, że sama już nie wiem, co przeżyłam, a co sobie tylko wyobraziłam. Cieszę się, że jesteśmy tutaj i że zaczęliśmy nowe życie. Ale nie chciałabym, żeby mały Rembrandt przeczytał któregoś dnia, że jego dziadek był szaleńcem, mordercą. Oczywiście, mój ojciec czynił zło. Ale ty wiesz, że jego umysł był zmacony. Jeszcze zanim uległ temu diabelskiemu błękitowi, śmierć Tytusa czasowo pozbawiła go rozsądku. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć, że w ogóle zadawał się z gerardystami. Proszę, Cornelisie, nie oczerniaj jego imienia!

- Dobrze.

Daję jej słowo.

Na życzenie mojej żony, Cornelii, ta relacja nie może zostać opublikowana za życia naszych potomków, a także ani w tym stuleciu, ani nawet w tym tysiącleciu. Taką dyspozycję, ostatnim pociągnięciem pióra, wydaję ja, Cornelis Bartholomeuszoon Suythof, w dniu św. Mikołaja roku 1673 w Batawii na Jawie.

TABLICA CHRONOLOGICZNA

1581

Siedem północnych prowincji Niderlandów Hiszpańskich proklamuje pod nazwą Republiki Zjednoczonych Prowincji swoją niepodległość wobec Hiszpanii.

1584

10 lipca książę Wilhelm Orański, namiestnik Zjednoczonych Prowincji, ginie w zamachu w Delfcie.

1595

W Amsterdamie zostaje oddane do użytku więzienie przy Heiligeweg zwane Rasphuis (Tartak).

Niewielka flotyła czterech statków handlowych przygotowuje się w Niderlandach do pierwszej podróży do Indii Wschodnich.

1602

W celu lepszego rozwoju handlu zamorskiego powstaje Zjednoczona Kompania Wschodnioindyjska.

1606

15 lipca w Lejdzie przychodzi na świat Rembrandt Harmenszoon van Rijn.

1619

Kompania Wschodnioindyjska organizuje siedzibę administracji w Batawii (wcześniej i obecnie ponownie: Dżakarta) na Jawie.

1631/1632

Rembrandt przeprowadza się do Amsterdamu.

1637

Tak zwana gorączka tulipanowa doprowadza do krachu giełdowego w Niderlandach.

1646

W Amsterdamie rodzi się Cornelis Bartholomeuszoon Suythof.

1648

Pokój westfalski oficjalnie kładzie kres wojnie trzydziestoletniej. Na mocy traktatu Hiszpania zrzeka się wszelkich pretensji do Niderlandów, które w ten sposób zyskują prawny międzynarodowy status niepodległego państwa kalwińskiego.

1654

W Amsterdamie przychodzi na świat córka Rembrandta Cornelia, ochrzczona 30 października w Oudekerk (Starym Kościele).

1658

Po sprzedaży wspaniałego domu przy Jodenbreestraat Rembrandt wprowadza się do skromnej siedziby przy Rozengracht.

1660

Rembrandt zawiera z synem Tytusem i Hendrickje Stoffels, matką Corneli, umowę, na mocy której zostaje zatrudniony w ich przedsiębiorstwie.

1663

Hendrickje Stoffels umiera.

1668

Syn Rembrandta Tytus poślubia 10 lutego Magdalenę van Loo. Tytus umiera i 7 października zostaje pochowany w Westerkerk (Kościele Zachodnim).

1669

Wnuczka Rembrandta, córka Tytusa i Magdaleny, Tycja, zostaje ochrzczona 22 marca.

2 października zbieracz starożytności Pieter van Brederode przychodzi do domu przy Rozengracht, aby obejrzeć zbiory zabytków i osobliwości, zgromadzone przez Rembrandta. Rembrandt umiera 4 października i zostaje 8 października pochowany w Westerkerk.

1670

Cornelis Suythof i Cornelia van Rijn biorą na początku maja ślub w Amsterdamie.

1672

Francja z pomocą sprzymierzeńców, między innymi Anglii, rozpoczyna wojnę zaczepną przeciw Niderlandom. Oddziały francuskie wkraczają na ich terytorium.

1673

Cornelisowi Suythofowi i Cornelii w Batawii rodzi się syn, który 5 grudnia zostaje ochrzczony imieniem Rembrandt.

1674

Anglia zawiera z Niderlandami separatystyczny pokój westminsterski. W Amsterdamie wychodzi książka Klarę Onderrichtinge der Voortreffelijcke Worstel-Konst (Dokładna nauka znamienitej sztuki zapaśniczej) znanego założyciela szkoły zapaśniczej Nicolaesa Pettera. W rzeczywistości wydawcą jest Robbert Cors, uczeń i następca zmarłego Pettera.

1678

Cornelisowi Suythofowi i Cornelii rodzi się drugi syn, który zostaje ochrzczony 14 lipca imieniem Hendric (według innej pisowni Hendrick; w niektórych źródłach jest mowa nie o drugim synu, ale o córce imieniem Hendrickje).

10 sierpnia pokój w Nijmegen kończy wojnę między Francją i Niderlandami.

Po 1689

... nie ma dalszych wzmianek o Cornelisie Suythofie i Cornelii. Dlatego nie wiadomo, kiedy dokładnie zmarli.

POSŁOWIE OD AUTORA

Życie Rembrandta Harmenszoon van Rijn było bogate w dary losu i niewolne od jego ciosów. Wielbiciele jego talentu niech mi wybaczą, że pchnąłem go w dalsze klęski. Ale powieść o Amsterdamie w czasach Rembrandta, w której nie pojawia się Rembrandt, wydawała mi się pozbawiona sensu, a jeśli już Rembrandt, to jako pełnokrwista postać!

Jeszcze słowo do miłośników malarza: Jestem najdalszy od jakiegokolwiek umniejszania jego sławy i dorobku. Sięgnąłem do przekazów, np. do wyraźnego i w podeszłym wieku ponownie się manifestującego zamiłowania do autoportretu, i wymieszałem ich treść z wytworami mojej fantazji.

Nikt nie jest w stanie, choćby w przybliżeniu, trafnie opisać charakteru człowieka, który nie żyje od ponad trzystu lat. Musi zadowolić się usiłowaniami, a w powieści może dać upust wyobraźni. Kto jednak zajmuje się trochę życiem Rembrandta, dojdzie szybko do wniosku, że w jego duszy były też ciemne strony. Światło i cień, jasność i ciemność były w jego osobowości równie wyraźne, jak na obrazach. Pozwoliłem sobie dodać jeszcze jeden aspekt tej mroczności duszy.

Świat malarza, jego najbliższe otoczenie i Amsterdam tzw. złotego wieku Niderlandów odtworzyłem w dużym stopniu zgodnie z przekazem historycznym, począwszy od obejmującej cały znany wówczas świat działalności Kompanii Wschodnioindyjskiej, przez nauczyciela zapasów Robberta Corsa, jednego z prekursorów obrony bez używania broni, aż po Rasphuis, który w tej opowieści zajmuje ważne miejsce. Także tortury w karczerze wodnym nie są moim wymysłem, ale pojawiają się w licznych siedemnastowiecznych relacjach z podróży. Historyk Simon Schama, którego obszerne

i dogłębne prace na temat Amsterdamu w okresie złotego wieku (*Überfluss und schöner Schein*) oraz Rembrandta (*Rembrandts Augen*), chciałbym polecić każdemu, kto chce się intensywniej zajmować artystą i jego czasami, rozwija wysnutą przez innych badaczy teorię, wedle której opowieść o karcerze wodnym jest wczesnym wielkomijskim mitem, tak dobrze zakorzenionym i przekonującym, że praktycznie każdy opisujący podróż do Amsterdamu czuł się w obowiązku przytoczyć ją w swojej relacji. Schama dochodzi do konkluzji, że istnienie karceru wodnego jest bardziej prawdopodobne niż teoria legendy. Prawdziwa czy nie, dla powieściopisarza ta opowieść jest w każdym razie bezcenna.

Szalona historia - niejedyn tak właśnie oceni całą powieść i zada sobie pytanie: Czy farba może wpędzić człowieka w obłąd? Nie chcę twierdzić, że opisane przeze mnie zdarzenia miały właśnie taki przebieg, ale chciałbym zauważyć, że Yves Klein, który poświęcił swe krótkie życie (1928-1962) pracy nad obrazami monochromatycznymi i ostatecznie skoncentrował się całkowicie na błękicie, był zdania, że stworzona przez niego mieszanka IKB (International Klein Blue) wpływa na świadomość. A sam Rembrandt przestrzegał przed nadmiernym zbliżaniem się do jego obrazów - uzasadniając, że może to być szkodliwe.

Jórg Kastner

Spis treści

Prolog. Niewierne serce	5
1. Śmierć w więzieniu Rasphuis	13
2. Obraz zmarłego	20
3. W ciemnicy (I)	30
4. Poszukiwania	38
5. Piątek, trzynastego.....	51
6. Sztuka i rzemiosło	61
7. Dom przy Rozengracht	76
8. Tajemnica kobiet	93
9. Malarz i jego dzieło.....	110
10. Historia Louisy	127
11. Kolor diabła	143
12. Przy Mewiej Baszcie o północy	158
13. Nocny koszmar	166
14. Gore!	176
15. Tajemnica Rembrandta	183
16. Podejrzany	187
17. W ciemnicy (II)	197
18. W karczerze wodnym	207
19. Grabieżcy grobu	217
20. Śmiertelne zakłady	223
21. Między życiem a śmiercią	235
22. Nieoczekiwane spotkanie	241
23. Przekleństwo z Delftu	248
24. Diabelska wyspa	253
25. Uśmiech mistrza	262
26. Błękit	269
27. Ogniem i żelazem	279

28. Ojciec i syn.....	286
29. Burza nad Amsterdamem	293
30. Oblicze demona.....	303
31. Statek we mgle	311
32. Pod maską	332
33. Nigdy nie będziesz bezpieczny	343
Epilog. Nowe życie	349
Tablica chronologiczna	352
Posłowie od autora	355

Tytut oryginału
Die Farbe Blau

© 2005 by Droemersch Verlagsanstalt Th. Knauer Nachf. GmbH
& Co. Ko, Munchen
Represented by AVA international GmbH Autoren und Verlagsagen-
tur,

Germany

By arrangement with HELFA Literary Agency, 2006

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dolnośląskie,
Wrocław 2006

Na okładce wykorzystano obraz: Rembrandt van Rijn, Autoportret,
Muzeum Ashmolean w Oxfordzie, fot. BE&W

Redaktor
Zofia Smyk

Redaktor techniczny
Jolanta Krawczyk

Korektor Magdalena
Fortuniak

Pełna oferta Wydawnictwa Dolnośląskiego jest dostępna w księgarni
internetowej: www.najlepszy prezent.pl

Dział Handlowy: tel. (071) 7859054, Promocja: (071) 7859050
www.wd.wroc.pl

Wrocław 2006

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o. ul.
Podwale 62 50-010 Wrocław

ISBN 83-7384-528-3 ISBN
978-83-7384-528-3